

**most**

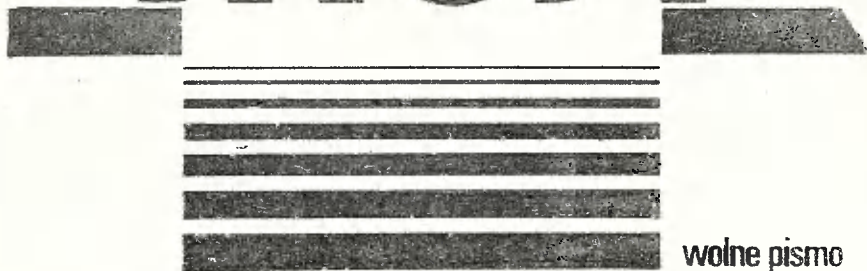
21



**GŁOS W SPRAWIE  
WOLNOŚCI SŁOWA**

**wydanie specjalne**

# most 21



wolne pismo

## GŁOS W SPRAWIE WOLNOŚCI SŁOWA

- SEMINARIUM STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH NA TEMAT  
STANU KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ, Warszawa 8-9 I 1989
- MATERIAŁY Z SESJI DYSKUSYJNEJ SDP PT. MIĘDZY DZIENNIKAR-  
STWEM A PROPAGANDĄ Łódź, 21 I 1989
- DOKUMENTY SDP 1982-1988

Opracowanie: Maciej Łukasiewicz

przy współpracy Jerzego Katarasińskiego

© Copyright by MOST

Przedruk tekstów autoryzowanych dozwolony za podaniem źródła

Przedstawicielami kwartalnika i wydawnictwa WP MOST na Zachodzie są: Krzysztof Turowski (Paryż), Maciej Wierzyński (Chicago), Jacek Ratajczak (Toronto)

Reprezentują oni także Agencję Publicystyczno-Wydawniczą MOST

Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

## O STANIE KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ

<u>I dzień obrad</u>	STR.
Zagajenie .....	5
O co nam chodzi	
- Wojciech Adamlecki .....	6
- Wojciech Giełżyński .....	9
- Stefan Bratkowski .....	11
Propaganda i mass-media jako środek porozumienia i agresji - Maciej Ilowiecki .....	15
Jaka będzie propaganda - Krzysztof Czabański .....	38
 Dyskusja:	
- Agnieszka Wróblewska .....	39
- Grzegorz Jaszunski .....	40
- Janusz Korwin-Mikke .....	41
- Stanisław Remuszko .....	41
- Danuta Kaczanowska .....	42
- Krystyna Mokrosińska .....	43
- Bohdan Rudnicki .....	44
- Andrzej K. Wróblewski .....	46
- Andrzej Roman .....	48
 O mediach i świadomości społecznej - Stanisław Brodzki....	
- Jacek Maziarski...	52
Drugi obieg - próba fotografii - Maciej Łukasiewicz....	56
Drugi obieg - od środka - Grzegorz Boguta .....	63
Na przykład: Gdańsk - Maciej Łopliński .....	65
Drugi obieg w szkole - Tomasz Roguski .....	68
 Dyskusja (cd.):	
- Krystyna Jagiełło .....	73
- Krzysztof Czabański .....	74
- Jerzy Surdykowski .....	74
- Dionizy Garbacz .....	74
- Alicja Balińska .....	75
- Marek Rapacki .....	76
- Stefan Bratkowski .....	77
 <u>II dzień obrad</u>	
Srodowisko dziennikarskie po 13 grudnia 1981 r.	
- Katarzyna Kołodziejczyk....	79
Cenzura: szkodliwa i anachroniczna - Dariusz Fikus....	88

## Dyskusja (cd.):

- Wilhelmina Skulska .....	93
- Iwona Śledzińska-Katarasińska .....	94
- Janina Jankowska .....	95
- Maciej Iłowiecki .....	97
- Władysław Daniszewski .....	98
- Jerzy Turowicz .....	99
- Robert J. Nowak .....	100
- Wanda Falkowska .....	102
- Sławomir Siwek .....	102
- Stefan Bratkowski .....	103
- Wiesław Johann .....	104

ZSRR - demokratyzacja albo katastrofa - Leon Bójkó ....	106
---	-----

## Dyskusja (cd.):

- Artur Hajnicz .....	113
- Józef Kuśmierz .....	114
- Włodzimierz Wowczuk .....	114
- Kazimierz Żebrowski .....	118
- Maryna Miklaszewska .....	118
- Jarosław Szczepański .....	119
- Wacław Czarniecki .....	120
- Ryszard Helak .....	121
- Krzysztof Boruń .....	122
- Robert J. Nowak .....	123

Zamknięcie obrad - Stefan Bratkowski .....	122
--	-----

Dokumentacja (uchwały) .....	126
------------------------------	-----

## MIĘDZY DZIENNIKARSTWEM A PROPAGANDĄ

SDP a środki komunikacji społecznej - Stefan Bratkowski..	135
Nadgorliwość i naddyspozycyjność łódzkiej prasy w latach 1968-1976 - Gustaw Romanowski, Jadwiga Wasiak .....	140
"Gość Niedzielny" a "Trybuna Robotnicza" w dniach sierpniowych strajków 1988 r. - Małgorzata Golicka-Jabłońska .....	148
Na piętrach i na schodach propagandy (Na podstawie lektury "Dziennika Łódzkiego" w 1988 r. ) - Jerzy Katarasiński .....	154
"Wolno - ale nie chcemy" ("Głos Robotniczy w drugiej połowie 1988 r.) - Iwona Śledzińska-Katarasińska .....	162
DOKUMENTY SDP 1982-1988 .....	171

# O stanie komunikacji społecznej

## I DZIEŃ OBRAD

Stefan Bratkowski: Impreza, na której się dziś spotkaliśmy, czyli seminarium nt. "Stanu komunikacji społecznej" jest pierwszym, praktycznie, tak masowym spotkaniem członków SDP, zorganizowanym dzięki pomocy sekcji publicystycznej ZAIKS-u, której - w imieniu wszystkich tu obecnych - pozwolę sobie serdecznie podziękować.

Chcielibyśmy poprzedzić nasze obrady wręczeniem grupie kolegów pierwszych legitymacji Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy\*, której zbiorowym członkiem jest od ubiegłego roku nasze Stowarzyszenie. Przedtem pozwolę sobie odczytać kilka słów z tego dokumentu, jakim jest legitymacja FIJ; ograniczę się do tego, co najważniejsze, do deklaracji uchwalonej na II światowym kongresie w Bordeaux w 1954 r. Jest to pierwsza z 9 zasad, przyjętych przez naszą Federację: "Szacunek dla prawdy i prawa społeczeństwa do prawdy są pierwszym obowiązkiem dziennikarza". Myślę, że zasada ta może być uznana za zasadę, która powinna zawsze przyświecać również naszemu Stowarzyszeniu. Myślę, że nie muszę czytać wszystkich dalszych zasad, ponieważ wynikają one jasno i logicznie z zasady pierwszej. Proszę jednak kolegów, którzy te legitymacje w tej chwili otrzymają, aby zechcieli pokazać te zasady wszystkim siedzącym dookoła.

Wszyscy koledzy, którzy znajdują się na sali, a czują się członkami SDP, proszeni są o przekazywanie na nasze ręce po 2 zdjęcia legitymacyjne wraz z datą i miejscem urodzenia oraz aktualnym adresem, z zaznaczeniem narodowości.

(Następnie 53 osobom wręczono legitymacje FIJ.)

Przed rozpoczęciem właściwych obrad prezes SDP, Stefan Bratkowski, poinformował jeszcze zebranych, że Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich - za pośrednictwem służby zdrowia NSZZ "Solidarność" w osobie doc. dr Zofii Kuratowskiej - przekazało ćwierć miliona złotych na pomoc medyczną dla Armarii.)

\* \* \*

\* Fédération Internationale des Journalistes z siedzibą w Brukseli. (red.)



Andrzej Roman: Pozwola Państwo, że rozpoczniemy nasze seminarium. Pierwszy punkt programu - "O co nam chodzi". Głos zabiorą kolejno: Wojciech Adamiecki, Wojciech Giełżyński i Stefan Bratkowski. Proszę pamiętać, że po każdym punkcie, po każdym wystąpieniu, chętni mogą zapisywać się do dyskusji, z uprzejmą jednak prośbą, aby wypowiedzi nie przekraczały 5 minut. W przeciwnym razie nie zmieścimy się w programie. Jeszcze tylko na chwilę kol. Surdykowski.

Jerzy Surdykowski: Mam jeden komunikat. Sekretariat naszego spotkania prowadzi kol. Janina Jankowska. Do niej prosimy kierować wszelkie zapytania, problemy. Może nam się tak-że przydać Komisja Wniosków i Uchwał. Proponuje więc od razu ją powołać. Mam trzech kandydatów: kol. Bójko z Warszawy, kol. Liberadzki z Gdańska i kol. Robak z Krakowa. (...) Proszę w trakcie obrad zgłaszać następnych.

### O CO NAM CHODZI

Wojciech Adamiecki:

- Moje parę słów trudno nazwać referatem. Osobiście traktuję to jako symboliczne wyróżnienie, za które bardzo dziękuję. Zabieram głos jako pierwszy na tym spotkaniu i udzielenie mi głosu uważam za nawiązanie do wspomnień z dawnych lat, czyli do działalności z jesieni 1980 roku Grupy Inicjatywnej SDP, która zainicjowała wówczas przemianę w Stowarzyszeniu. Patrząc dziś na tę salę, można by powiedzieć, że ta grupa inicjatywna znacznie się poszerzyła. Ale wszelkie porównania są kulawe, to również kuleje i sądzę, że nie należy go traktować zbyt dosłownie. Po prostu, jak wiadomo, dwa razy nie da się wchodzić do tej samej rzeki. Sytuacja w kraju jest inna i my sami jesteśmy inni. Chciałbym o tym parę słów powiedzieć, jakkolwiek w takim gronie trudno o myśli odkrywcze. Myślę jednak, że powinniśmy zastanowić się, na ile wówczas okazaliśmy się zdolni, aby sprostać tej trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Główna trudność sprowadzała się do umiejętności i sposobu zachowania własnej wiarygodności i poczucia własnej tożsamości. Organizacji, jaką było dawne SDP sprzed 1980 r., bardzo obu tych elementów brakowało. W tym SDP, które staraliśmy się tworzyć, byliśmy na dobrej drodze do uzyskania i wiarygodności i poczucia tożsamości. Nie dokończyliśmy jednak tej pracy; proces ten przerwany został 13 grudnia 1981 r., kiedy to ktoś inny, w znacznie bardziej dobitny sposób, wykazał poczucie wiarygodności wobec Paktu Warszawskiego.

Ale to nie znaczy, żeśmy ponieśli klęskę, w sensie indywidualnym, osobistym. Tu chciałbym wyrazić wielkie uznanie tym kolegom, przede wszystkim myślę o kolegach spoza Warszawy, którzy za cenę wielkiego ryzyka i wielkiego poświęcenia oraz trudności życiowych, to poczucie wiarygodności i tożsamości starali się w sobie samych przez te wszystkie lata, które nastąpiły po 13 grudnia, przechowywać. Sądzę, że Zarząd Stowarzyszenia, czy ta grupa, która starała się pełnić te funkcje w owym czasie, bardzo niewiele mogła dla naszych kolegów zrobić. Nie mieliśmy środków, etatów, nie mieliśmy wiele pienię-

dzy. Jedyną rzeczą, którą byliśmy w stanie uczynić, to dać w jakimś stopniu poczucie wspólnoty, poczucie koleżeństwa i moralnego wsparcia. Myślę, że niezależnie od tego, jak się dalej potoczą nasze losy, zwłaszcza jeżeli - o co będę za chwilę wnioskował - uznamy za niezbędne formalne powołanie naszej własnej, niezależnej organizacji dziennikarskiej, to niewiele ta organizacja będzie mogła dać w sensie materialnym, poza poczuciem wspólnoty, koleżeńskości i pewnego rodzaju satysfakcji moralnej.

Tutaj chciałbym odpowiedzieć tym, którzy podejrzewają, że to oczekiwanie na jakieś konkretne korzyści, wynikające z należenia do tej organizacji, są dla nas sprawą najważniejszą. Otóż nie wydaje mi się, żeby tak było, nie wydaje mi się, żebyśmy tego oczekiwali i myślę, że głównym osiągnięciem naszego życia, w ostatnich 8-miu latach, było to, żeśmy potrafili podejmować decyzje na własną odpowiedzialność. Indywidualnie i na własny rachunek. Od czego nasz błogosławiony system bardzo skutecznie przez wiele, wiele lat nas odzwyczajał i licznym z nas wcale nie łatwo było taką postawę i pozycję przyjąć. Teraz sytuacja jest inna i gdybyśmy nawet wnioskowali formalnie, czy po raz kolejny ponawiali wnioszek o reaktywowanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich lub organizacji o innej nazwie, to przecież do tej samej rzeki nie wejdziemy; będzie to inne SDP, inna organizacja dziennikarska, niż ta, którą było SDP przed 13 grudnia.

Dawne SDP, niezależnie od naszych starań o wiarygodność i niezależność, było organizacją wpisana w polityczną strukturę kraju, podporządkowaną rządowi i skazana na manipulowanie przez władzę. Nie chcę powiedzieć, że ta groźba manipulacji zupełnie zniknęła. Chcę natomiast podkreślić, że powinno nam zależeć - to jest moje zdanie - tylko na organizacji rzeczywiste niezależnej, która by się wisała nie w stare struktury, ale w nową sytuację, którą w kraju niewątpliwie mamy. Ta sytuacja polega na tym, że zaczyna się w kraju pojawiać szansa na pluralizm postaw i instytucjonalizację tego pluralizmu oraz werbalizację różnych poglądów, które w społeczeństwie i kraju istnieją. Myślę, że 50, 100, 500, czy 1000 osób chciałoby taką organizację mieć jako drugą organizację w kraju, istniejącą nie po to, żeby walczyć z SD PRL - nie byłoby chyba naszym celem - tylko po to, żeby utrzymać pewien bardzo ważny element naszego zawodu, czyli etos służby społecznej i realizować ten etos, odwoływać się do niego w taki sposób, w jaki uważamy za najbardziej pożyteczny, stosować go zgodnie z naszymi własnymi przekonaniem.

Myślę, że taka organizacja dziennikarska powinna przede wszystkim kategorycznie, publicznie i z wielkim hukiem zażądać anulowania haniebnego weryfikacji kadr dziennikarskich z 1982 r. Nie po to, żeby znaleźć pracę w mass-mediach, ponieważ to każdy zrobi według własnych poglądów, decydując się na te tytuły czy pisma, które uważa za dające szansę rzetelnego wykonywania zawodu, ale po to, żeby otrzymać niezbędną satysfakcję moralną. To bowiem, co zrobiono w 1982 roku, klasyfikując nas politycznie, powołując bezprawne komisje weryfikacyjne, przeczyło wszelkim zasadom etyki zawodowej, było



gwałtem dokonywanym na sumieniach.

Istotną sprawą, która stałaby przed naszą organizacją dziennikarską byłoby wypracowanie mechanizmów polityki informacyjnej w państwowych mass-mediach. Chodzi o to w jaki sposób informuje się opinię publiczną. Klasycznym przykładem tego, co te mass-media potrafią - mimo że zmieniają się one, czemu zaprzeczcy nie sposób, nie na gorsze a raczej na lepsze - była polityka informacyjna w sprawie wiosennych i letnich strajków w ubiegłym roku. Jeżeli nasi koledzy notowali pewne negatywne zjawiska społeczne, w Jastrzębiu przede wszystkim, na Śląsku, to niewątpliwie jest to dowód pewnego sukcesu, być może względnego, kulawego, ale jednak, państwowej propagandy, która puściła do świadomości społecznej fałszywe informacje o sytuacji w kopalniach, o postawie górników i zakresie społecznego poparcia dla nich. Żadna z instytucji - od solidarnościowych począwszy, a na zachodnich rozgłośniach skończywszy - nie potrafiła sprzeciwić się temu potokowi kłamstwa, jaki popłynął z radia i telewizji na temat sytuacji strajkowej w kraju i w zakładach pracowniczych - przede wszystkim na Śląsku.

Nasza organizacja miała by na pewno ważne zadanie, żeby w tej dziedzinie, niekoniecznie w sytuacji strajkowej, coś jednak zrobić i kształtować opinię publiczną w bardziej niezależnym kierunku, niż to robią państwowe mass-media, przynajmniej dotychczas. Przy czym powinniśmy się starać w takiej sytuacji o powołanie, jeśli to będzie możliwe, własnych mediów - od zestawu biuletynów agencyjnych począwszy, a na gazetach czy innych formach komunikowania, czy nawet udziale w państwowych mass-mediach skończywszy. Po to, żeby pluralizm postaw i poglądów, w tym przypadku w pracy dziennikarskiej, mógł znaleźć swój wyraz.

Ważną sprawą byłby też kontakt z młodymi kolegami, którzy do tego zawodu weszli w ostatnich latach lub wejdą w latach najbliższych. Tu właśnie mocnego podkreślenia wymagałby etos służby społecznej, w kontakcie z naszymi młodymi kolegami, bo wcale nie jestem pewien, czy wielu z nich, po doświadczeniach ostatnich lat, marzy, by w ogóle do jakiegokolwiek organizacji należeć. Nie mówię tego w imię wyrażania entuzjazmu dla form kolektywizmu, tylko dlatego, żeby jednak przypominać o tym, co jest ważnym powołaniem dziennikarza w Polsce, które nie musi sprowadzać się tylko do indywidualnej perfekcji, lub mniejszej bądź większej sprawności warsztatowej. Chodziłoby więc o jakieś formy seminaryjno-dyskusyjne w tego typu kontaktach.

No i, oczywiście, oddzielną sprawą - o czym tu będzie jeszcze mowa - jest obecność w naszej organizacji, jeżeli zechcą, kolegów z prasy - podziemnej, niecenzurowanej, nielegalnej, czy jak ją nazwać - którzy stworzyli (na szczęście, przy naszym udziale) nowe zjawisko w Polsce i w tak zwanym obozie socjalistycznym, doprowadzając do przełamania państwowego monopolu informacyjnego. Są oni ze wszech miar naszymi kolegami. W dodatku, myślę, że oczekującymi i wymagającymi wspomnienia, jeśli taka organizacja, jak nasza, oficjalnie powstała.

Tak więc rysuje się teraz w kraju jakościowo nowa sytuacja, niezależnie od tego, jak sceptycznie byśmy się odnosili do celów i rezultatów tego, co się obecnie dzieje. Cokolwiek by jednak wyniknęło, będzie to inne, niż było dotychczas, inne, bo wiele jest zupełnie innych, nowych elementów, o których nie będę w tym gronie przypominał.

Na zakończenie chciałbym odwołać się do znanego powiedzenia o polskiej kwadraturze koła. To jest na pewno kwadratura, tylko że parę lat temu ta kwadratura uważana była przez nas wszystkich za absolutnie niemożliwą do rozwiązania. Jednak jeśli chodzi o ostatnie lata, a zwłaszcza ostatni okres, skłamałibyśmy, gdybyśmy powiedzieli, że nie przewidujemy szansy czy jakichś możliwości na choćby częściowe rozwiązanie tej polskiej kwadratury koła. Nawet częściowe, miałyby ogromne znaczenie nie tylko dla nas. A jeżeli taka szansa się pojawiła, to chyba warto w tym uczestniczyć i mieć jakiś udział dla satysfakcji własnej i nie tylko własnej, czego państwu i sobie w Nowym Roku życzę.

#### Wojciech Gieżyński:

- Swoje wystąpienie ograniczę do jednej, nieco poszerzonej konstatacji i jednego pytania, które chcę poddać pod dyskusję całej sali. Konstatacja, o czym wspominał już mój przedmówca, dotyczy tego, że w ostatnich 7-miu latach mieliśmy do czynienia z niezwykłym rozwojem dziennikarstwa w drugim obiegu. Ile było tych tytułów, często oczywiście efemerycznych, zakrojonych na mniejszą lub większą skalę, trudno powiedzieć. Szacuje się, że ponad 2 tysiące, licząc również te pisma, które już przestały egzystować, choć i one przecież swoją rolę spełniły. W redagowaniu tej ogromnej masy gazet wzięło udział co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi piszących i redagujących, można powiedzieć - dziennikarzy-wolontariuszy. Byli wśród nich profesorowie uniwersytetów, były licealistki, studenci i inni młodzi ludzie, którzy prowadzili i prowadzą nawet po kilka gazet zakładowych, zastępując tych, którzy nie mogli być obecni w tej pracy.

Oczywiście, jak mówił Wojciech Adamiecki, naszą rolę, starszych dziennikarzy z SDP, było też wspomaganie tych pism na miarę swoich sił i możliwości i na ogół staraliśmy się to czynić. Ale istotnym, charakterystycznym zjawiskiem jest właśnie owa nowa fala ludzi, którzy po części są już zawodowcami, a po części kandydatami na zawodowców. Jest obowiązkiem dla SDP, aby tych młodych ludzi lepiej przygotować do niektórych zadań zawodowych dlatego, że nie mieli oni przedtem żadnego systematycznego styku z tego rodzaju pracą. Tego typu działania trwały zresztą na małą skalę, były różnego rodzaju seminaria, spotkania, odczyty, coś się w tej dziedzinie zrobiło, znacznie więcej jednak trzeba zrobić. Wydaje mi się, że obecnie rysują się pewne nowe możliwości, m.in. będzie można najzdolniejszych z tych młodych ludzi wysyłać nawet na staże zagraniczne, ale o tym będzie mówił kto inny. (...) Chcę przy tym podkreślić, że nie chodzi tyle o zobowiązanie ze strony SDP pod adresem tej młodej fali dziennikarzy-wolontariuszy, ale przede wszystkim o podkreślenie tego, co oni sami wnoszą do naszego zawodu.

Kol. Adamiecki użył tu już terminu, który chce ze szczególną mocą podkreślić: etos służby społecznej. Nam nie chodzi tylko o to, że ci młodzi ludzie zasila nas w sensie kadrowym i zastąpią odchodzących już od zawodu, ale o to, że po wielu latach przerwy, po 40 latach posuchy, ci młodzi ludzie autentycznie wnieśli już ów etos służby społecznej do naszej profesji poprzez to, że robili to, co w danym momencie historycznym trzeba było robić. Za to musimy im podziękować. To nas zobowiązuje wszystkich i to jest nawiązanie do pierwocin, do początków polskiego dziennikarstwa, które w XIX w. rodziło się w tym samym duchu, jako obowiązek społeczny, a nie jako metoda zarabiania pieniędzy. Na którymś ze spotkań panelowych Klubu Przyjaciół Seniora-Dziennikarza jeden z czynnych dziennikarzy prasy rządowej, red. Jerzy Kasprzycki, wygłosił obszerną tezę, że dziennikarstwo jest tylko profesją i niczym więcej, że trzeba po prostu solidnie wykonywać swoje rzemiosło i nie troszczyć się o to, komu to służy, bo służy się po prostu dysponentom. Jest to najbardziej fałszywe, szkodliwe i niebezpieczne stanowisko, jakie można sobie wyobrazić. Jesteśmy dokładnie przeciwnego zdania. Oczywiście, nie negując potrzeby zarobkowania, uważam, że dziennikarstwo powinno być naszym obowiązkiem, naszą służbą wobec społeczeństwa, wobec narodu, a także realizacją własnych ambicji, własnym stylem życia.

Pragnę tu nawiązać do opinii znanego socjologa, p. Mirosławy Marody, że następuje w Polsce, na dużą skalę, spienienie się świadomości. Otóż tego właśnie musimy się ustrzec i, na szczęście, rok 1988 na wielką skalę pokazał, że to rozeznanie - socjolog jest zawsze spóźniony o parę lat - o spienieniu świadomości nie jest tak bardzo precyzyjne. Rok ten był bowiem wielkim przełomem w świadomości całego społeczeństwa, owocując tymi wszystkimi falami strajkowymi, protestem robotniczym, który spowodował te wszystkie optymistyczne zaczątki pozytywnych przemian, o których wspomniał kol. Adamiecki. Oczywiście, są to dopiero pierwsze elementy, zapowiedzi daleko posuniętej liberalizacji systemu. Jeszcze nie można odnotować wyraźnych oznak jego demokratyzacji, ale jeśli dążenie nas wszystkich nadal twardo będzie szło w tym kierunku, aby system konsekwentnie demokratyzować, można być przekonanym, że stopniowo, powoli, również i ten cel podstawowy zacznie się przybliżać.

A teraz kilka krótkich pytań, które chciałbym poddać pod dyskusję. Odnotowujemy w ostatnich latach zjawisko pojawiania się pism, które dbają o swoją wiarygodność, czy też próbują to robić, z większym lub mniejszym powodzeniem. Nie mówię o pismach niezależnych, takich jak "Respublika", ale o pismach oficjalnych, jak "Konfrontacje", "Reporter", "Tygodnik Kulturalny". Są to pisma, które na tle ogólnej mapy środków przekazu ogromnie się zmieniają. Przez cały czas takim pismem była "Odra", z którą współpraca nikomu nie przynosiła wstydu. Przepraszam, jeśli nie wymienię tu wszystkich tych pism, z którymi współpraca na pewno nie jest dziś sprzeczna z kodeksem etycznym dziennikarza. Natomiast aktualne chyba pozostają dwa pytania. Po pierwsze, w jakim stopniu obowiązuje nadal zbiór zasad postępowania w okresie stanu

wojennego, jakie Zarząd i Rada SDP uchwaliła w pierwszych jego miesiącach, kierując je do całego środowiska dziennikarskiego. Wydaje się, że ten dokument, który spełnił swoją rolę w bardzo wielkim stopniu, powinien być na nowo przedyskutowany, bo czas się rzeczywiście zmienił i pewne zalecenia przestały już być aktualne, inne powinny obowiązywać nadal.

Pragnę też wyrazić tu swoją osobistą opinię, że o ile nie widzę powodów, żeby tu obecnych i innych naszych kolegów powstrzymać przed dzieleniem się na łamach wspomnianej prasy, która nie jest prasą drugiego obiegu, ale też nie jest tą typową prasą oficjalną, tuwą propagandy rządowej, o tyle uważam, że w dalszym ciągu nakazem moralnego bojkotu powinien być objęty główny i podstawowy środek propagandy, jakim jest telewizja. I wszelkie, nawet przyzwoite występowanie przed telewizją, uważam za szkodliwe; bo uwiarygodnia się w ten sposób cały destrukcyjny środek manipulacji, którego funkcja nie uległa do tej pory żadnej zmianie i który służy dezintegracji społecznej. Nie muszę tu oczywiście mówić o pismach typu "Żołnierza Wolności" czy "Trybuny Ludu" - to jasne, ale niewątpliwie telewizja, dopóki nie ulegnie wyraźnym przemianom, powinna nadal podlegać zasadzie bojkotu. Dziękuję bardzo.

#### Stefan Bratkowski:

- Nazywano nas do tej pory i my sami określaliśmy siebie "stowarzyszeniem wyrzuconych", ale nie sądzę, aby to było określenie słuszne. To nie myśmy się wyrzucili poza margines życia w naszym kraju. Myślę, że tkwimy w samym jądrze spraw i staramy się być tam, gdzie coś naprawdę się dzieje. To nie myśmy się wyrzucili, nas po prostu usunęto poza obręb prasy, służącej celom propagandy i agitacji - i to w zupełnie określony sposób. Myślę, że w sensie materialnym straciliśmy dużo, ale w sensie moralnym, a także w sensie politycznym, zyskałmy bardzo wiele. Chcę powiedzieć, że w moim odczuciu Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, w kategoriach politycznych, powinno być stowarzyszeniem neutralnym. Rozumiem przez to, że stowarzyszenia nie powinny interesować osobiste poglądy polityczne jego członków, o ile dany członek gotów jest przestrzegać zasady uznawane przez to stowarzyszenie za obowiązujące.

A więc wszystkie podstawowe zasady przyzwoitości zawodowej oraz te zasady, z których pierwszą odczytałem ze zbioru zasad Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy.

Co to w praktyce oznacza? Oznacza to, że przy neutralności politycznej, nasze Stowarzyszenie Dziennikarzy musi opowiadać się i działać na rzecz demokracji i przestrzegania podstawowych praw człowieka i obywatela. Tak, jak zostały one sformułowane nie dopiero po II wojnie światowej, ale 200 lat temu - w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela.

Ludzie mają prawo do uczciwej informacji i my, jako dziennikarze, o to ich prawo powinniśmy zabiegać. I chciałbym raz jeszcze powtórzyć, również pod adresem tych osób, które są tutaj służbowo, że o ile politycznie Stowarzyszenie powinno być, moim zdaniem, neutralne, to ten obowiązek zabiegania o demokrację i prawo do informacji jest obowiązkiem, od którego nie



możemy się uwolnić. A jeśli tak, oznacza to pewne konsekwencje dla naszego programu. Musimy mieć swój punkt widzenia co do organizacji mass-mediów, czyli - jak my mówimy - środków komunikacji społecznej w Polsce. Jeżeli nasze Stowarzyszenie zostanie zalegalizowane, ci, którzy to Stowarzyszenie zalegalizują, muszą być z góry świadomi, że nie możemy wyrzec się żadnego z postulatów, które formułowaliśmy w latach 1980-81 i żadnego z postulatów, które formułowaliśmy w latach następnych. Oznacza to przełamanie monopolu informacyjnego, służącego w tej chwili warstwie rządzącej.

Nie mówię tu o jednej partii, chodzi mi o warstwę rządzącą, która praktycznie stanowi grupę dysponującą środkami masowego przekazu w Polsce. Oznacza to, że TVP nie może być jednostronnie kierowana z jednego źródła. Oznacza to, że TVP musi być instytucją pod kontrolą społeczną, z zapewnionym dostępem dla wszystkich, którzy mają coś mądrego i ważnego społecznie do powiedzenia. Oznacza to, że koncern RSW "Prasa" nie może być monopolistą ani w zakresie papieru, ani w zakresie druku, ani w zakresie wydawania czasopism - monopolistą takim, jakim jest dzisiaj. Oznacza to nie tylko przywrócenie, tak jak proponowaliśmy w roku 1981 prasy czytelnikowskiej, ale po prostu dekoncentrację tego koncernu, który, poza wszystkim innym - że zwrócić uwagę jego mocodawcom - jest najzwyczajniej w świecie organizacją gospodarczo nieefektywną, za drogą. Utrzymującą, nie wiadomo po co, ogromną biurokrację, kosztem dziennikarzy, drukarzy i innych ludzi, którzy przyczyniają się do produkcji gazet i czasopism.

Oznacza to dalej, że muszą być realizowane podstawowe ideały społeczne, do których należy, naszym zdaniem, prawo wydawania własnych gazet. Chodzi o to, żeby mogły odrodzić się na stałe gazety lokalne, fabryczne i środowiskowe, te, które funkcjonują dzisiaj od lat 6-ciu, 7-miu jako gazety nielegalne. Będziemy dążyć do tego, żeby te gazety nie tylko uzyskały prawo legalności, ale żeby w każdym środowisku społecznym gazety, a w przyszłości własne stacje radiowe i telewizyjne, mogły działać jako podstawowy czynnik integracji społecznej. Instytucje komunikacji społecznej są społeczeństwu potrzebne nie dlatego, żeby utrzymywać dziennikarzy, nie dlatego, żeby nam dać chleb. Są potrzebne dlatego, że bez instytucji komunikacji społecznej społeczeństwo nie może normalnie funkcjonować. Bez normalnej komunikacji społecznej społeczeństwa po prostu chorują i społeczeństwa w naszej części świata na swoim przykładzie dobitnie to udowodniły. Byliśmy laboratorium dla fałszywych koncepcji i fałszywych rozwiązań. Myślę, że z fałszywości tych koncepcji i rozwiązań trzeba wyciągnąć wnioski nie tylko z naszego punktu widzenia; powinni zrobić to również ci, którzy dysponują środkami silniejszymi - bardziej twardymi, niż myśl i papier. Myślę o tych, którzy naszym krajem rządzą. Myślę, że ideały dziennikarstwa, o których mówili tutaj Wojciech Adamiecki i Wojciech Giełżyński są zasadniczo różne od dziennikarstwa, które rozumie dziennikarza jako obsługę maszyny do pisania, tak jak to zaprezentował nam, zgodnie z teoriami Pasenta, nasz kolega Jurek Kasprzycki. Myślę, że to dziennikarstwo, o które nam chodzi, to jest dziennikarstwo żywe, zajmujące się wszystkim, co ważne dla społeczeństwa, co zasługuje

na miano informacji. Dziennikarstwo z prawdziwego zdarzenia, dziennikarstwo, które pozwoliłoby nam czuć się pełnoprawnymi członkami Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, która przyjęła nas w poczet swoich członków.

Na koniec o samym Stowarzyszeniu. Chciałbym do tego, co powiedzieli koledzy, dorzucić jeszcze parę wniosków. Chciałbym powiedzieć o tym, że dziennikarzami polskimi i członkami SDP powinni móc czuć się nie tylko koleżanki i koledzy, którzy pracują w kraju. Chciałbym, aby członkami SDP - a mówię to z pozycji tego prezesa, który ma nadzieję, że wreszcie będzie mógł przestać być prezesem - mogli być również polscy dziennikarze uprawiający swój zawód za granicą. Polska jest jedna, język polski jest jeden i polscy dziennikarze mają prawo do jednego wspólnego stowarzyszenia ponad granicami państwowymi. Nasi koledzy pomagali nam przez te ostatnie lata zzagranicy na tyle, na ile mogli. Dziękujemy im za to. Tu leżą leki przesłane właśnie wczoraj przez jednego z nich dla jednego z naszych ciężko chorych kolegów. Myślę, że ci koledzy mają prawo zostawać nadal członkami Stowarzyszenia. I to nie tylko ci, którzy wyjechali z kraju w ostatnich latach, ale także i ci, którzy od dawien dawna redagują, pracują i współpracują z prasą polskojęzyczną. Wszyscy oni mają prawo być członkami naszego Stowarzyszenia. Będziemy dumni, jeżeli zasilą nasze szeregi po odpowiednich zmianach statutu.

I tu chciałbym pod adresem zebranych zgłosić wnioszek, który być może warto będzie przegłosować, a może zostanie on przyjęty sam przez się. Chciałbym zaproponować, aby zebrane tu grono przekształciło się w Komitet Założycielski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, który raz jeszcze, po bezskutecznych wysiłkach z zeszłego roku, ponowi próbę zalegalizowania działalności SDP. (oklaski) Proponowałbym, aby do grona Komisji Wniosekowej, do której zaproponowano kol. Robaka i kol. Liberadzkiego, dołączyć naszych prawników - kol. Johanna i kol. Rogalę. Myślę, że w tych pracach będziemy się starać uczestniczyć i my oraz inni koledzy, którzy przygotowali nasze spotkanie. Chodzi o to, aby odpowiedni, bardzo krótki dokument, mógł zostać dziś sformułowany i przez całe nasze grono, wraz z odpowiednimi upoważnieniami, podpisany. Proszę oczywiście nie traktować tego jako decyzji, która już została oklaskami przyjęta. Proszę to traktować jako temat do dyskusji. To jest propozycja z naszej strony, którą uważaliśmy za konieczne i właściwe przedstawić dzisiaj na tym forum.

Na koniec powiem o kolegach, których zaprosiliśmy tu również, a z których wielu już czuje się członkami Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Mówię o tych kolegach, którzy w większości nie ukończyli jeszcze 30-tu lat i dla których załatwiliśmy właśnie staże zawodowe w prasie, radiu i telewizji francuskiej. Nie mieli oni w większości szansy ani okazji, by pracować w normalnych, że tak powiem, mediach, choć być może nie tak wiele stracili. Jednakże chodziłoby o to, żeby mieli taką szansę. Nasi zagraniczni koledzy, zarówno z Force Ouvriere, której - jak się okazało według ostatniej informacji PAP - jestem agentem, a także z CPDT, SNJ i CFTC - wszyscy oni zgłosili konk-

---

\* Francuskie niekomunistyczne centrale związkowe, mające w swych strukturach syndykaty dziennikarskie. (red.)



retne oferty pomocy przy przeprowadzeniu tych staży. Co więcej, będzie szansa organizowania takich praktyk dziennikarskich nie tylko dla pierwszej grupy 10-ciu osób w najbliższym roku, ale i dla kolejnych grup w latach następnych. Również inne organizacje członkowskie Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (FIJ) będą starały się zorganizować dla naszych młodych kolegów takie staże i w ciągu tego roku, i w ciągu lat następnych.

Jest to dla nas niezwykle ważna sprawa. Proszę wziąć pod uwagę, że w prasie oficjalnej, wychodzącej w zasięgu cenzury, prawie nie pracuje pokolenie poniżej 28 roku życia; są oczywiście wyjątki, ale tak się składa, że nasi najmłodsi koledzy, pracujący nawet w prasie katolickiej, mają lat 28, 29. Całe pokolenie, cała generacja jest nieobecna, jeśli tak można powiedzieć, w oficjalnym dziennikarstwie polskim. Chcielibyśmy, żeby ta luka pokoleniowa, która została wypełniona przez prasę drugiego obiegu i przez jej twórców, przez tych właśnie młodych dziennikarzy, została zapełniona w sposób godny zasług i dorobku dziennikarstwa polskiego drugiego obiegu. Dziennikarstwo to uważamy za swoje, za część naszego dorobku. Nie tylko dlatego żeśmy pomagali drugiemu obiegowi, jak potrafilśmy najlepiej, ale dlatego, że była to realizacja wszystkiego, o co nam w prawdziwym, uczciwym dziennikarstwie chodzi.

Proszę państwa, dziękuję, na tym nasz trójgłos kończymy.

\* \* \*

Jerzy Surdykowski: Dziękuję wszystkim trzem autorom wystąpienia pod wspólnym tytułem "O co nam chodzi". Zanim poproszę do głosu następnych referentów, skończmy jednak formowanie Komisji Uchwał i Wniosek. Jest już bardzo potrzebna. W związku z tym do tej pory zgłoszono następujące kandydatury: kol. Johann i kol. Rogala z Warszawy, kol. Liberadzki z Gdańska, kol. Robak z Krakowa, kol. Szymkiewicz z Wrocławia, kol. Kaczanowski ze Szczecina i kol. Śledzińska-Katarasińska z Łodzi. Czy są jeszcze inne kandydatury? Nie widzę, nie słyszę - jak na zebraniu partyjnym. Czy wszyscy koledzy zgadzają się na przyjęcie kandydatów? (Wszyscy kandydaci wyrażają zgodę). W taki razie proszę o podniesienie rąk i głosowanie na te kandydatury. Dziękuję bardzo, czy są głosy przeciwne? Nie. W porządku proszę więc komisję w tym składzie o zajęcie miejsc w pobliżu i podjęcie prac, ponieważ wniosek kol. Bratkowskiego został formalnie zgłoszony. Proponuję przegłosowanie tego wniosku jeszcze przed przerwą, po pierwszej turze dyskusji. Proszę teraz o wystąpienia kol. Iłowleckiego i kol. Czabańskiego.

PROPAGANDA I MASS-MEDIA  
JAKO ŚRODEK FOMOZNIEMOWIA I AGRESJI\*

Maciej Nowlecki:

- Chciałbym podzielić się z państwem pewnymi refleksjami na temat koncepcji propagandowej, stosowanej w Polsce w latach 80-tych, czyli od czasu, kiedy Jerzy Urban został rzecznikiem rządu i praktycznie twórcą nowych form "manipulacji umysłami". Koncepcja, którą rozważam, nie jest odkryciem naszych czasów, oparta jest bowiem na starych wzorach, stosowanych już w systemach totalitarnych. Jej nowość odnosi się do obszaru zastosowania - w całym tzw. obóz socjalistycznym rozpoczęła nową erę w świecie mass-medium. Ponieważ nowość ta związana jest przede wszystkim ze swym głównym propagatorem, który niejako ją uosabia, można ją nazwać URBANOWSZCZYZNĄ. Nie powinniśmy, oczywiście, posługiwać się terminami z zakresu nowomowy, ponieważ walczyliśmy właśnie z nowomową, jako jednym z instrumentów zniewalania - w tym zaś wypadku jest to termin ukuty wedle klasycznych wzorów nowomowy ideologicznej systemu (przypomnę choćby sławną "gomulko-wszczyznę" - toutes proportions gardées). Przepraszam więc, że korzystam z arsenału przeciwnika, ale akurat ten termin wydaje się szczególnie adekwatny do pewnego fragmentu otaczającej nas dziś rzeczywistości społecznej.

Zatem istota owej "urbanowszczyzny" w 1989 r. pozostaje aktualna, choć oczywiście - zwłaszcza od 1968 r. - zaczynają się szybko zmieniać jej formy, czyli konkretne chwytły propagandowe. Pewne rzeczy, o których tu będzie mowa, należą już do przeszłości, inne tracą swe znaczenie czy zasięg oddziaływania. Niemniej, wydaje mi się nadzwyczaj ważne poznanie tych spraw, zastanawianie się nad nimi. Nie robiono tego dotąd w stopniu wystarczającym, co wynika, moim zdaniem, z niedoceniania i lekceważenia propagandy przeciwnika przez nasze środowiska intelektualne (i przez opozycję w ogóle). Jeśli chce się odrabiać straty, wywołane w świadomości Polaków przez tę propagandę, trzeba umieć ją rozszyfrowywać. Spróbuję to uczynić choć w niewielkiej części, podkreślając, że nie jest to analiza naukowa, a jedynie próba publicystycznego uogólnienia\*\*.

"Ludzie bowiem wierzą, że ich własny rozum rządzi słowami, lecz zdarza się tak, iż słowa swoją siłą oderwiają i oddziałują na rozum" - napisał Franciszek Bacon prawie cztery wieki temu\*\*\*.

-----  
Tekst autoryzowany. Wszystkie podkreślenia i wyróżnienia pochodzą od autora. Ponadto, proponowałby on obecnie inną, bardziej precyzyjną, jego zdaniem, wersję tytułu: "Ważniejsze zło, czyli zło to istocie propagandy lat 80-tych" (red.)

\*\* Zawarte dalej uwagi stanowią nieco zmienioną wersję artykułu, który drukowałem kiedyś pod pseudonimem: Krzysztof Kruk: "Karli realizm" - Kultura 7-8 (454-455), 1985, Paryż. Wykorzystałem różne prace i spostrzeżenia socjologów, psychologów, znawców nowomowy i w ogóle obserwatorów manipulacji propagandowej w PRL. (przyp. aut.)

\*\*\* "Novum Organum" Ks. I LIX, PWM 1955, str. 77 (przyp. aut.)

Kiedy słowa "odwracają swoją siłę", mamy do czynienia z propagandą. Propaganda swój szczyt osiągnęła w systemach totalitarnych XX wieku. W tych systemach bowiem nie tylko stara się ona skutecznie "działać na rozum" ludzi, ale przede wszystkim usiłuje w ich umysłach tworzyć nową rzeczywistość. Jest to rzeczywistość fałszywa i całkowicie sprzeczna z tą, w której ludzie naprawdę żyją i działają. Kreacja fałszywej rzeczywistości nie jest zabiegiem bezpłodnym - socjologowie dawno już zauważyli, iż społeczna rzeczywistość określa i tworzy między innymi (a może nawet - przede wszystkim) właśnie to, co ludzie o niej sądzą.

W Polsce, po II wojnie światowej, kolejne ekipy rządzące stosują różne metody propagandowe. (Byłoby zresztą rzeczą niezmiernie ciekawą i pouczającą określić obraz tych ekip w świetle kreowanych przez nie różnych, fałszywych rzeczywistości; ale to oczywiście inny temat). Mimo jednak różnych metod i technik propagandowych, kolejne ekipy traktowały tak sam podległe sobie środki masowego przekazu. To znaczy, traktowały je jako narzędzie, służące do pacyfikacji społeczeństwa, manipulowania jego postawami i do przekazywania "w dół" aktualnych wytycznych we wszystkich dziedzinach życia.

Zdecydowana zmiana metod nastąpiła w początkach rządów gen. Jaruzelskiego. Zerwanie z toporną antypropagandą i wsparcie się wypróbowanymi technikami z zakresu socjotechniki i psychologii społecznej było czymś nowym nie tylko w Polsce, ale w ogóle w krajach bloku wschodniego. Można więc twierdzić, że Jerzy Urban, zawodowy dziennikarz, zapoczątkował w tej części świata rzeczywistą propagandę.

Piszę "rzeczywistą", ponieważ jest to propaganda skuteczna, czy też ściślej: ograniczenie skuteczna. Byłoby więc niebezpiecznym złudzeniem, gdybyśmy negowali wielkość szkód, poczynionych przez tę propagandę. Ocena tych szkód jest tematem odrębnym, teraz ograniczę się więc do stwierdzenia: w latach 80-ych pogłębiła się w Polsce erozja moralności społecznej i moralności indywidualnej\*. Padają lub degenerują się etosy całych grup zawodowych i środowisk społecznych, a nawet całych warstw społecznych. "Urbanowszczyzna" nie jest tego jedyną przyczyną, ale jest jedną z ważnych, a dotąd rzadko postrzeganych przyczyn.

Myślę, że można wyróżnić co najmniej pięć elementów, które d z i ś ograniczają możliwości oddziaływania "urbanowszczyzny" na Polaków i zarazem mają wpływ na samą propagandę i jej koncepcje.

Po pierwsze i szczególnie ważne, społeczeństwo ma za sobą nowe, wyjątkowe doświadczenia, które uświadomiły mu, że może walczyć o swą podmiotowość i z czasem osiągać cele, które przez dziesiątki lat zdawały się absolutnie nieosiągalne. Odgrywa tu rolę znane, stare spostrzeżenie, że ludzie tym lepiej dostrzegają wszystkie więzy, które ich krepują, im bardziej te więzy zostają rozluźnione.

---

\* Można oczywiście dostrzec również ważne przemiany p o z y t y w n e, ale to także inny temat. (przyp. aut.)

Z drugiej strony idealnym odbiorcą propagandy urbanowskiej byłby umysł, zwany przez psychologię społeczną "umysłem zamkniętym", to znaczy niezdolnym do wyciągania wniosków z doświadczeń, niezdolnym dostrzec "rzeczywistości prawdziwej" pod przykrywką "fałszywej". W dzisiejszej Polsce takich umysłów być może nie jest dużo, choć prawdę mówiąc, nie wiemy ile. Swoistemu "zamknięciu" umysłowemu sprzyja teraz zresztą zmęczenie, apatia i przeciążenie "propagandą upadku", która zastąpiła glerkowska "propagandę sukcesu".

Po drugie, dostrzegamy niezwykle wprost upadek ideologii, zwłaszcza tej, którą ludzie - słusznie czy nie- utożsamiają z partią rządzącą. Ideologia ta nie tylko straciła atrakcyjność, ale stała się wręcz nienawistna poważnej większości Polaków (nawet w części godnych uwagi, klasycznych ujęć z tej ideologii). Stała się też zupełnie obojętna tzw. aktywowi partyjnemu, czy w ogóle - samej partii. Przy okazji warto zwrócić uwagę, że do upadku ideologii przyczyniła się sama "urbanowszczyzna", proponując w zamian koncepcję "mniej-szeco zła" i cynicznie obnażając postawę władzy (słynne "rząd wyżwi się sam").

Wart odnotowania też jest fakt, że prawdziwa polska lewica (której tradycje uosabia PPS) jest "aktywowi" dużo bardziej nienawistna, niż różne kręgi prawicowo-konserwatywne, endeckie czy wręcz quasi-faszystowskie.

Po trzecie - tak zwane "środowisko informacyjne" jest dziś bez porównania większe, bardziej zróżnicowane. "Urbanowszczyzna" jest tylko jednym z wielu elementów tego środowiska, choć nie należy się kuć ludzić - dla niektórych kręgów odbiorców informacji jest wciąż elementem głównym.

Po czwarte - gwałtowna (na razie) "pierestrojka informacyjna" u gwaranta naszego systemu zamyka wiele wspaniałych możliwości przed propagandą. Musi się ona teraz liczyć z przemianami u sąsiada.

Po piąte wreszcie - można od paru lat zauważyć dość znamienny proces: oto coraz więcej pism koncernu "RSW Prasa..." odchodzi od stylu, nazwanego tu "urbanowszczyzną". W każdym razie niektóre zespoły redakcyjne czynią starania o zdobycie wiarygodności u czytelnika, mamy też coraz więcej dziennikarzy, którzy nie chcą być dyspozytyjni, chcą być sobą i zachować własne zdanie. Wygląda na to, że pewna część środków masowego przekazu chciałaby być bardziej samodzielną i różną od klasycznego wzorca, jaki wciąż stanowi na przykład "Trybuna Ludu" czy obecna "Kultura".

Innymi słowy, można powiedzieć, że zmieniły się postawy większości dziennikarzy polskich.

Mogłoby się wydawać, że wobec takiej zmiany sytuacji o koncepcji propagandowej Jerzego Urbana należy mówić w czasie przeszłym. Powtórzę: nie jest tak dobrze, nie wiemy też, co nas jeszcze czeka. Wciąż poważne siły zainteresowane są powrotem do "PRL-owskiej normalności", czyli monopolu, rządzącego obywatelom społeczeństwem. Należy patrzeć im na ręce.



Przystępuję zatem do omówienia "urbanowszczyzny". Wszyscy od dawna już zdochłaliśmy się zorientować, że tej nowej propagandzie absolutnie nie zależy na przekonaniu Polaków do zalet najlepszego ustroju na świecie.

Osią urbanowskiej propagandy było coś, co nazwałem kiedyś ponurym, karlim realizmem, co polega na nieustannym pokazywaniu Polakom ich beznadziejnego położenia, w które się sami wpędzili, ponieważ są niezdolni do pracy i do politycznego myślenia. W położeniu tak strasznym jedyną możliwością jest wybór między złem i złem i wobec tego należy wybierać z i o m n i e j s z e. Co zaś jest złem mniejszym - określa sama władza (dalej omówię tę koncepcję szerzej). W każdym razie koncepcja "mniejszego zła" i ochrony narodu przed złem większym stała się oficjalną legitymacją rządów gen. Jaruzelskiego.

Głównym zaś kierunkiem takiej indoktrynacji jest dążenie do kompletnej zmiany wyznawanych dotąd przez Polaków wartości. Różnymi metodami przekonuje się ludzi, iż jedynymi liczącymi się wartościami są siła, władza i korzyść osobista (w bardzo zważonym, czysto materialnym znaczeniu). Oczywiście, w ten sposób jawnie sprawy się nie stawia, gdyż wtedy łatwiej byłoby się bronić. To tylko wiele różnych elementów - a najważniejsze - samo polskie życie, jego organizacja, praktyka społeczna ma sugerować, iż tak właśnie jest.

Jest tak, jak jest - mówią Polakom władze i ich propagandyści - żyjemy w tzw. określonych warunkach, w takiej to a takiej sytuacji geopolitycznej i nie zmienimy tego. Więc pozostaje tak się urządzać, by przeżyć, jak się da najlepiej, nie próbując załatwić tego, czego nigdy załatwić się nie da.

Najważniejsze wydaje się, że koncepcja beznadziejności, bezsilności i odrzucenia "śmiesznych wartości" była narzucana nie tylko przez określone działania propagandowe. Ma ona wynikać z samej praktyki społeczeństwa, ma do niej przynuszać po prostu nasze zbiorowe życie w PRL. Dlatego mówiąc o "urbanowszczyźnie", opowiada się o czymś znacznie szerszym; chodzi tu bowiem o pewien określony styl życia i działania w PRL.

W każdym razie chodziło zawsze o to, by odbierać ludziom wolę działania, by obywatele czuli się bezwładnymi przedmiotami w zupełności zależnymi od "ojcowskiej" władzy, która ma wyłączność decydowania o tym, co jest dobre, a co szkodliwe dla społeczeństwa, narodu i państwa polskiego.

Najowocniejszym sposobem odbierania społeczeństwu podmiotowości było niszczenie wszelkich więzi społecznych, zrywanie rzeczywistych związków między jednostkami, między jednostkami a zbiorowością, wreszcie między zbiorowościami różnych kategorii. Można twierdzić, iż w gruncie rzeczy to nie "Solidarność" naprawdę była - czy jest - główną groźbą dla systemu. Taką prawdziwą groźbą jest po prostu solidarność między ludźmi. Dlatego to władza po przewrocie 13 grudnia<sup>81</sup> natychmiast przystąpiła do rozbijania więzi środowiskowych, niszczenia autentycznych stowarzyszeń społecznych wszelkiego szczebla i rodzaju.

Niszczenie więzi społecznych odbywało się różnymi metodami. Wymienię kilka najważniejszych.

1. Pozbawienie ludzi tzw. atrybutów identyfikacyjnych. Chodzi tu o wszelkie wartości i ich materialne lub inne symbole, które przypominają przeżycia i idee związane z "bezkrwawą rewolucją" polską lat 1980-1981, a także z przełomami lat 1956, 1970, 1976 i z różnymi innymi, autentycznymi tradycjami Polaków. Symbole tego rodzaju pozwalają Polakom identyfikować się z pewnymi wartościami groźnymi dla systemu, jednoczą ich i dają siłę moralną.

Jak pamiętamy, pozabawianie tych atrybutów odbywało się na początku wprost przez ich policyjne tępienie. Na przykład bicie na ulicach miast ludzi noszących znaczki "Solidarności", wizerunek Matki Boskiej czy tzw. oporniki. Zaciekle wymazywanie napisów na murach czy rysunków--symboli nie było tylko wynikiem złości i nerwowości aparatu ścigania - jest to przecież metoda znana od czasów starożytnych. Później w coraz większym zakresie zaczęto stosować metodę nowszą: **ZAWŁASZCZANIE** pewnych symboli, elementów tradycji, określonych wartości, a nawet pojęć - tych, których nie dało się wymazać ze świadomości społecznej lub po prostu zniszczyć fizycznie.

W czasach ekipy Gierka czyniono wiele, by przejąć jako swoje pewne wielkie tradycje historyczne, np. tradycje harcerstwa polskiego, albo tradycje tępionej niegdyś najzacieklej przez tenże sam system Armii Krajowej czy Powstania Warszawskiego. Po 13 grudnia '81 organizowało się oficjalne "czczenie" ofiar Czerwca 1956 r. w Poznaniu, Grudnia 1970 r. w Gdańsku czy ofiar rozruchów w Radomiu i Ursusie w 1976 r. Pomników ofiar (tego samego przecież systemu!) nie sposób już zniszczyć. Wobec tego oficjalne delegacje składają przed nimi kwiaty, ale ludzie, którzy się tam znajdują z w i a s n e j woli, rozpędza się, bije i karze za "zakłócanie porządku publicznego".

Kiedy największy i niezniszczalny symbol identyfikacyjny Polaków, Jan Paweł II, mówił o podmiotowości pracy, o wolności i godności ludzkiej, o prawie do zrzeszania się i do wolności słowa, wówczas ekipa rządząca dawała nam do zrozumienia, że tym samym Papież popiera jej politykę - właśnie te wartości realizującą.

W 1988 r. mieliśmy do czynienia z zawłaszczaniem tradycji niepodległościowych z 1918 r. z całą niesmaczną przez swą groteskowość kampanię wokół Piłsudskiego i innych postaci, przy jednoczesnym panicznym strachu, by czegoś za dużo powiedzieć np. o wojnie polsko-radzieckiej. W żadnym razie nie jestem przeciw przywracaniu tradycji i wywabianiu tzw. białych czy też brudnych piłam. Chodzi mi o to, że czynią to akurat ludzie, którzy te tradycje osobiście grzebali. Teraz zaś usiłują nam wmawiać, że obecna władza, czy w ogóle władze po 1945 r. stanowią jakąś naturalną ciągłość z II Rzeczypospolitą, np. że prezydent Bierut był prawowitym następcą Narutowicza, Wojciechowskiego, Mościckiego, może nawet Raczkiewicza, choć to już nie jest jasne.



PZPR miałyby być spadkobierczynią tradycji PPS, choć to właśnie ludzie, mniający się komunistami, w sposób bezprecedensowy zniszczyli Polską Partię Socjalistyczną. Oczywiście, owo zawłaszczanie tradycji jest odrębnym tematem zasługującym na opracowanie, zaś przykłady można by mnożyć.

Przechodzę zatem do metody kolejnej, którą było zawsze:

2. Tworzenie w życiu społecznym i umysłowym rozgałęzionego systemu pozorów. Jest to klasyczny sposób kreowania "fałszywej rzeczywistości". Po zniszczeniu wszelkich stowarzyszeń i grup zorganizowanych, które w latach 1980-1981 rzeczywiście wyrażały opinie zrzeszonych w nich obywateli, władze przystąpiły do formowania nowych stowarzyszeń, całkowicie już sobie podległych. Te parawanowe organizacje (ich wykwitem jest PRON, czyli Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego) reprezentują wyłącznie grupy ludzi związanych z obecnym reżimem i zależnych od niego, wobec tego nie mogą w żadnym wypadku reprezentować różnych środowisk społecznych ani całych środowisk wobec władzy. Nie stanowią żadnego mostu pomiędzy społeczeństwem a władzą i dlatego nie mogą służyć porozumieniu. W tej sytuacji główne hasło nowej propagandy, hasło "porozumienia narodowego" stało się również fikcją i pozorem - i to, być może, wbrew nawet intencjom przynajmniej niektórych członków aparatu władzy. Władza, tak chętnie wspierająca się zdobycami socjotechniki, nie chciała uznać, że zasadniczą rolę w rozkładowaniu napięć społecznych i w nawiązywaniu właśnie porozumienia odgrywają struktury średniego rzędu. Tylko one bowiem mogą pośredniczyć między władzą państwem, całością a różnymi grupami społecznymi, a także pomiędzy owymi grupami (czyli "w pionie" i "w poziomie"). Wyrazem zatem najgorszej patologii życia społecznego jest brak w strukturach społeczeństwa tego rodzaju "ośrodków porozumienia" - przekazników.

Być może teraz to się zacznie zmieniać, ale obecnie centrum władzy oddzielone jest od społeczeństwa swoistym parawanem pozorów. Nieautentyczność struktur średniego rzędu, ich separacja od gleby społecznej, tworzy groźny pozór komunikacji między "górami" i "dołami". Rodzi to nowe napięcia i w końcu prowadzi zwykle do konfrontacji, której - powtórzę - część ekipy chciałaby rzeczywiście uniknąć. Z drugiej strony, "system parawanowy" zmusza do stałego zwiększania udziału SIŁY w stosunkach między rządzącymi a rządzonymi.

W system pozorów włączone były swego czasu także tzw. konsultacje społeczne, tak oczarowujące zachodnich obserwatorów. Przypomnę dla przykładu tzw. konsultacje w sprawie podwyżek cen. Polegały one, jak pamiętamy na tym, że przedstawiono ludziorom 3 warianty podwyżek - najmniejszą, średnią i najwyższą. Jest oczywiste, że przeciętny człowiek wybierze wariant najkorzystniejszy dla siebie, tj. podwyżki najmniejsze. Jest oczywiste, że gdyby nawet ktokolwiek, kierując się dobrem (nieco abstrakcyjnym) gospodarki, zechciał wybrać wariant gorszy dla siebie, nie jest w stanie i tak ocenić, w jaki sposób i dlaczego jego samobójczy wybór ma tę gospodarkę poprawić (bo informacji na ten temat brakowało). Jest więc jasne, że bez "konsultacji" rząd doskonale wiedział, jaki wariant zostanie

wybrany, wiedział także, że owa "konsultacja" nie miała żadnej wartości informacyjnej. Zarazem wszyscy - i władze i społeczeństwo - doskonale wiedziały, że od samego początku wariant najniższy miał być i tak przeznaczony do realizacji. Warianty odrzucone miały służyć pokazaniu, iż "władze liczą się z opinią społeczną".

Przykład powyższy, już historyczny, wejście zapewne do klasyki, ponieważ jest bardzo klarowny (i dlatego przy uaktualnianiu niniejszego tekstu nie odrzuciłem go).

Myślę, że tworzenie "parawanu pozorów" było samą istotą systemu, który w tej części świata określał się jako socjalistyczny. Zdołano stworzyć niemal doskonały pozor życia społecznego, politycznego, gospodarczego. Stworzono doskonałe modele pozorowania instytucji (na przykład parlamentu, czy - w swoim czasie - sądownictwa), wielopartyjności, wyborów, pozorowania wreszcie dyskusji, wymiany informacji i poglądów, ba - pozorowania różnicy poglądów, pozorowania nawet takich sfer działalności ludzkiej, jak sztuka, literatura czy nauka. Jest to temat, czekający jeszcze na podjęcie: tworzenie i funkcjonowanie pozorów w systemach... właśnie, jak dałoby się najlepiej je określić? Socjalizm był tu przecież także pozorem.

Pozostawiam ten temat na uboczu, tym bardziej, że dziś, w początkach 1989 r., epoka pozorów zdaje się kończyć definitywnie. Mieliliśmy już wprawdzie nieraz do czynienia z pozorowaniem zmian i pozorowaniem odnowy, ale tym razem nie jest to już możliwe. Moim zdaniem, możliwy jest (przynajmniej teoretycznie) powrót do rządów siły, niemożliwy jest powrót do rządzenia za pomocą pozorów.

Kończąc tę dygresję, chciałbym zwrócić uwagę, że obecnie niebezpieczeństwo czai się w innej zupełnie sferze; w pozorowaniu racjonalności i w pozorowaniu "rzeczonego obiektywizmu". Problem ten wymagałby gruntownej analizy, w tym miejscu mogę tylko dodać, że dobrego materiału do takiej analizy (logiczno-semantycznej) dostarczyłaby na przykład ostatnia kolumna tygodnika "Polityka", która stała się rzeczywistą wykładnią "sposobu patrzenia" ekipy M.F.Rakowskiego.

Przechodzę do metody trzeciej, bodaj najbardziej klasycznej, jaką jest:

### 3. Manipulacja informacją.

O rodzajach takiej manipulacji powiedziano i napisano bodaj najwięcej i można jeszcze bardzo wiele powiedzieć. Dokonano licznych analiz, określono stosowane dotąd techniki, podano niezliczoną liczbę przykładów historycznych i aktualnych. Nie jest moim zadaniem przypomnienie teraz tego wszystkiego, choć jestem zdania, że napisanie czegoś w rodzaju popularnego podręcznika na ten temat byłoby w naszym kraju szczególnie pożądane.

W okresie tzw. stalinizmu i długo jeszcze potem najczęściej stosowaną, najbardziej ulubioną metodą było jawne kłamstwo, na ogół nawet oczywiste dla wielu. Z metody tej korzy-

tają czasem propagandyści lat 80-ych, aczkolwiek stosując pełne kłamstwo na ogół tylko w sytuacji, w której trudno jest to kłamstwo przywołać.

Podam dwa tylko przykłady czegoś takiego, by łatwiej było dostrzec, o co mo- chodzi.

Pierwszy, to znana historia wybitnych profesorów, oskarżonych oficjalnie przez rzecznika rządu o szpiegowskie kontakty z pracownikami ambasady amerykańskiej (w podtekście - agentami CIA). Historia ta, jak wiemy, skończyła się przed sądem, który uznał, że rzecznik rządu się wprawd... omylił, ale działał w interesie społecznym (czy coś w tym rodzaju).

Przykład drugi, mniej znany, dotyczy mnie osobiście, przepraszam więc, że włączam tu swoją historię, ale wydaje mi się dość wyrazista, jest więc dobrym przykładem.

W lutym 1988 r. odbył się w Waszyngtonie panel, na którym dyskutowaliśmy o tym, co trzeba zrobić, by uniknąć w Polsce "wybuchu, strajków, rozruchów społecznych itp. Mówiliśmy, że siedzimy w Polsce wszyscy na wulkanie, że władza powinna uczynić różne rzeczy, by zapobiec niepokojom (mniej więcej właśnie to, co czyni dziś). Dyskusję tę nagrało i nadało Radio "Wolna Europa". Po pewnym czasie w kraju, na konferencji prasowej (którą relacjonuje cała prasa i telewizja), rzecznik rządu oświadczył, że "niegdyś rozsądny Maciej Iłowiecki" przez wroga rozgłośnię nawołyuje do krwawych rozruchów w Polsce, do powstania itd. Było to bardzo poważne, publiczne oskarżenie, oparte na dokładnym odwrotnym ujęciu sensu całej mojej wypowiedzi. Zastanawiałem się potem, o co w tym wypadku chodziło - przecież nie o moją osobę. Otóż chodziło wtedy o storpedowanie pewnej inicjatywy, z którą do władz wystąpiła grupa ludzi, zamierzających walczyć o reformy i demokrację (tzw. Ruch RiD). Byłem w tej grupie - i Jerzy Urban oświadczył na tej samej konferencji, że nie można dyskutować z ludźmi, którzy z jednej strony proponują konstruktywne rozwiązania, z drugiej "nawołyują do rozruchów".

Podobnie kłamliwe były doniesienia o wystąpieniu Janusza Onyszkiewicza przed Kongresem USA - itd. Przykłady można mnożyć, ale tutaj - powtórzę - wybieram nieliczne, pełniące rolę tylko pomocniczą. Uważam jednak za konieczne i wracam do tego uporczywie: powinno się prowadzić w kraju dokumentację tego rodzaju oficjalnej manipulacji informacją.

Propaganda obecna znacznie jednak rzadziej posługuje się jawnym kłamstwem, woląc subtelniejsze

- metody "prawdy niepełnej" lub "prawdy formalnej".

Przykład (już historyczny) "prawdy formalnej", typowego chwytu rzecznika rządu: na konferencji prasowej w 1984 r. J. Urban stwierdził, iż nieprawdą jest, jak podały agencje zachodnie, jakoby w dniu 3 maja milicja zablokowała przejazd między Nową Hutą a Krakowem, by uniemożliwić manifestację robotniczą. Prawdą jest natomiast, że ulica ta została wtedy zamknięta, ponieważ trzeba było dokonać niezbędnych napraw jezdni...

"Prawdą formalną" były swego czasu częste oświadczenia oficjalne, że w Polsce jest bardzo mało, lub nie ma wcale więźniów politycznych, ani też nie prześladuje się nikogo za działalność polityczną. Otóż rzeczywistość - większość nękanym za działalność polityczną karano za przestępstwa kryminalne lub za wykroczenia przeciw różnym przepisom porządkowym, czy administracyjnym.

"Prawdą formalną" było zresztą w ogóle stwierdzenie, że w PRL istnieje "pełna praworządność". W istocie jest tak, jeśli przez "praworządność" rozumieć "postępowanie zgodne z przepisami". Chodzi jednak przecież o to, że właśnie owe przepisy, większość nowych stanowień prawa, nowe kodeksy itp. - od dawna były systematycznie dostosowywane do celów politycznych i do utrzymania kontroli politycznej nad społeczeństwem. W Polsce głównym problemem nie było więc ostatnio łamanie prawa, lecz łamanie samej istoty prawa, odejście od tradycji europejskiej i współczesnej filozofii prawa. Zdaje się, nota bene, że tego nigdy nie rozumieli zagraniczni obserwatorzy polskiego życia.

Do metod, które nazwałem tu subtelniejszymi od "jawnego kłamstwa" należy też

- zacieranie różnic między faktem a interpretacją faktu. Jest to zresztą jeden z ulubionych chwytów różnych dostojników czy tak zwanych "ekspertów dworskich", wypowiadających się np. w telewizji. Trzeba tu podkreślić, że bardzo wielu Polaków (i zresztą dotyczy to w ogóle współczesnych społeczeństw) ma duże trudności w rozróżnianiu tego, co jest faktem, od tego, co jest tylko interpretacją jakichś faktów, lub czyjaś opinia na dany temat.

Na przykład: - jest faktem, że Polacy źle pracują i zatem jest faktem, że taki leniwy naród musiał spowodować kryzys gospodarczy;

- jest faktem, że w PRL istnieje kilka stronnictw politycznych i że mają one reprezentacje w sejmie itd.  
- jest faktem, że w PRL istnieje pluralizm polityczny; albo

- wedle badań CBOP z końca 1988 r. ponad 70 proc. Polaków wyraża zaufanie do rządu M.F. Rakowskiego i do niego osobiście - co oznacza, iż większość narodu popiera politykę tego rządu, a zatem "jest za partią" itd. itp. Istotą tego rozumowania (pomijając już wątpliwą liczbę 70 proc.) dobrze ilustruje komentarz Margaret Thatcher (do premiera Rakowskiego): "Skoro tak jest, niech pan natychmiast robi wolne wybory". Itd. itp.

Ogólnie można stwierdzić, że o ile w poprzednich okresach walka z prawdą i indoktrynacja polegała przede wszystkim na bezpośrednim kłamstwie, ograniczaniu i doborze informacji (eliminowaniu niewygodnych), o tyle dziś przeciwnie, otwiera się szeroko dostęp do informacji, starając się zyskać pożądaną efekt propagandowy przez inne rodzaje manipulowania informacją. Wydaje się w każdym razie, że "urbanowszczyzna" dobrze zrozumiała sens starego powiedzenia: "najprzemysłniejsze kłamstwa hodowane są zawsze z ziaren prawdy".



Kolejną metodą jest:

#### 4. Manipulacja na żywym języku.

Socjologowie dawno już zauważyli, że potoczną, powszechną wyobraźnię ludzi (i zatem ich postawy) określa zrozumienie przez nich różnych obiegowych pojęć, słów, terminów. Jeśli się więc chce wpływać na społeczną świadomość, należy różnymi sposobami zacierać lub zmieniać treść dotychczas oczywistych pojęć. Takich, jak np. postęp, prawo, praworządność, równość, sprawiedliwość, wolność, demokracja, patriotyzm, socjalizm, państwo, obywatel itd.

Już wiele lat temu spostrzegła Simone Weil, że w naszych czasach pojawił się nowy tył kotrostwa: złodziejstwo słów. Polega to na pozabawieniu pojęć ich właściwej treści, nadawaniu słowom chyłkiem, po cichu, innych treści, czyli - jak to ktoś sformułował: "wywłaszczanie słów, używanie ich w sposób przeniwlecrczy, by wypełnić umysły martwą miazgą".

Porównanie znaczeń różnych pojęć, utrwalonych w kulturze Zachodu - ze znaczeniami, jakie nadaje im nowa propaganda, zajęłoby zbyt dużo miejsca. Więc tylko przykłady - np. pojęcie "patriota" używane jest w tym języku w znaczeniu eliminującym odniesienie do ludzi kochających ojczyznę z pozycji innych niż "aktualnie słuszne"; "państwo" jest po prostu organizacją administracyjną, w której nie są ważne ani tradycje, ani uznawane przez obywateli tego państwa wartości, ani tożsamość kultury, nie mówiąc już o suwerenności, ani o tym, jak owo państwo organizuje życie społeczne i gospodarkę - państwo jako organizacja administracyjna jest wartością samą w sobie; "prawo" - jest po prostu systemem represji, mającym utrwalać istniejący system; suwerenność - to stan uzależnienia; wybory - to akceptacja kogoś typowanego przez władzę; obywatel - stał się synonimem bezkrytycznego posłuszeństwa; pluralizm - to sytuacja, w której działa "siła kierownicza" i "niezależne" stowarzyszenia w rodzaju ZSL, SD, PAX, PRON czy ChSS pana Morawskiego.

Kompromis - to zgoda na rozwiązanie proponowane przez władze, dialog - to na przykład rozmowa sekretarza partii z panem Dobraczyńskim, opinia społeczna - to opinia wyrażana przez kontrolowane środki masowego przekazu - itd.

Głównym celem takiego "odzierania pojęć" z ich rzeczywistych treści i tworzenia nowomowy jest - jak to już kiedyś zauważył Orwell - zawężanie zasięgu myślenia.

"Sztuka polityki polega na wynajdywaniu nowych nazw dla instytucji, które pod starymi nazwami stały się ludziom niewidzialne" - powiedział kiedyś Talleyrand. Dziś możemy stwierdzić, że sztuka obojętniania języka polega na nadawaniu nowych treści pojęciom-kluczom, których właściwe treści stały się dla ludzi szczególnie ważne, a dla władzy niebezpieczne.

Szerszą sprawą, dotyczącą już nie tylko "urbanowszczyzn", a w ogóle systemu, jest wytworzenie i funkcjonowanie "kiczu językowego", czyli w ogóle swoistego języka aparatu biurokratyczno-partyjnego. Język ten został spopularyzowany przez mass-media i stał się w pewnych kręgach społecznych wzorem. Choć to

akurat nie wiąże się z "urbanowszczyzna", wiąże się jednak w ogóle z propagandą, jako że sfera językowa ma ścisły i bezpośredni związek ze świadomością ludzi i ich myśleniem.

Muszę stwierdzić, iż mimo wielu głosów ostrzegawczych, czy imprez w rodzaju "Kongresu Języka Polskiego" i podobnych nie zdajemy sobie w pełni sprawy, co się dzieje z naszym ojczystym językiem i jaki to ma wpływ na społeczeństwo.

Nie mogę rozwijać tutaj tego wątku - polecam krótki i straszliwy w swej wymowie artykuł Bronisława Muszyńskiego "Komu dwója" z "Przeglądu Tygodniowego" z 1.I.1989 r.

Już tylko gwoli rozrywki podam kilka przykładów języka, o którym mowa:

"Na obecnym etapie realizowania zadań socjalno-bytowych został stworzony klimat na miarę historii aktualnie zaliczanych faktów";

"Możemy się ostatnio liczyć ze zjawiskiem - przykładowo - trendu wzrostowego w bydłe";

"Cieszy nas, że nastąpiło zmniejszenie tempa narastania opóźnień" - i tym optymistycznym akcentem kończę uwagi o języku.

Wreszcie ostatnią z przedstawionych tu metod manipulacji umysłami jest:

5. Metoda "zamazywania", łącząca się zresztą z poprzednimi. Rzecz - mówiąc najkrócej - polega na sprytnym, trudnym do ujawnienia, bo zrecznie ukrytym w logicznie skonstruowanych wywodach z a m a z y w a n i u k r y t e r i ó w dobra i zła, prawdy i fałszu, obiektywności i życzeń, czy opinii grup rządzących lub grup interesów. Metoda ta nie jest wynalazkiem naszej propagandy - myślę, że dotyczy nie tylko propagandy, jest chyba jednym z najgroźniejszych w ogóle schorzeń naszych czasów. Jest tak groźną chorobą, ponieważ trafia na podatny grunt - tyle już razy każde pokolenie przekonywało się na własnej skórze o względności różnych "prawd" i idei, o złudności wszelkich obiektywizmów, o powszechnym uzależnieniu poglądów od sytuacji politycznej i społecznej - itd. Wydaje mi się, że "urbanowszczyzna" polega m.in. na najlepszym z możliwych wykorzystywaniu tej naszej wspólnej choroby.

Dotąd mówiliśmy o metodach, teraz zastanowimy się nad niektórymi koncepcjami merytorycznymi nowej propagandy. Spróbuję wyliczyć te koncepcje i scharakteryzować je (przypominając znowu, iż niektóre przestają być aktualne, aczkolwiek w świadomości społecznej Polaków pozostał po nich trwały ślad). Tak więc pierwsza i najważniejsza jest

#### 1. Koncepcja MNIEJSZEGO ZŁA.

Zwykle dla kamuflażu nazywa się tę koncepcję "realizmem politycznym" i był to bodaj najczęściej stosowany chwyt propagandowy. Było to coś więcej: legalizacja uprawnień władzy, uprawnienie wszelkich posunięć.

Już sam początek, 13 grudnia 1981 r., miał być mniejszym złem, ponieważ uchronił Polaków przed objęciem opieką osta-



teczną przez ich najlepszych przyjaciół i sojuszników. Tak już w Polsce przywykliśmy do podobnych racjonalizacji, że mało kto dostrzegł wówczas najbardziej niezwykły paradoks naszych osobliwych czasów: oto gwarantem suwerenności naszego państwa miał być sojusznik, który za tę gwarancję wymagał tylko... wyzbycia się suwerenności. Zaś strach przed interwencją gwaranta suwerenności Polski i najlepszego jej sojusznika miał usprawiedliwiać niepopularne, ale konieczne posunięcia nowej ekipy. Nie to jest niezwykłe, że interwencja groziła naprawdę, ale to, że wielu propagandystów (choćby Ryszard Woźna) i niektórzy członkowie najwyższych władz bez żenady tłumaczyli tą właśnie sytuacją stan wojenny. Nowa ekipa miała zresztą stale chronić Polaków przed większym złem: jeśli nie przed interwencją przyjaciół, to przed wojną domową, przed "rozpadnięciem się struktur państwowych", szczególnie zaś - przed rodzimą "czarną sotnią", to znaczy przed skrajnie konserwatywnymi grupami typu stalinowskiego lub neofaszystowskiego. Rządy wojskowe miały więc stanowić zapórę przed rządami policyjnymi i trzeba przyznać, iż był to rachunek prosty i trafiający wielu ludziom do przekonania. W istocie bowiem lepiej było popierać pseudoliberalne grupy, reprezentowane wtedy np. przez tygodnik "Polityka", niż przypominającą najlepsze czasy stalinowskie grupę skupioną wokół pisma "Rzeczywistość" lub stowarzyszenia "Grunwald". Lepiej było zdać się na gen. Jaruzelskiego i "liberała" Rakowskiego, niż na twardogłowych towarzyszy w rodzaju Olszowskiego czy Kociołka.

Wszakże, podsumowując ten rachunek, często zapomina się o tym, że to właśnie ta sama ekipa na swoim konie wyhodowała ową groźną konserwę, umacniała grupy nazywane w Polsce "betonem", stale rozbudowywała siły policyjne (które zresztą, prędzej czy później mogą zwrócić się przeciw niej) i wcale dotąd nie szukała w społeczeństwie sojuszników do walki z zalewem owego "betonu". Z "betonem" bowiem w ogóle się nie walczyło, był on po prostu niezmiernie potrzebny po to, by mieć przed kim chronić naród. A także, by publicyści typu urbanowskiego, w rodzaju Daniela Passenta czy Krzysztofa K. Toeplitza, mieli kogo podszczypywać, pełniąc wobec Zachodu rolę tzw. oświeconych racjonalistów. Nawiasem mówiąc, dopiero teraz okazało się, jaką naprawdę siłą dysponuje "beton" i jak będzie szkodził samej władzy.

Nie mogę powstrzymać się od jeszcze jednej dygresji: oto przez lata nawoływano nas do spokoju, znoszenia absurdów i siedzenia cicho, żeby nie wywołać wilka z lasu, czyli interwencji wielkiego sojusznika. Teraz zaczyna się mówić o tym, byśmy siedzieli cicho i nie domagali się zbyt wiele wolności bo możemy zaszkodzić pieriestrojce w ZSRR i zahamować łaskawie przyznawane reformy u siebie.

Obie te koncepcje były i są przyjmowane z dużym zrozumieniem przez tzw. Zachód - są dla Zachodu wygodne; Polacy byli przecież zawsze "bólem głowy" Europy i świata.

Koncepcja "mniejszego zła" była dotąd stosowana we wszystkich obszarach życia społecznego i gospodarczego w Polsce, ponieważ była koncepcją niesłychanie wygodną. Wszakże wielu

ludzi nie zdaje sobie sprawy, że "mniejszym złem" można usprawiedliwić wszystko i że taka postawa (stały wybór "mniejszego zła") oznacza groźną erozję etyczną. Zbyt łatwo bowiem zapominamy, że "mniejsze zło" jest także ZŁEM i takim pozostanie.

Ale właśnie - powtarzam - zacieranie granic między dobrem i złem, między prawdą a fałszem, trwała zasadą a chwilową taktyką, wartością a brakiem wartości - jest to charakterystyczna cecha "urbanowszczyzny".

Z "mniejszym złem" związana jest

## 2. Koncepcja OCHRONY PAŃSTWA.

Najważniejszą formą istnienia i trwania narodu jest państwo - mówili nam urbanowscy myśliciele i wobec tego jest ono naszym wspólnym dobrem, które należy chronić za wszelką cenę. Jest to teza teoretycznie słuszna, jednakże kluczem do niej jest właśnie ścisłe określenie pojęcia "suwerenne państwo". Inaczej mówiąc, bez zapytania: jakie państwo? W jaki sposób owo państwo ma wyrażać i realizować wolę narodu i zwłaszcza umożliwiać temu narodowi rozwój? Otóż bez odpowiedzi na takie pytania mówienie o bezwzględnej konieczności umacniania państwa jest pustosłowiem lub oszustwem. Ale nie o to nawet chodzi. Istotą omawianej koncepcji była teza, że wszelkie działania, które z jakichkolwiek powodów nie podobają się władzy (są bowiem krytyka konkretnych wynaturzeń lub nieudolności) - podważają najwyższe dobro, osłabiają państwo i są działaniami niepatriotycznymi.

Nie zawsze był to łatwy do wykrycia zabieg myślowy: że mianowicie dobro państwa polskiego stawało się, w razie potrzeby, tożsame z dobrem konkretnej ekipy rządzącej i jej celami. Państwo stało się powoli tożsame z aparatem władzy, z tzw. establishmentem.

## 3. Koncepcja WINY NARODU

Oto - wmawiają nam od lat "urbanowcy" - Polacy pozbawieni są "instynktu państwowego", kultury politycznej i ethosu pracy, obciążeni są niesławną przeszłością, kiedy to przez anarchię i warcholstwo zgubili sami siebie. Polacy są narodem, który nie rozumie własnej racji stanu, ani swojej sytuacji geopolitycznej. Na szczęście, znaleźli się dalekowzroczni przywódcy, którzy podjęli niewdzięczną rolę obrońców racji stanu. W gruncie rzeczy zatem są obecną sytuację, ów rzeczywistości tragiczny kryzys, naród polski zawdzięcza sam sobie. Jest to znów teza chętnie - zresztą od wieków - przyjmowana również na Zachodzie. Podobnie jak przekonanie o nieudolności Polaków do rzetelnej pracy; nieudolność ta spowodowała przecież kryzys gospodarczy...

Rzecz w tym, że Polacy w kraju rzeczywistość źle pracują. Nie ma miejsca, by wyliczyć przyczyny tego stanu rzeczy. Łatwo jednak udowodnić, że owa zła praca jest wynikiem immanentnej nieefektywności całego systemu społeczno-gospodarczego. Propaganda urbanowska starała się przez siedem lat przekonać samą siebie, że to właśnie zła praca nieudolnego narodu jest przyczyną załamywania się systemu.

Niestety, skutki tych "racjonalnych przemysłów" dają dziś o sobie wyraźnie znać. Wydaje się, że bardzo wielu Polaków ma już niemal zakodowane w podświadomości (często i w świadomości) swoją jakby organiczną, genetyczną "gorszość". "Polskość" staje się synonimem straszliwych, nieuleczalnych wad społecznych i charakterologicznych, a także swoistej głupoty politycznej. Znam już osobiście młodych ludzi, którzy żywią poczucie wstydu - na razie je ukrywając - że są Polakami.

Nie chodzi o to, że stosuje się tu klasyczny zabieg "fałszywej rzeczywistości" - czyli swą bardzo konkretną odpowiedzialność system przetrzuca na jakieś nieodwracalne cechy biologiczno-narodowe. (Nb. zastanawiam się czasem, czy niektórzy publicyści czynią to świadomie, czy po prostu nic nie rozumieją?).

Chodzi o to, że tego rodzaju samooceny obniżają naszą odporność na kryzys, osłabiają wolę walki o poprawę stanu rzeczy. (Warto przy okazji zwrócić uwagę, że słynne gierkowskie "Polak potrafi" było odwrotną stroną tego samego medalu).

#### 4. Koncepcja KOMPROMITACJI ZWYCIĘŻONEGO

Wedle tej koncepcji każdy nurt społeczny zatrzymany siłą jest tym samym skompromitowany i pozbawiony historycznej racji. Każde działanie, które zostało zatrzymane kontradikcją, było właśnie dlatego bezsensowne.

Powiadają nam "z całym liberalizmem", że np. ruch społeczny "Solidarność" może i miał jakieś słuszne racje, może stały za nim jakieś wartości moralne, ale ruch ten został całkowicie zdyskwalifikowany przez sam fakt przegranej. Nie ważne są bowiem racje, popularność idei, nawet ich prawda - ważna jest siła przebicia i wobec tego racja jest po stronie zwycięzcy. Inaczej mówiąc - racje daje zwycięstwo w grze lub walce, legitymację władzy daje wygrana. I więcej nawet: obecna ekipa zwyciężyła dlatego właśnie, iż racja historyczna była po jej stronie...

Koncepcja powyższa i tworzony swego czasu wokół niej ogólny klimat społeczny w PRL miał zmusić "inaczej myślących", by stosowali wobec siebie takie właśnie kryteria skuteczności działania, czyli - żeby zawsze ustępowali przed siłą i przymusem.

Dziś trzeba tę koncepcję zmienić, trzeba bowiem będzie znaleźć uzasadnienie dla szukania porozumienia z przedstawicielami "racji skompromitowanej".

Jakby odpryskiem tezy, iż "zwyciężeni nie mają racji" była urbanowska -

#### 5. Koncepcja ZOHYDZANIA

Rzecz polegała na zohydzeniu w oczach społeczeństwa wszystkiego tego, co owo społeczeństwo uznawało za wartościowe, godne zaufania, z różnych powodów - istotne. Chodziło zarówno o osoby obdarzone rzeczywistym autorytetem, jak i o instytucje, idee, wartości, tradycje (oczywiście - te idee i te tradycje, których system uznać "za swoje" nie był jednak w stanie).

Koncepcja "zohydzenia" legła u źródeł niesłychanej swego czasu kampanii oszczerstw wobec Lecha Wałęsy. Swoją drogą, podziwiam cynizm luczi, którzy dokonawszy w tej mierze akrobacyjnego zwrotu nie czują nawet dziś potrzeby wytłumaczenia się przed społeczeństwem, ale mniejsza o to. Przypominam sobie bardzo charakterystyczne pytanie, zadane mi w końcu grudnia 1988 r. przez korespondenta zagranicznego: "Skoro władze chcą mieć rzeczywistego partnera w Wałęsie, to dlaczego teraz Urban wciąż go chwali? Przecież w ten sposób niszczy potencjalnego sojusznika?" Otóż właśnie: rzecznik rządu wyrobił sobie taką pozycję, iż jego pochwała jest dla chwalonego pocałunkiem Almazora! Jakby w odpowiedzi na powyższe pytanie, Jerzy Urban na jednej z konferencji prasowych oświadczył: "gdybym miał się zaprzyjaźnić z Wałęsą, wolałbym się powiesić". Cieszę się, że tego zagrożenia - przyjaźni z Wałęsą - Jerzy Urban na pewno uniknie.

Podobne metody zohydzenia stosowano wobec niepokornych księży (np. hardego biskupa przemyskiego, Tokarczuka, pomawianego publicznie o współpracę z... gestapo w czasie okupacji niemieckiej - jest to tylko jeden przykład spośród wielu), wobec nieuległych intelektualistów, odmawiających pójścia na współpracę naukowców, pisarzy, dziennikarzy. Sam rzecznik rządu specjalizował się w obrzucaniu błotem (trudno inaczej nazwać jego felietony o osobach, które nie mogły się bronić na łamach pism, gdzie ich zaatakowano), zwłaszcza swych byłych kolegów - dziennikarzy.

Ale kampania zohydzenia miała wymiary szersze. W pewnym okresie - po zabójstwie w niewyjaśnionych oficjalnie okolicznościach w czasie incydentu z milicją Grzegorza Przemyska - środki masowego przekazu rozpętały kampanię oszczerstw przeciw instytucji Pogotowia Ratunkowego i w ogóle przeciw środowisku lekarskiemu. Chodziło o to, by stworzyć sprzyjającą atmosferę do oskarżenia o zabójstwo Przemyska sanitariuszy Pogotowia; efekt ogólny jest taki, iż w istocie mniej uświadomiona część społeczeństwa zaczęła uważać służbę zdrowia za zdegenerowane środowisko złodziei, łapówkarzy i nieuków. Jest to tylko jeden, choć wyjątkowo jaskrawy przykład.

Kampanie tego rodzaju wykruszały powoli nawet te resztki autorytetu społecznego i moralnego, jakie niektóre instytucje zachowały do dziś (np. właśnie pewne służby społeczne, nauczyciele, Polska Akademia Nauk, nauka jako taka, wyższe uczelnie itd.). W ten sposób "urbanowszczyzna" rozkruszała ostatnie filary tego państwa, którego obrona miała być jej głównym powołaniem.

Konsekwencją "kampanii nienawiści" była sprytniejsza i trudniejsza do rozszyfrowania -

## 6. Koncepcja ROZBIJANIA ELIT

Jak już wspominałem, pierwszym dokonaniem ekipy po 13 grudnia 1981 r. było rozbięcie wszelkich organizacji, reprezentujących polskie społeczeństwo i jego różne środowiska. Propaganda urbanowska prowadziła wojnę w ogóle ze wszystkimi elitami społecznymi. Jak wiadomo, badania socjologiczne wyraźnie wykazują, iż ogólny poziom, postawy i idące za tym zachowania danego śro-



dowiska (czy to urzędników, czy naukowców, dziennikarzy, czy kolejarzy lub nauczycieli) zależą w dużej mierze od istnienia i zachowania jego elity. W tym sensie elity pełnią rolę wzorotwórcze - i one też na ogół prowokują wszelki postęp.

(W tym sensie elity mają również większe obowiązki wobec społeczności, ale to także inna już historia). Otóż propaganda - zresztą od dawna - usiłowała wywołać w świadomości ludzi trwałe skojarzenia samego pojęcia "elity" z niesprawiedliwością społeczną, nierównością obywatelską, nieprawnie zdobytym bogactwem, itp. "Elita" mieli być zatem np. właściciele prywatnych szkółki ogrodniczych, agenci prowadzący sklepy lub restauracje na własnym rozrachunku, a nawet "elita" byli zdeprawowani funkcjonariusze aparatu rządzącego z czasów Gierka. "Elita" jako taka jest więc złem społecznym i powinna być niszczona.

W pamięci społecznej zaciera się ślad tego, że np. w XIX w. właśnie elitą społeczną byli wychowankowie działającej tylko przez siedem lat w zaborze rosyjskim Szkoły Głównej - polskiej wyższej uczelni. Szkoła Główna, swoisty fenomen produkcji elit, wychowała tylu ludzi znaczących w naszej kulturze i nauce, że im to właśnie w dużej mierze polska kultura zawdzięcza przetrwanie. Elitą naszej młodzieży były w czasie okupacji niemieckiej Szare Szeregi, szturmowy oddział polskiego harcerstwa. Przykłady można znowu mnożyć, chodzi jednak o to, iż rzecz ma wymiar poważny: propagowanie urawniłowki i egalitaryzmu, w połączeniu z instynktowną już i stale utrwalaną nieufnością do każdej elity, równa społeczeństwo "w dół", nie pozwala przebijając się talentom i energii, podważa motywów dobrej pracy i niszczy autorytety wzorotwórcze. I o to kiedyś chodziło. Dzisiaj kontynuatorom tej samej władzy potrzebny jest właśnie odwrót od egalitaryzmu - zresztą potrzebny jest nam wszystkim. Bardzo trudno będzie odrobić zniszczenie elit i zmienić nastawienie społeczne wobec nich.

Szereżna z poprzednią może wydawać się koncepcja referowana poniżej. Jest to jednak sprzeczność pozorna, bowiem nie chodzi tu o elitę w znaczeniu moralnym, zawodowym, a o to, że naprawdę liczyli się zawsze ludzie związani z władzą, z aparatem dysponującym siłą. Jest to

### 7. Koncepcja LILIPUTA

Chodziło tu o stworzenie sytuacji, w której liczy się wyłącznie właśnie siła, władza, szczebel urzędowej drabiny, miejsce w establishmentie. Zwykły "człowiek pracy", przeciętny obywatel, musi być zawsze petentem, zawsze proszącym o załatwienie każdej sprawy (które to załatwienie skądinąd prawie mu się należy). W dodatku ów petent musi mieć poczucie, iż swoją sprawą wręcz przeszkadza w sprawnej pracy państwowych urzędów. Zawsze i we wszystkim musieliśmy w Polsce zależeć od urzędu, władzy, państwa. I naród jako całość, i każdy obywatel, był zawsze w tym systemie Liliptem w świecie Guliwerów.

Kiedyś sformułował to wielki socjolog Stanisław Ossowski w taki sposób: "Idzie tu o poczucie bezsilności poza kręgiem spraw osobistych, o przekonanie, że nad naszymi głowami Lili-

putów ścierają się Guliwery tak potężne, że my nie możemy mieć wpływu na bieg wydarzeń w szerszej skali. Jest pod tym względem nawet obojętne, czy owe Guliwery są złe, czy dobre".

#### 6. Koncepcja PREZENTU I PSA GRYZĄCEGO REKĘ

Wszystko, co potrzebne jest do życia i rozwoju, Polacy otrzymują od państwa, od swojej władzy - w charakterze daru. Wszystko, co władza czyni, jest prezentem łaskawie ofiarowanemu społeczeństwu.

Powyższa mistyfikacja bardzo już opanowała nasze myślenie: wielu ludzi różne normalne w licznych krajach dobra (np. możliwość kształcenia się, uzyskania mieszkania, lecznictwo, emerytury) traktuje jako dar, który może im zostać ofiarowany albo odebrany. Społeczeństwo jakby powoli zapomina, że wszystko, co ma, uzyskane zostało dzięki jego własnej pracy, za jego pieniądze, za (na ogół trwonione) bogactwa naturalne jego własnego, niegdyś bogatego kraju.

Chodziło o stworzenie powszechnego przekonania, że skoro wszystko, co mamy i co możemy uzyskać, zawdzięczamy albo państwu, albo utozsamianej z nim władzy, dającej nam "ze swojego", to wobec tego jest niełojalne, jest niewdzięcznością sprzeciwianie się swemu dobroczyńcy. Jeśli więc ktoś wyraża swe krytyczne opinie głośno i publicznie, ten stawia się w sytuacji psa gryzącego karmiącą go rękę.

Taki zabieg myślowy często stosował na przykład Jan Rem (Jerzy Urban) w swoich felietonach, kiedy zamierzał skarcić osoby, które osmielały się uczynić jakiś gest sprzeciwu wobec władzy lub wyraziły publiczną krytykę jej poczyniań. Oto ktoś - pisał ukryty pod pseudonimem rzecznik rządu (a jego felietony drukowane są do dziś przymusowo przez całą polską prasę i stanowią niejako wykładnię aktualnej polityki i taktyki władz) - krytykuje rząd albo, na przykład, odrzucił łaskawie przyznane mu nagrody lub zaszczyty. Tymczasem ów ktoś, pracując na państwowej posadzie, utrzymywany jest przez państwo, w dodatku jeszcze odbywa podróże (naukowe, artystyczne, inne) za granicę. Jest to - powiada Urban - niemoralne, właściwie zbrodnicze i powinno się kogoś takiego pozbawić posady, wyrzucić z różnych rad, organizacji społecznych, odsunąć od nauczania, nie dawać paszportu, nie wydawać książki, itp. Byłoby to może śmieszne, gdyby taki sposób rozprawy z opornymi intelektualistami (bo ich to przeważnie dotyczy) nie miał niekiedy rzeczywiste różnych konkretnych przykrych konsekwencji. Ponadto chodzi tu przecież - przede wszystkim - o utrwalanie w świadomości społecznej pewnego stereotypu: korzystasz z "naszego" - musisz nam służyć.

#### 7. Koncepcja PORZĄDKU ZA CENĘ WOLNOŚCI I WOLNOŚCI ZA CENĘ ANARCHII

Chodziło tu o narzucenie społeczeństwu przekonania, że porządek społeczny, ład organizacyjny, bezpieczeństwo obywatela są w swej istocie sprzeczne z wolnością obywatelską i różnymi demokratycznymi swobodami. Zaś właśnie demokratyzacja



(w sensie tego słowa używanym na Zachodzie), wszelkie swobody obywatelskie i w ogóle wolność - muszą z natury rzeczy prowadzić do anarchii, samowoli, niepokoju społecznych i wręcz do rozrostu przestępczości.

Mamy tu do czynienia z nierzucającym się w oczy, ale uporczywym i przynoszącym skutki utożsamianiem dobrze znanej z historii każdemu Polakowi tzw. złotej wolności saskiej (której symbolem było liberum veto i chaos w okresie panowania królów z dynastii saskiej w pierwszej połowie XVIII w.) z wolnością człowieka w ogóle i z systemem normalnych w demokracji swobód obywatelskich. Urbanowskiim propagandzistom chodziło o to, by w umyśle przeciętnego Polaka trwale skojarzyć taki właśnie układ przeciwstawięń: żeby swoboda i demokracja łączyły się podświadomie z brakiem odpowiedzialności obywatelskiej i były sprzeczne z pojęciem ładu społecznego.

#### 8. Koncepcja POZORNEJ PERSONIFIKACJI ZŁA, NIUDAWANIA SIĘ I SZCZEGÓŁU

Chodziło o głoszenie, iż nasza (tj. rządząca ekipy) idea jest słuszna, tylko źle ją realizują źli wykonawcy. Nasz system mógłby być dobry, gdyby nie rozkładali go biurokraci, niedouczzone kadry kierownicze, gdyby zaś w ogóle społeczeństwo chciało pracować. Jeśli istnieją jakikolwiek głupie zarządzenia czy przepisy, to są one tworem głupich urzędników.

Najlepszym sposobem na te wszystkie "niedopatrzania" były dotąd dobre regulaminy, kontrola ich przestrzegania, wysokie kary za nierobstwo lub niewykonywanie poleceń - reminiscencje "wojskowej świadomości"... W takim systemie receptą na zmianę niezadawalającego stanu rzeczy była zmiana personalna, receptą na poprawę - kara. Toteż zwykle cała prasa triumfalnie ogłaszała "pokontrolne" kary i zmiany personalne na poprzednich stanowiskach. Naturalnie, następcy usuniętych wchodził w ten sam system układów, przepisów, uwarunkowań, niemożności, braków, itd. - i musieli postępować tak samo (rzadkie wyjątki potwierdzały regułę). Nadal w Polsce nie ma odpowiedzialnych za nieudolność w skali państwowej lub za torpedowanie nieśmiałych prób reform. Można łatwo dowieść tezy, że jednym z głównych efektów systemu dotąd panującego w Polsce jest zniszczenie odpowiedzialności kogokolwiek za cokolwiek. Dlatego w istocie rzeczy nawet personifikacja zła była zawsze pozorna, nie mówiąc już o tym, że na odpowiednio wysokim szczeblu nikt nigdy nie musiał się rozliczać ze swych dokonań i nie ponosił żadnej rzeczywistej kary za stan, do którego jego działalność doprowadziła kraj. Właściwie dopiero teraz kończy się pewien styl publicystyki: wszystko byłoby dobrze, gdyby nie działania opozycji, strajki, sankcje amerykańskie i inne (a w podtekście - także... ZSRR). Analiza politycznych tekstów oficjalnych organów partii z początków lat 80-ych pozwala odczytać, że właściwie głównym winowajcą kryzysu (i nawet konieczności wprowadzenia stanu wojennego) jest naród polski.

Należy jeszcze wspomnieć o koncepcji szczegółu, również mającej kamufłować wady strukturalne systemu. Oto, pouczało się nas, zdarzają się oczywiście pewne niefunkcjonalności, głupie przepisy, czasem nawet pozostałe z przeszłości absurdy. Dotycza

One jednak poszczególnych trybików sprawnego skądinąd mechanizmu. Rzecz więc w tym, by naprawiać trybiki, lokalne niedomagania - i będzie dobrze.

Dziś się od tego odeszło, aż trudno uwierzyć, że jednak przez wiele lat taka była propaganda. Jeden tylko przykład z ostatnich paru lat. Jest to fragment zaleceń p. Adama Dunalewicz, dyrektora Biura Prasowego Rządu (czyli swoistego "Ministerstwa Propagandy" Jerzego Urbana). Otóż w czasie, kiedy już wyraźnie rozpadała się cała cywilizacyjna infrastruktura kraju, a kryzys osiągał apogeum, p. Dunalewicz zalecał środkiem masowego przekazu: "(...) prasa powinna jednak częściej, niż to robi obecnie, nie tylko pokazywać czy krytykować określone zjawiska, ale także formułować propozycje zmian na lepsze. Ot, niedawno, z inicjatyw "Kurier" podjęto prace nad zmianą konstrukcji i technologii wytwarzania elementów grzejnych w żelazkach i wielu innych wyrobach związanych z grzejnictwem. Problem może wycinkowy, ale przecież niemały (...)". (Życie Warszawy, 15.X.1984)

Można przypuszczać, że po zmianie elementów grzejnych w żelazkach społeczeństwo polskie odetchnęło wówczas z ulgą.

### 9. Koncepcja WROGA SPOŁECZNEGO

Spółeczeństwo polskie wciąż bardzo niewiele wie o społecznych uwarunkowaniach różnych dewiacji (alkoholizm, narkomania) i ogólnej przestępczości, nie zna wcale problemów resocjalizacji. (Nie wie też nic o tym, co naprawdę dzieje się w polskich więzieniach). W poprzednich okresach mówiło się i pisało o tym niewiele, ponieważ były to zjawiska charakterystyczne dla "wyrodniejącego kapitalizmu", jednocześnie zaś - marginesowe w kraju "budującym socjalizm". Potem przeciwnie - propaganda świadomie przesadzała w ocenie rozmiarów przestępczości, starając się stworzyć atmosferę zagrożenia i niepewności.

Używane dotąd stale w środkach masowego przekazu określone slogany w rodzaju "walka z przestępczością", "likwidacja pasożytnictwa społecznego", "zwalczanie alkoholizmu", "spekulant - wróg społeczny" itp. miały w świadomości ludzi utrwalac stereotyp: przestępca, spekulant, człowiek niepracujący, czyli "pasożyt społeczny" są WROGAMI, których trzeba LIKWIDOWAĆ. W tej sytuacji przestawały być ważne, ani nawet znane, społeczne i gospodarcze źródła wszelkich takich dewiacji, a walka z "pasożytnictwem" odwracała uwagę od dezorganizacji życia zbiorowego, rodzącego owo pasożytnictwo.

Szerzyło się poglądy, jakoby "uchwały organów politycznych i państwowych (chodzi o uchwały potępiające negatywne zjawiska i nawołujące do walki z nimi, lub zarządzające wzmocnienie karalności) miały rozwijać poczucie bezpieczeństwa obywateli (...) i wznagać negację postaw przestępczych". Twierdziło się, że solidarna atmosfera antyprzestępcza zapobiega przestępczości.

---

\* Cytaty pochodzą z pracy prof. J. Bafii "Problemy kryminologii", Wydawnictwo Prawnicze, 1978. (przyp. aut.)

Odpowiednie badania dosadnie wskazują, że ani "uchwały", ani "potępiająca atmosfera" nie mają wpływu na zmniejszenie przestępczości. Jest nawet przeciwnie: wzmocnienie potępienia społecznego wobec różnych dewiacji, przy jednoczesnym utrzymywaniu się sytuacji, która owe dewiacje rodzi (sytuacji społecznej, gospodarczej, politycznej) - doprowadza właśnie do podnoszenia się wskaźników przestępczości i zwłaszcza recydywy. Dzieje się tak między innymi dlatego, że "tępienie i likwidacja" przestępców i innych "pasożytów" w żaden sposób nie narusza mechanizmów kryminogennych (przeciwnie, "dewianci" czują się coraz bardziej wyobcowani i nie widzą dróg wyjścia).

Zjawisko powyższe ma większe znaczenie, niż na pozór mogłoby się wydawać; chodzi o to, że w ten właśnie sposób propaganda urbanowska wpoila społeczeństwu przekonanie, iż kontrola i represyjność są podstawą ładu społecznego i nawet poprawy gospodarki (której rzekomo tak zagraża spekulacja i "dorabianie się"). Nawiasem mówiąc, teraz znów przyjdzie odrabiać straty "świadomościowe": władze chcą uruchomić mechanizm "dorabiania się", ale "dorabianie się" ma już u nas trwałą konotację ujemną.

Z ogromnie rozdmuchaną tezą o społecznym pasożytnictwie łączyła się kolejna koncepcja "urbanowszczyzny" -

#### 10. Koncepcja NADOPIEKI

Nasze państwo - przekonywano nas stale - jest nadmiernie "opiekuńcze", ma ogromnie rozbudowany system opieki społecznej i wszelkich świadczeń (zwłaszcza dotacji państwowych na rzecz różnych usług, komunikacji, służby zdrowia, oświaty, kultury, itd.). Świadczenia i opieka obciążają straszliwie gospodarkę narodową i należy we wszystkich ocenach brać ten fakt pod uwagę.

Otóż, po pierwsze, państwo jest dotąd u nas praktycznie jedynym właścicielem środków produkcji, a zatem dysponentem majątku i dochodu narodowego. W tej sytuacji miało ono oczywiście obowiązek troszczenia się o tzw. opiekę społeczną. Po drugie, państwo zabierało dotąd plony naszej pracy, nie pytając, jak je wykorzystywać i dzielić. Po trzecie i ważniejsze, pogląd o "nadopieczę" jest po prostu mitem. Oto słowa byłego ministra Pracy i Płac, prof. dr. Antoniego Rajkiewicza ("Dziennik Polski", 18.XI.1983): "Trudno się zgodzić z opinią o nadmiarze rozbudowanej, socjalnej funkcji państwa. Badania nad tzw. minimum socjalnym ukazały dość znaczne obszary niedostatku w naszym kraju".

Rzeczywiście, dziś jeszcze trudniej dostrzec ową "nadopieczę" w sytuacji, kiedy stan polskiej oświaty, służby zdrowia, bezpieczeństwa pracy, ochrony środowiska naturalnego, itd. można uznać bez przesady za katastrofalny i tragiczny. Zarazem stale zwiększa się liczba rodzin, żyjących w strefie ubóstwa. Problem ten ledwo tutaj wspominam i trzeba sobie zdawać sprawę, że jest on niezwykle złożony i niejednoznaczny. Jednak można uznać, że lansowanie długi czas twierdzenie, iż gospodarka nie może dostatecznie rozwinąć skrzydeł z powodu obciążenia świadczeniami społecznymi, jest żalonym kłamstwem.

Wspomnę jeszcze o czymś, co nazwałem -

11. "EFEKTEM ROGATYWKI" (łączy się to zresztą z omówionym wcześniej zwiąszczaniem tradycji). Otóż w przekonaniu pewnej części ekipy rządzącej i zwłaszcza w przekonaniu jej niektórych propagandystów można rozładować wiele napięć społecznych przez przywracanie pewnych drobnych symboli czy tradycji. Najlepiej wyraził to pewien dostojnik (w rozmowie w cztery oczy, dlatego nie podaję nazwiska): "Rogatywki w wojsku i korona dla orła wystarcza, by tym durniom zamknąć gęby". Taka wypowiedź, choć nie zawiera prawdy, zawiera dość dobrą wykładnię stosunku do narodu. Niemniej, jest w tym jednak jakaś mała część prawdy socjotechnicznej - baczmy tedy, by obchody niepodległości, przywrócenie korony czy rogatywek, kilka jeszcze pomników i tym podobne "dary dla narodu" nie przestoniły braku działań ważniejszych dla przywracania normalności.

Propaganda urbanowska, stosująca własne koncepcje "prania mózgow", różniła się czymś jeszcze od propagandy okresów poprzednich. W czasach gierkowskich ekipa rządząca bardzo chciała zdobyć sobie popularność, sympatię i w różny sposób starała się kupować społeczeństwo. W latach 80-ych nie chodziło już o żadne sympatie, o zjednywanie poparcia. Stawiano na coś innego: właśnie na zmczenie ludzi, a nawet na wzbudzenie w nich niechęci i odrazy! Jeśli nawet - w co wątpię - z tego faktu nie zdają sobie sprawy ci, którzy wykorzystują Jerzego Urbana, on sam doskonale wie, iż arogancki styl jego wypowiedzi, cyniczny sposób argumentacji, wyjątkowo drażni społeczeństwo, wywołuje właśnie gniew, obrzydzenie, pogardę.

Ów drażniący styl "urbanowszczyzny" (przejęty w wypowiedziach także niektórych dostojników) był wprowadzany świadomie. Wiele tego typu posunięć, działań (bo nie chodzi tu tylko o słowa) oraz publikacji i wypowiedzi miało na celu wywołanie upokorzenia i gniewu. Było to oczywiście dużo skuteczniejsze i groźniejsze, niż uprzednia absurdalna "propaganda sukcesu". Znow powołał się na ustalenia socjotechniki: upokarzanie ludzi, wywoływanie bezsilnego gniewu, rodzi właśnie poczucie rezygnacji i beznadziejności położenia, wywołuje psychiczne zmczenie, blokuje możliwość konstruktywnego działania i utrudnia krytyczne i realistyczne myślenie. O to, jak się zdaje, właśnie zawsze chodziło.

Obok owego "upokarzającego stylu", który jest w dużej mierze własnym wynalazkiem "urbanowszczyzny" (wszystkie propagandy totalitarne lubią raczej schlebiać pewnym gustom masowym), wykorzystywała ona dość zręcznie dwie zwłaszcza zasady socjotechniczne:

1. Racjonalizację - w tym wypadku termin ten oznacza wykorzystanie aprobującego odbioru takich treści, których przyjęcie może być z różnych względów wygodne, zaś odrzucanie - wiąże się z ryzykiem;

2. Powtarzanie - w świadomości ludzi osadzają się łatwiej treści stale powtarzane, choć mogą być ukryte w różnych formach wypowiedzi.



Wypada na koniec dodać, że usytuowanie twórcy "karlego realizmu" w systemie władzy nie było usytuowaniem zwykłego rzecznika prasowego rządu. Można mówić raczej o ministrze propagandy i bardzo znaczącym doradcy w sprawach polityki wobec społeczeństwa. Dlatego cechy osobowości i umysłu mają tu znacznie większe, niż mogłoby się wydawać, tym bardziej, że wysoko postawione osobowości we władzy dostrzegają w swoim rzeczniku cechy genialności i bezgranicznie - jak dotąd - ufają jego radom i koncepcjom.

Dzisiaj na naszych oczach zmieniają się koncepcje propagandy, niektóre nowe staną się odwrotnością starych, ale do takich zakrętów nasi propagandyści są przecież i przyzwyczajeni i przygotowani. (...)

Wszystko, co stwierdziłem wyżej, nie miałyby może takiego znaczenia, gdyby nie rzeczywiste skutki społeczne. Spróbuję je przedstawić w największym skrócie; są to postrzegane przez socjologów zjawiska, które albo się dopiero pojawiły, albo zaczęło szybko wzrastać ich nasilenie. Zatem:

1. W coraz większym zakresie występuje tzw. "męczliwość" społeczeństwa (okropny ten termin używany jest przez socjologów na określenie zarazem stopnia zmęczenia ludzi i ich podatności na zmęczenie). Owa "męczliwość", mierzona różnymi wskaźnikami psycho-fizjologicznymi, rośnie z roku na rok - rośnie także z nią apatia społeczna i zarazem nieodporność na schorzenia różnej natury biologicznej.

2. Rośnie w społeczeństwie polskim skłonność do agresji w codziennym życiu. Daje się wyraźnie odczuć wzrost wzajemnej niezyczliwości.

3. Rośnie skłonność do nietolerancji wobec cudzych przekonań, opinii, postępów. Mnożą się postawy autorytarne.

4. Rośnie milcząca izolacja, odsuwanie się od spraw publicznych (nawiasem mówiąc, rośnie także w związku z tym znaczenie więzi rodzinnych, przyjacielskich, towarzyskich, ale rozluźniają się wyraźnie inne więzi społeczne).

5. Pojawia się coś, co socjologowie nazywają a n o m i a, co oznacza spadek autorytetu wszelkich norm regulujących zachowania i stosunki w sferze zawodowej i społecznej. Poszerza się w związku z tym pogląd, że wszystko jest dozwolone, zaś cwaniactwo i cynizm stają się dowodem zaradności. Jako pozytywne zaczyna być oceniane "dawanie sobie rady" za pomocą krektactwa, korzystania z tzw. pleców, łapówek, z własności społecznej, która coraz powszechniej uważana jest za niczyją.

Poszerzaniu się owej anomii sprzyjała, zresztą dotąd inflacja i zmienność przepisów, nietrwałość zarządzeń, ustaw, poczucie tymczasowości porządku prawnego i zwłaszcza jego nadmierna surowość (za drobne wykroczenia można np. dostać grzywny, niszczące cały dorobek życiowy).

6. Upada powszechnie etos pracy i etos zawodowy całych grup. (Np. słynny już upadek tak wysoko przed wojną cenionego etosu kolejarzy czy rzemieślników. Zaczyna - co gorsza - upadać etyka zawodowa lekarzy, nauczycieli, młodych naukowców).



7. Pojawia się postawa "wyczonej bezradności". Oznacza to uznanie za normalne, iż nie ma sensu w tym, co się robi (poza rodziną), że wszelkie działania publiczne mają charakter pozorny, pęta biurokracji są naturalne, a przepisy w Polsce muszą być absurdalne. Prowadzi to do wniosku, iż system wymusza niesprawność ludzi i instytucji i nie ma na to rady.

8. Pojawiła się wyraźna "schizoidalność" społeczna, tj. rozdzielenie ról prywatnych i publicznych. Ludzie jakby grają inne role w sferze zawodowej, publicznej, inne - w sferze rodzinnej i towarzyskiej. Tam zachowują się ochronnie, oportunistycznie, przystosowawczo i działają pozornie - tu działają twórczo i wedle innych norm. Mamy zatem do czynienia z wyraźnym innym funkcjonowaniem wartości, norm i postaw w życiu publicznym i prywatnym.

9. Notuje się dostrzegalny - jak to określają socjologowie - rozpad myślenia o przyszłości. Pojawia się orientacja na "teraz i dziś", myślenie kategoriami tymczasowości ("byle do jutra"). Rośnie przekonanie, iż nic nie można budować na regułach, ustaleniach i gwarancjach systemu, bo wszystko jest tymczasowe i nie zapewni ciągłości. Ma to oczywiście zgubne skutki, ponieważ ludzie uznali, iż nie warto niczego w nic inwestować: ani zdolności, ani pracy, ani czasu, ani pieniędzy. Trzeba - jeśli można - szybko zarobić najmniejszym kosztem i wycofać się. W sferze publicznej rodzi to czasem zachowania, które już teraz można nazwać gansterskimi.

10. Ludzie młodzi udzielają sobie wewnętrznej zgody na marnowanie własnych zdolności i możliwości.

Nie twierdzą, że wymienione zjawiska są wyłącznym efektem "urbanowszczyzny", przeciwnie, są one skutkiem wieloletniego działania systemu jako całości. Niemniej, propaganda lat 80-ych ma w tym swój istotny udział. Obecny stan etyki społeczeństwa polskiego, ową erozję moralną, uważam za rzecz groźniejszą nawet od erozji gospodarczej, z którą walczyć będzie teraz łatwiej. Jestem przekonany, że walka z tą erozją społeczną jest jednym z najważniejszych dziś obowiązków polskich dziennikarzy.

---

\* Autor dołączył do autoryzowanego tekstu kilka wybranych pozycji z literatury przedmiotu (zwłaszcza dotyczących "nowomowy"). Podajemy je kolejno: 1. "Nowo-mowa. Materiały z sesji na UJ w styczniu 1981", Wyd. Polonia, Londyn, 1985. 2. Jerzy Bralczyk: "O języku polskiej propagandy politycznej lat siedemdziesiątych" Uppsala, 1987. 3. Joachim Kruk - Cel propagandy, "KARTA" nr 2, 1984. 4. Piotr Wierzbicki: "Struktura kłamstwa", "Głos", 1986.

## JAKA BĘDZIE PROPAGANDA?\*

Krzysztof Czabański:

- Generalnie rzecz biorąc, chyba taka, jak zwykle, czyli pełna przekłamań, resentymentów, podmian i pozorów. Chodzi przecież nadal o to samo: żeby komuniści poiknęli całe społeczeństwo. Ale, sądzą, w najbliższych miesiącach w tym tradycyjnym nurcie da się wyodrębnić pewną nową tendencję, którą nazwę roboczo "wchłonięcie przez porozumienie". Otóż, oferta porozumienia-- na warunkach komunistów - będzie w propagandzie oznaczała kilka nowych tonów.

Po pierwsze, ludzie będą zachęceni do dorabiania się materialnego. Wykaż się inicjatywą ekonomiczną, gdyż inaczej zdechniesz; państwo bowiem umywa ręce od poziomu dochodów ludności. Wykaż się też inicjatywą, gdyż tylko człowiek bogaty jest człowiekiem wartościowym - mój portfel świadczy o mnie. Komuniści są za tym, żebyś był bogaty, pod warunkiem, że przyjmiesz ich reguły gry. Te reguły są następujące: zgodzisz się, że wolność gospodarczą można ograniczyć do swobody dla sektora prywatnego w gospodarce, zgodzisz się na uwłaszczenie nomenklatury (przy zachowaniu jej politycznej roli), zgodzisz się na wiodącą rolę państwa w gospodarce. Duża część ludzi aktywnych, świadomie lub nie, przyjmie te warunki. Będą żyli w słodkim złudzeniu, że zakładając kolejną firmę prywatną czy spółkę poszerzają sferę wolności w Polsce, nie widząc tego, że komuniści, świetnie przez lata wytrenowani w instrumentalnym traktowaniu sektora prywatnego, wchłoną ich w swój układ bez najmniejszego problemu. Dopóki całe instrumentarium ekonomiczne będzie w rękach nomenklatury, nie może być inaczej. Dopóki w ogóle będzie nomenklatura.

Drugi ton, jaki pojawi się wyraźnie w propagandzie, to stwierdzenie - już wykorzystywane - że wszyscy jesteście Polakami i wszyscy jesteście współodpowiedzialni za los kraju. "Do grona bohaterów narodowych - doniósł ostatnio DTV - powrócił Józef Piłsudski". Wcześniej, jak rozumiem, Piłsudski samowolnie opuścił swoje zasłużone miejsce. A więc komuniści robią miejsce dla innych. Pod warunkiem wszakże, że współcześnie nikt nie będzie kwestionował ich, komunistów, miejsca. Wszyscy jesteście Polakami. Komuniści też. Miejsce dla komunistów, to także miejsce dla postępu i reform. Wiadomo doskonale, że komuniści muszą być, gdyż taki jest układ geopolityczny. Skoro zaś tak, to lepiej, żeby komunizm oznaczał liberalizm (partyjny) niż represje (beton). Klaszczymy więc reformistom partyjnym i uznajmy ich bezapelacyjnie kierownicze miejsce w państwie. Inaczej być nie może. Za to może być gorzej. Ale, przecież, wszyscy jesteście Polakami, a więc dogadamy się, zawrzemy porozumienie przy "okrągłym stole", a ponieważ jesteście wszyscy współodpowiedzialni za losy kraju, to musimy współdziałać. Budynek KC jest otwarty dla każdego, kto chce dyskutować z partią i o partii. Każdy może tam wejść, jak widzieliśmy w relacjach telewizyjnych. Pod jednym wszakże warunkiem: że ten budynek jest. I o to właśnie chodzi.

---

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

I trzeci ton: wspólny wróg. Każdy, kto jest przeciwny porozumieniu na warunkach komunistów, lub przynajmniej przez nich zaakceptowanych, to wspólny wróg Jaruzelskiego i Wałęsy. Grupa robocza czy "Solidarność Walcząca", to nie są odłamy w ruchu niezależnym, to nie jest część dążeń społeczeństwa do wolności, to nie jest część "Solidarności", to w r ó g dla sił rozsądku i reform. Po obu stronach barykady. Wróg na tyle wspólny i na tyle irytująco-przeszkadzający, że tworzy w efekcie sojusz między "Solidarnością" a władzą. Władza i "Solidarność" są sobie bliższe, niż "Solidarność" i "Solidarność Walcząca".

Czy propaganda ta ma szanse powodzenia? Myślę, że wzmocniona jeszcze widocznym złagodzeniem cenzury, co niektórzy będą zapewne mylić z wolnością prasy i podbudowana praktyką wzbogacania się - ma ta propaganda szanse niemałe. Zbyt łatwo też zapominamy, że porozumienie - przy "okrągłym stole", czy też nie - wcale nie jest jedyną drogą dla społeczeństwa w jego walce o wolność. Nie bądźmy więźniami porozumienia.

Dla otrzeźwienia proponuję lekturę tematów "nie do ruszenia": sojusze, służba bezpieczeństwa, sprawy zagraniczne, nomenklatura, cenzura, wojsko, sprawy zagraniczne.

To pokazuje nam nasze miejsce.

#### D Y S K U S J A

Agnieszka Wróblewska: Moje wystąpienie, to nie głos w dyskusji, ale informacja. W początkach 1987 roku uznaliśmy, że czas już najwyższy, aby rozszerzyć nasze spotkania środowiskowe poza mury ochronne Kościoła. Przyświecały nam dwa główne cele. Po pierwsze, żeby zbliżyć do nas kolegów z prasy oficjalnej, którzy mieli opory, by uczestniczyć w imprezach organizowanych w kościołach. Po drugie, żeby pod naszą niejaką banderą mogli się spotykać na dyskusjach ludzie o różnych orientacjach politycznych. Skorzystaliśmy wtedy z gościnnego parasola Koła Seniora-Dziennikarza przy Polskim Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów, które to Koło najwcześniej, bo tuż po stanie wojennym uniezależniło się od SD PRL-u i powołaliśmy do życia Koło Przyjaciół Seniora-Dziennikarza. Udało nam się wspólnie zorganizować, z mniejszym lub większym powodzeniem, kilkanaście spotkań panelowych. Zapraszaliśmy na dyskusje ludzi odmiennych poglądów, parę razy mieliśmy kłopoty ze zdobyciem sali, parę razy, pod naciskiem odpowiednich służb, wymawiano nam salę już załatwioną, tym niemniej kilkanaście spotkań się odbyło, chyba z pewnym powodzeniem dla integracji środowiska. Ostatnio uznaliśmy, że otworzyły się możliwości zrobienia dalszego kroku w rozwoju i postanowiliśmy zalegalizować stowarzyszenie dyskusyjne typu zwykłego pod nazwą "Spotkania Dyskusyjne Publicystów". Jest to stowarzyszenie w fazie legalizacji i w ciągu najbliższych tygodni być może uda nam się kolegów zawiadomić o tym, że mamy zezwolenie na działalność. Zorganizujemy wtedy na szerszą skalę zapisy, zwołamy zebranie, wybierzemy zarząd itd. I, oczywiście, z chwilą gdy zarejestrowane będzie całe nasze Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Spotkania Dyskusyjne wejdą w

skład SDP jako jego integralna część.\*

Grzegorz Jaszukowski: Chcę bardzo krótko poruszyć dwie sprawy. Jedną, to telewizja, a druga - to Marzec '68. Ale przedtem chcę wyrazić prozą ogromną radość, że mogę w takim gronie po kilkuletniej przerwie w ogóle zabrać głos. Naprawdę myślałem, że nie tylko dla mnie, ale dla każdego z tu obecnych jest to powód do satysfakcji.

O telewizji. Dokładnie 30 lat temu byłem dość popularnym, przepraszam, że tak nieskromnie mówię, komentatorem telewizyjnym i z własnych doświadczeń wiem, jaka to może być trucizna, jak zdradliwie dosięga ludzi w domu, w sklepach, na ulicy itd. Po trzydziestu latach trucizna się nasiliła, bardzo wzmocniła swoje działanie. Mówię o tym, bo padł tu, słuszny, moim zdaniem, wniosek, że ludzie związani z SDP nie powinni występować w telewizji. Znałem mi są liczne próby ze strony różnych działów telewizji pozyskania w ciągu ostatniego roku różnych dziennikarzy i naukowców, by wystąpili w telewizorze. Propozycje są bardzo chytne, bo proponowane tematy są przyzwoite, zacne; idzie o to, żeby pan X lub pani Y pokazali się w telewizji. W środowisku, w którym się obracam, z przykładów, które znam, za każdym razem odpowiedzią była odmowa. Głośna stała się sprawa Andrzeja Wajdy, który bezprawnie został przez telewizję pokazany i napisał list protestacyjny do "Tygodnika Powszechnego" i, jak mi niedawno mówił, ma zamiar wytoczyć sprawę telewizji o naruszenie jego praw do własnej "tworzy". Otóż gorąco popieram wnioski, który tu padł, że ludzie uważający się za członków SDP, przynajmniej w obecnym stadium nie powinni się ukazywać w telewizji. Nawet, gdyby mieli bronić słusznej sprawy. Tylko tyle na ten temat.

Drugi temat jeszcze krócej. Spotykam często dziennikarzy, którzy, mówiąc najłagodniej, nie popisali się w Marcu '68. Ulegli czarowi, nie Urbana, ale Moczara, co chyba jeszcze gorsze. Chcę powiedzieć, że kocham i szanuję pewnych kolegów, jeśli oni w ciągu ostatnich siedmiu lat zachowali się godnie i należycie współpracowali z SDP w tym kształcie, który dla mnie jest ważny. Ale chcę powiedzieć, że kochałbym ich i szanował znacznie bardziej, gdyby skorzystali z jakiejś okazji czy kolejnego Dzwonka Niedzielnego\*, czy takiego zebrania jak dziś, i gdyby jednym zdaniem powiedzieli: wtedy w Marcu '68 zbłądziłem, wygłupiłem się, żałuję. Wydaje mi się, że to nie uchybiłoby ich godności.

\* 26 I 1989 Spotkania Dyskusyjne Publicystów zostały zarejestrowane. Zob. Dokumentacja. (przyp. red.)

\*\* Dzwonek Niedzielnny - spotkania niezależnych dziennikarzy, od wielu lat odbywające się w każdą третią niedzielę miesiąca w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, a następnie w kościele na Żytniej. Stały się one swego rodzaju instytucją życia publicznego. Głównym ich punktem jest zazwyczaj "Gazeta M. wiona", przygotowywana przez niezależnych dziennikarzy. (przyp. red.)

Janusz Korwin-Mikke: Miłe koleżanki, szanowni koledzy. Rozumiem, że spotkanie to służy nie tylko temu, żebyśmy sobie pogadali, ale i temu, żebyśmy zrobili coś konkretnego. Podpisuje się pod postulatem założenia czy raczej reaktywowania SDP. Popieram również właściwie wszystkie wnioski, które padły z tego miejsca - o naszej wolności, godności, z jednym, i to ważnym, wyjątkiem. Mianowicie, kiedy kol. Bratkowski mówił o niezależności od gestorów, od dysponentów, od tych, co płać. Istnieje bowiem jeszcze taki jeden dysponent - mianowicie, większość obywateli. Bardzo wielu kolegów uważa, zgodnie lub nawet wbrew swoim przekonaniom, że należy mówić i pisać to, co się ludziom podoba, a nie to, co jest prawdą. W Ameryce na przykład spotykałem wielu dziennikarzy, którzy narzekali, że wcale nie chcą tego pisać, co piszą, ale ponieważ ludzie płacą, to trzeba pisać to, za co ludzie płacą.

Otóż Stefan Bratkowski powiedział, że ludzie mogą mieć różne postawy polityczne i tak powinno być w związku, w organizacji, ale wymienił jedną postawę polityczną, która nie jest neutralna, a która jego zdaniem powinna cechować każdego członka SDP - mianowicie, że powinniśmy walczyć o demokrację i władzę większości. A ja od razu mówię, że nie jestem demokratą i nie mogę być członkiem związku, który by walczył o władzę dla większości. To oczywiście również jest pewna opcja polityczna, i to bardzo silna, ale ja akurat jej zwolennikiem nie jestem. Wycofałem się z rozmaitych organizacji, które walczyły o demokrację i o demokrację walczył nie będę, co nie znaczy, że nie mogę siedzieć w jednym stowarzyszeniu z ludźmi, którzy o tę demokrację walczą. Bo to jest oczywiście ich prywatna sprawa. Nie może to jednak wiązać wszystkich członków SDP. Żle się poczułem zwłaszcza, kiedy prezes Bratkowski nawiązał do wydarzeń sprzed 200 lat, do rewolucji francuskiej, która zaczęła się niewinnie od topienia księży i zakonnic z parafii w Loarze, a skończyła rzeziąmi rewolucji październikowej. Ta epoka zaczęła się 200 lat temu i w tej chwili, moim zdaniem szczęśliwie, odchodzi w przeszłość. I uważam, że nawiązywanie do takich tradycji jest nie tylko politycznie, ale i moralnie niedopuszczalne.

Stanisław Remuszko: To oczywiście ważne wydarzenie - powołanie, czy też zebranie założycielskie SDP, ale wybacza mi moi przedmówcy, że nie będę się ustosunkowywał do ich, skądinąd znakomych referatów. Otóż zapisuje się jak najbardziej do Stowarzyszenia, ale chcę odnieść się do jednej tylko sprawy, o której wspominał kol. Giełżyński, mianowicie - do weryfikacji. Oczywiście, należy się całemu środowisku dziennikarskiemu zadośćuczynienie, choćby symboliczne, ale "pełną gębą" za to, co się stało w roku 1982. Ja sam nie byłem poddany weryfikacji, ale bardzo wielu kolegów było. Chcę jednak powiedzieć o innego rodzaju weryfikacji - mianowicie, jeśli wszystko pójdzie dobrze i nasze stowarzyszenie wejdzie w fazę organizacyjną, gdy zostanie zarejestrowane formalną drogą, to chciałbym prosić władze, które sobie wybierzemy, żeby nazwiska kolegów, którzy mają być w przyszłości naszymi członkami były podawane do publicznej wiadomości, przynajmniej w naszym środowisku. Bowiem już obserwuje się u niektórych istnienie pewnego nieprawdopodobnego "nosa" politycznego - mianowicie



część ludzi wyczuwa wyraźnie zmianę kursu; nie mówię konkretnie o nikim z tu obecnych, ale nie chciałbym należeć do organizacji, w której moim kolegą jest ktoś, kto postępował niegodnie wobec innych członków Stowarzyszenia, bądź wobec własnego zawodu. (...)

Danuta Kaczanowska: Reprezentuję środowisko szczecińskie. W okresie przed 13 grudnia było to środowisko około 200-osobowe, z czego nie zweryfikowanych zostało ok. 50 osób i te 50 osób w większości do tej pory nie znajduje możliwości aktywnej pracy w zawodzie. Oczywiście, każdy sobie radził, jak mógł i na pytanie, z czego i jak żyć, każdy próbował odpowiedzieć i odpowiadał sam; tak, że przynajmniej te 50 osób przeszło ostry trening przedsiębiorczości. W związku z tym można przystępować do nowego etapu, powiedziałabym, z większym doświadczeniem. Część kolegów pootwierala własne przedsiębiorstwa, my z mężem żyjemy z gospodarstwa rolnego, inni koledzy z zakładów betoniarskich, z pracy ekspedienckiej, itd. Ale to tylko tak na marginesie.

Jak jednak wobec tego wyglądają dziś w Szczecinie oficjalne mass-media? Otóż tu dopiero przedstawia się pełny obraz skutków weryfikacji, bo trzeba przypomnieć kolegom, że weryfikacja miała swe ostrze, wymierzone nie tylko w kolegów, którzy stracili pracę, ale przede wszystkim miała swój bardzo, powiedziałabym, „dyscyplinujący” wpływ na kolegów, którzy w zawodzie pozostali. Jest to sprawa nie do przecenienia. Przede wszystkim myślę o prasie terenowej, gdzie, proszę sobie uświadomić, wybór warsztatu pracy był bardzo ograniczony i zweryfikowanie lub nie zweryfikowanie stawało się sprawą gardłową dla całej rodziny. W związku z tym ta część osób, która pozostała w zawodzie, została odpowiednio przetrenowana w określonym kierunku i teraz mamy to, co mamy - mamy prasę terenową i ośrodki TV w terenie, takie, jakie mamy. Przykładem niech będzie Szczecin, gdzie realizowanie tego o czym wspominał prezes Bratkowski, a więc prawa społeczeństwa do informacji, jest praktycznie dziś niemożliwe. Głównym środkiem informacji dla ogółu społeczeństwa nie są bowiem tygodniki, które zaczynają pokazywać, że można jednak korzystać z okresu liberalizacji, ale większość osób w terenie nie sięga ani po „Konfrontacje” ani po „Reportera”, ani po „Tygodnik Kulturalny”. Głównym nośnikiem informacji jest dla ogółu gazeta codzienna, która pozostaje organem KW PZPR i niczym innym. Są też półgodzinne, codzienne, lokalne audycje telewizyjne, w których rola dziennikarzy sprowadza się, jak mówi nasz kolega, były zresztą dyrektor szczecińskiego ośrodka TV, niezweryfikowany Władysław Daniszewski, do trzymania mikrofonu, który się podsuwa temu, kto wyrazi na to ochotę i podda się jeszcze określonym wymaganiom. To zaś, co zamieszcza codzienna prasa miejscowa, ogranicza się właściwie wyłącznie do przedruków. Proszę przeanalizować którąś z gazet terenowych i zwrócić uwagę, jaki w niej jest procent własnego materiału publicystycznego. Czym czas robi się bardziej gorący i trzeba wypowiadać się na temat określonych spraw, tym szerzej sięga się do materiałów agencyjnych.

Otóż dochodząc do wniosku, że jednak społeczne prawo do informowania jest w terenie realizowane głównie przez gazetę

codzienną i że jest to po prostu nie do zrealizowania przy utrzymaniu monopolu RSW "Prasa", grono kolegów ze Szczecina zaczęło się przymierzać do wydawania własnej, prywatnej gazety codziennej. Jednak doświadczenia w tej mierze, w tej chwili przynajmniej, są właściwie żadne. Próbowaliśmy się orientować, rozsyłaliśmy wici po kraju, lecz odzew był niewielki. Jeśli już, to koledzy zainteresowani są tygodnikami, periodykami, kwartalnikami, którymi rynek i tak jest już nasycony.

Podchodząc z kolei do całego zagadnienia od strony biznesowej, oczywiście, sprawa pod względem finansowym i organizacyjnym jest w przypadku gazety codziennej nieporównywalnie trudniejsza, niż w przypadku tygodnika czy periodyku, choć jest, naszym zdaniem, do ugrzyzienia. Trudniejsze są inne bariery. To, na co myśmy się natknęli, to przede wszystkim monopol papieru, ale odłożmy to sobie na bok, bo musi się to w jakiś sposób rozwiązać. Pozostają inne sprawy. Monopol kolportażu, co przy codziennej prasie jest sprawą gardłową. I trzecia sprawa, monopol informacji agencyjnych. Jak powstanie gazeta codzienna, musi też być niezależna agencja informacyjna. My o tym myślimy i zachęcam was do współmyślenia. Myślę, że złamanie monopolu właśnie w ten sposób, najbardziej praktyczny, jest konkretnym złamaniem monopolu. Kole-dziej, myślimy o stworzeniu sobie warsztatów pracy własnymi rękami i z korzyścią dla interesu społecznego.

Zwrócę uwagę na jeszcze jeden fakt. Proszę nie przeceniać zasięgu informacji, która dociera do społeczeństwa przez tak zwany drugi obieg. Jest to w gruncie rzeczy manufaktura. Nie rozwiązane są procesy kolportażowe. W Szczecinie wychodzą aktualnie następujące tytuły prasy podziemnej: "Obraz", dosyć poważny miesięcznik, wychodzący od początku stanu wojennego; "Bis" reprezentujący środowisko międzyuczelniane, akademickie - też od początku wychodzi; "Grot" stoczniowy - również od początku; "Kurier międzystrajkowy" - związany z ostatnimi strajkami; "Ar" - pismo chłopskie, rolnicze wychodzące nieregularnie od 4-5 lat, ale też od początku stanu wojennego. I wreszcie "Jedność", ukazująca się po 13 grudnia sporadycznie, nawiązująca tytułem do "Jedności", która wychodziła legalnie w okresie "Solidarności". Ale wszystkie te tytuły docierają z informacją do ograniczonych środowisk, co jest zresztą zrozumiałe. Proszę więc nie liczyć, że drugi obieg plus tygodniki pierwszego, korzystające z chwilowej być może liberalizacji, w sposób znaczący rozszerzą dopływ informacji do społeczeństwa.

Krystyna Mokrosińska: Chciałabym kolegom przypomnieć list, który być może nie dotarł do wszystkich, a był podpisany 22 października 1981 r. Był to list otwarty do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i zaczynał się od słów: "My przedstawiciele organizacji społecznych i politycznych działających w Komitecie Polskiego Radia i Telewizji" itd. - domagający się poddania Radiokomiteu pod kontrolę społeczną. Zebrała się wówczas sejmowa Komisja Kultury, która miała w tej sprawie zająć jakieś stanowisko i odbyło się nawet pierwsze przesłuchanie panów bossów radiowych i telewizyjnych. Potem przyszedł 13 grudnia i większość osób, które podpisały ten list,

natychmiast wyleciała z telewizji, dwie z nich przebywają w tej chwili za granicą.

Skoro mówimy dziś o środkach masowego przekazu, wydaje mi się, że nie przecenimy źle roli, jaką odgrywa telewizja i w związku z tym, nie czekając na to, czy zarejestrują czy też nie zarejestrują SDP, proponuję, abyśmy byli inicjatorami listu otwartego, który, jak sądzę, chętnie też podpiszą inne środowiska - a mam potwierdzenie takiej woli ze środowiska naukowego i środowiska akademickiego, a także z niektórych wolskich środowisk robotniczych. Zgłaszam więc konkretny wniosek, abyśmy - opierając się na tamtym dawnym liście, który był przecież przez Komisję Kultury poprzedniego Sejmu rozpatrywany - zainicjowali otwarty list w sprawie uspołecznienia radia i telewizji.

Tak się ostatnio złożyło, że grzebałam w materiałach Sejmu Czteroletniego i wprowadziłam tekst, który znalazłam, dotyczy wojska, ale wydaje mi się, że rola telewizji jest w tej chwili równie strategiczna; tekst ten brzmiał mianowicie: "żeby całej ojczyźnie, a nie komuś w ojczyźnie służyło".

**Bohdan Rudnicki:** Chciałem zabrać głos nie tylko jako członek Rady Stowarzyszenia, bo za takiego uważam się do dzisiaj, ale przede wszystkim jako przedstawiciel miasta, o którym tu dzisiaj nie wspomniano w ogóle, bo trudno było je wspomnieć, kiedy dobierano przedstawicieli różnych środowisk z poszczególnych miast do Komisji Wnioskowej. Po prostu chciałem do was przemówić jako wilnianin (oklaski - gromkie). Nie będzie to zresztą przemówienie. To będzie po prostu krzyk rozpaczy. Mam tytuł moralny i prawny przemawiania do was dlatego, że byłem członkiem ostatniego Prezydium Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu im. S.Batorego w Wilnie i członkiem wileńskiego AK oraz długoletnim więźniem politycznym. Jestem także jednym z ostatnich kilkunastu żyjących członków kontynuacji Stowarzyszenia Filomatów i Filaretów wileńskich. Żyje nas jeszcze w świecie kilkunastu, a w Polsce - kilku. Posłuchajcie głosu muzealnego, można powiedzieć, obiektu, bo raz jeszcze powtarzam, będzie to krzyk rozpaczy. Na terenie całego Związku Radzieckiego istnieje w tej chwili jedno jedyne pismo codzienne w języku polskim wileński "Czerwony Sztandar". Nie chcę zaszkodzić temu "Czerwonemu Sztandarowi" więc nie powiem, że powinien on się nazywać "Biało-Czerwony Sztandar", bo takim jest dzisiaj rzeczywistość. Jest to najważniejsze pismo, jakie można dostać w Polsce, jeśli chodzi o poruszaną tematykę i problemy, poza tym, jedyne pismo, które rzeczywiście otwarcie broni interesów ludności polskiej na terenie ZSRR.

Po wojnie spisano na straty wizję wielkiej Polski morskiej w koncepcji Eugeniusza Kwiatkowskiego. Spisano na straty sprawy autochtonów, Opolan, Mazurów, Warmiaków, Słowiców, ludzi, od których ja - będący wówczas inspektorem Ministerstwa Ziemi Odzyskanych - przyjmowałem deklaracje wierności na rzecz Rzeczypospolitej Polskiej, a z których - jak na przykład ze Słowiców pomorskich - nie pozostał już w Polsce ani jeden człowiek. To

---

\* "Czerwony Sztandar" można w Polsce dostać drogą prenumeraty oraz w Klubach Międzynarodowej Książki i Prasy. (przyp.red.).

Wszystko zostało spisane na straty. W dużym stopniu spisana została na straty Polonia Amerykańska, bo też jakie my mamy z tą Polonią, no nie my, ale PRL, ma z tą Polonią Amerykańską kontakty; prawie żadne.

Została jeszcze, nie Polonia, ale rodzima ludność Litwy, Białorusi i Ukrainy, też ciągle temat tabu. Przed kilkoma dniami obchodzona była rocznica 70-ciolecia radzieckiej Białorusi. Wysłano mnóstwo komplementacyjnych pism w tej sprawie do Moskwy i do Mińska, ale w żadnym z tych pism, w żadnej deklaracji, przynajmniej z tych, które czytaliśmy w prasie PRL, nie było ani słowa o polskiej ludności na terenie Białorusi. Według oficjalnych danych żyje tam około 450 tys. Polaków, a według danych nieoficjalnych, ponad milion. Tymczasem na Białorusi nie ma ani jednej szkoły polskiej, ani jednej! Kościoły, te bardzo nieliczne, też uważane są za kościoły białoruskie, aczkolwiek nieliczni starzy księża, którzy te kościoły obsługują, prowadzą oczywiście nabożeństwa w języku polskim. Dodajmy, że na Białorusi nie ma też prawie szkół białoruskich; w zasadzie są tylko rosyjskie.

Ale chcę przejść do spraw litewskich. Otóż na Litwie jest jeszcze inaczej, mianowicie jest tam - według oficjalnych danych ok. 300 tys. Polaków, zaś według naszych, nieoficjalnych danych, przynajmniej dwa razy tyle, licząc Litwę wileńską i Litwę kowieńską. Jest tam - jak już mówiłem - tylko jedno jedyne pismo, ale chwala Bogu, że ono w ogóle jest. Pismo to boryka się z ogromnymi trudnościami; Litwini ciągle zarzucają "Czerwonemu Sztandarowi", który jest skądinąd oficjalnym organem Komunistycznej Partii Litwy, redagowanym w języku polskim, szowinizm, imperializm polski i wiele, wiele innych rzeczy. I pismo to jest pozostawione samo sobie. Owszem, pisują tam teraz poszczególni nasi rodacy z Polski, ale zwykle są to jakieś listy komplementacyjne, w których wiele się mówi o tradycyjnej przyjaźni polsko-litewskiej, nie bacząc wcale na to, że litewski "Sajudis" - ten ruch na rzecz przebudowy - jest ruchem, co tu dużo mówić, szowinistycznym. Przecież stoi on na stanowisku, że na Litwie nie ma Polaków, że są tylko spolonizowani Litwini. Mówi to i kler litewski, i mówią to władze litewskie. Dalej, delegacja "Sajudisu" przyjeżdża do Warszawy i świeżo powstały w stolicy Klub Miłośników Litwy przyjmuje ją z honorami i gładko przełyka pigułkę, jaką zaaplikował pan Landsbergis, przedstawiciel tego ruchu, który orzekł, że jakiegokolwiek ingerowanie w sprawy ludności polskiej na Litwie jest ingerencją w wewnętrzne sprawy Litwy i że on sobie tego nie życzy. A pan prof. Jarema Maciszewski w wywiadzie dla "Czerwonego Sztandaru" pozwala sobie stwierdzić, że krok radziecki dnia 17 września był krokiem całkowicie słusznym! Zaś pan prof. Łosowski którego skądinąd bardzo cenię za jego różne prace na tematy litewskie, ostatnio, na zebraniu Klubu Miłośników Litwy, wypowiedział się w tym duchu, że unia polsko-litewska była błędem politycznym. Powstałe mnóstwo stowarzyszeń społeczno-kulturalnych na Litwie, Białorusi i Ukrainie, ale polskie grupki są bardzo nieliczne, bardzo niesmiałe i bardzo zastraszone. W grupkach tych niewiele już osób mówi prawidłowo po polsku, ponieważ od 40 lat byli oni pozbawieni polskich szkół, a jeśli takowe, jak na Litwie, istniały, zmniejszając się zresztą z każdym rokiem,



to nie dawały żadnych praw wstępowania na uczelnie czy do seminariów duchownych itd. Wobec tego Polacy litewscy wybierają raczej szkoły rosyjskie, nawet nie litewskie, i się po prostu ruszczą. Zwiększa się ilość szkół rosyjskich na Litwie, na niekorzyść szkół polskich, a przy tym tworzy się absurdalny front polsko-rosyjski, przeciwko szowinizmowi litewskiemu.

Dlaczego o tym wszystkim mówię? Dlatego, że w nawale, w inflacji tych nowych stowarzyszeń, tutaj, w Polsce powstających - by wymienić tylko Klub Miłośników Litwy, Klub Miłośników Wilna i Grodna w Białymstoku, Klub Miłośników Wilna i Wileńszczyzny w Toruniu - nie ma jeszcze ludzi kompetentnych i na tyle odważnych, by wyrazić głośne poparcie dla tego jedynego pisma w języku polskim w Wilnie, by przyjąć je do naszej społeczności. Dziennikarze tego pisma przyjeżdżają często do Polski i żalą się, mnie się żalili osobiście, że owszem, dostają mnóstwo listów z Polski, ale są to listy, jak mówią "kaskoczące" Litwinów, podlizujące się im, nie biorące w opiekę społeczności polskiej, która cierpi na Litwie na skutek różnych szowinistycznych wybryków litewskich. Natomiast na Białorusi i na Ukrainie w ogóle nie ma prawa głosu.

Jeśli chodzi o Białoruś, sytuacja wygląda tam w ten sposób, że zaraz po wojnie, kiedy przeprowadzano "porządkowanie" obywatelstwa miejscowej społeczności, wpisywano ludziom po prostu, czy chcieli tego, czy nie chcieli - narodowość: białoruska. Niebawem przeprowadzony będzie w ZSRR spis powszechny ludności i trzeba, żeby ci ludzie poczuli wreszcie poparcie z naszej strony, żeby mieli świadomość, iż 38 mln Polaków - którzy chwalą w tej chwili Węgry za ich odwagę występowania w obronie praw mniejszości węgierskiej w Rumunii, którzy popierają walkę mudzaheddinów w Afganistanie, którzy żalą się nad losem Armeni, którzy wreszcie popierają palestyńskie pretensje do niepodległości - że ten 38-milionowy naród i nasze liczne grono dziennikarskie weźmie odważnie ich w obronę, tych naszych rodaków, zza kordonu. Nie wiem, jaki mam postawić wniosek, lecz proszę, aby w naszych, uchwałach i rezolucjach, znalazło się jakieś miejsce, jakieś słowo, na rzecz tych ludzi, żeby poczuli, że mają za sobą naszą siłę moralną, nasze poparcie.

Andrzej Krzysztof Wróblewski: Wypłyneła tutaj sprawa dosyć, jak mi się wydaje, istotna dla naszej etyki, dla naszej taktyki, może nawet strategii - czy występować w telewizji, czy nie, a może szerzej: na ile jesteśmy dla siebie, na ile dla innych i na ile powinniśmy z innymi i w jakie wchodzić układy.

Zabieram głos na ten temat nie tylko dlatego, że jestem jednym z niewielu, a może i jedynym na tej sali, który kilka razy w telewizji wystąpił, ale dlatego, aby przedstawić mój pogląd, który wiąże się z tym oczywiście, na tę sprawę. Otóż w gronie, które przygotowywało nasze dzisiejsze spotkanie, zaliczam się zdecydowanie do "gołębi", do ludzi bardziej pojednawczych, a być może nawet niektórych koledzy-"jastrzębie" zaliczyliby mnie do kapitulantów. Przyznam się też, że wysunąłem projekt, aby na tę naszą dzisiejszą sesję wysłać kurtuazyjne zaproszenie do SD PRL, ale byłem w mniejszości i to się nie stało. Chcę jednak uzasadnić zarówno ten odrzucony wniosek,



jak i tę sprawę telewizyjną. Otóż uważam, że można rozumować w kategoriach symetrii - że jak oni nam tak, to my im tak samo. SD PRL nie jest ani moim, ani nikogo z tu obecnych stowarzyszeniem, i jest to pewnym faktem. Podobnie nie ma symetrii z telewizją. Telewizja jest tylko jedna i uważam, że chociaż były okresy kiedy należało zdecydowanie trzymać się z daleka od telewizji, czy wszystkiego telewizjo-podobnego, a więc także i od tych bardziej oficjalnych, namaszczonech pism, to uważam, że obecnie ten czas powoli mija. Zresztą referat Maćka Kłowieckiego i wypowiedź Krzysztofa Czabańskiego utwierdzają mnie w tym przekonaniu, dodając do moich, ale nie tylko moich potocznych obserwacji pewność, że w wielu domach po południu otwiera się telewizor i się w niego gapi. Jest to o wiele bardziej dominujący środek przekazu, aniżeli pisma podziemne, z którymi znacznie silniej sympatyzuję, ale których zasięg i wpływ na ludzi jest raczej ograniczony. Nie podejmuję się tutaj rozwijać tematu, jak długo należy czekać, a kiedy i na ile trzeba zrobić ustępstwo i uznać coś takiego, jak telewizję, za wartość ogólnonarodową, chociaż zawłaszczoną przez ludzi czy grupy rządzące. Jest to może kwestia wymagająca za każdym razem oddzielnej analizy.

Zdaje sobie oczywiście sprawę, że taka "kolaboracja" - że ją tak od razu nazwę - jest, po pierwsze, aktem pewnej nielojalności w stosunku do kolegów usuniętych kiedyś z radia i telewizji. Istnieje też problem, o którym mówił Giełżyński, że może to dodawać wiarygodności telewizji, jeżeli występują w niej osoby, którym, powiedzmy, choć brzmi to może trochę zarozumiale, ludzie byliby gotowi ufać bardziej, aniżeli Bronikowskiemu czy Falskiej. Ale możemy tak umrzeć w cncocie, izolując się od najbardziej popularnych środków przekazu i zejść ze sceny, mając historyczną rację. Byłem zadowolony, że wymieniono tutaj przykładowo, jako porządne, pisma, z którymi staram się współpracować, jak "Odra" czy "Tygodnik Kulturalny"; chcę jednak zwrócić uwagę, iż pisząc jedynie do tych pism, o stosunkowo niewielkim zasięgu, pogłębiając podział nie tylko wśród nas, dziennikarzy, bo to jest mniej ważne, ale wśród czytelników. Oznacza to, że będą jedni, którzy będą oglądali telewizję i czytali te gazety komitetów wojewódzkich, czy ogólnopolskie tuby propagandowe i stamtąd będą głównie czerpali swoją wiedzę o świecie i będą drudzy, nieliczni czytelnicy "Odry", "Tygodnika Kulturalnego" i prasy podziemnej, którzy będą zdecydowanie oddalali się od tych pierwszych. Dlatego, przyjmując to, o czym mówił Grzegorz Jaszunski o tym zwodniczym czarze telewizji, pamiętajmy, że ten czar niebezpieczny jest głównie nie dla dziennikarza, ale dla widza. Takie też były przesłanki mojej indywidualnej decyzji, żeby nie każde zaproszenie z telewizji odrzucać. I taki punkt widzenia chciałem kolegom przedstawić.

Pytanie z sali: Czy taki występ w telewizji jest honorowany?

Andrzej Krzysztof Wróblewski: Tak, jest honorowany.

\* \* \*

(Następnie, po pierwszej turze dyskusji, Jan Rogala - w imieniu Komisji Wnioskowej - przedstawił zebranym, projekt dwóch, ściśle wiążących się ze sobą dokumentów w sprawie przywrócenia do działalności Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Po wymianie uwag, oba dokumenty zostały przyjęte jednogłośnie w formie uchwał - a następnie, aż do końca drugiego dnia seminarium, były imiennie podpisywane. Zob. Dokumentacja - Uchwała nr I i Uchwała nr 2.

Po przerwie wznowiono obrady)

\* \* \*

Andrzej Roman: Proszę państwa, ta informacja nie ma tej rangi, co alarm przedstawiony przez red. Rudnickiego, ale myślę, że jest również istotna. Przekazuje ją, korzystając z chwili oczekiwania na kolejnego referenta. Otóż Półwysep Helski jest w przededniu rozszarpania go przez morskie fale. Były kiedyś jakies sygnały na ten temat w jednej, drugiej gazecie, w jakimś dodatku telewizyjnym. Natomiast tego, co się tam naprawdę dzieje, nie ma nawet w prasie lokalnej. Półwysep Helski jest przyrodniczym unikatem, który w każdym cywilizowanym państwie byłby chroniony. Półwysep jest już szalenie osłabiony, nitka długości 30 km, a szerokości 480 m. Czegoś takiego w ogóle w światowej przyrodzie nie ma. U nas, niestety, ze względu na budowę "na łapu capu" i pogłębienie portu we Władysławowie, półwyspu rokrocznie ubywa. Marnieje w oczach. W tym roku doszło niemal do katastrofy. Wydmy są porozszarpywane, znoszone. Nawet od strony zatoki, gdzie woda jest bardziej spokojna, widać bardzo intensywne zniszczenia. Otóż pragnę przekazać apel: 17 stycznia na Półwyspie Helskim, w Kuźnicy, odbędzie się zebranie załączonego tam społecznego Komitetu Samobrony Helu. Komitet jest społeczny dlatego, że wszelkie apele do władz i rozmaitych instytucji nie dają żadnych efektów. Idzie nam o to, żebyście koledzy, kto może i kto chce, zajęli się tą sprawą. Trzeba bić na alarm, dlatego, że to jest jedno z tych zagrożeń, na które można znaleźć sposoby. Na Hel tak dużo pieniędzy nie potrzeba.

## O MEDIACH I ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ

Stanisław Brodzki: Chciałbym powiedzieć parę słów na temat pewnej pracy, którą zrobiliśmy razem z Jurkiem Surdykowskim, na mocy mandatu nowo wybranego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w 1980 r. Jest to praca "O mediach i świadomości społecznej". Powinna się ona ukazać niebawem, jednak inspiracja tej pracy jest o wiele wcześniejsza. Były problemy z jej opublikowaniem, rzecz się bardzo opóźnia, ale nie z winy autorów, ani tego wydawnictwa, którego nakładem wkrótce się ukaze.

Kiedys DiP<sup>2</sup> rozpiisał ankietę na temat mediów. Napłynęło

"DiP - Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość", powołane do życia w drugiej połowie lat 70-tych przez grono niezależnych intelektualistów, aż do początku lat 80-tych przygotowało szereg raportów na temat najbardziej palących problemów społecznych i politycznych. Ostatnie ukazały się w stanie wojennym. (przyj. red.)

wówczas kilkadziesiąt odpowiedzi. Niedużo, ale był to już rok 1980, kiedy inne sprawy przykuwały uwagę społeczeństwa. Nowo wybrane władze SDP powołały własną Komisję do spraw Komunikacji Społecznej i nam powierzono opracowanie tak zwanego raportu. Gdzieś pod koniec 1981 roku mieliśmy przedstawić jego dokładne streszczenie - na Radzie SDP, zwołanej na 16 grudnia. Ci z kolegów, którzy tym wtedy się zajmowali, wiedzą, co się wydarzyło. Pozostał niepełny materiał, bo po zajęciu przez SB domu na Foksal część materiału pognała. Nie do wszystkiego mieliśmy potem dostęp. Tak, że z tego, co pozostało, zrobiliśmy coś, co już nie jest raportem, ale raczej materiałem do raportu o stanie komunikacji społecznej.

Nie będę tu, oczywiście, streszczał kilkusetstronicowej książki. Chcę natomiast powiedzieć o paru rzeczach, które być może okażą się interesujące. Pierwsza część naszego opracowania zajmuje się przemianami świadomości w latach przed-sierpniowych. Jest tam dość dużo tabel, ilustrujących korelację kilku zjawisk ze zbliżającą się katastrofą gospodarczą. Wiemy wszyscy, że w 1980 r. po raz pierwszy poziom dochodu narodowego spadł oficjalnie o blisko 10 punktów w porównaniu z rokiem poprzednim. To bardzo dużo. Ale jednocześnie pojawiło się coś, czego nie ma w statystykach - pewne przemiany w świadomości społecznej, w światopoglądzie nowych generacji pracujących. Doszła, zwłaszcza w nowych zakładach, nowa, młoda warstwa ludzi, nie mającyn za sobą ani wojny, ani traumy lat stalinowskich i ZMP. A przy tym warstwa dobrze wykształcona. Przyczołże tu liczbę mało znaną, że w roku 1980 procent ludzi z wyższym i średnim wykształceniem w działach przemysłowych, z wyjątkiem handlu i z wyjątkiem wsi, dochodził do 40. Jest to dość duży odsetek. Ta młoda, wykształcona kadra robotnicza miała trochę inne podejście do wielu spraw niż ich poprzednicy. Co więcej, miała ona również inną, własną hierarchię wartości. Był to znaczny wzrost religijności (niewątpliwie nie bez wpływu pozostawał tu wybór polskiego papieża), nawrót do pewnych wartości tradycyjnych, jak naród czy rodzina oraz znacznie większe zainteresowanie dla takich wartości, jak prawa ludzkie, prawa obywatelskie, godność itd. To były jak gdyby ingrediencje ideologiczne, które się nałożyły na sytuację gospodarczą, tworząc nową jakość, te wszystkie czynniki, z których powstał Sierpień. Niemniej, jeszcze przed Sierpniem, w lipcu, ale również i później, niemało było jeszcze w społeczeństwie złudzeń. Czynione były wtedy ankietyowe badania na temat stopnia zaufania do różnych instytucji. No i, oczywiście, na pierwszym miejscu był Kościół - 60% z groszami (cytuje z pamięci, więc może to nie być całkiem dokładne), na drugim miejscu "Solidarność" - też powyżej 60%, a na trzecim miejscu wojsko - 57%, na czwartym Sejm, a na piątym uplasowało się nawet SD. Dla porównania KC miało 6%, a MO 3,5%. Nie mówię o pewnych instytucjach, które jak gdyby w ogóle nie istniały, aczkolwiek w gazetach było o nich pełno. Trudno o większy rozdźwięk pomiędzy tym, co się w trakcie rozwoju PRL, w prasie legalnej preparuje, a tym, co jest naprawdę. Ale, jak widać, złudzenia były jeszcze wtedy dość duże, przynajmniej co do dwóch instytucji, które, jak miała wykazać już bliska przyszłość, całkiem inaczej od oczekiwań się zachowały.

Po sierpniu umocniły się te tendencje w świadomości społecznej, o których była przed chwilą mowa, a osłabiły te, które były w odwrocie już w okresie przedsierpniowym. Nie będę się zajmował całym tym okresem szesnastu miesięcy, bo jest on znany a i nie ma na to czasu. Chciałbym tylko znowu przytoczyć pewne charakterystyczne dane. Otóż, tuż przed stanem wojennym, na przełomie listopada i grudnia, prowadzone były badania przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN na temat jednego generalnego pytania: Czy jesteś za, czy jesteś przeciw takim czy innym propozycjom. Otóż: Czy jesteś za, czy jesteś przeciw czasowemu zawieszeniu strajków? Odpowiedzi "za" i "przeciw" była mniej więcej równa liczba - 46-47%. To samo dotyczyło czasowego zawieszenia wolnych sobót - 46-48%. Natomiast zdecydowana większość była przeciwko wszelkim rozwiązaniom siłowym. Przeciwko upoważnieniu MO do energiczniejszej akcji było 83%, a za - ok. 10%, reszta niezdecydowanych. To samo dotyczyło wojska. Dla równowagi należy dodać, że pytania odnośnie ewentualnych gwałtowniejszych akcji "Solidarności" też spotykały się ze sprzeciwem. A więc był duży sprzeciw przeciwko blokadzie komunikacji czy przeciwko okupacji budynków. Zbiegło się to z ciekawą statystyką poparcia dla strajków. Jeżeli w roku 1980 było 80% poparcia, jeżeli jeszcze po strajku bydgoskim było 87%, to już ten strajk z października '81 miał tylko czterdzieści kilka procent poparcia. Z tego wynika jasno, że społeczeństwo w ogromnej swej masie było przeciwko wszelkim rozwiązaniom siłowym czy radykalnym. Ale władza odczytała to odwrotnie - że przeciwnik słabnie, że słabnie poparcie dla niego. Wobec tego jakaś grupa podejmująca decyzje doszła do przekonania, że należy uderzyć - z wiadomym skutkiem.

Jak wiadomo, stan wojenny był, jeszcze jest tłumaczony jako mniejsze zło. Istotnie, mając do wyboru Armię Czerwoną, czy Wojsko Polskie, sądzę, że nawet wśród obecnych wybór byłby dość jednoznaczny. Poparł tę tezę zresztą i płk. Kukliński - że do takiego wniosku doszli też w Waszyngtonie. Niemniej wydaje mi się, i tak nam się wydawało podczas naszej pracy, że jest to prawda niepełna. Wydaje się również, że mylnie było odczytanie tych danych przez władzę - że przeciwnik słabnie, wobec tego należy uderzyć. O tym uderzeniu wiemy dość dużo, wszyscy pamiętamy, jak się przełamało, jeżeli chodzi o sprawę, które nas interesują. Nie będę mówił tu o weryfikacji, o rozwiązaniu SDP, o represjach wobec dziennikarzy, o tym inni koledzy będą jeszcze mówić. Chciałbym natomiast poruszyć jeden aspekt, może mniej znany: Z jakim bagażem rządząca grupa wojskowa podeszła do społeczeństwa, z jakim bagażem propagandowym, ideowym itp.

Pomijam tu ten pierwszy okres pełnej izolacji społecznej, izolacji technicznej, bo nie działały ani telefony, ani wyjazdy, ani nic, zamknięte były gazety, czasopisma itd. Zaraz po tym zaczął się inny okres, na szczęście też nie tak bardzo długi, kiedy w uruchamianych mass-mediach dominowała brutalna propaganda, nie zaś informacja. Wyciągnięto wtedy z muzeum paleontologicznego wszelkiego rodzaju troglodytów i pterodaktyle, diabli wiedzą co, przepraszam za wyrażenie. Nagle na ekranach telewizorów pojawili się ludzie, o których można było sądzić, że już ich dawno nie ma. I podjęli nieprzerwany ogień artyleryjski przeciwko wszystkiemu, co było, powiedzmy sobie, trochę bardziej postępowe od - bo ja wiem - Ludwika XVI. Nie chcę wy-



mieniać nazwisk, bo ostatecznie nie o nie tu chodzi, ale o metodę. Zresztą nie wszystko z tego okresu umarło. Jeszcze dzisiaj niektóre gazety mają swoje szpalty nienawiści; codziennie można wyczytać, piórem tego czy innego naszego kolegi po fachu, takie czy inne opluwanie ad personam, czy atakowanie ludzi, którzy nie mogą się bronić. Po prostu widać, że ten moloch oficjalnej propagandy ciągle musi mieć swoje ofiary.

Ale była też druga strona medalu. Polegała ona na próbie zasugerowania społeczeństwu nowej skali wartości pozytywnych, z którymi ta junta niby wystąpiła. Oto one. Pierwsze, to takie polskie objaśnienie "Law and order", czyli ład i porządek. Wojsko ma czyste ręce, wojsko lubi porządek, gdyż koc musi być złożony w kostkę, wiadomo. Wobec tego, jak wojsko weźmie władzę, to cały ten bałagan wreszcie się skończy. Dowodem tego miało być bardzo sprawne przeprowadzenie puczu z 13 grudnia. Trzeba przyznać obiektywnie, że był on istotnie bardzo sprawnie przeprowadzony. Ale wszyscy ci, którzy przeżyli ten okres i przypatrzyli się uważnie, wiedzą doskonale, że podobnego bałaganu, jaki wkrótce wprowadzili wojskowi komisarze w całej Polsce, dawno nie było. Mimo że na zewnątrz wyglądało, iż dyktatura proletariatu została zastąpiona przez dyktaturę militariatu. Mieliliśmy więc sekretarzy wojewódzkich wojskowych, i wojewodów, i przewodniczących rad, i ministrów, i kierowników wydziału KC - wszystko wojskowi, ale ani ładu, ani porządku jakoś to nie zwiększyło. Zresztą i to nie skończyło się całkiem, jeszcze do dzisiaj mamy tego ślady.

Drugi zespół idei, rzucony 13 grudnia, były to 3 P: państwo, praca organiczna, populizm. Państwo było pierwsze. Zostało to przyjęte z lat 30-tych, z okresu sanacyjnego. Nagle wszystko, co państwowotwórcze stało się dobre, chociaż było wyśmiewane przez całe lata, zaś wszelka działalność opozycyjna stała się antypaństwowa. Jest to, oczywiście, nonsens. Antypaństwowy jest ten, kto chciałby tę Polskę sprzedać i przenieść na przykład na Tahiti. Jeżeli komś nie podoba się rząd, to jest on antyrządowy, nie antypaństwowy. Ktoś to przed wojną wymyślił w ówczesnym MSW, ktoś po wojnie kupił i tak zrodziły się kategorie działalności propaństwowej i antypaństwowej.

Drugim elementem była praca organiczna. Jej dzisiejszą wersją jest hasło "Nie ważne skąd kto przychodzi, ważne dokąd idzie". Jednym słowem ważne jest dobro Ojczyzny, trzeba dobrze pracować...

No i trzeci element - populizm. To znaczy - huzia na spekulantów, na prywatną inicjatywę, na burżujów. Jeżeli ktoś z państwa ma cierpliwość czytania sprawozdań z plenum, nie ma takich obrad, bez względu na temat (może to być np. o hodowli kur), na których nie wystąpiłoby kilku mówców pod rząd i nie mówiło, że nieszczęściem Polski są butikki, bazyry, prywatniacze itd. Na ten okres przychodzą też próby przeforsowania ustaw, których nie udało się przepchnąć w minionych latach, np. o pasożytach.

Inną ideą, którą próbowano nam sprzedać, długo to zresztą nie trwało, ale próbowano, była teza, że Zachód nas, Polaków, zawiódł. A Wschód nas popiera. Wobec tego przeorientujemy



całą naszą gospodarkę na Wschód i będziemy mieli Eldorado. Pamiętamy jak to wyglądało w latach 1982-1983, kiedy rzeczywiście były robione tego rodzaju próby. Na szczęście z nich też nic nie wyszło.

Tak mniej więcej wyglądała propaganda tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, z pominięciem tych wszystkich rzeczy, o których będą mówili inni koledzy. Stwierdzić jeszcze tylko, że jej efekt świadomościowy był stosunkowo mizerny. Otóż w 1982 r., o dziwo, w Akademii Nauk Społecznych KC PZPR, przeprowadzono sondaż wśród około 4 tys. robotników z 45 województw. Wynik był dość jednoznaczny. 79% uważało, że "Solidarność" dobrze się zasłużyła krajowi, zaś 72% stwierdziło, że stan wojenny był nieporozumieniem. I myślę, że dzisiaj te procenty byłyby takie same.

Jacek Maziarzski: Mam tu przedstawić oficjalny system środków masowego przekazu w latach 80-tych, ale gdy się tak przez moment zastanowię, przytomniłem sobie, że właściwie samo sformułowanie tematu jest wątpliwe. O ile bowiem na początku lat 80-tych, w roku 1980, mogliśmy mówić o systemie oficjalnym, to dzisiaj ten kontrolowany, oficjalny system jest już tylko cząstką, wycinkiem, w pluralistycznym obiegu komunikacji społecznej. Nie jest on już jedyny, ani monopolistyczny, co każde patrzeć na całą sprawę całkiem inaczej. W roku 1989 mamy do czynienia z takim dziwnym tworem, na który składają się pisma oficjalne, półoficjalne, nieoficjalne, podziemne, włącza się w to także obieg zagraniczny, prasa kościelna, dochodzą także nowe możliwości, to znaczy obieg wideo, no i stojący tuż za progiem przekaz satelitarny, który jest kwestią najbliższych miesięcy. Zresztą i ten cały oficjalny segment też wygląda dziś inaczej, niż 10 lat temu, co najlepiej widać choćby w kioskach "Ruchu". To, co leży tam na ladach, nie jest podobne do tego, co leżało 10 lat temu. Jest to przede wszystkim bardziej skomercjalizowane, pisma szukają luk rynkowych; jest też mniej nasycone ideologią i na pewno nie przypomina klasycznego modelu stalinowskiego, nawet w jego gierkowskiej wersji. Myślę więc, że chcąc mówić o latach 80-tych, trzeba zdać sobie sprawę, że był to okres chyba najbardziej burzliwych przemian w systemie komunikowania społecznego i wyróżniłbym trzy jego dramatyczne różne etapy.

Etap pierwszy - to szesnaście miesięcy "Solidarności", etap drugi lata 1982-86 i etap trzeci, który zaczął się gdzieś ok. 1986 roku, trwa do dzisiaj i jest jeszcze daleki od swojego ostatecznego uformowania się. Co do etapu pierwszego mogę powiedzieć tylko tyle, że przypominał on najbardziej chyba odwilż praską, wiosnę 1968 r. - przekształcał się sam system, bez powstawania w zasadzie nowych tytułów. Bo jeśli nawet powstał Tygodnik "Solidarność", czy Kościół dostał koncesję na niektóre tytuły, z których przeważnie nie zdażył w tym czasie zrobić użytku, to wszystko to nie zmieniło zasadniczego zrebu, którym była po dawnemu "Trybuna Ludu", i "Kultura", i "Polityka" i wszystkie te pisma oficjalne. Ale też one właśnie ewoluowały. Czyli zmiany czeskie w 1968 r. i zmiany polskie w roku 1980/81 sprowadzały się do tego, że ewolucja odbywała się w obrębie systemu, a to, co się dopiero zaczynało na jego peryferiach, a więc powstawanie pism niezależnych, czy tworzenie się nowych

tytułów, jak Tygodnik "Solidarność", czy zapowiadany Tygodnik "Mazowsze", bądź "Samorząd", w którym miałem pracować, wszystko to było melodią przyszłości. Ten stary system ujawnił więc nieoczekiwane możliwości; przekształcające się zespoły zaczęły mówić własnym głosem, czego nikt się nie spodziewał i nawet pisma ciężko obciążone, pozbawione kredytu zaufania, dość szybko to zaufanie odzyskiwały. Dotyczy to zarówno "Życia Warszawy", "Słowa Powszechnego", "Kurieru Polskiego", a nawet i gazet wojewódzkich, czego klasycznym przykładem może być "Gazeta Krakowska", która urosła do rangi liczącego się w skali kraju pisma, darzonego społecznym zaufaniem. Przypomina to poniekąd obecną sytuację w Związku Radzieckim, w gruncie rzeczy taki sam jest mechanizm "głośności". Przekształca się system, tak jak go przejęto; nowe zjawiska, jeśli powstają, to na razie tkwią na peryferiach.

Przechodzę teraz do etapu drugiego. Mamy stan wojenny. Tutaj granica jest widoczna, jest to 13 grudnia 1981 roku. Do czego sprowadzałyby się przemiany systemu masowego komunikowania w Polsce w tym czasie? Po prostu partia chciała przywrócić stan pełnej kontroli, który utraciła w roku 1980-81, nad instrumentami propagandy. I przywrócenie tej kontroli było oczywiście możliwe, tylko, że wymagało zapłacenia niesłychanie wysokiej ceny. Tą ceną była utrata wiarygodności. Można było mieć pełną kontrolę nad środkami przekazu, ale wówczas proporcjonalnie do odzyskiwania tej kontroli znikała wiarygodność. Myślę, że był to okres chyba najniższej wiarygodności środków masowego przekazu w całych dziejach prasy komunistycznej, w całych dziejach PRL. Tak intensywnego braku zaufania do środków masowego przekazu nigdy nie odnotowano, przy czym czasem przyjmowało to charakter manifestacyjny. Myślę np. o spacerach w czasie DTV, o akcjach bojkotu gazet w niektóre dni tygodnia czy rozrzucaniu gazet po ulicach. Przyjmowało to po prostu wyraz zbiorowego protestu. Nie sprowadzało się tylko do nie odbierania informacji i propagandy, ale miało także charakter manifestacji. Na tę wysoką cenę operacji grudniowej złożyła się także czystka w środowisku dziennikarskim, która wyrzuciła poza obręb zawodu, nie ma się co oszukiwać, właśnie tych, do których czytelnicy mieli zaufanie. Partia, czy też dysponenti propagandy, bardzo szybko, bo już po kilku miesiącach, zorientowali się, że jest to, w tym punkcie, cena zbyt wygórowana. I wtedy pojawiły się próby namawiania ludzi do powrotu, ale okazało się, że jest to już niewykonalne, że ci ludzie odeszli na stałe, że tej luki, z ich pomocą, nie da się z pewnością zapełnić. Ludzie ci uczestniczyli w wieloletnim bojkocie, o którym już dzisiaj mówiliśmy, zastanawiając się, co z nim dalej zrobić i - co jeszcze ważniejsze - w jakimś stopniu zasilili kadrowo "drugi obieg".

Oczywiście, z naszego punktu widzenia rzuca się w oczy, że był to okres wyjątkowej agresywności, bezczelności tej propagandy i jej prymitywizmu. Wydaje się, że to właśnie określało oblicze czterolecia 1982-86 - środki propagandy masowej, zwłaszcza TV i prasa, miały obezwładniać, dezintegrować, osłabiać więzi społeczne, burzyć wartości, pompować strach i upokarzać ludzi, wytwarzając frustrację i bezsilność.

Myślę jednak, że nie to, z perspektywy czasu, z perspektywy historyka prasy, będzie najważniejsze. O wiele istotniejszy

wyduje mi się fakt, że w tym samym czasie wytworzone zostały w Polsce niezależne obiegі, że te zjawiska, które wcześniej istniały jedynie w formie załączkowej - jakichś pism rozchodzących się w bardzo niskich, elitarnych nakładach, albo jednostkowych, wyjątkowych zjawisk jak "Tygodnik Powszechny" - w tych najcięższych latach upowszechniły się i stały się czynnikiem poważnie ważącym na stopniu poinformowania społeczeństwa, na kształcie dziennikarstwa, na przyszłości jego kadr i na wielu innych sprawach; także na tym, że dziś zbieramy się tu w takim gronie, w dobrym zdrowiu i z niezłymi perspektywami na przyszłość. Myślę więc, że przemiany lat 1982-86, oglądane spokojniej i z dystansu czasu, mocniej ukazą tę swoją stronę pozytywną, niż to, co było najbardziej wulgarne, agresywne, brutalne, co najmocniej rzucało się w oczy.

W ogóle czeka nas jeszcze wiele przewartościowań i trudnych niekiedy operacji. Czeką nas na przykład nieuchronna i wymagająca bardzo wiele wrażliwości, operacja rozliczenia tego okresu, który był okresem hanby dla prasy oficjalnej. Nie ma takiej siły, która by to rozliczenie mogła cinać, bo przecież społeczeństwo pamięta, kto kłamał, kto brał udział w haniebnych nagonkach, jakie nazwiska szczególnie się tu wyróżniły. Tu nie trzeba sporządzać żadnej czarnej listy, ta czarna lista w gruncie rzeczy już istnieje, już funkcjonuje; jest tylko kwestią czasu, kiedy ujawni się ona w formie jakiegoś ostracyzmu, podobnie jak ostracyzm, który objął ludzi z prasy okresu stalinowskiego, czy prasy marcowej. Dobrze więc, mając świadomość, że do takiego rozrachunku dojdzie, mieć też jakieś wyobrażenie, co zrobimy z ludźmi, którzy ten trudny i dramatyczny okres starali się przetrwać w prasie oficjalnej. Pozostali tam, zachowując jednak twarz, ale przecież w jakiś sposób zostali też, nie ze swej winy, ochlapani tym, co działo się wokół nich. I nie jest ich winą, że społeczeństwo będzie obciążało wszystkich dziennikarzy oficjalnego układu za grzechy popełnione przez kadrę kierowniczą, czy przez tych najbardziej aktywnych i czynnych osobników.

W każdym razie, by zamknąć rozważania o latach 1982-86, chciałbym jeszcze dodać, że partia również szybko zorientowała się, że ten eksperyment odzyskiwania kontroli nad mediami, jest eksperymentem chybnym, że jest to droga prowadząca donikąd, że musi skończyć się fiaskiem. Dość szybko zarysowały się pierwsze próby tworzenia innego modelu propagandy, mniej kontrolowanego, mniej agresywnego - bo nie było innego sposobu, żeby przestać mówić w pustkę, a do tego sprowadzał się ten model, który stanowił właściwie próbę restalinizacji propagandy. I błąd popełniony przez partię, tzn. wybór, jak gdyby próba odbudowy takiego modelu, był w gruncie rzeczy dobrym czynkiem, popełnionym na naszym środowisku, na środkach masowego przekazu. Bo prawdę mówiąc, gdyby nie było Stefana Olszowskiego czy Albina Siwaka, gdyby nie stworzono tak twardej sytuacji bez wyjścia, to kto wie, czy mielibyśmy taką, jaką mamy dzisiaj rzeczywistość, czy wytworzylibyśmy te własne obiegі, kasety, gazety mówione, wydawnictwa i pisma niezależne. Być może, do tego wszystkiego by nie doszło, gdyby nie ten przymus stworzony przez niewątpliwą błąd polityczny partii.

Tak więc, w połowie lat 80-tych partia zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, zrozumiała, że czeskiego modelu normalizacji w Polsce powtórzyć się nie da. I to był moment, kiedy zaczęto odkręcać śruby. Nie umiem dokładnie sprecyzować, bo tutaj nie ma wyraźnego punktu w czasie, czy stało się to w 1985, 86 czy 87 roku. Ale gdzieś mniej więcej na te właśnie lata przypało owo luzowanie śruby. Zaczęło się mianowicie od rozmywania tej biało-czarnej granicy, przełamywania pełnej izolacji prasy urzędowej od całej reszty. Tworzono swego rodzaju strefy szare, zjawiska w rodzaju dzisiejszych "Konfrontacji", wcześniej "życia Gospodarczego", czy też jeszcze wcześniej - koncesji udzielanych pismom związanym z Kościołem, co jest osobnym tematem. Właściwie należałoby taki temat podjąć i żałuję, że w programie dzisiejszej sesji nie ma referatu, który mówiłby o roli Kościoła i jego zasięgach dla dziennikarstwa polskiego, dla środków masowego przekazu w tych latach. W każdym razie, w połowie lat 80-tych powstała ta szara strefa, składająca się z bardzo różnych zjawisk, która do dziś nieustannie się rozrasta. Dzisiaj stanowi już ona bardzo ważny segment rynku prasowego i wewnętrznie nie jest jednolita. Ma rozmaity charakter własnościowy, organizacyjny, często są to pisma należące do RSW, niekiedy pisma związane z partią, ale są też pisma ZSL-owskie, kościelne, czy wreszcie całkiem nowe twory, jak "Gazeta Bankowa". Mam więc niewątpliwie do czynienia z pluralizacją w środkach masowego przekazu, z tym, że - w odróżnieniu od doświadczeń z 1980-81 roku i od tego, co się obecnie dzieje w ZSR - ta pluralizacja dokonywana jest jak gdyby od góry; jest manipulowana przez władze, ściśle kontrolowana, co nie znaczy, że nie jest korzystna dla społeczeństwa. Przynosi sporo pozytywnych efektów, wśród których na pierwszym miejscu wymieniałbym znaczne poszerzenie obiegu informacji. Pod tym względem nie jest już tak źle. Po drugie, jest to dopuszczenie do wymiany poglądów, która przez wiele lat była całkowicie zablokowana - symbolicznym zjawiskiem była tutaj telewizyjna dyskusja Wałęsy z Miodowiczem.

Myślę, że te zjawiska będą się dalej rozwijały. Nastąpiło przesunięcie granicy cenzuralności. Oczywiście, nadal są strefy zakazane, ale zostały już one przesunięte jak gdyby dalej. Dopuszcza się do głosu autorów i poglądy, które jeszcze 2-3 lata temu nie miały żadnych szans na ukazanie się w druku. Nastąpiło wyraźnie ograniczenie represyjności w stosunku do wydawców pozbawionych debitu, czyli całej tej strefy nieoficjalnej, co w znaczący sposób zmienia położenie prasy wydawanej nielegalnie. Zaniechano zgłuszania radiostacji nadających w języku polskim z Zachodu, co również w sposób istotny zmieniło sytuację masowego komunikowania w całym kraju i rzutuje na położenie sektora oficjalnego, który musi się do tej nowej sytuacji dostosować. Dopuszczono też wreszcie do przenikania pomiędzy poszczególnymi sektorami. Nie są one już tak ściśle rozgraniczone, np. dziennikarze i pisarze emigracyjni pojawiają się w prasie urzędowej i odwrotnie, pisarze pisujący pod nazwiskami w prasie urzędowej również pod nazwiskami piszą w prasie emigracyjnej, czy występują na falach radiostacji zachodnich i nie pociąga to za sobą żadnych konsekwencji. Tak więc ta przenikalność pomiędzy różnymi obiegami staje się jak gdyby zjawiskiem oczywistym.



Stosunkowo nowym i precedensowym zjawiskiem jest także wydawanie zgody na wydawanie pism niezależnych, mających charakter jawnie opozycyjny. Myślę przede wszystkim o "Republice", ale także o "Ładzie" i wielu innych, zapowiadanych. Zobaczymy, jak na przykład potoczą się losy "Po prostu", czy zaistnieje na rynku; jest jeszcze w czasie, żeby tutaj cokolwiek wróżyć. W ogóle cały ten proces jest dopiero w toku, ale to, co już przyniosło, na pewno nie zasługuje na bagatelizowanie i oznacza w istocie zmierzach tradycyjnego, centralnie kontrolowanego i sterowanego modelu mass-mediów. Jest to już system pluralistyczny, choć jeszcze w bardzo załączkowej formie.

Nie chciałbym, oczywiście, być poczytany za naiwnego optymistę, dlatego dodać muszę od razu, że ta pluralizacja i charakter wybiórczy, ograniczony. że łatwiej dopuszcza się do zmian na peryferiach systemu, a więc łatwiej dopuścić do zaistnienia "Gazety Bankowej", niż do wydawania, powiedzmy, pisma codziennego. Łatwiej uzyskać zgodę na opublikowanie czegoś śmielszego w tygodniku, niż w dzienniku. Niewiele zmieniło się w TV, a w radiu, jeśli się zmienia, to przede wszystkim w tych godzinach, gdzie słyszalność, odbiór jest mniejszy albo gdzie mniejszy jest zasięg nadajników. Jest to z całą pewnością proces ostro kontrolowany, ale z drugiej strony proces ten wciąż trwa. Nie umiem bawić się prognozy, nie śmiem po prostu przewidywać, ale gdyby ekstrapolować te tendencje, jakie zarysowują się dzisiaj, to byłbym optymistą. Sądzę, że ta sytuacja, którą obserwujemy, odbierana jest przez społeczeństwo jako postęp i może nas ona zaprowadzić dalej ku autentycznemu pluralizmowi w systemie społecznej komunikacji. Stawia to nas z kolei przed nowymi problemami, które już się zresztą zarysowują. Jak mianowicie będzie wyglądała wówczas sytuacja prasy nazywanej dziś niezależną, nielegalną, wydawaną w podziemiu, czy prasa ta będzie potrzebna? Już dziś spotyka się ona z trudnościami rynkowymi, technicznymi, cenowymi, kolportażowymi, a może się okazać, że przy znaczniejszych postępach pluralizacji, będzie ona grę przegrywała. Ale, na szczęście, nie jest to problem na dziś, więc te kłopoty możemy na razie zostawić sobie na trochę później.

#### DRUGI OBIEG - PRÓBA FOTOGRAFII\*

Maciej Łukasiewicz: Przypadło mi w udziale dość trudne zadanie, by w zestawie tematów, mających być próbą rejestracji stanu środków społecznej komunikacji przedstawić Państwu rodzaj minireportu na temat czegoś, co oficjalnie ciągle nie istnieje, a co przecież - o czym wszyscy dobrze wiemy - istnieje jak najbardziej realnie, czyli tzw. drugiego obiegu. Jest to ta sfera niezależnego życia społecznego, gdzie w ciągu ostatnich siedmiu lat czynniki próbujące ją zlikwidować, odniosły - w porównaniu z innymi obszarami - stosunkowo mizerne sukcesy. Mimo pacyfikacji pierwszych dni stanu wojennego i ogromnych strat w ludziach i sprzęcie, w ciągu zaledwie kilku

\* Tekst autoryzowany (przyj. red.)



tygodni odbudowano, a następnie rozbudowano sieć niezależnej prasy i wydawnictw, zaś zapach świeżej farby drukarskiej i pasy "Komfort" stał się nieodłącznym czynnikiem polskiego życia intelektualnego przez wszystkie następne lata, aż po dziś dzień.

Nie będzie chyba przesady w stwierdzeniu, że ten dynamiczny rozwój drugiego obiegu i związany z nim rozwój, wolnej myśli, możliwości swobodnej wymiany opinii i poglądów, a w rezultacie - wzrost narodowej i obywatelskiej świadomości wcale niemałej części społeczeństwa, jest zjawiskiem bezprecedensowym w całej historii i geografii bloku komunistycznego, przy czym jego cechami szczególnymi są - jak się wydaje - trwałość, a - na pewno - pluralizm.

Na początek wypada zadać dwa pytania - jaki jest zasięg prasy niezależnej i ile jej jest?

Otóż rzecz w tym, że choć jednorazowe nakłady prasy drugiego obiegu są - ze względów technicznych - stosunkowo niewysokie, to wielka liczba pism, czasopism i książek publicystycznych poważnie zwielokrotnia efekt czytelniczy. W tym kontekście działalność prasowo-wydawnicza opozycji przedsierniowej, choć trzeba jej oddać należny szacunek - jawi się jako nie liczący się margines ówczesnych środków społecznej komunikacji. Dziś jest inaczej - nie ma prawie większej miejscowości, czy liczącego się środowiska, dokąd nie docierałoby niezależne słowo. Wystarczy powiedzieć, że przez długi czas otrzymywałem na przykład pismo "Solidarność", liczącej sobie niewiele ponad tysiąc mieszkańców miejscowości Czarna Białostocka, całkiem przyzwyczajone - a jakże - wydawane i drukowane. Obecnie niemal każdy, kto pragnie nabyć tak zwaną "bibułę", może to uczynić i nie musi mieć do tego jakichś specjalnych doświadczeń. W Warszawie, na przykład, może udać się po prostu na Uniwersytet i tam, na stoiskach prowadzonych przez studentów, nabyć lub zamówić interesujący go tytuł.

Ile tego wszystkiego jest? Otóż Leszek Szaruga, w artykule "Kultura niezależna a struktury oficjalne", zamieszczonym w 1987 roku w łamach "Kultury" paryskiej, szacuje, że "publikowanych jest w Polsce nie mniej niż 500 tytułów prasy niezależnej i działa co najmniej 30 wydawnictw". Myślę jednak, że jest to szacunek zbyt skromny. Dokładne skwantyfikowanie drugiego obiegu prasowego jest obecnie praktycznie niemożliwe. Szczegółowe dane będzie zapewne można uzyskać dopiero wtedy, gdy historycy prasy i ruchu wydawniczego, prasoznawcy, zestawiają gromadzone w rozmaitych miejscach dane, gdy utajnione dziś jeszcze archiwa i biblioteki drugiego obiegu będą mogły być bez ryzyka wydobyte na światło dzienne.

W pierwszej kolejności spróbujmy przyjrzeć się bliżej "dziennikom". Jest ich dosłownie bez liku. Obok pism - nazwijmy je umownie - "centralnych", liczących się "dzienników" - to znaczy: pełniących funkcję głównej gazety w regionie, dużym mieście, czy na pewnym obszarze kraju, istnieją co najmniej kilkadziesiąt. A przecież są jeszcze gazety zakładowe i lokalne - jak krakowski "Hutnik", gdański "Portowiec" lub "Głos Wolnego Ursusa"; środowiskowe - jak nauczycielskie "Tu - Teraz", NZS-owski "Nurt", biuletyny WiP-u, prawniczy "Paragraf", "Niezależna Myśl Lekarska", czy "Biuletyn >Solidarność-

cił Radia i Telewizji", uczelniane - CIA lub "Kurierek Akademicki", a nawet szkolne - by wspomnieć gazetę, wydawaną przez uczniów szanownego gdańskiego liceum "Topoliówka", czy pismo młodzieży szkolnej z Gorzowa Wielkopolskiego. A podaje tu dosłownie tylko tylko pierwsze z brzegu przykłady i jestem przekonany, że gdyby zliczyć to wszystko, łącznie z tymi gazetami, które w pewnym okresie ukazywały się z różnych przyczyn przestały wychodzić (jak choćby "Wiasek", "Tygodnik Wojenny" czy "Gazeta Niecodzienna") - to liczba tytułów, licząc od początku stanu wojennego, bez trudności przekroczyłaby tysiąc!

Słowa dzienniki używałem tu oczywiście w cudzysłowie, bowiem z reguły są to tygodniki, dekadówki, dwutygodniki, a nawet miesięczniki - pełniące jednak w drugim obiegu rolę gazety codziennej, ze sporą porcją informacji, krótkich komentarzy, mini-felietonów i zwięzłej publicystyki na tematy bieżące. Wiele z nich ukazuje się z zadziwiająco regularnością i brak - co zdarzało się raczej rzadko - któregoś z "centralnych" tytułów o oznaczonym czasie w kolportażu budził niepokój odbiorców, czy aby nie wydarzyło się jakieś - a wiadomo, jakie ono mogło być - nieszczęście.

Są jednak tytuły, których służby specjalne nie były w stanie zlikwidować, jako że funkcjonują one na zasadzie powielania przez różne grupy i wydawnictwa. To znaczy - redakcja przygotowuje kilka lub kilkanaście kompletów matryc, a druk gazety odbywa się w różnych miejscach, czy nawet w różnych miastach. Toteż likwidacja jednej drukarni nie przesądzała o losie pisma. Dzieje się tak zwłaszcza w przypadku najważniejszej gazety podziemnej w kraju, wychodzącego od początku stanu wojennego "Tygodnika Mazowsze" (zwanego popularnie "Mazowszanką"), który powszechnie uważany jest za oficjalny organ "Solidarności", mimo że redakcja często podkreśla swą niezależność. TM-ka cieszy się opinią gazety najlepiej poinformowanej o tym, co się dzieje w Związku i poza nim, lubi zaglądać za kulisy różnych głośnych wydarzeń, dysponuje sprawnie zorganizowaną siecią informacyjną i od strony redakcyjnej praktycznie jest bez zarzutu. W drugim obiegu stanowi swego rodzaju instytucję i niewątpliwie ze wszystkich drugoobiegowych pism wywiera najsilniejszy wpływ na kształtowanie się opinii publicznej nie tylko w kraju, ale i za granicą. Łączny jednorazowy nakład tygodnika trudno jest obliczyć właśnie z tego względu, że każdy punkt poligraficzny drukuje go w ilościach stosownych do aktualnych możliwości rozmaitych podsięci kolportażowych i zaopatrzenia w papier. Jednak, jak zapewniły mi nie bróda zbliżone do redakcji, waha się on w granicach od 50 do 80 tysięcy egzemplarzy co tydzień, jest więc, jak na warunki, w jakich TM-ka jest wydawana, imponujący. Dotychczas ukazało się ok. 280 numerów TM.

Drugą gazetą, która zdobyła sobie wysoką rangę i popularność, jest wydawany bardzo dobrą techniką poligraficzną, ilustrowany "Przegląd Wiadomości Agencyjnych" (PWA), który - podobnie jak TM - kolportowany jest na obszarze całego kraju, w nakładzie wahającym się od 20 do 30 tysięcy egz. PWA nie ma charakteru pisma związkowego i obok ciekawego bloku informacji z kraju i ze świata, zawiera sporo dobrej szybkiej i celnej publicystyki, zaś sposób redagowania systematycznie zwiększa-

jacego swa objętość PWA, świadczy o tym, że pismo to robione jest przez grupę zawodowych dziennikarzy, adresujących je nie tylko do członków "Solidarności", ale do szerokiej opinii publicznej. PWA ukazuje się od około pięciu lat. Do tej pory - ok. 170 numerów.

Z innych pism informacyjnych, które zdobyły sobie u czytelników liczącą się pozycję, wymienić należy jeszcze "Wolę" (ok. 270 numerów), "CDN - Głos Wolnego Robotnika" (ok. 250 numerów) i "Robotnika" (ok. 180 numerów). Dwa pierwsze tytuły są zarazem organami mazowieckich struktur związkowych - Miedzyszakładowego Komitetu Koordynacyjnego (MKK) i Miedzyszakładowego Robotniczego Komitetu "Solidarności" (MRKS), zaś "Robotnik" związany jest obecnie z młodzieżową frakcją PPS. Ukazują się one w szacunkowych nakładach od 5 do 15 tys. egz. i kolportowane są częściowo, choć w znacznie mniejszej ilości niż "Tygodnik Mazowsze" i PWA, również poza Warszawą, w większych miastach Polski.

Nie sposób tu, rzecz jasna, wymienić, choćby z tytułu, wszystkich liczących się gazet, zwłaszcza tych o charakterze lokalnym i regionalnym, wymienię więc tylko, na zakończenie tego króciutkiego przeglądu umownych "dzienników", jedno z nowszych pism, "Horyzont", które mimo że sygnowane jest przez organizację "Solidarność Walcząca", ma charakter pisma otwartego, dla wszystkich. Redagowane jest ono na profesjonalnym poziomie, dysponuje kilkoma dobrymi piórami i osiąga liczącą się nakład 10-15 tys. egz.

"Solidarność Walcząca" wydaje jeszcze sporo innych tytułów informacyjnych, które w różnych nakładach ukazują się w kilku miastach kraju, gdzie znajdują się oddziały SW, ale pisma te mają już wyraźny charakter organów organizacji politycznej.

Tytułów tego rodzaju, związanych z różnymi organizacjami i kierunkami politycznymi, jest również znaczna liczba, choć zazwyczaj ukazują się one nie częściej niż raz w miesiącu i oczywiście ich pojemność jest większa - z reguły przekraczają one 40 stron druku. Są to pisma o profilu programowo-publicystycznym, prezentujące przede wszystkim poglądy i opinie swych sponsorów. Chodzi o takie tytuły, jak np. "Droga" (KPN), "Niepodległość" (Liberalno-Demokratyczna Partia Niepodległość) czy "Wyzwolenie" (Ruch Polityczny "Wyzwolenie"), by ograniczyć się do niepodległościowego nurtu polskiej opozycji. A przecież swoje organy mają także liberałowie i konserwatyści (np. "Stańczyk", "Zeszyty Liberałów" czy "Kurs"), endecy ("Myśl Państwowa"), neoprawicowcy z Ruchu Młodej Polski ("Przegląd Polityczny" i "Polityka Polska"), czy młodzi-gniewni kontestatorzy z Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, którzy na Wybrzeżu wydawali do niedawna anarchizujące "Homka".

Osobne miejsce na mapie prasy podziemnej zajmuje popularny KOS, ukazujący się w Warszawie jako organ zawiązanego w pierwszych dniach stanu wojennego ruchu Komitetów Oporu Społecznego. Jest to pismo, będące pod względem formuły redakcyjnej czymś pośrednim między gazetą a periodykiem, związane z warszawską "Solidarnością", z jej kręgami kulturalno-oświatowymi. To właśnie KOS wspomaga wydawanie pisma nauczycieli z "Solidarności" pt. "Tu-Teraz", a poprzednio zamieszczał wkładkę "Kultura Nie-

zależna", która z czasem usamodzielniała się i od kilku lat wychodzi jako osobny miesięcznik, zbliżając się już do 50-go numeru i sygnując jako pismo Komitetu Kultury Niezależnej.

Skoro mowa o "Kulturze Niezależnej" - tak oto znaleźliśmy się w grupie pism, które Rosjanie nazywają "tołstymi żurnalami", a które oficjalna prasa polska z upodobaniem określała jako "podziemne pismka". Są to pisma o dużej objętości (od 100 do nawet 300 stron druku), ukazujące się co kilka miesięcy, w nakładach od 1 do 4 tys. egz. To one określają, stymulują i prezentują intelektualny dorobek polskiej opozycji - i tej solidarnościowej, i tej sytuującej się poza "Solidarnością". Tytułów takich wychodzi kilkadziesiąt i praktycznie każdy region, każde duże miasto ma ambicje, aby posiadać tego rodzaju pismo.

I, tu ograniczymy się tylko do najpoważniejszych, najbardziej znanych. Oczywiście, i pod tym względem w czołówce sytuuje się ze zrozumiałych przyczyn Warszawa, która posiada nie tylko największe w kraju zaplecze intelektualno-twórcze, ale także najsilniejszą bazę poligraficzną.

Tu ukazuje się przede wszystkim (jeszcze od czasów przed-sierpniowych), związana z kręgami dawnego KOR-u "Krytyka", uchodząca nie bez powodu za najpoważniejsze pismo teoretyczno-programowe polskiej opozycji intelektualnej o rodowodzie lewicowym. Ze środowiskami twórczymi związane jest Niezależne Pismo Literackie "Wezwanie", a także pismo plastyków "Szkice", z kręgami naukowymi - pismo filozoficzne "Altheia" i "Almanach Humanistyczny". Kilka tytułów - z naturalnych powodów - można najwyraźniej wiązać ze środowiskiem niezależnych dziennikarzy i publicystów, wywodzących się z tzw. niezwyfikowanych w stanie wojennym dziennikarzy, którzy następnie odmówili współpracy z oficjalnymi środkami masowego przekazu. Są to m.in. "Vacat" (który, niestety, na 45 numerze przestał się ukazywać), "Most - Wolne Pismo", "Spectator" i z rzadka ukazujący się "Reporter". Wyraźne zaplecze środowiska socjologiczno-ekonomicznego, a może lepiej powiedzieć - kręgów eksperckich, związanych z osobą przewodniczącego "Solidarności", ma pismo "2I", o czym świadczą pojawiające się często na jego łamach takie nazwiska, jak Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Celiński, Bronisław Geremek, Andrzej Wielowieyski czy Ryszard Bugaj.

Z liczących się pism stołecznych wymienić jeszcze trzeba na pewno "Praworzadność" oraz "Prawo i bezprawie", bardzo ciekawą, lecz rzadko ukazującą się "Kartę", a także "Obóz", "Europe" i "Nową Koalicję". Te ostatnie pisma poświęcone są szeroko pojętej problematyce międzynarodowej, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień bloku komunistycznego.

Kraków posiada co najmniej cztery ważne tytuły z tej grupy pism - starannie redagowaną i zawsze ciekawą "Arkę", zaliczaną do ścisłej czołówki krajowej oraz "Bez Dekretu", "Miesięcznik Małopolski" i, ostatnio, zadziorny i dynamiczny "Brulion". We Wrocławiu ukazuje się redagowana na wysokim poziomie "Obecność", w Lublinie - związane z KUL-em, zasłużone "Spotkania", w Poznaniu - "Czas Kultury", w Łodzi "Prześwit", w Białymstoku "Bez Debitu", w Siedlcach "Metrum", zaś w Szczecinie - "Obraz".



A przy tym wspominam tu tylko o tytułach o zasięgu ponadlokalnym, o tych, które zdobyły już sobie "firme" i posiadają dorobek w postaci co najmniej kilku, kilkunastu numerów. A są wśród nich i takie, które ukazały się ponad 40 razy!

Przedstawiłem tu - i to jedynie szczerowo - tylko jedną stronę medalu. Odrębnego opracowania wymagałaby działalność i dorobek niezależnych oficyn wydawniczych. Takie wydawnictwa, jak "Nowa", "Krań", "Oficyna Literacka", "Most", "Przedświt", "CDN", "Aspekt", "Myśl", "Wers" czy "Rytm" - te najbardziej znane i zasłużone, to tylko wierzchołek góry lodowej. W całym kraju działa ich kilkadziesiąt. Gdyby założyć, że każde z nich wydało tylko 20-30 książek, łatwo obliczyć, że na przestrzeni ostatnich 7 lat otrzymamy liczbę tytułów, sięgającą ponad 1000, każdy w nakładzie od 1 tys. do 5 tys. egz. Praktycznie nie ma dnia, aby do kolportażu nie trafiło kilka nowych tytułów.

Wśród tych książek spora jest ilość tytułów, wydanych przez naszych kolegów dziennikarzy, które nie miały szans przez te lata, aby ukazać się w obiegu oficjalnym - wystarczy wymienić "Onych" Toruńskiej, "Kto tu wpuścił dziennikarza" - grupy kolegów z Łodzi, "Rubikon '81", "Konspire" Wilka Moskita i Łopińskiego, "Foksal '81" Fikusa, książki Hanny Krall, Andrzeja Szczygiorskiego, Wojciecha Giełżyńskiego, Jerzego Surdykowskiego, Józefa Kuśmierka, Małgorzaty Szejnert, Ernesta Skalskiego i wielu, wielu innych, bardziej i mniej znanych, często zresztą ukrytych pod pseudonimami.

Jednak nasi koledzy przez te wszystkie lata nie tylko pisali książki i artykuły. Przypomnijmy, że środowisko nasze zostało po 13 grudnia dotknięte szczególniej represjami, o czym tu już wielokrotnie była mowa, że ponad 1000 z nas - będzie temu jutro poświęcone osobne wystąpienie - pozbawionych zostało możliwości legalnego uprawiania zawodu. Niektórzy przez czas jakiś próbowali jeszcze uchwytać przyczółki w prasie oficjalnej, przy czym w gre mogły wchodzić jedynie tytuły drugo- i trzeciorzędne, takie jak "Niewidomy Spółdzielca", pismo sprzedawców "Merkury", czy nieco surrealistyczne "Wiadomości Wędkarskie". Eksperyment ten skończył się w zasadzie fiaskiem i wtedy, z naturalnych względów, nastąpił wzrost zainteresowania drugim obiegiem. Obecnie, oprócz wspomnianych tu wcześniej tytułów, liczni dziennikarze pracują w wielu innych redakcjach pism i czasopism niezależnych, działają w wydawnictwach. I choć mamy teraz czas względnej liberalizacji - o czym świadczą między innymi dziesięjsze spotkanie - i coraz więcej zadźmionych może pracować i publikować w pierwszym obiegu, sądzę, że to związanie się z drugim obiegiem dla wielu kolegów jest trwałą i ważną częścią ich dorobku zawodowego.

Profesjonalni dziennikarze, to wszak tylko bardzo niewielka część środowiska, które stworzyło i nadal tworzy drugi obieg. Nie trzeba mieć specjalnie dużej wyobraźni, aby dostrzec te całą armię drukarzy, kolporterów, korektorów, maszynistek, grafików i fotografów - a wśród nich docentów fizyki, doktorów prawa, inżynierów-mechaników. Każde pismo i wydawnictwo - to jakieś środowisko, zgrupowane wokół niego, środowisko wspomagające swym zaangażowaniem, piórem, a nie--



rzadko i własnym groszem. Przez te minione lata wyrosła też pokaźna liczba redaktorów, dziennikarzy i publicystów, którzy nigdy nie mieli do czynienia z pracą w obiegu oficjalnym - dziś umiejętności zawodowych mogłyby im pozazdrościć niejedni z nas. Miejmy nadzieję, że powitamy ich w szeregach Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z chwilą, gdy będzie ono mogło funkcjonować całkowicie legalnie i że stanie się to już niebawem.

Mówiąc o drugim obiegu, należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną jego cechę charakterystyczną. Otóż obieg ten, jak żaden inny, zaświadcza o organicznej jedności kultury polskiej - tej tworzonej w kraju i tej powstałej na emigracji. Był to jeden z najważniejszych celów, jaki postawili sobie ludzie drugiego obiegu od początku jego istnienia, pragnąc przeciwstawić się propagandowym tezom o agenturalności i jałowości twórczej i ideowej tego, co stworzyli Polacy, którzy z różnych przyczyn musieli pozostać poza granicami kraju. Dziś praktycznie nie ma znaczących dzieł, wydanych przez Instytut Literacki, Aneks, "Polonię", "Spotkania", które nie zostałyby udostępnione czytelnikowi krajowemu - w ten sposób przecież odzyskani zostali dla nas Miłosz, Gombrowicz, Tyrmand, Józef Mackiewicz, Józef Czapski, czy Gustaw Herling-Grudziński. A przy tym ten most, przerzucony ponad granicami, działa w obu kierunkach - wydawnictwa emigracyjne szybko sięgają po najbardziej wartościowe rzeczy powstające w kraju. Ukazują się też wspólne wydania równoległe.

Istnieje także bliska współpraca pomiędzy pismami i czasopismami, polegająca na wymianie piór i materiałów. Już od dawna dostępne są krajowe wydania takich czasopism, jak "Kultura" paryska, "Aneks", "Zeszyty Literackie", "Kontakt" czy zachodniobерliński "Pogląd". Z kolei krajowe pisma niezależne - jak "Krytyka" czy "Arka" - mają swoje wydania na emigracji.

Gdyby nawet nie znalazły się żadne inne powody, by pozytywnie ocenić bilans drugiego obiegu, choćby dzięki przełamaniu informacyjnego monopolu komunistycznego państwa - sam fakt zbudowania tego mostu - musimy uznać za dorobek nieprzemijający.

I na koniec już - jeszcze jedna sprawa.

Jeszcze do niedawna drugi obieg oficjalnie nie istniał, choć tu i ówdzie, zwłaszcza jednak na łamach wyspecjalizowanych w tym "Perspektyw", był nader chętnie opluwany. W sferze natomiast bardziej namacalnej, ludzie drugiego obiegu funkcjonowali w warunkach nielegalności, inwigilowani przez donosicieli, tropieni przez służbę bezpieczeństwa, zagrożeni karami więzienia, ba - traktowani bez mała, jak terroryści z Czerwonych Brygad. Dziś już praktycznie mało kto idzie za udział w poszerzaniu sfery wolnego słowa do więzienia, choć nękany jest rewizjami, kolegiami, a zdarza się, że i utratą mienia. Nie nadaje się jednak już temu rozgłosu. Próbuje się natomiast sprowadzić rolę drugiego obiegu do nic nie znaczącego, mało wartościowego marginesu.

Oto na początku ubiegłego roku, z wypowiedzi ministra kultury i sztuki, profesora Krawczuka, dla "Rzeczpospolitej" mogliśmy dowiedzieć się wreszcie, że owszem, drugi obieg ist-

nieje jak najbardziej, tyle że właściwie nic godnego uwagi, jak dotąd, nie opublikował. Tymczasem osobiście mógłbym bez trudu zestawzić i udostępnić panu ministrowi listę co najmniej kilkudziesięciu dzieł o trwałym znaczeniu dla kultury i świadomości narodowej, które ukazały się w tak zwanym podziemiu - dzieł zarówno klasyków, jak i autorów współczesnych, zarówno Polaków, jak i najwybitniejszych reprezentantów pióra i myśli innych nacji. Wystarczy, że wymienię tylko takie nazwiska, jak Alexis de Tocqueville, Raymond Aron, Leszek Kołakowski, Karl Popper, Hannah Arendt, Alain Besançon, George Orwell, Arnold Toynbee, Aleksander Sołżenicyn, Osip i Nadieżda Mandelsztamowie, Josif Brodski, Bohumil Hrabal i Vaclav Havel. Większość z nich wszakże miała tę jedną cechę wspólną, że nie rozwijała twórczo zapładniających idei twórców naukowego marksizmu-leninizmu, a raczej - wprost przeciwnie. Eo ipso - nie istniała zatem, lub była całkowicie bez wartości. Z ust ministra kultury należałoby jednak oczekiwać innych kryteriów oceny, a może tylko większego zainteresowania.

Dziś, jak się rzekło, mamy czas liberalizacji. Dzieje się tak z różnych przyczyn, których analiza nie jest moją rolą. Oficjalne gazety i czasopisma pełne są krytycznych tekstów, wstrząsających reportaży, a na łamach "Polityki" można przeczytać uczciwy wywiad z Wałęsą. Oficjalne wydawnictwa publikują drugoobiegowe do niedawna pozycje (choć na razie ich liczba nie przekroczyła chyba piętnastu i dotyczą one głównie mniej lub bardziej odległej przeszłości), ulegalniła się "Respublika", a jedno z oficjalnych wydawnictw myśli podobno o związaniu spółki z czołowym wydawnictwem drugiego obiegu, szczególnie zasłużonym dla kultury polskiej. Czy to dobrze czy źle? Sądzę, że dobrze, że ideałem dla nas wszystkich byłoby, aby drugi obieg stracił rację bytu, choć na pewno w tych przemianach i on odegrał określoną rolę. Dopóki jednak nie będą mogły legalnie ukazać się choćby rzetelne reportaże, pokazujące prawdziwy przebieg ubiegłorocznych strajków, dopóki planowana do wydania w pierwszym obiegu książka Torzańskiej miesiącami będzie leżeć w cenzurze (jak dotąd bez decyzji) i dopóki będą słowa i nazwiska zakazane, dopóty ludzie drugiego obiegu będą mieli pełne ręce roboty. Życzymy im jednak i sobie, aby to już zbyt długo nie trwało.

## DRUGI OBIEG - OD ŚRODKA

### Grzegorz Boguta:

- Dziękuję za zaproszenie i umożliwienie mi wystąpienia na spotkaniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Moja wypowiedź będzie, siłą rzeczy, małą polemiką z moimi przedmówcami, szczególnie z panem Maziarskim. Jestem kierownikiem nielegalnego wydawnictwa "Nowa", ale nie chciałbym wypowiadać się hagiograficznie na temat wydawnictw tzw. drugiego obiegu. Jest to raczej rola dla osób, które znajdują się bardziej niż ja na zewnątrz ruchu wydawniczego. Chciałbym natomiast przekazać Państwu garść refleksji człowieka, który się zajmuje tą działalnością od lat dwunastu, od początku istnienia Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Dziś najbardziej palącym dla nas problemem jest

"quo vadis" niezależnego ruchu wydawniczego, czyli to, co się dalej z nim stanie. Punktem wyjścia jest dla mnie sytuacja, którą od kilku miesięcy mamy w Polsce. Cto do języka polskiego powróciły dwa najbardziej zniechęcające słowa, a mianowicie: "Solidarność" i Wałęsa. Możemy już teraz mówić o tym oficjalnie, publicznie. Upadają dotychczasowe dogmaty i w tej sytuacji my, ze środowiska wydawców niezależnych, ludzie związanych z prasą niezależną, wierzymy, że będzie miejsce dla rozmaitych nowych instytucji życia publicznego, a wśród nich instytucji kultury niezależnej - tj. wydawnictw i pism. Na razie formalnie i oficjalnie nie istniejemy, cenzura nie dopuszcza do druku jakichkolwiek informacji o istnieniu konkretnych pism i wydawnictw niezależnych. Przykładów można podawać tutaj wiele, chociażby wiadomość w prasie o nagrodzie im. Kijowskiego dla pani Bojarskiej, gdzie cenzura wyczyściła informacje, że publikowała ona w "Zapisie" i "Krytyce".

O nas mówi się eufemistycznie, tak jak już tutaj, z tej mównicy, padało: drugi obieg, wydawnictwa nieoficjalne, nielegalne. My jednak uważamy, że jesteśmy legalni, a nielegalna jest cenzura i pragniemy to z całą mocą raz jeszcze podkreślić. I drugim takim przykładem, że zamyka się usta ludziom, którzy chcą mówić publicznie o niezależnych wydawnictwach od wewnątrz, jest chociażby fakt, że cenzura zdjęła wywiad ze mną z "Tygodnika Powszechnego", posługując się paragrafem, iż jest to pochwalanie przestępstwa. Mam nadzieję, że mówiąc tu, w tym miejscu, nie będę uznany za przestępcę.

My wszystko musimy wywalczać do tej pory. Tak sądzę. Fakt, że istnieje "Respublika" jest m.in. wynikiem tego, że istnieje pluralistyczny obieg pism niezależnych, w tym np. pisma takiego, jak "Krytyka". To, że ostatnio wydano w wydawnictwie "Alfa" "Małą Apokalipsę" Konwickiego w nakładzie 70 tys. egz., wynika również z tego, że książka ta ukazała się po raz pierwszy w 1979 roku w moim wydawnictwie, w nakładzie ok. 15 tys. egz. i potem była wielokrotnie w podziemiu wznawiana. Istotną, wartą podkreślenia, cechą niezależnego ruchu wydawniczego jest pluralizm pism. Trochę tu o tym mówiono, ale chciałbym to wyraźnie podkreślić. Inną ważną rzeczą, jeżeli mówimy o cechach tego ruchu, jest wykreowanie nowego typu przedsiębiorczości w Polsce. Przecież niezależni wydawcy, czy niezależni dziennikarze, muszą być jednocześnie menadżerami. Tu nie wystarczy dobrze pisać, dobrze redagować; my wszyscy zajmujemy się jednocześnie organizacją druku, organizacją kolportażu. Jest to tworzenie nowego typu przedsiębiorstwa, które musi się zajmować organizacją obiegu kultury - od autora do czytelnika.

A teraz jeśli chodzi o sprawę statusu niezależnego dziennikarza. No, jest to na pewno problem, w momencie, kiedy się dyskutuje na tej sali kwestię udziału niezależnych dziennikarzy w legalizującym się Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Mówię tu również w imieniu kilku moich kolegów, którzy jak na razie nie chcą, nie mogą, a może i nie powinni publicznie występować. Jestem obecnie jedną z nielicznych osób, które się ujawniły jako zajmujące się działalnością w niezależnym ruchu wydawniczym. W zasadzie występuję po raz pierwszy od ośmiu lat publicznie i koledzy prosili mnie, żeby tę kwestię postawić tak, aby Komitet Założycielski SDP powołał jakiś zespół, który opracuje

jasno sformułowane warunki tej osmozy, przechodzenia dziennikarzy drugiego obiegu do SDP, by to mogło odbywać się na zasadzie partnerskiej, a nie jakiegoś paternalizmu.

I krótko jeszcze co do wypowiedzi pana Maziarskiego, którego dobre samopoczucie trochę mnie wystraszyło. Otóż my z kolei obawiamy się jednej rzeczy - że w sytuacji, w której bliska jest relegalizacja "Solidarności", bliskie jest ponowne powołanie do życia stowarzyszeń twórczych, środowiska dziennikarzy i wydawców niezależnych mogą zostać na polu naczym. Nie chcielibyśmy, aby nasz los stał się elementem przetargu w jakichś nadchodzących negocjacjach: mówię tutaj o tym, co się popularnie nazywa "przygotowaniem do okrągłego stołu". I w związku z tym chciałbym odczytać na zakończenie oświadczenie, przygotowane przez środowisko wydawców i przedstawiciele niektórych redakcji niezależnych pism, oświadczenie, które lokuje nas w aktualnej sytuacji, przekazuje nasze non possumus:

"My, niżej podpisani przedstawiciele niezależnych inicjatyw wydawniczych, oświadczamy, że zapewnienie wolności słowa w Polsce wymaga spełnienia następujących warunków:

- zniesienia cenzury prewencyjnej;
  - zaprzestania dziś i w przyszłości represji wobec niezależnego ruchu wydawniczego, aresztów, konfiskat i grzywnien;
  - zwrotu zawłaszczonego majątku niezależnych wydawnictw i rehabilitacji osób represjonowanych za działalność wydawniczą;
  - równości wszystkich wydawców w zakresie dostępu do papieru, urządzeń poligraficznych i możliwości prowadzenia kolportażu.
- Dopiero łączne spełnienie tych trzech warunków zniesie monopolizowanie i koncesjonowanie działalności wydawniczej w Polsce".

#### NA PRZYKŁAD: GDAŃSK\*

Maciej Łopiński :

- Nie będę mówił o prasie niezależnej w ogóle - bo temat ten wyczerpująco opracował kol. Maciej Łukasiewicz. Ja nie mam ambicji prasoznawczych; również jeśli idzie o drugi obieg bliższa mi jest praktyka niż teoria. Dlatego chciałbym skoncentrować się na tym, co znam z własnego doświadczenia. A więc: jak wygląda niezależne czasopiśmiennictwo w Gdańsku i jak w nim uczestniczą profesjonalści.

Region gdański nie ma specjalnych tradycji w zakresie niezależnego ruchu wydawniczego i poza jednym "Robotnikiem Wybrzeża" trudno doszukać się jakichś antenatów. Również okres "Solidarności" nie eksplodował wspaniałymi pozacenzuralnymi przedsięwzięciami prasowymi. Zarówno "Solidarność" - pismo regionu gdańskiego (nb. gazeta ta, założona jeszcze w Stoczni podczas strajku sierpniowego w 1980 r. wychodzi do dzisiaj jako najstarsze pismo solidarnościowe w Polsce), jak i BIPS<sup>\*\*</sup>, miały stosunkowo wąskie zaplecze.

Po 13 grudnia 1981 r. ponad siedemdziesięciu gdańskich dziennikarzy utraciło możliwość legalnego wykonywania zawodu.

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

\*\* Biuletyn Informacyjno-Publicystyczny "Solidarność" (przyp. red.)



czy to w wyniku weryfikacji, czy na skutek likwidacji niektórych tytułów, jak "Czas", "Samorządność" albo "Punkt", czy wręcz na skutek własnej suwerennej decyzji. Wydawać by się mogło, że ludzie ci w swej masie zasilą drugi obieg, różne biuletyny zakładowe czy regionalne, których stopniowo przybawało coraz więcej. Tym bardziej, że szans uprawiania dziennikarstwa, czy chociaż poruszania się po jego obrzeżach, praktycznie w Gdańsku nie było. Kiedy np. usiłowaliśmy powołać spółdzielnię pracy dziennikarzy, albo chociaż oddział "Omni-pressu", miejscowe władze potraktowały zebranie w tej sprawie jako nielegalne zgromadzenie.

W miarę upływu czasu otwierały się jednak pewne możliwości: jednych przytuliło pismo Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego "Pomerania" (niewiele - bo Zrzeszenie samo miało kłopoty finansowe i polityczne, albowiem mimo różnych nacisków nie wstąpiło do PRON), inni zaczęli współpracę z dominikańskim miesięcznikiem "W drodze", jeszcze inni trafili do nowopowstałego dwutygodnika diecezjalnego "Gwiazda Morza". Pare osób zaczęło się w pismach fachowych, takich jak "Budownictwo Okrętowe" czy "Polish Maritime News". Rynek pracy był jednak i pozostał bardzo skromny. Ogółem znalazło na nim zatrudnienie jakieś 14-15 osób. A inni? Bodaj osiem osób, na skutek odwołań i procesów, wróciło pod skrzydła RSW czy Komitetu do spraw Radia i Telewizji. Tyleż wyemigrowało. Pięć osób snuła bezpowrotnie porzuciło dziennikarstwo, zajmując się robeniem pieniędzy; niestety, na ogół ze średnim skutkiem. Część z musu zadowolila się rentą czy emeryturą, inni w ogóle zniknęli ze środowiskowego horyzontu, zaś 10-12 osób zasiłko faktycznie drugiego obiegu. Oczywiście, z różnym zaangażowaniem. W pewnym stopniu lista tych 10 czy 12 nazwisk pokrywała się z listą osób, które szukały takiego sposobu funkcjonowania w zawodzie, by ani nie utracić okazji do praktyki, ani szacunku do samego siebie. Rzecz jednak charakterystyczna, że ludzie ci pomagali prasie drugiego obiegu prawie wyłącznie swoimi piórami. Kilkuosobowa grupka, która oprócz pisania postawiła do dyspozycji konspiracyjnej "Solidarności" swe umiejętności redaktorskie i zdolności organizacyjne, na ogół albo pracowała poza zawodem, albo wręcz traktowała podziemie jako jedynego pracodawcę.

Skądinąd trudno się dziwić takiemu podziałowi ról. Wiadomo bowiem, że łatwiej zbiera się materiał, dysponując jaką bądź legitymacją prasową, niż bez takiego legalizującego dokumentu. Z drugiej strony, szczególnie w latach 1982-85, praca zarówno redakcyjna, jak i organizacyjna, wymagała pewnej determinacji i sporej ilości wolnego czasu.

Gdańska prasa drugiego obiegu, początkowo wyłącznie informacyjna, stopniowo zaczęła różnić się gatunkowo. Pojawiły się czasopisma grube i poważne, z ambicjami politycznymi i kulturowymi. Początkowo były to: "Przegląd Polityczny", "Polityka Polska", "Podpunkt", później dołączył "Przekaz". Dwa pierwsze, to periodyki polityczne. "Przegląd" jest organem liberałów. "Polityka" - narodowców. "Podpunkt" zaś, to pismo środowisk twórczych. Pisma dobre i ciekawe, wychodziły jednak bardzo nieregularnie, czasem zbliżając się do postulowanego cyklu kwartalnego, częściej jednak oscylując w kierunku roczników.



Najmłodszy "Przekaz", w założeniach jego inicjatorów - ludzi wywodzących się ze środowiska dziennikarskiego, miał wypełnić lukę między redagowanymi dość pospiesznie biuletynami, a powolnymi kwartalniko-rocznikami. Cykl miesięczny zapewniłby i aktualność, i nieco oddechu na pogłębiłą publicystykę. Jeśli więc przyjmiemy, że prasa drugiego obiegu odtworza pod ziemią całe spektrum czasopiśmiennictwa legalnego, tyle że z właściwym drugiemu obiegowi opóźnieniem - jeśli więc biuletyny ukazujące się raz na tydzień lub raz na dwa tygodnie są de facto gazetami codziennymi, a kwartalniko-roczniki - miesięcznikami, to "Przekaz", miesięcznik, powinien być klasycznym tygodnikiem społeczno-politycznym, operującym typowymi gatunkami dziennikarskimi. No, a poza tym miał wychodzić regularnie...

Założenia edytorskie legły jednak w gruzach w zderzeniu z twardą rzeczywistością. W ciągu dwóch lat "Przekaz" wydał zaledwie trzy numery! Panujący w Gdańsku marazm poligraficzny okazał się ponad siły redakcji. Nie tylko tej jednej. "Podpunkt" swój ostatni numer drukował w Warszawie. Po prostu na Wybrzeżu nigdy nie było i praktycznie nie ma do dziś środowiska wydawniczego. Dlatego na żale kolegów piszących, ludzie, próbujący bezskutecznie ten marazm przezwyciężyć, jeśli odpowiadają: "Jeśli chcecie publikować w piśmie szybkim, regularnym i estetycznym, to najlepiej sami je sobie wydrukujcie!"

Jest wszakże środek komunikacji, który pozwala na lekceważenie typowych kłopotów wydawniczych. Ten środek, to radio. Jego popularność w Gdańsku pulsowała falami (w apogeum - swe audycje nadawało nawet jedno z gdańskich liceów - wymieniona już "Topolówka"). Potem fala opadła i gdańska rozgłośnia wznowiła swe programy dopiero po ubiegłorocznych strajkach sierpniowych, korzystając zresztą z koleżeńkiej pomocy warszawskiego radia "Solidarność".

Nie wszyscy jednak żurnaliści czują się dobrze w dziennikarstwie radiowym. Nic więc dziwnego, że kiedy w 1988 roku kilkuosobowa grupa, w której byłem też ja, wystąpiła z inicjatywą powołania w Gdańsku legalnego, ale niezależnego miesięcznika, zostało to chętnie przyjęte przez środowisko, a "Fortune" (bo tak brzmi tytuł) potraktowano jako substytut drugiego obiegu. Osobiście znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji. Otóż, moim zdaniem, warunkiem rozwijania niezależnego, ale legalnego czasopiśmiennictwa jest nie tylko dalsze istnienie drugiego obiegu, ale wręcz jego umocnienie. A tu miałem wystąpić jako likwidator! W końcu udało mi się - mam nadzieję - przekonać wszystkich kontrahentów, że jeśli uzyskamy koncesję na "Fortune" (przy okazji chciałem zaapelować do koleżanek i kolegów o poparcie naszej inicjatywy i jeśli się ona powiedzie - zaprosić do współpracy), to trzeba będzie, nawet bijąc głową w ścianę czy płacząc, wydawać dalej pisma i pisemka w drugim obiegu.

Dopóki bowiem będzie w Polsce cenzura - wszystko jedno ostra czy łagodna jak baranek - dopóty drugi obieg pozostanie niezastąpionym instrumentem dla jej zwalczania.

Na marginesie muszę jednak powiedzieć, że argumenty tych, którzy krytykowali "Res Publike" za wyprowadzenie pisma na powierzchnię i osłabienie drugiego obiegu, nie przemówiły mi specjalnie do przekonania. No bo jeśli dla kogoś redakcja funkcjonowała w latach 1985-86 jeszcze jako grupa wydająca podziemne pismo, to chyba tylko dla władzy. Wszyscy pozostali wiedzieli przecież, że ostatni numer podziemnej "Res Publiki" ukazał się przed stanem wojennym.

Po tej dygresji chciałem na zakończenie wyrazić pogląd, że obecnie pojawiają się nowe szanse na podjęcie walki z cenzurą jako instytucją i zjawiskiem. Wykorzystując uchwaloną niedawno ustawę o działalności gospodarczej, powinniśmy - w pierwszym etapie - żądać zniesienia obowiązku uzyskiwania koncesji na prasową działalność wydawniczą - jako niezgodnego z wyżej wymienioną ustawą, a w drugim - w ogóle zniesienia cenzury prwencyjnej.

## DRUGI OBIEG W SZKOLE

Tomasz Roguski:

- Mówiąc o prasie młodzieżowej, chciałbym w skrócie przedstawić to, co jak sądzę jest zjawiskiem interesującym i pozwoli Państwu zapoznać się i dowiedzieć, z czym macie do czynienia, kiedy bierzecie do ręki gazetki wydawane przez, powiedzmy, wasze dzieci. O tym, o czym mogę powiedzieć najlepiej (oklaski).

Sądzę, że konieczny jest pewien podział tych wszystkich pisemek, które się ukazują. Na tym się skoncentruję, na prasie wydawanej przez środowiska uczniowskie i w ogóle przez młodzież szkolną. Właśnie tak się składa, że w tym roku mija 10 lat od ukazania się pierwszego pisma młodzieżowego, był to mianowicie "Uczeń Polski", związany z Ruchem Młodej Polski. Było to w roku 1979. Nie jest więc prasa młodzieżowa czymś nowym, nie pojawiła się w tej chwili, ale ma już pewne tradycje. "Uczeń Polski" był przez wiele lat największym pismem w środowisku uczniowskim. Ukazywał się w miarę regularnie do roku 1984. Jego najlepszy okres, lata świetności, to okres legalnego działania "Solidarności", lata 1980-81. Wtedy także powstało wiele innych pism młodzieżowych, właśnie bardzo często korzystając z organizacyjnej i poligraficznej pomocy "Solidarności".

Wprowadzenie stanu wojennego przerwało tę falę powstawania pism i właściwie zniszczyło wszystko. To, co powstało później, było czymś zupełnie nowym. Pojawiały się nowe tytuły, zwłaszcza, że trzeba pamiętać, iż weszły wówczas do szkół nowe roczniki. I w roku 1986 było już tych tytułów ok. 30, przynajmniej do tyłu udało mi się dotrzeć, przygotowując się do dzisiejszego wystąpienia. W roku 1988, a więc są to najnowsze dane, przynajmniej jeden numer wydało 50 pism młodzieżowych. Można przyjąć, że jest to w miarę całociowa liczba.

O tym, co to właściwie jest pismo młodzieżowe, nie można powiedzieć, przyglądając mu się tylko z zewnątrz. Trzeba wiedzieć, jak ono powstaje, jak funkcjonuje. Z reguły jest to

proces bardzo naturalny. Działające w środowisku młodzieżowym grupy dochodzą do wniosku, że kolportaż, samokształcenie, czy rzucanie ulotek nie jest wszystkim, czym chciałyby się zajmować. Pragną bowiem jakoś wyartykułować wszystkie te sprawy, które je poruszają. I wtedy powstają niezależne pisma. Inną drogą powstają organy niezależnych organizacji młodzieżowych. Tutaj z reguły organizatorzy starają się poprzez pisma pokazać swoje istnienie, artykułować swoje postulaty i z reguły wydawanie i kolportaż pisma stanowią jeden z głównych aspektów działania tych organizacji. Zazwyczaj redakcja i technika, zwłaszcza w początkowym okresie działania takich pism, stanowią jedność. I właściwie redaktor i drukarz nie różnią się tak bardzo między sobą. Specjalizacja następuje później, zwłaszcza w przypadku pism, które wychodzą dłużej, mają większy nakład i stają się pewnymi symbolami w środowiskach.

Technicznie mamy tutaj większy postęp w porównaniu z latami 1982-84, kiedy to królował powielacz. Obecnie nawet mniejsze ośrodki starają się wydawać pisma techniką sitodruku, a potentaci młodzieży przeszli dawno na offsety, tak że jakość druku jest dość dobra. Nakłady są bardzo różne. Oczywiście, sądzę, że nie da się tego uogólnić. Pisma szkolne, których jest dość dużo, to jest ukazujące się w poszczególnych szkołach, mają na ogół nakład do 500 egz. Czasami mniej, czasami trochę więcej. Pisma o zasięgu regionalnym, powiedzmy gdańskie, warszawskie, czy krakowskie ok. 2 tys. egz., ale są jeszcze pisma o rzeczywście dużych nakładach: 5 tys. egz. Miałem jedno z pism, które ukazywało się przez dość długi czas we Wrocławiu.

O czym pisze prasa młodzieżowa? Przede wszystkim stara się poruszać, z młodzieżowego punktu widzenia, coś, co określa się niekiedy problemem młodego pokolenia Polaków. Piszą o szkole, bo jest to jakby najbardziej naturalne środowisko, w którym działają; piszą o nauczycielach, starają się formułować własne postulaty. Inna tematyka często i chętnie poruszana, to historia najnowsza. Zdawałoby się, że właśnie epoka "głośności" powinna trochę osłabić zainteresowanie. Tymczasem - nie. Nadal jest tak, że młodzież uważa za stosowne podnosić problemy z najnowszej historii Polski. Dalej, w dość dużym zakresie pojawiają się aktualne problemy kraju; młodzi starają się komentować na gorąco bieżące wydarzenia, piszą własne komentarze polityczne. Oczywiście, trzeba pamiętać, że jest to komentarz z perspektywy osoby z reguły najwyższej 20-letniej. Istnieje tutaj naturalnie duży wpływ prasy podziemnej, robionej przez dorosłych, zwłaszcza z tych pism, które zdobyły sobie pewną renomę. Funkcje spełniane przez naszą prasę są nieco inne, moim zdaniem, niż funkcje prasy dorosłej, czy prasy legalnej. Oprócz funkcji informacyjnej i opiniotwórczej dochodzą jeszcze inne funkcje, które, jak sądzę, są niekiedy jeszcze ważniejsze dla wydawców i redaktorów. Przede wszystkim pismo niezależne jest spoiwem dla działalności niezależnej. Redagowanie i drukowanie skupia grupy, które powołują te pisma, grupy inicjujące, a kolportaż jest bardzo ważną sprawą dla struktur niezależnych organizacji młodzieżowych. Inną bardzo ważną funkcją jest funkcja reprezentacyjna, ponieważ nie zdajemy sobie bardzo często sprawy, że dla wydawców charakterystyczna jest taka

zasada, którą można sformułować: "Nasze pismo świadczy o nas". Demonstrują przez to swoje myślenie, próbują określić swoje miejsce wśród innych grup młodzieżowych, czy w ogóle grup opozycyjnych. Pismo stanowi zatem element spajający daną strukturę organizacyjną. Ważną funkcją jest także funkcja integrująca i tworząca elity młodzieżowe, czy to jeśli chodzi o grupy redagujące, czy grupy, które zajmują się stroną techniczną. Ci ludzie wyrastają później na działaczy.

Trudności, z którymi spotykają się te pisma, są w miarę analogiczne do trudności, które mają inne pisma niezależne. Przede wszystkim jest to policja, o czym pewne osoby zaczynają powoli już zapominać, ale policja działa i nadal stara się utrudniać, jak tylko może, wydawanie pism niezależnych. Istnieją takie prozaiczne, wydawałoby się, problemy organizacyjne, jak lokale, druk, zbudowanie kolportażu. Są natomiast i pewne specyficzne rzeczy; przede wszystkim pamiętajmy, że są to uczniowie, którzy nie mają praktyki redakcyjnej, nie potrafią za bardzo zredagować poprawnie swego pisma i właściwie uczą się tego dopiero w działaniu. Trudności sprawia im również zorganizowanie odpowiedniego serwisu informacyjnego. Ze względów konspiracyjnych trudno bowiem dotrzeć do rozproszonych środowisk młodzieżowych.

Poza tym jedna bardzo specyficzna sprawa, o której należy wspomnieć. Są to postawy nauczycieli; jest tylko część nauczycieli, która gotowa jest angażować się w działalność niezależną, a trafiają się przecież także nauczyciele, którzy chcą tą działalność przede wszystkim zwalczać. Dla wielu osób określoną trudnością są własni rodzice, którzy, nawet pochwalając działalność niezależną w ogóle, woleliby, żeby raczej nie robiły tego ich dzieci.

Nie należy jednak przejmować się zbyt tymi trudnościami, ponieważ jest to bardzo ważny element sprawdzający dla spoistości i sprawności organizacyjnej grupy. Te grupy, które potrafią pokonać te trudności, wydają pisma; te, które nie potrafią, rozpadają się i jest to chyba najbardziej naturalny sprawdzian czy pismo jest im potrzebne, czy też nie. Większość firm ginie bardzo szybko śmiercią naturalną - albo trudności techniczne przerastają ich możliwości, albo grupy tworzące te pisma rozpadają się. Ludzie kończą szkoły, zaczynają interesować się innymi sprawami, pisma przestają istnieć. Istnieją nadal te, które potrafią zapewnić sobie następców. Chodzi tu przede wszystkim o pisma szkolne. Dłużej istnieją z reguły organy niezależnych organizacji, bo tutaj firma stara się o utrzymanie ciągłości wydawania pisma.

Teraz może o tym, co się w tej chwili ukazuje. Najwięcej pism z tej 50-tki, o której wspomniałem, sygnowanych jest przez Federację Młodzieży Walczącej, jest to - w kilku ośrodkach - ok. 15 tytułów. W paru innych wydają pisma lokalne organizacje młodzieżowe, nie skupione w tej federacji.

Trochę przeglądu terytorialnego. Zaczniemy od północy, czyli od Gdańska. Przedstawiam tutaj tylko niektóre tytuły, te, które są, moim zdaniem, najciekawsze i najbardziej charakterystyczne dla danych środowisk, czy w ogóle dla tego zjawiska, jakim jest prasa młodzieżowa. Przede wszystkim w Gdańsku mamy dwutygodnik, co jest dużym osiągnięciem, jak na



warunki działalności organizacji młodzieżowej. Jest to regularnie ukazujący się "Monit", który do tej pory wydał ok. 60 numerów. Ukazuje się od 1985 roku, bez jakichś większych przerw. Natomiast specyficzną cechą środowiska gdańskiego, o czym chciałbym powiedzieć, bo nie ma tego w innych ośrodkach, jest bardzo duża liczba pisemek niezależnych, wydawanych w poszczególnych szkołach. W czasie stanu wojennego praktycznie każde liceum, a także niektóre szkoły techniczne posiadały i wydawały własne pisma. Niektóre istniały bardzo krótko, powiedzmy jeden czy dwa numery, ale zdarzały się pisma wydawane bardzo długo i dość regularnie. Przede wszystkim mam tu na myśli ewenement w skali krajowej - Biuletyn Informacyjny "Topolówki". Pismo, które ukazuje się od roku 1982. Należv sobie uświadomić, ile razy od tego czasu zmienili się uczniowie w szkole, bo przecież utrzymuje się tutaj zasada, że redagują pismo uczniowie, tylko i wyłącznie uczniowie.

Drugim ośrodkiem, o którym chciałbym wspomnieć, jest Poznań. Tutaj od roku 1982 ukazuje się pismo "Głos KOS-ów", organ szkolnych kół oporu społecznego. Pismo ukazuje się od 1982 r. i miało szczególnego pecha, ponieważ ciągle wpadała na ich trop policja. Ostatnia wpadka miała miejsce w grudniu. No, ale o ile znam to środowisko, to oni się nie załamali, na pewno będą wydawać pismo dalej. Ośrodkiem nieco mniejszym, bo liczącym ok. 100 tys. mieszkańców jest Gorzów Wlkp., ale to nie znaczy, że jest to ośrodek mniej dynamiczny. Tutaj od roku 1983 ukazuje się dwutygodnik "Szaniec" o dość znacznej objętości, który jest swego rodzaju ewenementem, gdyż niektóre ośrodki znacznie większe nie są w stanie wydawać pisma o takim nakładzie i takiej regularności. Jest to bardzo dobre świadectwo dla gorzowskiej młodzieży.

Mówiąc o Warszawie, należałoby wspomnieć o prasie wydawanej przez Oświatę Niezależną. Jest to jednak prasa raczej wydana dla młodzieży, niż redagowana przez młodzież. Mam tu na myśli dwumiesięcznik "Wielka Gra". kolportowany w całym kraju i cieszący się dość dużą popularnością oraz działające przy Oświacie Biuro Informacyjne Młodzieży Polskiej, które podjęło próbę zorganizowania serwisu agencyjnego dla redakcji pism podziemnych. Obecnie co dwa tygodnie wydawane jest pismo "Bimpol", które informuje o tym, co się dzieje w szkołach. Jest to pismo posiadające dość duże kontakty i dociera ono rzeczywiście do dość dużej liczby redakcji pism młodzieżowych.

W Krakowie należałoby wspomnieć o "Promienistych", piśmie, które ma bardzo dobrą renomę wśród uczniów i młodzieży. Jest bardzo chętnie czytane i o nie się ludzie dopytują.

No i ostatni obszar, na którym terytorialnie bardzo dużą rolę odgrywa prasa młodzieżowa i który jest jednym z głównych ośrodków tej prasy, to Dolny Śląsk. Mamy tutaj dwa ośrodki, zaczęte od mniejszego, od Wałbrzycha. Wydawałoby się, że jest to ośrodek, który nie ma zbyt wielkiej tradycji w wydawaniu prasy, nie tylko młodzieżowej. "Solidarność" przez długi czas właściwie tam nie istniała, a przynajmniej nie manifestowała swojej działalności zbyt otwarcie. W 1988 roku zorganizowała się tam grupa młodzieży, która wydaje w chwili obecnej 5 tytułów dla Wałbrzycha i dla okolicznych miejscowości Dolnego Śląs-

ka. Stanowi ona jednocześnie bazę poligraficzną dla miejscowej "Solidarności".

No i wreszcie Wrocław. Jest to historia sama w sobie. Moim zdaniem najmocniejszy ośrodek młoczieżowy w kraju. Działa tam Międzyszkolny Komitet Oporu, o którym prawdopodobnie większość z Państwa słyszała. Oprócz Serwisu Informacyjnego i Biuletynu Informacyjnego Uczniów Szkół Technicznych, wydawane jest tam pismo "Szkoła", które - a sądzą tak nie tylko ja - jest najlepszym pismem robionym przez nastolatków. To pismo po prostu się czyta. Ma ono dość dobrą grafikę i spory nakład. Ostatnio pismo wychodzi w nakładzie 8 tys. egz. Sądzą, że zdają sobie Państwo sprawę, jaka jest to praca organizacyjna i jaki wysiłek finansowy. W dzisiejszych czasach nikt praktycznie nie drukuje niczego za darmo. Sądzą, że to właśnie dzięki tak dużemu nakładowi, dużemu zasięgowi kolportażowemu oraz wysokiemu poziomowi tak duży autorytet ma Międzyszkolny Komitet Oporu, że muszą się z nim liczyć także i władze, de facto uznające istnienie MKO na terenie Wrocławia. Dlatego nieco dziwi, że nagrodę SDP w roku ubiegłym otrzymała nie "Szkoła", ale inne pismo młodzieżowe, moim zdaniem, o mniejszym znaczeniu.

Tyle o prasie uczniowskiej, o której chciałem opowiedzieć przede wszystkim. Oprócz tego, istnieje jeszcze kilka innych grup prasy. Moim zdaniem, należałoby wyróżnić prasę różnych organizacji politycznych, przeznaczoną dla młodzieży i częściowo redagowaną także przez młodzież. Ma takie pisma KPN, Polska Partia Niepodległościowa, a także "Solidarność Walcząca". Trzecim segmentem jest prasa studencka, o której nie powiem zbyt wiele, sygnalizując tylko problem. Właściwie jest ona związana z istnieniem lub nie istnieniem NZS-u. Wprowadzenie stanu wojennego rozbiło, jak wiadomo, struktury NZS i jednocześnie zlikwidowało ruch pism wydawanych przez tę organizację. Odbudowa prasy studenckiej jest zatem związana z odbudową struktur NZS-u, która miała miejsce dwa lata temu. Obecnie jest to chyba najdynamiczniej rozwijający się dział prasy młodzieżowej. Zdaje się, że wychodzi obecnie ok. 50 tytułów prasy studenckiej. Z reguły są to pisma NZS-u. W Warszawie mamy taką sytuację, że ukazują się pisma międzuczelniane, pisma uczelniane, a ostatnio powstają także pisma poszczególnych komisji wydziałowych NZS-u na uczelniach. Egzystują też niewielkie pisma, które nie są zależne od NZS-u, ale prasa NZS-u jest w tej chwili dominująca.

Czwartą grupą i ostatnią byłyby pisma wydawane przez Ruch "Wolność i Pokój", przeznaczone również dla ludzi młodych, może nieco starszych niż uczniowie. O tej prasie mogę powiedzieć najmniej. Sądzą jednak, że docierają do Państwa takie tytuły, jak "A cappella", czy "Serwis Informacyjny WIP-u". W ostatnich latach poszczególne grupy WIP-owskie w różnych miastach starają się wydawać własne pisma. Z prasą WIP-u wiążą się też rozmaite pisma anarchizujące, czy utożsamiające się z kontrkulturą; jest to już jakby przejście do innego działu, do czegoś, co określa się niekiedy mianem trzeciego obiegu. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Krystyna Jagiełło: Podobnie jak Jackowi Maziarskiemu, zabrakło mi w referatach tego wątku, który istniał w naszym życiu przez ostatnie siedem lat; chodzi mi mianowicie o rolę Kościoła w tym, że mogliśmy być środowiskiem niezależnym i między innymi zebrać się dziś tu, na tej sali.

Wyszliśmy z prasy ateistycznej. Większość z nas, tu siedzących, w każdym razie większość osób dorosłych, wyszła z prasy ateistycznej. Mówię tak nie dlatego, że nie pracowaliśmy przed stanem wojennym w prasie katolickiej, ale dlatego, że gazety, w których byliśmy na ogół zatrudnieni, nie dostrzegały rzeczywistości Kościoła, nie zauważały w ogóle tego obszaru życia. A zatem nawet ci dziennikarze, których stać było później na odwagę świadczenia swojej niezależności, nie zauważali dużego obszaru rzeczywistości, którą żyło 95 proc. Polaków, ponieważ żyjemy, jak wiadomo, w kraju katolickim. Warto sobie to uświadomić na tej sesji, ponieważ jest to miarą naszego oderwania od życia w przeszłości. Uległo to zmianie w latach 80-tych, przede wszystkim właśnie dzięki postawie Kościoła. Tacy księża, jak Wiesław Niewęgliowski, Wojciech Czarnowski, wielu księży z Wrocławia, Torunia i z wielu innych miast Polski, podało nam rękę. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich nazwisk, niech te, które wspominałam, będą symbolem tej sprawy. Dzięki tym księżom odbywały się wystawy, odbywał się Dzwonek Niedzielny, panele, na których bardzo często występowali ludzie, którzy swą wypowiedź rozpoczęli od słów: "Jestem niewierzący". I oto okazywało się, że przed ołtarzem jest miejsce na demokrację. Oczywiście, zmiana ta nastąpiła nie tylko pod wpływem stanowiska Kościoła, ale również pod wpływem zmiany postaw naszego środowiska. To lud napierał na ściany świątyni, można powiedzieć. Byli zresztą księża, którzy tego naporu - a był on silny zwłaszcza na prowincji - mieli jakby dosyć. Na ogół jednak ulegali mu i zaistnieli jako zjawisko, o którym właśnie mówię. W czasach, kiedy demonstrowano nam szczególną pogardę dla człowieka, zrozumieliśmy lepiej tych, którzy głosili godność osoby ludzkiej i z tego powodu o wiele wcześniej, niż my w latach 80-tych, musieli dokonywać trudnych wyborów, bywali prześladowani, czego myśmy nie zauważali. To, że zaczęliśmy dostrzegać ten obszar życia w latach 80-tych; to, że dziennikarze zaczęli zabierać również głos w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej, że sprawy te stały nam się bliskie, ma ogromne znaczenie dla naszego środowiska. Sądzę bowiem, że podobnie jak spora część inteligencji twórczej wróciła do korzeni, do tradycji chrześcijańskiej, która jest jednym z niewątpliwych filarów Europy i spuścizny kulturowej, z której czerpiemy.

Dlatego właśnie zmiana, która w nas nastąpiła, wydaje mi się tak istotna, ponieważ jest zmianą świadcząca o innym widzeniu świata i człowieka, niezależnie od przekonań osobistych. Dlatego mam nadzieję, że nowy niezależny związek dziennikarzy, o który się dzisiaj na tej sali upominamy, nie będzie już stowarzyszeniem, dla którego religia nie przedstawiać będzie żadnej wartości.

Krzysztof Czabański: Jest jedna sprawa, która tak trochę wisi w powietrzu, nie do końca jakby wypowiedziana, a która znalazła swój wyraz w wypowiedzi Grzegorza Boguty. Nie zostało to chyba dopowiedziane, że my nie tworzymy stowarzyszenia; które będzie przyjmować kolegów z drugiego obiegu, tylko razem z kolegami z drugiego obiegu tworzymy stowarzyszenie nowe, o starej nazwie, ale nowe stowarzyszenie. Razem je tworzymy. Być może, jest to wynik pośpiechu w zbożnej intencji, żeby jak najszybciej Komitet Założycielski powstał. Ale może - to już wniosek do komisji uchwał - warto by w tej sprawie podjąć osobną deklarację. Ale to tylko luźna propozycja. Natomiast proponowałbym konkretnie, jako własny wniosek, żebyśmy jako Komitet Założycielski SDP dołączyli swój podpis do deklaracji niezależnych wydawców, przeczytanej tutaj przez Grzegorza Bogutę.

Jerzy Surdykowski: Trochę mi zabrakł temat kolega Czabański. Chciałem więc tylko powiedzieć, że dobrze się stało, iż na tej sali zabrali głos przedstawiciele prasy niezależnej, ludzie, których droga do dziennikarstwa była inna niż nasza, starych SDP-owców. W późnych latach 70-tych, kiedy ja pracowałem jeszcze u Machejka, już wydawano niezależne pisma, wolne pisma, wydawano wolne książki. Mówię to po to, aby obecność wśród nas tych ludzi i świadomość ich drogi do dziennikarstwa były dla nas pewną lekcją pokory. Bo to oni otworzyli nam drogę do tej postawy, jaką przyjęliśmy po 13 grudnia 1981 r. Chodzi też o to, żeby to nasze stowarzyszenie, które będzie zarejestrowane wcześniej czy później, było także stowarzyszeniem ludzi o tej właśnie drodze. Żeby nie było stowarzyszeniem, które paternalistycznie usynawia te osoby o innej drodze, osoby zawsze wierne tym wartościom, które dziś nas wszystkich łączą.

Dionizy Garbacz: Jestem członkiem SDP od grudnia 1980 roku. Przeszedłem weryfikację negatywnie, tzn. pozytywnie, bo znalazłem się wśród wylanych z pracy. Jestem ze Stalowej Woli i chciałem się z Państwem podzielić swoimi doświadczeniami, jeśli chodzi o prasę drugiego obiegu w takich miejscowościach typowo robotniczych. Zaczęlbym od swoich doświadczeń strajkowych. Uczestniczyłem w tym największym strajku stalowolskim w sierpniu 1988 roku, jako jeden z nielicznych przedstawicieli, nazwijmy to, inteligencji czy urzędników. Było nas zaledwie 48 na 4 tys. strajkujących. Z uwagi na to, że urzędnicy i inteligencja znowu nawalili, ci przedstawiciele musieli się zająć, nazwijmy to, propagandą, chociaż nie jest to sympatyczne słowo, ale faktycznie to właśnie trzeba było robić. Mnie dostała się cała działka, a więc nie tylko redagowanie biuletynu strajkowego, ale także nauka śpiewu, dozоровanie pracy plastyków, nie mówiąc już o tym, że i czuwanie nad funkcjonowaniem drukarni. Mój czas pracy wynosił, nie przesadzaj, 22 godziny na dobę przez 15 dni. W tym czasie musiałem przygotować od 8 do 12 stron maszynopisu dziennie i czuwać nad jego wydaniem. Nie chce się tu oczywiście chwalić swoimi osiągnięciami, nie w tym rzecz, puenta będzie trochę inna.



Jedna uwaga jest tu bardzo istotna. Ośrodek Stalowa Wola jest małym ośrodkiem, 70 tysięcy ludzi, bez żadnych tradycji humanistycznych. No i pomocy z zewnątrz nie mieliśmy żadnej, tak jak się zdarzało w innych ośrodkach, gdzie przyjeżdżały ekipy studentów, które pomagały w redagowaniu biuletynów. U nas tego nie było. Ale wywalczyliśmy sobie dzięki temu dobrą pozycję w hucie.

Nie zgodziłbym się ze stwierdzeniem, jakie tu padło, że oddziaływanie prasy drugiego obiegu jest zawężone. U nas, w zakładzie pracy, a w końcu jest to zakład 20-tysięczny, funkcjonują, pamiętacie Państwo jeszcze z lat stalinowskich, tablice ogłoszeń, które istnieją i teraz. Toczyliśmy walkę o te tablice i teraz nasza prasa, każdy numer naszego pisma, jednego i drugiego, jest rozwieszany i czytany przez wszystkich. Dosłownie. Przez towarzyszy partyjnych i neozwiązkowców, no i, oczywiście, przez członków "Solidarności". Często jest ogromny ścisk pod takimi tablicami. Oddziaływanie jest duże, czego dowodem są listy ludzi, którzy z "Solidarnością" nie mają nic wspólnego, ba - nawet od przeciwników "Solidarności". Ale, co się z tym wiąże, otóż, nie możemy popadać w hurraoptymizm, że jest wspaniale, że prasa drugiego obiegu znakomicie się rozwija, że tyle tytułów. Ze Stalowej woli tego nie widać. Musimy więc tę pracę podjąć sami - z tym się wiąże problemy jakości materiału prasowego i sprawa kadry, która jest niedouczona. Dlatego stawiam wniosek, aby Komitet Założycielski dostrzegł problem przyspieszonego szkolenia dla ludzi niekoniecznie związanych z drugim obiegiem, ale także dla osób, które będą teraz tworzyć prasę niezależną - fabryczną, lokalną itd. Chętni na pewno się znajdą.

Alicja Balińska: Załatwiamy tu parę rzeczy, które były zaczęte i z którymi nie zdążyliśmy przed 13 grudnia. Bardzo to ładnie kiedyś napisał w jednym z ostatnich numerów Tygodnika "Solidarność" Kazimierz Dziewanowski: "Oby nam tylko dano więcej czasu". Ale więcej czasu wtedy nam nie dano i w związku z tym rzeczywiście warto pociągnąć kilka spraw, które były już na bardzo dobrej drodze. Na przykład walka z koncernem RSW "Prasa", który wówczas doprowadzał do szczytu swoją monopolizację bo, do "Prasy, Książki i Ruchu" miała dojść jeszcze baza poligraficzna w poszczególnych województwach. Pozwolę sobie przypomnieć, że w różnych ośrodkach oddziały SDP rozpoczęły walkę z tym kolejnym etapem monopolizacji i sprawę inkorporacji drukarni udało się wówczas powstrzymać. Pragnę zatem złożyć tutaj wniosek, aby postawić pytanie o legitymizację RSW "Prasa, Książka, Ruch", bo nie jest to spółdzielnia robotnicza, tylko normalny koncern. To w formie wniosku do Komisji Wnioskowej.

Myślę, że jest to sprawa niezwykle ważna. Wysłuchałam tutaj naszego synka, jeśli nie wnuczka - myślę o wystąpieniu Tomka Roguskiego - z wyjątkowym przejęciem i nie mogę się jeszcze w tej chwili powstrzymać od pewnego zdenerwowania. W moim rodzinnym mieście, Piotrkowie Trybunalskim, kiedy ja chodziłam jeszcze do liceum, wydawaliśmy trzy gazety. Nie dlatego, że nie działała wtedy w Polsce cenzura, ale cenzura miała wówczas ważniejsze sprawy na głowie, niż walkę z uczniami w szkołach. Moja gazeta, której byłam redaktorem naczel-

nym, nazywała się "Młode życie". I faktycznie uczyliśmy się tam życia, pisania, tak jak uczniowie w szkołach angielskich uczą się parlamentaryzmu. Sądzę - że jest to ponura sprawa, jeśli dziś ci młodzi ludzie muszą być czymś w rodzaju partyzantów miejskich. I zadałam sobie kolejne pytanie: dlaczego my, w Piotrkowie Trybunalskim, mogliśmy jeszcze w 1947 roku legalnie wydawać trzy tytuły? Ano między innymi dlatego, że w Piotrkowie, który jeszcze wtedy nie był stolicą województwa, ale tylko powiatu, istniały trzy drukarnie. Czas zatem najwyższy, żeby upomnieć się o drukarnie w miastach dla samorządów, dla odrodzonej społeczności lokalnej.

Marek Rapacki: Podobnie jak przemawiający przede mną kol. Łopiński, ja też się czuję dziennikarzem z pogranicza pierwszego i drugiego obiegu. Teoretycznie z pierwszego, ale praktycznie od dawna z drugiego. W związku z tym chciałem zwrócić uwagę na sprawę, która tutaj parę razy się pojawiała - znalazła się m.in. w wystąpieniu Grzegorza Boguty - żeby w osobowości naszego stowarzyszenia, które tutaj rekonstruujemy, znalazło się także miejsce na tę część, która wynika z doświadczeń drugiego obiegu.

Myślę też, że właśnie w tym kontekście wymaga wspomnienia jedno nazwisko. Jest to nazwisko Jurka Zieleńskiego, współzałożyciela Grupy Inicjatywnej w 1980 r. Wszyscy wiemy, kim był i kiedy oraz w jaki sposób zginął. Otóż Jurek Zieleński, który od 1977 roku współpracował z Biuletynem Informacyjnym KOR-u, zawsze mówił rzecz następującą: "Ja się od nich szalenie wiele uczę". Będąc wielkim profesjonalistą, człowiekiem wielkiej wiedzy i tuzem dziennikarstwa zawodowego, mówił: "Ja się od tej Joanny Szczęsnej, tego Sewka\* wiele uczę". Myśnię się tego wszyscy uczyli i mam wrażenie, że nastąpiło jakieś zbliżenie obu tych obszarów kompetencji u ludzi, którzy z naszego środowiska licznie weszli w drugi obieg po 13 grudnia.

Niemniej, może najkrócej spróbuję określić dwie konstytutywne cechy KOR-owskiego jeszcze dziennikarstwa, którego musiał się uczyć Jerzy Zieleński. Ja osobiście uczyłem się tego w roku 1981 w prasie Regionu "Mazowsze". Po pierwsze, niezwykła zwartość, lakoniczność, a chyba my wszyscy, zawodowcy, którzy robimy w drugim obiegu, do dziś mamy skłonność do pisania tak, jak byśmy mieli do dyspozycji liczne rozległe kolumny gazety typu, powiedzmy, "Polityki". I druga sprawa, to mówienie wprost i bez inwektyw. A my przyzwyczailiśmy się mówić mową ezopową przez całą dekadę lat 70-tych. I ja też mówiłem Ezopem. I było sztuką przestawiać się w tym 1981 roku i później na mówienie wprost. Lakoniczne, bez inwektyw, ale wprost. I to jest tylko przykład dwóch umiejętności, które posiadał drugi obieg, a i my genetycznie wciąż poczuwający się do obiegu pierwszego, pewnie też już posiadliśmy. Pamiętajmy więc, że ludzie drugiego obiegu mają również swój niemały wkład i niewątpliwie stosunek do nich - jak to tu określono - patrenalistyczny, na pewno jest nieuzasadniony.

\* Chodzi o Seweryna Blumsztajna (przyp. red.)

I jeszcze krótko o innej sprawie, też dotyczącej drugiego obiegu. Chodzi mianowicie o prasę zakładową. Do paru słów o tym zainspirował mnie kolega ze Stalowej Woli. Istotnie, jest to prasa, której impakt społeczny, której znaczenie jest przeogromne. Ona działa w naszej bazie, także w bazie naszego stowarzyszenia. My wszyscy, z naszymi aspiracjami, z naszymi planami stowarzyszeniowymi, politycznymi i innymi zależymy od tej bazy. W bazie tej prasa drugoobiegowa istotnie robiła rzeczy znaczące i ważne przez cały okres od 1981 roku i w dalszym ciągu ma ogromne zadania do spełnienia, które tylko z ogromnym trudem będą mogły z niej zdjąć przedsięwzięcia pierwszoobiegowe. W każdym razie, dopóki nie mamy zniesionej cenzury, dopóty nie ma warunków, w których będziemy mogli legalnie wydawać prasę drugoobiegową, a raczej - powiedzmy po prostu - wolną prasę. Musimy wszyscy zdać sobie sprawę z tego, że prasa zakładowa ma ogromne zapotrzebowanie kompetencji dziennikarskich, że bardzo znaczna część tytułów robiona jest nieporadnie i z całą pewnością chętnie skorzystałaby z pomocy wykwalifikowanego dziennikarza. Sam starałem się pomagać w paru przedsięwzięciach tego rodzaju. I mam jakieś doświadczenie, które upoważnia mnie do stwierdzenia, że wszyscy, na miarę swoich możliwości i kontaktów, powinniśmy pamiętać, że jest to dla nas ważne zadanie społeczne do spełnienia.

Stefan Bratkowski: Chciałbym wrócić do tego zasadniczego tematu, który był tutaj podejmowany. W tej deklaracji, która dziś podpisujemy, wyraźnie jest powiedziane, że to legalizowane stowarzyszenie ma być wspólnym stowarzyszeniem dotychczasowych członków SDP i wszystkich dotąd niezrzeszonych, formalnie niestowarzyszonych, którzy taką wolę deklarują. Jesteśmy - i tylko taki jest, w moim poczuciu, sens funkcjonowania naszego stowarzyszenia - jeżeli będziemy jedną wspólną rodziną dziennikarską. Inaczej nie byłoby czego kontynuować, ponieważ byłoby to stowarzyszenie, którego najmłodszi członkowie mieliby, powiedzmy, po trzydziści kilka lat. Takie stowarzyszenie byłoby bez przyszłości. Jeżeli staraliśmy się pomagać kolegom, jak się tylko dało, to nie było to tylko kwestią pochylenia się nad młodszymi, ale obowiązkiem wobec naszego zawodu. Jeżeli ten zawód ma przetrwać w takim kształcie, o jakim marzymy, to bez tych młodszych kolegów ten zawód w ogóle nie miałby szans. To nie to, że oni są nam potrzebni; jesteśmy sobie wszyscy razem potrzebni, tym bardziej, że przygniatająca większość osób powyżej 30-tki na tej sali ma za sobą bardzo ścisłą współpracę z drugim obiegiem, a niektórzy wyłącznie ten drugi obieg realizują.

Natomiast co do perspektyw drugiego obiegu. Poza tym, o czym mówił Grzegorz Boguta, tzn., że sensem drugiego obiegu jest uwolnienie publikacji, prasy, książek, a także samo TV, radia itd. od cenzury. I jest jeszcze drugi cel, o którym mówiłem dzisiaj przed południem, mówił też o tym kol. Roguski i mówiła Ala Balińska, wspominając swe lata uczniowskie. Chodzi o odrodzenie normalnego ruchu prasy lokalnej, fabrycznej, szkolnej, osiedlowej, miejskiej, ponieważ jest to podstawowy czynnik integracji i podstawowy warunek zdrowego funkcjonowania społeczeństwa. Tu naprawdę nie o to chodzi, jak zachować drugi obieg. W rzeczywistości chodzi o to, aby to, co dzisiaj

nieł być realizowane w drugim obiegu, mogło stać się normalnym, podstawowym elementem normalnego życia społeczeństwa w naszym kraju.

KONIEC I DNIA OBRAD





## II DZIEŃ CORAD

Drugi dzień corad, jego część przedpołudniowa, otworzył Jerzy Szperkowicz, który powitał nowo przybyłych kolegów - w tym licznych spoza Warszawy i następnie poprosił o wygłoszenie kolejnych referatów. Jednocześnie kontynuowała prace Komisja Wnioskowa.

\* \* \*

### ŚRODOWISKO DZIENNIKARSKIE PO 13 GRUDNIA 1981 ROKU\*

#### Katarzyna Kołodziejczyk:

- Mam zająć uwagę państwa sytuacją środowiska dziennikarskiego po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Dzisiaj, po przeszło siedmiu latach, które upłynęły od tej daty, znajdujemy się w czasie delikatnym i trudnym na skutek przejść związanych z naszymi wydarzeniami. Niektórzy z nas zachowali jeszcze wiele bólu i urazów spowodowanych represjami, jakie władza zastosowała wobec naszego środowiska. Jednak bieg codziennych zdarzeń przyspiesza coraz bardziej moment, w którym pora przystąpić do porządkowania naszych spraw.

Ogólnie wiadomo, że dziennikarze ucierpieli, jak żadne inne środowisko twórcze, ale też, że zdali swój życiowy egzamin z bardzo dobrym wynikiem. Znane zawołanie z lat sześćdziesiątych: "Prasa kłamie!" straciło w okresie "Solidarności" (1980/1981) swoją zasadność wobec środowiska jako całości. Kiedy wprowadzono stan wojenny, wielu dziennikarzy, broniąc zasad obowiązujących w zawodzie, świadomie poniosło c-

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

fiary. Tym bardziej, musimy się starać o to, aby nie oceniać i nie patrzeć na ten okres z pozycji bohaterów. Najbardziej potrzebny, wręcz niezbędny, jest więc chłodny stosunek do wszystkiego, co się wydarzyło. Przede wszystkim potrzebna jest rzetelna i w miarę możliwości pełna wiedza o minionych latach, gdyż to ona jest i pozostanie podstawą, na której będziemy opierać sądy o decyzjach władz, o postawach dziennikarzy, a przede wszystkim wiedza ta będzie podstawą do porządkowania naszej sytuacji.

Sprawa jest tym pilniejsza, że inni przystąpili już do oceny tego okresu, przedstawiając go w krzywym zwierciadle. Ocena ta miała miejsce na II Zjeździe SD PRL, o czym informuje "Prasa Polska" z grudnia 1988 roku. Ale jeszcze wcześniej, przy zgoła innej okazji, powstały znacznie poważniejsze wątpliwości. Oto kilka szczegółów o obydwu sprawach.

Wiceprzewodniczący SD PRL, zarazem jego współzałożyciel, Florian Dłużak, boleje co prawda nad weryfikacją, nazywa ją nawet kapturowym sądem, ponieważ razi go styl, w jakim została przeprowadzona, akceptuje jednak sam cel przedsięwzięcia. Jest zdania, że należało się posłużyć innymi metodami - podaje przykład "Polityki" - aby osiągnąć ten sam skutek. Ubolewa też nad fałszywymi sądami, dotyczącymi - jego zdaniem - samego przebiegu, jak i rozmiarów weryfikacji. Podaje liczbę zaledwie 600-800 osób dotkniętych owymi sądami, podczas gdy już sam Radiokomitet wydał przeszło 500 niechlubnych decyzji. Swoją drogą autor proponuje, aby to SD PRL opracowało "dokładne dzieje" weryfikacji, żeby w ten sposób położyć kres niesprawiedliwym sądom. Strach pomyśleć!

Inna sprawa. Główny specjalista Departamentu Kadr i Szkolenia Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Wojciech Czapczyński ma wątpliwości, czy weryfikacja miała w ogóle miejsce i zastępuje tę nazwę w urzędowych pismach eufemizmem - "rozmowy komisyjne". Zaoszczędzę Państwu szczegółów, a zainteresowanych tą kwestią odsyłam do pisma "Solidarność RiTV", nr 22 i 23.

Byłam już gotowa uwierzyć, że pan Czapczyński padł ofiarą nowych "białych plam" - do niedawna panowała znowa milczenia wokół haniebnej procedury karania dziennikarzy za poglądy, bo na tym w istocie polegała weryfikacja - gdyby nie pewien drobniaczek. W trakcie wertowania dokumentów dotyczących przebiegu czystek, ze zdumieniem odkryłam, że nazwisko Czapczyński - wówczas przedstawiciel Biura Rzecznika Rządu, widnieje na liście osób, które przeprowadzały weryfikację i zarazem likwidację tygodnika "Kulisy". Myślę, że stosownie będzie powstrzymać się od komentarzy. Inna rzecz, że na dwanaście osób w zespole, zaledwie cztery otrzymały pracę.

Zatrzymałam się na tych dwóch przykładach, żeby Państwu uświadomić, jak ważną i pilną jest potrzeba opublikowania wyczerpującej pracy na temat środowiska dziennikarskiego po 13 grudnia 1981 roku. Skłaniają do tego także i inne spostrzeżenia.

Oto okazuje się, że materiały, które stanowią podstawę źródłową do niniejszego tematu, znajdują się w dużym rozproszeniu i są zdekompletowane. Najczęściej te, które zdołano zgromadzić i przechować, obejmują zaledwie pierwszy, początkowy okres stanu wojennego. A przecież represje się nasilały i trwały nadal, choć nie w tak masowej skali, jak weryfikacje.

Część dokumentów znajduje się w terenie, często w posiadaniu poszczególnych dziennikarzy. Weryfikacja, podobnie jak represje, objęła cały kraj, zatem i nam musi się udać próba skompletowania dokumentów w skali całego kraju. Istnieją pewne rezerwy materiałów źródłowych, które rokuja nadzieję odtworzenia sytuacji, w jakiej się znalazło całe środowisko dziennikarskie. Problem w tym, że wymaga to licznych wyjazdów w teren, żmudnej pracy, a więc przede wszystkim czasu, chęci oraz pieniędzy.

Wróćmy jednak do weryfikacji. Rozpoczęła się prawie natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego, bo 17 grudnia 1981 roku w "Kurierze Polskim". Można przyjąć, że cała akcja zakończono na przełomie lutego i marca 1982 roku, choć o jej skutkach informowano dziennikarzy nie zawsze od razu. Na przykład, kolegów z "Przeгляdu Technicznego" zawiadomiono o decyzjach dopiero w kwietniu 1982 roku. Nigdy i nigdzie nie podano też podstaw prawnych, na jakich ta akcja się opierała.

Skutki weryfikacji były różne: zwolnienie z pracy, zakaz wykonywania zawodu, zakaz pracy w prasie RSW, degradacja i zdżęcie z dotychczasowej funkcji i inne. Rządziej zdarzały się przypadki przeniesienia dziennikarza do innej pracy, czy też poddania go tak zwanej reedukacji.

Jednocześnie w pierwszych miesiącach stanu wojennego zlikwidowano szereg pism, między innymi: "Czas", "Wiadomości", "Kulisy", "Meritum", "Kulturę". Na ogół bardzo nieliczni dziennikarze otrzymali możliwość pracy w innych redakcjach.

Przyjmuje się, że w pierwszym okresie zwolniono z pracy około 1200 osób, inne zaś dolegliwości dotknęły dalszych przeszło tysiąc osób. Jednak już pobieżny przegląd materiałów źródłowych wskazuje, że szacunki te są zaniżone. Represje skierowane przeciwko dziennikarzom miały swoją dynamikę. Bywało, jakkolwiek nie często, że na skutek starań, jedni zostali przyjmowani do pracy - najczęściej na niższe stanowisko, inni - a tych było znacznie więcej - byli w tym samym czasie zwalniani, aresztowani, zatrzymywani, żeby przestać tylko na wymienieniu tego typu represji.

Charakter oraz przebieg weryfikacji jest także ważnym elementem oceny tamtego okresu. Był on zróżnicowany. Najbardziej brutalny przebieg miały czystki w małych ośrodkach miejskich, ale niekiedy także w Warszawie, Gdańsku, Szczecinie, a szczególnie na Śląsku, czego przykładem są Katowice. Tutaj weryfikacji poddano co trzeciego dziennikarza. W prasie Pax-owskiej z kolei weryfikacja odbyła się drogą korespondencyjną. Kolekdy zostali po prostu powiadomieni przez pocztę, że właśnie przestali pracować.

Wydaje się rzeczą konieczną, aby w redakcjach, w których odbywały się zwyczajne przeszuchania, uzupełniono istniejące dokumenty o dokładne daty oraz nazwiska osób, które przeprowadzały weryfikacje. Dotyczy to głównie przedstawicieli MSW, SB i KC PZPR.

W trakcie zbierania materiałów do niniejszych uwag zauważyłam, że ponownie odżyło pytanie, na które staraliśmy się znaleźć odpowiedź, kiedy zarządzono weryfikację: stawić się,

czy się nie stawić na wezwanie? Członkom SD PRL, którzy uważają, że dziennikarze sami są sobie winni, ponieważ - jak twierdzą - gdyby się nie stawili, to by do czystek nie doszło, otóż wszystkim tym osobom spieszę wyjaśnić, że - delikatnie mówiąc - błędzą. Przede wszystkim dlatego, że ci, których poglądy różniły się od obowiązujących, a którzy z różnych względów się nie stawili, i tak nie uniknęli skutków weryfikacji.

Oczywiście, obowiązywała wówczas ta sama zasada, co dziś. Ta mianowicie, że każdy sam, według swego rozeznania i na własny koszt podejmował decyzję. Nie znaczy to, że nie szukaliśmy wsparcia we wspólnych rozmowach i dyskusjach oraz utwierdzenia się we własnych przekonaniach, choć przecież okoliczności temu nie sprzyjały. Przypomnijmy sobie: nie działały wtedy telefony, komunikacja była ograniczona, zima sroga, ale nade wszystko spotkanie kilku osób we własnym domu groziło zatrzymaniem, uwięzieniem lub wyrokiem w trybie dożywotnim.

Otóż w tamtych dniach zaledwie niewiele osób uważało, że należy zignorować wyzwanie. Większość uznała, że trzeba stać czoło wyzwaniu i sprostać sytuacji, jaka powstała. Była to zresztą jedyna możliwość niejako urzędowego potwierdzenia własnych poglądów i tego wszystkiego, o czym zaledwie kilka dni, kilka tygodni wcześniej cała Polska mówiła otwarcie. Istotną wydawała się też możliwość potwierdzenia roli, jaką dziennikarze przywiązywali do głoszenia niezależnych sądów, a tym samym do roli prasy w życiu społecznym.

W tym wyjątkowym okresie, najbardziej imponujące było to, że nie tylko dziennikarze wysokiej rangi zawodowej, i nie tylko osoby o wyrobionych nazwiskach, ale także setki nieznanych szerszej opinii publicznej dziennikarzy, nieczego tak bardzo nie pragnęli, jak znaleźć się i zachować uczciwie, po prostu przyzwocie.

Weryfikacje były zaledwie jedną z form represji. Niestety, były jeszcze bardziej dolegliwe. Chodzi o dziennikarzy internowanych zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego, jak i tych, którzy nieco później zostali zatrzymani, aresztowani, osadzeni w więzieniach śledczych, często fałszywie oskarżeni przez prokuraturę doraźnych sądów wojskowych. Nie można i nie należy pomijać także tych dziennikarzy, których nie ma już wśród nas, a których śmierć ma bezpośredni związek ze stanem wojennym, że wymienię dla przykładu Jerzego Zieleńskiego, Krzysztofa Klingera, Marię Rusinek i Tomasza Figuszewskiego.

Podobnie należy pamiętać o tych dziennikarzach-działaczach SDP, których nazwiska znalazły się na liście internowanych, ale którzy na skutek różnych okoliczności uniknęli aresztowania. Wreszcie, nie mała jest grupa osób, które były nękanne i poddawane różnym represjom po wielokroć, łącznie z zakwestionowaniem i zajęciem ich prywatnego i osobistego mienia, stanowiącego często ich narzędzie pracy.

Po 13 grudnia 1981 roku, a także i w późniejszym okresie najbardziej ucierpieli działacze SDP. Byli poddawani różnego rodzaju szykanom. Niewybredne ataki w reżimowej prasie, oskarżenia o działalność agenturalną, o malwersację i defraudację



cję pieniędzy, a także szkalowanie i zniesławianie - stały na porządku dziennym. Metoda ta była ważnym elementem polityki represji. O napastliwym i chorobliwie wrogim nastawieniu władz do działaczy SDP świadczył fakt, że podczas weryfikacji przesłuchujący wypytawali dziennikarzy o ich stosunek do działalności Stowarzyszenia oraz o ich osobisty stosunek do działaczy SDP, szczególnie do jego prezesa - Stefana Bratkowskiego. Niekiedy odpowiedź decydowała o tym, czy dziennikarz został zwolniony z pracy, czy też nie.

Oczywiście, o wynikach weryfikacji decydowały przede wszystkim poglądy dziennikarza. Być może, w jeszcze większej mierze rozstrzygał stopień jego niezależności, mierzony zarówno gotowością do przyjęcia propozycji - na przykład napisanie krytycznego artykułu o NSZZ "Solidarności", albo usprawiedliwiającego wprowadzenie stanu wojennego - jak też zgodą na podpisanie osławionych deklaracji lojalności. Sytuacja ta powtórzyła się, w nieco mniejszym wymiarze, kilka lat później, kiedy w 1985 roku, w związku ze statutem pracownika RSW, dziennikarz był zobowiązany utożsamiać się i akceptować cele oraz linię społeczno-polityczną wydawcy. Przypomnę, że prasa niemiecka była przez długi czas częścią aparatu przemocy, że ograniczę się do przykładu naгонki na księdza Jerzego Popiełuszkę, która poprzedziła jego zamordowanie.

Resentymenty nigdy nie były właściwą odpowiedzią na doznane krzywdy i poniesione straty. Bywają wszak bariery psychologiczne trudne do pokonania. W takiej sytuacji zadośćuczynienie moralne - obok odszkodowania materialnego - wydaje się sprawą niezbędną, a przede wszystkim zgodną z wymogami kultury społeczno-politycznego życia w tej części Europy. Jeśli życie w kraju ma zmerzać ku normalizacji, to nie można udawać, że nic się nie stało, lub świadomie umniejszać rozmiary i skutki wydarzeń, wymazywać jedne i tworzyć na ich miejsce drugie białe plamy. Byłoby to fałsz, którego pletno może zatruć wszelkie wysiłki prowadzące ku porozumieniu. A przecież warunkiem porozumienia, czy dialogu - o czym tak wiele się mówi - jest oczyszczenie przestrzeni społecznej z nieprawdy i zakłamania. Oto dlatego przywiązujemy wagę zarówno do weryfikacji, jak i do każdego innego typu represji, jakie zastosowano wobec dziennikarzy.

Oddzielnym rozdziałem, jaki środowisko zapisało na kartach swej historii po 13 grudnia 1981 roku, było zorganizowanie pomocy koleżeńskiej. Sprawność organizacyjna, zasięg pomocy oraz jej zakres w okolicznościach stanu wojennego stały się prawdziwym fenomenem socjologicznym, który sam w sobie stanowić może wdzięczny przedmiot badań, a już z pewnością powinien znaleźć swoje odbicie w oddzielnym i szczegółowym opracowaniu.

Można powiedzieć, że pomoc świadczono od pierwszych tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy to zaczęły nadchodzić pierwsze transporty z lekarstwami, środkami czystości, żywnością i ubraniami. Praca w komitetach pomocy wymagała szczególnego wysiłku. Często zwyczajnej pracy fizycznej, ale też dobrego zmysłu organizacyjnego, rzetelnego rozeznania potrzeb dziennikarzy, przede wszystkim chęci zrozumienia bliźniego i wiele serca. Jeden z pierwszych transportów wynosił dziesięć ton. Za nim zaczęły podążać inne, kolejne przesyłki. Niekiedy trzeba je

było pilotować z dalekich dróg wylotowych, przerzucać tony przesyłek, rozładować, posegregować, rozwieźć, rozdać, a wszystkim o oparciu o dobrze zorganizowaną sieć pomocy. W tym celu na przykład podzielono Warszawę na 17 rejonów, z których każdy miał po dwóch opiekunów. Musieli oni sporządzić listę objętych pomocą, wiedzieć, kto ma jakie potrzeby, jaką sytuację rodzinną, ile ma dzieci i dostarczyć odpowiednie paczki.

Byłoby niesprawiedliwe nie wspomnieć o tym, że wielu kolegów, którzy nadal pracowali w prasie reżimowej, pomagało wówczas wydatnie zarówno przy rozładunku, jak i przy rozwożeniu paczek, służąc swoim samochodem i benzyną, z czym - jak Państwo wiecie - było wtedy wiele kłopotów. Dodajmy i podkreślmy, że wielu z nich opodatkowało się na rzecz kolegów wyrzuconych z pracy, z prasy, radia i telewizji.

Niebawem objęto pomocą także dziennikarzy spoza Warszawy. Podobnie jak w stolicy, również dla tak zwanego terenu zorganizowano odpowiednią sieć organizacyjną. W sumie, pomocą objęto przeszło dwa i pół tysiąca osób, w tym również pracowników technicznych, korekty, pracowników administracyjnych, a także - o czym nie należy zapominać - pomoc świadczono również pracującym dziennikarzom, jeśli wymagała tego ich sytuacja. Godny uwagi jest fakt, że stopniowo, w miarę jak dziennikarze znajdowali wyjście z sytuacji, dziękowali za pomoc i prosili o skreślenie swego nazwiska z listy osób objętych opieką. Są dziennikarze, a właściwie dziennikarki, które uczestniczą w tej pracy od samego początku aż po dziś dzień. Bowiem w wąskim zakresie pomoc ta przetrwała do dziś i obejmuje osoby starsze, chore, dzieci oraz sporadycznie inne przypadki. W trudnej sytuacji znajdują się dziś przede wszystkim te osoby, które przeszły na tak zwaną wczesną emeryturę lub na rentę. Niektóre z nich, między innymi pięć osób z Żoliborza, żyją na granicy biologicznego minimum. Sądzę, że sprawą coraz bardziej pilną staje się potrzeba, szczególnie teraz, kiedy nasila się kryzys, rozeznania sytuacji materialnej naszego środowiska w skali całego kraju, przede wszystkim w małych miejscowościach, w których jest zaledwie jedna gazeta, czy tylko jedna rozgłośnia lokalna.

W ramach akcji pomocy zorganizowano także rodzaj pośrednictwa pracy oraz bardzo wydatną, funkcjonującą do dziś pomoc prawną dla naszego środowiska.

Wiemy i pamiętamy, że powodzenie jakichkolwiek akcji tego typu zależało nie tylko od nas samych, ale przede wszystkim od opieki, jaką otoczył nas Kościół i od - jakże szczerzej - pomocy, jakiej udzielili nam przyjaciele z Zachodu. Zarówno postawa Kościoła, jak i skala pomocy nadciągającej z Zachodu, okazały się w wielu przypadkach prawdziwym zbawieniem dla dużej części naszego środowiska.

Wielu z nas podziela zdanie, że w tamtym okresie, właśnie wtedy, kiedy było ciężko i kiedy trzeba było organizować pomoc koleżeńską, przestały istnieć dotychczasowe podziały na tych z radia i z telewizji oraz na tych z zakładowych gazetek, na znanych i nieznanymi dziennikarzy. W najcięższych dla siebie chwilach, środowisko poczuło się zintegrowane. Liczył się jedynie podział na przywoitych i resztę.

Do zintegrowania środowiska przyczyniły się w dużym stopniu także i inne formy wspólnych przedsięwzięć, na ogół takie, które dawały poczucie większego bezpieczeństwa, a przede wszystkim zmniejszały uczucie osamotnienia. Często były to wspólne spotkania w domach, w kościołach, dyskusje panelowe, gazety mówione, czyli dziennikarskie "dzwoniaki", opłatki, herbaty z okazji świąt i rocznic, a przede wszystkim podejmowane wspólnie przy różnych okazjach ryzyko.

Niezmiernie ważną rolę odegrały akcje protestacyjne dziennikarzy przeciwko rozwiązaniu SDP, co - jak wiadomo - nastąpiło z pogwałceniem procedury, wymaganej przez przedwojenny dekret o stowarzyszeniach oraz akcje na rzecz ponownej legalizacji naszej organizacji. Podobne znaczenie miało wiele oświadczeń, protestów i listów otwartych w sprawach publicznych i politycznych, które nas utwierdzały w zajętej postawie.

Z pewnością najbardziej osamotnieni czuli się dziennikarze z mniejszych ośrodków, z którymi zachowała się więź na ogół jedynie poprzez osobiste, a nie organizacyjne powiązania. Niestabilna sytuacja środowiska po ogłoszeniu stanu wojennego miała - i częściowo zachowała do dziś - swoją dynamikę. Pewna liczba dziennikarzy, niekiedy o wysokich kwalifikacjach, odeszła od zawodu na zawsze. Nie jest jeszcze znana dokładna lista tych osób, ale tego rodzaju udokumentowane przypadki zdarzały się prawie wszędzie: w Gdańsku, Szczecinie, Katowicach, Warszawie, a przede wszystkim w mniejszych ośrodkach. Znaczna część naszego środowiska musiała zdobyć nową specjalizację w zawodzie, inni - nowe kwalifikacje zawodowe, w tym również takie, jak cukiernika, stolarza aż po zawód rolnika. Otwierano butiki, był słynny kiermasz warzywny na Placu Defilad w Warszawie, zakładano spółdzielnie oraz inne firmy, ponieważ dla wielu z nas było to jedyne wyjście. Pora ustalić, kto w dalszym ciągu nie ma możliwości wykonywania swego zawodu, lub też nie jest w stanie go wykonywać na skutek różnych przeszkód. Oczywiście, w najbardziej krytycznej sytuacji znaleźli się, i znajdują się nadal, radiowcy i dziennikarze z telewizji - zostali przecież pozbawieni jedynego warsztatu pracy, jaki mieli. Rzecz wymaga jednak bardziej ścisłego ustalenia.

Część dziennikarzy - zachowując zasady zawarte w opracowanym zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego dekalogu, dziennikarskiego kodeksu etycznego - podjęła pracę w legalnych, ale nisko nakładowych pismach, takich jak "Niewidomy Spółdzielca", "Wiadomości Wędkarskie", "Merkury", "Społem" i w innych. Było zasadą, aby swoim nazwiskiem, szczególnie znanym nazwiskiem, nie firmować pism kształtujących opinię publiczną. Niekiedy kompromitujące było już samo umieszczenie nazwiska w stopce danego pisma.

Oczywiście, inne wymogi stawiał kodeks przed młodymi dziennikarzami, wkraczającymi dopiero w szranki zawodu. Ważną rzeczą było, aby nie brać udziału w kampanii kłamstw i oszczerstw, w politycznej "czarnej" propagandzie i aby nie ulec presji wywieranej przez kierownictwo poszczególnych redakcji, która często nosiła znamiona zwykłego politycznego szantażu.

Charakterystycznym zjawiskiem w życiu środowiska było zasilenie prasy katolickiej nowymi profesjonalnymi siłami. Rola, jaką prasa katolicka odegrała w życiu środowiska, jest z pewnością nie do przecenienia. Powstało w tym czasie szereg nowych pism. Inne, o zasięgu lokalnym, zdobyły sobie rozgłos i uznanie szerszej opinii publicznej. Mam na myśli nie tylko wysoko nakładowe, jak np. "Gość Niedzielny", "Nowe Życie", "Powściągliwość i Praca", "Przegląd Katolicki", czy "Misjonarz", ale także szereg innych pism i czasopism katolickich - o mniejszych nakładach.

Przynajmniej znalazłam się w niezręcznej sytuacji. Oto, po długim okresie bezrobocia, otrzymałam etat w prasie katolickiej i sądzę, że potrafię ten fakt docenić. Jednak niejako z obowiązku, będę musiała poświęcić kilka słów sytuacji dziennikarzy w niektórych pismach katolickich i, obawiam się, że będą one krytyczne. Stąd ten dyskomfort, jaki odczuwam, a także prośba o wyrozumienie.

Doceniając, jak już wspomniałam, wszystkie zasługi Kościoła, jakie położył on względem naszego środowiska, należy stwierdzić, że niektóre redakcje i niektórzy wydawcy nie honorują większości praw, jakie dziennikarze wywalczyli dla siebie w ciągu dziesiątków lat, co znajduje swój wyraz w układach zbiorowych pracy, w statucie SDP i innych zawodowo-środowiskowych dokumentach. Dziennikarze zatrudnieni w prasie katolickiej mają na ogół zaniżone wynagrodzenie. Redakcje nie przestrzegają i nie uwzględniają tak zwanej wysługi lat, zarówno przy ustalaniu wysokości wynagrodzenia, jak i w przypadku obliczania należnego im urlopu. Nie istnieje tak zwana "średnia" w przypadku choroby, z reguły nie ma żadnych urzędów socjalno-bytowych i udogodnień z okazji urlopu, czy też w przypadku choroby. Wiele do życzenia pozostawiają warunki i możliwości pracy, którzy z reguły redakcje się nie interesują i uznają je za osobistą i prywatną sprawę dziennikarza. Oddzielną i pilną jest kwestia dostępu dziennikarzy do informacji oficjalnych, także do danych z poszczególnych instytucji i zakładów pracy. Tęgo rodzaju spraw jest wiele, mają one różną skalę i różną hierarchię. Sądzę, że niektóre z nich pozostają w bezpośrednim związku z niskimi nakładami prasy katolickiej, co sprawia, że sytuacja finansowa tych pism jest kiepska i siłą rzeczy odbija się na zarobkach pracowników. Starania o zwiększenie nakładów są z reguły odrzucane przez władze, ponieważ nakład stanowi - jak wiadomo - element gry politycznej w kraju. Obawiam się jednak, że wiele z tych zaniedbań wynika prawdopodobnie po prostu z niezajomości praw, jakie przysługują dziennikarzom. Myślę więc, że wiele z tych kwestii da się naprawić i uregulować. Apelowalabym zatem do obecnych i przyszłych władz SDP o rozmowy z przedstawicielami prasy kościelnej w sprawach, które tu poruszyłam.

Oddzielną kwestią, jaka dotknęła środowisko dziennikarskie, jest emigracja na Zachód. Oblicza się, że ogółem chodzi o nazwiska około pięćdziesięciu osób, choć przecież listy tej nie można zamknąć, bo ciągle jeszcze ktoś następnym decyduje się na stały wyjazd. Niektórzy z emigrantów, wyczerpawszy swoje możliwości sprostania konkurencji na tamtejszych rynkach, dają za wygraną i przestają wykonywać swój zawód; znikomy jest procent



tych osób, które otrzymały zatrudnienie w obcojęzycznych środowiskach społecznej komunikacji.

Część emigrantów-dziennikarzy podjęła pracę w prasie polonijnej i w polsko-języcznych rozgłoszeniach radiowo-telewizyjnych. Wypadnie zgodzić się z opinią, że praca w zachodniej prasie polonijnej ma dla kraju niewielkie znaczenie. Znacznie większe ma oczywiście praca w rozgłoszeniach nie tylko o zasięgu lokalnym, szczególnie tych osób, które już w Polsce cieszyły się popularnością oraz dobrą reputacją profesjonalną. Fakt ten przyczynił się z pewnością do podniesienia poziomu audycji i informacji napływających z Zachodu do Polski. Nie równoważy to wszakże strat, jakie dziennikarstwo krajowe poniosło z powodu ich odejścia. A to przecież jest także jeden z elementów bilansu, obciążający decyzje o wprowadzeniu stanu wojennego, jak też jego skutków.

Wreszcie oddzielną kwestią jest udział środowiska dziennikarskiego w prasie i w wydawnictwach drugiego obiegu. Mówiono o tym szczegółowo na wczorajszych obradach. Dlatego chciałbym zwrócić uwagę na jeden zaledwie szczegół, moim zdaniem, dość istotny.

W ciągu tych lat, które upłynęły od 13 grudnia 1981 roku, a właściwie od sierpnia 1980 roku, dziennikarzom udało się nawiązać i ożywić kontakty z prasą niezależną, nie tylko z pismami podziemnymi o szerszym zasięgu, ale również z prasą szkół średnich i wyższych, a przede wszystkim z prasą większych i mniejszych zakładów pracy. Udział w redagowaniu tych pism mają często robotnicy. Chodzi o to, aby nawiązane nici z tym środowiskiem, szczególnie z robotnikami, nie zostały przerwane, ale wręcz przeciwnie. Warto pomyśleć nad tym, aby nadać tym kontaktom bardziej trwały charakter. Może temu służyć, poza roboczymi więzami, także pomoc, choćby w zorganizowaniu zawodowych kursów dziennikarskich, które się im z pewnością przydadzą.

Teraz, kiedy sprawa legalizacji naszego Stowarzyszenia staje się coraz bardziej realna, należy tym bardziej o tym pamiętać. Fakt, że dziś prawie otwarcie możemy domagać się warunków umożliwiających nam w sposób zgodny z zasadami wykonywanie naszego zawodu, zawdzięczamy przecież w dużym stopniu protestowi robotniczemu, na który lubimy tak często się powoływać.

Zawód dziennikarza przestał być ponownie zawodem cenionym. Na liście 20 najbardziej prestiżowych zawodów znajdował się w 1981 roku, na jednym z pierwszych miejsc. Dziś spadł na siedemnaste. Zadaniem naszego środowiska jest odbudowanie jego wiarygodności oraz społecznej rangi.

Ta kwestia łączy się jeszcze ciągle z bolesną sprawą podziałów, które w naszym środowisku pogłębiły się na skutek stanu wojennego. Szkody powstałe w wyniku tych podziałów są znaczne. Koledzy z prasy oficjalnej, z którymi rozmawiałam, wyrażali się pesymistycznie i z niechęcią o swoich najbliższych kolegach redakcyjnych, których grono - jak twierdzą - zostało zasilone ludźmi przypadkowymi, często byłymi pracownikami MSW lub aparatu partyjno-państwowego. Tym bardziej więc należy uczynić wszystko, aby podział, którego w tych warunkach nie da się uniknąć, był tylko jeden: na tych, którzy przestrzegają zasad etyki zawodowej, obowiązującej zawsze i w każdych warunkach i na tych, którzy te zasady łamią. Różną mają koledzy, którzy uważają, że mamy

przed sobą dwie drogi: albo, kierując się resentymentami, staniemy się środowiskiem zamkniętym, żeby nie powiedzieć sektorskim, albo też stworzymy szanse zintegrowania środowiska na obowiązującej każdego człowieka zasadzie przyzwoitości. W ten sposób proces integracji objąłby dziennikarzy z różnych ośrodków, różnych czasopism, gazet i organizacji, także tych, którzy byli zmuszeni do podpisania deklaracji SD PRL, wszystkich, którzy przestrzegają etyki zawodowej, a przede wszystkim tych, którzy odmówili wstąpienia do SD PRL, mając nadzieję, że SDP uzyska legalizację i że będą mogli do nas dołączyć. Aby sprostać tej roli integracyjnej, musimy wyzbyć się wszelkich uprzedzeń, które powinna zastąpić rzetelna, w miarę pełna wiedza o losach naszego środowiska po 13 grudnia 1981 roku. Ukazało się co prawda kilka książek z życia dziennikarzy w tym okresie, ale żadna z nich nie wyczerpuje niniejszego tematu.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Przyłączam się do zdania, że każde, nawet najbardziej gorzkie doświadczenie, przybliżyło nas do celu. Jeśli w reżimowej prasie zachodzą dziś zmiany, jeśli władza pozwala na publikacje materiałów, za które jeszcze nie tak dawno wsadzała autora do więzienia, to jest w tym także zasługa środowiska dziennikarzy i prasy niezależnej. Myślę zatem, że etap, jaki mamy za sobą, nie był czasem straconym, myślę, że był czasem dojrzewania do roli, jaka stanowi o istocie zawodu dziennikarza. Do roli społecznego gwaranta praw zapisanych w umowach społecznych.

#### CENZURA - SZKODLIWA I ANACHRONICZNA \*

##### Dariusz Fikus:

- Dziennikarz polski mojego pokolenia żyje z cenzurą od kołębki po grób. Żył się już z nią i przyzwyczaił do niej. Przez czterdzieści kilka lat polska prasa funkcjonuje w dybach cenzury. Można wyznaczyć krzywą dolegliwości aparatu cenzorskiego. Jej oddziaływanie faluje - wzmacnia się w sytuacjach zaczerpania się represji, kiedy kolejne ekipy krzepną i walczą tylko o przetrwanie, spada w okresach kryzysów i chaosu. Kiedy niedawno przeglądałem stare piątki kolumn cenzuralnych "Polityki", z naniesionymi na nich uwagami cenzorskimi sprzed 11 laty, nie wiedziałem czy śmiać się, czy płakać. Nie wiem już, dlaczego zdjęto felieton Radgowskiego o tym, że rzemieślnicy mają produkować części do "Berlietów" - może były pod ochroną wujka Gierka? Dlaczego nie zyskała względów cenzora recenzja Marty Fik ze sztuki Terleckiego o procesie Macocha? Może dlatego, że była w tej sztuce wnikliwa analiza carskiego systemu prawa, a to zawsze w cenzorach budziło skojarzenia? Oglądanie starych bliźn, na połówkowych kolumnach, pozwala dojrzeć coś więcej, niż brutalne wkraczanie w cudze teksty, fałszowanie cytatów, przekręcanie myśli. Ujawnia płaskość takich zabiegów i całą ich absurdalność. Nie jesteśmy już w stanie zrozumieć intencji, odtworzyć skomplikowanej drogi skojarzeń, odniesień, kontekstów, które uruchamiały czerwony ołówek. Tak, jak tylko śmieszny jest XIX-wieczny

---

\* Tekst autoryzowany (przyjp. red.)

przykład perypetii C.K.Norwida, któremu cenzor poprawiał wiersz: "Dotknij jej swoją ręką krwawą" na "Dotknij jej swoją ręką prawą". Są słowa, których cenzorzy unikają, jak ognia: "krwawy", obok takich słów jak "totalny", "skandaliczny". Są też słowa, które cenzorzy uwielbiają jak: "niektórzy", "niekiedy", "wyjątkowo" - zamiast "zawsze", "powszechnie", "z reguły" i stosują je z powodzeniem do osłabienia wymowy tekstu. W 1960 r. zakazane było używanie słowa "strajk" - zastępowaliśmy je "przerwą w pracy". Jak pisał Słowacki:

"Každy ma język swój, co jest kulawy  
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,  
A kiedy straszną opisują burzę,  
To chmura piorun zostawia w cenzurze"

Ile było tych piorunów! O ilu rzeczach nie wolno było pisać! Były okresy, w których wolno było pisać tylko źle o Wajdzie i tylko dobrze o szachu perskim. Był specjalny zakaz pisania o tym, że dyktator Ugandy - Amin, postanowił w swoim kraju wzniesć pomnik na cześć Hitlera, a także - broń Boże - o terrorystycznych zapędach władcy Libii. Za późnego Gomułki zdejmowano wszelkie dane o konsumpcji kawy w Polsce, by nie ujawnić faktu jej reeksportu. (W kraju brakowało jej wówczas, tak jak i teraz.) Za wczesnego Jaroszewicza odchnudżono gwałtownie "Rocznik statystyczny", wykreślając z niego dane o bilansie handlowym i płatniczym, o zadłużeniu, o wypadkach drogowych i katastrofach w kopalniach, a nawet to, iż bydy choruje na przyszybę, a komunistów prześladuje się w niektórych zaprzyjżnionych krajach arabskich. Cenzura przez lata całe znęcała się nad nekrologami, wykreślając nazwy formacji wojskowych i AK-owskich oddziałów. Zestaw cenzuralnych absurdów zestawili Karol Małcużyński w swoim sejmowym wystąpieniu w związku z debatą o ustawie o cenzurze. Przemówienie zostało wygłoszone, miało się ukazać w "Prasie Polskiej", ale ten numer już się nie pojawił w kioskach, poszedł na przymiały w związku z wprowadzeniem stanu wojennego. Małcużyński nazwał te zapisy głupimi i haniebnymi.

Cenzura socjalistyczna była surowa już w 1944 r. W powojennym okresie użyta została do walki z PSL-em. Tepiła ukazujące się do 1948 r. niezależne pisma przede wszystkim ludowe. Stała się ważnym instrumentem kontroli i docenionym należycie, bo oddanym w dobre ręce ministra bezpieczeństwa. Merytorycznie pieczę nad nią sprawował Jakub Berman, czyli od początku klucz do cenzury znajdował się w rękach partii i to się właściwie nie zmieniło po dziś dzień. Od początku urząd kontroli nie tylko nadzoruje proces wydawniczy, ale również wyraża zgodę na istnienie pism. Ma prawo przyznawania debitu. Oprócz cenzury istnieją jeszcze inne zabezpieczenia: w postaci monopolu papieru i druku.

Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk początkowo działał prawem kaduka, istniał bez żadnej podstawy prawnej. Z czasem cele jego działania określono, bardzo ogólnie, w dekrety z 5 lipca 1946 r., podporządkowując go formalnie premierowi. Sformułowania dekretu, zakazujące publikacji godzących w ustrój i wrogich, stwarzały ogromne pole do całkowitej dowolności interpretacji tego przepisu. Zasadą działania cenzury był jej prewencyjny charakter i pełna tajność.

ingerencji nie wolno było ujawniać publicznie, trzeba było się ich wstydić. Cenzor miał do dyspozycji, oprócz swego politycznego nosa, księgę zapisów, która się rozrosła w latach 60-tych i 70-tych do ogromnych rozmiarów. Zapisów tych dokonywać mogli wyżsi urzędnicy, ministrowie, wicepremierzy i kierownicy wydziałów KC. Dokumenty cenzury z lat 1974-1977 wywłóżył w 1977 r. do Szwecji Tomasz Strzyżewski, pracownik cenzury, a współpracownik KOR-u, ujawniając mechanizm działania tej instytucji i kompromitując ją.

Nic więc dziwnego, że w trakcie wielkiej rewindykacji w 1980 r., w Porozumieniach Sierpniowych, znalazł się w punkcie 3 zapis, przewidujący, że "rząd wniesie do Sejmu w terminie 3-miesięcznym projekt ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk, oparty na następujących zasadach: cenzura powinna chronić interesy państwa. Oznacza to ochronę tajemnicy państwowej oraz gospodarczej, której zakres określa bliżej przepisy prawa, spraw bezpieczeństwa państwa i jego ważnych interesów międzynarodowych, ochronę uczuć religijnych, a jednocześnie uczuć osób nie wierzących, jak i uniemożliwienie rozpowszechniania treści szkodliwych obyczajowo. Projekt ustawy obejmowałby również prawo zaskarżania decyzji organów kontroli do Naczelnego Sądu Administracyjnego".

Władzy się jednak nie spieszyło. Nie było mowy, aby dotrzymać ustalonych w Gdańsku terminów. Projekt państwowy pichcił po cichu zespół ministra sprawiedliwości Jerzego Bafii. Od początku był to płód poroniony, co nawet przyznała "Trybuna Ludu". W tym samym czasie w gronie ekspertów Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, w gronie ekspertów "Solidarności", wśród których była spora grupa publicystów i prawników, w oparciu o wyniki ankiety DIP-u przygotowano społeczny projekt ustawy, który przyjęto za podstawę do dyskusji. W styczniu 1981 r. powstał wspólny projekt społeczno-państwowy. Uzgodniono, że: a) wolność słowa i druku jest normą podstawową (zgodnie z art. 19 Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich i art. 89 Konstytucji PRL), wszelkie zatem ograniczenia tej wolności mają charakter wyjątków od zasady, muszą być zatem ściśle przez prawo określone i nie mogą być zatem interpretowane rozszerzająco. b) Urząd Kontroli Prasy i Widowisk powinien być jedyną instytucją powołaną do zapobiegania nadużyciom wolności słowa przez rozpowszechnianie treści zabronionych przez ustawę. c) Ingerencje cenzorskie powinny być jawne, a więc zaznaczone w tekście oraz podlegać zaskarżaniu nie tylko do urzędu II instancji, lecz również do NSA. Uwzględniono też w projekcie wyłączenia spod kontroli wstępnej, wprowadzono zakaz cenzury podmiotowej (nagminnie stosowanej w latach 70-tych i przynoszącej ogromne straty kultury polskiej, bo wyeliminowano wtedy z "życia publicznego" nazwiska wybitnych twórców i naukowców). Uwzględniono wiele przepisów proceduralnych. Przewidywały one ściśle terminy wydawania decyzji zezwalających na druk oraz terminy odwołań od decyzji negatywnych. Decyzje negatywne mogły być zaskarżone do NSA. Artykuły i punkty, w których się nie dogadano, przedstawiono w postaci wariantów: ministerstwa sprawiedliwości i projektu społecznego.

Nie będę opowiadał szczegółów całego tego boju. Częściowo opisałem to w książce "Foksal '81". Jest na ten temat już spo-



ra literatura. Pisałem o tym na łamach "Praworządności" (nr 18). Ustawa została uchwalona 31 lipca, w 11 miesięcy od podpisania Porozumień Gdańskich. Weszła w życie 1 października, na trzy miesiące zaledwie.

W uchwalonej wersji różniła się od projektu społecznego, w kilku istotnych sprawach: w samym ujęciu wolności słowa jako prawa jednostki ustawa stanowi, że PRL zapewnia obywatelowi wolność słowa i dźwięku, co jest wyrazem koncepcji, że prawo to zależy od nadania władzy, tak jak to ujmują art. 83 pkt 1 Konstytucji PRL, nie zaś, że jest to podmiotowe prawo człowieka, tak jak to ujmują art. 19 Paktów, stwierdzając, że każdy człowiek ma prawo do posiadania bez przeszkód własnych poglądów, każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii. W sprawie ujawniania i zaskarżania decyzji cenzorskich - prawo to zostało sformułowane w postaci alternatywnej, a więc, że za zgodą autora redakcja gazety i wydawca może, a na żądanie autora jest obowiązany zaznaczyć w tekście lub w odrębnej informacji ingerencję z podaniem podstawy prawnej. Ten punkt był do końca przedmiotem sporu. Jak ważna to była kwestia, przekonaliśmy się w następnych latach. Przyjęcie wariantowego zapisu pozwoliło nie zaznaczać ingerencji całej prasie partyjno-rządowej.

Niezależnie od mankamentów, ustawa o cenzurze była krokiem naprzód. Mieli jednak rację ci, którzy twierdzili, że najlepsza nawet ustawa nie zapobiegnie jej łamaniu w praktyce. Stan wojenny ujawnił to w całej pełni.

Cenzura stanowi dziś jedno z ważnych narzędzi kontroli. Jest rozbudowanym, dwustopniowym organem. Składa się nań: główny urząd i okręgowe urzędy z licznymi oddziałami. Mamy 15 okręgowych urzędów i 36 oddziałów. Na jej czele stoi ten sam człowiek, Stanisław Kosicki, który stał za Gierka i Łukaszczyca. W tej materii obowiązuje ciągłość, i z-cą jest prezes Ratajski i dwóch wiceprezesów: Pakuła i Andrzejewski.

Dekret o stanie wojennym rozszerzył zarówno zakres publikacji poddanych cenzurze, jak i podstawy ingerencji cenzorskich, przez wprowadzenie postanowienia, iż można odmówić zezwolenia na rozpowszechnianie publikacji, jeśli zagrażałoby to interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa. Korzystano z tego prawa w okresie stanu wojennego w sposób całkowicie dowolny. W momencie znoszenia stanu wojennego do ustawy o cenzurze wprowadzono dość istotne, chociaż pozornie niewielkie zmiany. Polegały one na wprowadzeniu do niej kilku przepisów z dekretu o stanie wojennym. W wyniku tej zmiany do art. 2 pkt 1 wprowadzono wyrażenie "albo zagrażać bezpieczeństwu państwa", do pkt 5 "albo w inny sposób zagrażać obronności państwa", a do pkt 6 "a także rozpowszechniać treści oczywiście stanowiące przestępstwo". Poprawki te potępiły środowiska twórcze i prasa katolicka - za ogólnikowość i niejasność. Mówił o tym Karol Małcużyński w Sejmie.

Jak wygląda praktyka cenzorska w 1989 r.? Surowość cenzury była zmienna, falująca i różna w stosunku do prasy, która zaznacza ingerencje i nie zaznacza. Prasa katolicka i niezależna traktowana jest jako wróg i w związku z tym obchodzi się z nią surowiej. Wszystko zależy od decyzji politycznej, od kursu: za-

kręcemy czy odkręcemy kurek z informacją, poszerzamy czy zawężamy sferę wolności słowa. W tej chwili niewątpliwie znajdujemy się na etapie odkręcania kurka. Władza chwali się malejącą ilością ingerencji: 1983 r. - 4.829; 1984 - 3.836, 1986 - 2.532; 1987 - 2.226. Zmniejszyła się ilość tematów tabu. Można np. pisać dużo więcej krytycznie o ZSRR, ale tylko za panią matką, za prasą radziecką, z której nie wszystko się nawet przedrukowuje. Tematami tabu są dalej kwestie sojuszy, obronności, wojsko, wydatki na zbrojenia, nierównoprawność stosunków. Wydaje się jednak, że nie wiemy wszystkiego o funkcjonowaniu mechanizmów pracy cenzury. Najwięcej wiemy o tych ingerencjach z pism, które oznaczają ingerencje, dużo mniej o "współpracy" cenzury z prasą rządową i oficjalną, z apolitycznymi magazynami. W tych pismach bardzo często dochodzi do swobodnego współdziałania cenzury i redakcji. Cenzura dogaduje się z kierownictwem redakcji, stanowiąc z nią jedność. Tych uwag i ingerencji urząd nie ewidencjonuje, z nich się nie rozlicza. Wszystko dzieje się po cichu, przez telefon, bez śladu na piśmie.

Istnieje też rozwinięty system wpływania na redakcję przy pomocy nacisków, które są w istocie sprzeczne z ustawą. Można te naciski poklasyfikować:

1. Zacieranie granic między uwagą cenzora, który wskazuje na błąd rzeczowy a ingerencją. Redakcja godzi się z uwagą, dokonuje poprawki i nie wiadomo, czy to życzliwe działanie cenzora, czy ingerencja?

2. Domaganie się przesunięcia publikacji pod różnymi wymyślonymi powodami, jak np., że może druk w danym momencie zaszkodzić, że nie jest na czasie.

3. Przekazywanie wiadomości o mających się ukazać tekstach do zainteresowanych osób, instytucji partyjnych, ministerstw i domaganie się uzgadniania z nimi tekstu.

4. Wypowiadanie się o całości tekstu negatywnie, bez zwracania uwagi na fragmenty niecenzuralne i domaganie się zdjęcia całości bez formalnego uzasadnienia.

5. Redagowanie stylistyczne artykułów: np. zamienianie tytułów, wprowadzanie słówek osłabiających.

6. Przeciąganie przez urząd terminów, co deaktualizuje teksty.

7. Rozszerzanie ingerencji na fragmenty tekstu pierwotnie niekwestionowane w momencie, gdy redakcja żąda decyzji pisemnej.

8. Zdejmowanie tekstu w całości, gdy redakcja domaga się uzasadnienia dla więcej niż 4 wprowadzonych ingerencji.

Jest to w istocie kontynuacja bezprawnych praktyk z lat 70-tych, całkowicie sprzeczna z ustawą.

Zacząłem referat od stwierdzenia, że dziennikarstwo żyło się z cenzurą i przyzwyczało do niej. Przez wiele lat uważałem, że lepsza jest sytuacja, kiedy istnieją jasno określone kompetencje urzędu cenzury, że jest to lepiej, niż tak jak jest w innych krajach realnego socjalizmu, gdzie cenzura ist-

nieje, ale wykonują ją redakcje i naczelni redaktorzy, a nie specjalny urząd.

Cała jednak historia drugiego obiegu, jak również doświadczenia z łamaniem ustawy, ucza nas czegoś innego. Wydaje mi się, że walka o akceptację prawdziwego pluralizmu musi łączyć się z walką o likwidację cenzury, instytucji anachronicznej, niepotrzebnej i głęboko szkodliwej. Świat szybko zmierza naprzód. W zeszłym roku przestano zagłuszać wolne radio. Technika kopiowania i drukowania rozwinięła się tak bardzo, że - podobnie jak z video - ścisła kontrola druku staje się niemożliwa. Powstają dziury w systemie, a w tej sytuacji kontrola staje się nieskuteczna i śmieszna. Wierzę więc, że dożyję czasu, kiedy instytucja cenzury umrze śmiercią naturalną.

\* \* \*

## D Y S K U S J A (CD.)

### Wilhelmina Skulska:

- Wczorajsze i dzisiejsze referaty i dyskusja są między innymi dowodem, że stanowiąc przez te 7 lat środowisko spójne, solidarne - mam nawet prawo mówić o wspólnocie - różnił się nieco między sobą w poglądach, a także w charakterach. Myślę na przykład o optymistycznym charakterze i usposobieniu naszego prezesa, który nas utrzymał przy życiu, i o katastroficznym Kłowieckiego, na skutek czego mieliśmy to wczorajsze wspaniałe opracowanie. Otóż, jeżeli się trochę różnimy, jeżeli uznajemy pluralizm w poglądach, to chciałyby wypowiedzieć się w kilku sprawach. M.in. nie zgadzamy się z cpnią wypowiedzianą przez kol. Grzegorza Jaszuskiego na temat występowania w TV. Kol. Jaszuski, z najlepszych intencji, uważa, że należy kontynuować bojkot TV, że jest niedopuszczalne, żeby pokazywać się na małym ekranie. Oczywiście, prawdą jest, że w dalszym ciągu trwa manipulowanie informacją w TV i że będzie ono kontynuowane przypuszczalnie i w następnych etapach naszej historii. I trudno jest dezawuować to zjawisko, bo ono będzie istniało i musimy być do tego przygotowani. Natomiast trudno nie powiedzieć, że warunki pracy, jak i możliwości wypowiedziania się w TV, są teraz inne, niż np. sześć lat temu, czy piętnaście lat temu. I trudno nie dostrzegać tego zjawiska.

Przypominam kolegom, że zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego Wałęsa powiedział, że albo "Solidarność" będzie realizować swój program, albo rząd będzie musiał realizować program "Solidarności". I tak się stało. Dlaczego jednak rząd realizuje go niekonsekwentnie, dlaczego nie może go w pełni realizować, to wymagałoby nie jednego referatu, tylko dziesięciu. Ale powiedzmy sobie teraz, czy z powodu tych zmian, które nastąpiły, także częściowo w TV, możemy być zadowoleni. Moim zdaniem - tak. Bo jest to jednak nieco inna telewizja, jest w niej więcej dyskusji, jest większy wachlarz osób, które w niej występują i ja muszę powiedzieć, że ja akceptuję ich postępowanie. Sprawa ta nie dotyczy tylko Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego, choć konkretnie spersoni-

fikowała się na jego osobie. Mamy przecież np. taką stałą audycję w TV, jak audycję Małachowskiego i Miroszowej. Dla mnie jest ona cikliwa, normalnie gaszę telewizor w tym momencie, ale miliony ludzi ogląda ją z ogromnym zainteresowaniem. Ma ona także jakieś moralne znaczenie dla ludzi. Czy mamy zakazać Małachowskiemu występowania w TV? Mnie się nie wydaje, nie mam przekonania, że tak. Zobaczymy, jakie zmiany zaszły w stanowisku aktorów, którzy przecież bojkotowali telewizję przez kilka dobrych lat, ale powrócili do niej. Wróciła Rinn, wrócili inni niepokorni, wrócił Olbrychski. Widocznie ma to jakąś swoją przyczynę. Otóż mnie się wydaje, że nie jest ważne, czy się mówi w TV, tylko, co się w niej mówi. Mieliśmy ostatnio w TV Wałęsę. Lechu także nawoływał do tego, żeby to kontynuować, wezwał do występowania swoich współpracowników. I chyba jest to dobre, nieprawda? Dlatego wydaje mi się, że ludzie, którzy zachowują swoje zdanie i wypowiadają je z małego ekranu, jak to np. czyni AKW, jest to słusne i rozsądne. Były tutaj zastrzeżenia, że to budzi nadzieje widzów, że niby coś się zmieniło w naszym życiu, a nie zmieniło się nic lub niewiele. A przecież coś się zmieniło rzeczywiście. Przecież żyjemy jednak trochę w innej Polsce, aniżeli żyliśmy 6, 10 czy 20 lat temu.

Druga sprawa, to wysunięte tu hasło uspołeczniania TV i innych środków masowego przekazu. Jest to piękne hasło, ale niezrealizowane w żadnym prawie kraju na świecie. Oczywiście, wszystkimi telewizjami, a znam dobrze np. francuską czy hiszpańską, steruje państwo. Tyle, że skala możliwości dyskusji jest tam inna. Bo na czym ta rzecz polega? Hiszpańską TV trzyma Gonzales, ale mogą się w niej swobodnie wypowiadać opozycjoniści, komuniści, diabli wiedzą kto. I to jest atrakcją tej telewizji, z tego ona żyje i do tego trzeba doprowadzić, żeby jak najwięcej wróblewskich mogło się w TV wypowiedzieć, żeby miało taką szansę. We Francji jednak Mitterand rządzi telewizją, a jeżeli tworzą się prywatne stacje telewizyjne, to nie dlatego, że robi to opozycja polityczna, tylko dlatego, że chcą zarabiać w ten sposób pieniądze. Wydaje mi się, że jest to straszny maksymalizm. Wysuwajmy raczej hasła, które są realne, a nie hasła, które są jeszcze dalekie do zrealizowania, które odbiegają od etapu politycznego, na którym się teraz znajdujemy.

Iwona Śledzińska-Katarusińska: Wojtek Adamiński powiedział wczoraj, że nasza organizacja powinna zażądać anulowania weryfikacji. Ja rozumiem, że my z Wojtkiem jesteśmy jednomyślni, tylko, że użył on niezbyt precyzyjnego słowa. Uważam bowiem, że powinniśmy zażądać zupełnie czego innego. Bo przecież tym, którzy nas weryfikowali, bardzo by to odpowiadało; sprowadziłoby się to do tego, że moi eks-koledzy powiedzieliby: "No wiecie, rozumiecie, Śledzińska, jednak w porządku, jesteście czysti, jak iza". Dziękuję uprzejmie, bo jaka jestem, to ja sama wiem i akurat ci różni panowie nie muszą mi tego mówić. Wobec tego nie chodzi o anulowanie. Powinniśmy zażądać jednoznacznego orzeczenia, że weryfikacja była działaniem bezprawnym i haniebnym. Powinniśmy zażądać ujawnienia protokołów, bo przecież były one tworzone i być może z chęcią by je dziś spalono, wyrzucono, czy też zamknęto w szafach pancernych. Powinniśmy zażądać przyznania, że



weryfikacja była nie tylko środkiem represji wobec tych ponad 1000 osób, które wyeliminowano z zawodu, ale, że stała się super-cenzura, środkiem, który pozwolił zniewolić prasę, radio i telewizję, jak nic dotąd, jak żadna ustawa o cenzurze. Zgadzam się z koleżanką ze Szczecina, że weryfikacja więcej zła przyniosła nie nam, którzy musieliśmy pożegnać się z zawodem, ale tym, którzy zostali i tym tytułom, które zostały. Tam dopiero można zabserwować prawdziwe skutki weryfikacji. Ci przerażeni ludzie w ogóle zapomnieli o czymkolwiek, o elementarnych podstawach, już nie tylko obowiązkach dziennikarza, ale prawie że człowieka. Bardzo się cieszę, że w tym nowym, odrodzonym stowarzyszeniu będą koledzy z drugiego obiegu. Oni są z reguły maksymalistami, są bardziej od nas radykalni i myślę, że dzięki temu nasze stowarzyszenie też będzie może trochę bardziej radykalne. Bo żądać trzeba, według mnie, zawsze jak najwięcej, po to, żeby w ogóle coś uzyskać.

Tu słowo o uspołecznieniu; może nie traktujemy tego dosłownie, ale żądamy jednak uspołecznienia środków masowego przekazu. Może nie dyskutujemy, czy występować w TV, czy nie, bo to jest na dobrą sprawę osobista decyzja każdego człowieka. Są zwolennicy tezy, że można coś poprawić, wchodząc do TV i do oficjalnej prasy, no bo przecież jak zostaną sami żli, to czego wymagać? Takie dylematy przeżywali w swoim czasie byli członkowie partii, którzy przebywali w niej może o parę lat za długo - no bo przecież nie można zostawić w PZPR samych nieuczciwych, samych karierowiczów. Ale można też prezentować inne stanowisko, że wchodzić, czy nie wchodzić - to sprawa osobista, natomiast jako grupa, jako środowisko, powinniśmy powrócić do naszych postulatów i zwyczajów z 1980-81 roku, żebyśmy tworzyli i organizowali społeczny nacisk na to, by środki masowej komunikacji były rzeczywiście środkami masowej komunikacji. I chyba o takie generalne cele, choć może brzmią one nieco ogólnie, chodzi - a nie o to, by rozdrabniać się i odsądzać od czci i wiary kolegów - AKW czy Małachowskiego. Chodzi o to, aby ta telewizja była inna w całości i aby ci uczywi, którzy tam się pokazują, nie musieli uwiarygadniać nieuczciwych.

Janina Jankowska: Krótka - trzy różne sprawy. Po pierwsze, myślę, że po referacie Katarzyny Kołodziejczyk warto sformułować wniosek o powołanie zespołu, który zebrałby i opracował materiały dokumentujące sytuację dziennikarzy po 13.XII.81. Mimo wszystko te materiały istnieją u niektórych kolegów i należałoby je skomasować. I od razu proponuję kandydatury kol. Andrzeja Jeleńskiego, kol. Anny Szymańskiej, która, pracując na Piwnej, miała możliwość dotarcia do różnych kartotek oraz kol. Katarzyny Kołodziejczyk, która zapoznała nas tu po raz pierwszy tak obszernie z tym tematem. Resztę osób można będzie później dokooptować.

Druga sprawa, jeśli chodzi o środowisko dziennikarzy Radia i Telewizji. Chciałam przypomnieć, że środowisko to w ubiegłym roku próbowało wspólnie, we własnym zakresie, rozwiązać ten problem, o którym dziś mówimy, tzn. występować czy nie występować. Wiąże się to z listami, które wystosowaliśmy do prezesa Radiokomiteu w roku ubiegłym i z całą naszą

późniejszą korespondencją. Chcę po prostu powiedzieć, abyśmy nie wyważali otwartych drzwi, choć na pewno warto, żeby kwestia ta została przekazana ze środowiska radiowo-telewizyjnego do całego środowiska SDP. W biuletynie "Solidarność RiTV" jest pełna dokumentacja na ten temat i te sprawy, o których tutaj mówiono, również tam są zawarte.

Trzecia sprawa. Dało się tu zauważyć wyraźny sygnał niepokoju ze strony dziennikarzy drugiego obiegu, którzy użyli nawet, w stosunku do naszego środowiska - tzn. dawnego SDP, terminu "zawłaszczenie", tzn. że pragniemy zawłaszczyć jakby dziennikarzy niezależnych. Myślę, że trzeba tego wrażliwie wysłuchać i przyłączyłabym się do głosu Jurka Surdykowskiego, dodając, że chyba musimy znaleźć jakąś formę funkcjonowania, w którym ci młodzi dziennikarze z prasy podziemnej będą jakby współtwórcami, partnerami nowego SDP, z poszanowaniem całej ich suwerenności. Chodzi o to, aby mieli poczucie, iż to jest także ich organizacja, a nie, że stare mamy ty - w bezpieczniejszych dziś warunkach - powstają z popiołów i protekcyjnie zwracają się do nich z ofertą przynależności do SDP.

Jest to szalenie ważne dlatego, że w funkcjonowaniu prasy drugiego obiegu i w ogóle całego ruchu wydawniczego powstaje bardzo dużo trudnych etycznie problemów; wszyscy o tym doskonale wiemy. Działalność w drugim obiegu jest czymś nie wątpliwie nienaturalnym, tzn. nienaturalne jest samo bycie w podziemiu. Bardzo potrzebne wydaje mi się na przykład stworzenie ciała, które byłoby czymś w rodzaju, tu rzucam na "rybkę", proszę się do tego terminu nie przywiązywać, jakiejś komisji rozjemczej, czy jakby sądu dziennikarskiego, gdzie byłyby rozwiązywane wszystkie problemy, konflikty pomiędzy redakcjami, wydawnictwami, czy konflikty na linii autor-redakcja. Do tego dochodzą jeszcze inne, bardzo specyficzne dla pracy dziennikarza w drugim obiegu, kwestie. Chodzi więc o to, by ci koledzy mogli w SDP, przy naszej pomocy, stworzyć taką strukturę, w której by się te wszystkie sprawy - w kontekście etyki zawodowej - mogły rozstrzygać.

I już ostatnia sprawa. To przesłanie, które sobie pozwolę przekazać naszej organizacji. Chodzi mianowicie o większą wrażliwość na sytuację dziennikarzy na świecie. Mamy prawo być dumni, że przetrwaliśmy, że w warunkach undergroundu nie straciliśmy swej tożsamości. Ale z drugiej strony przypomnijmy sobie, jak bardzo pomogli nam nasi koledzy-dziennikarze z Zachodu, z zagranicy - zarówno pod względem moralnym, jak i materialnym. Nie wyobrażajmy sobie jednak, że jesteśmy pepkiem świata, że jesteśmy najważniejsi. Dam konkretny przykład. W ubiegłym roku aresztowany został redaktor naczelny jugosłowiańskiego pisma "Mladina". Mnóstwo było protestów ze świata, ale nie pojawił się żaden protest środowiska polskich dziennikarzy niezależnych, którzy przecież sami bywali w podobnej sytuacji. Nasze środowisko nie zareagowało. Owszem, był list w tej sprawie podpisany przez działaczy SDP, ale powstał on nie w kraju, lecz w Nowym Jorku, gdzie się jednak bliżej widzi sprawy świata, niż w Polsce. Otóż chciałabym, byśmy - jako organizacja - pamiętali, że nie jesteśmy na świecie sami i żebyśmy bardziej się solidaryzowali z innymi

ideologów, których określaliśmy jako faszystów.

Nasi przyjaciele z ruchów demokratycznych przestrzegali, że obecnie odbywa się swego rodzaju wyścig z czasem. Czy nastąpi głucho eksplozja, typu pugaczowskiego, czy na scenę wejdą mafie, te bandy; to, co w każdym społeczeństwie jest najgorsze? Słowem - czy nastąpi eksplozja niecywilizowana, czy też siły i nurty demokratyczne zdążą przedtem ucywilizować i władzę i społeczeństwo? Wzajemne stosunki między władzą i społeczeństwem są jeszcze niecywilizowane, opierają się na sile, przemocy i oszustwie. Byłoby bardzo dobrze, gdyby sytuacja mogła się rozwinąć tak, jak w krajach nadbałtyckich. Niestety, wszystko wskazuje na to, że sytuacja może się rozwinąć jak na Zakaukaziu.

Oczywiście, odbywają się i tam bardzo interesujące zjawiska, które też świadczą o tym, że charakter tego państwa jest w stanie jakiejś bardzo poważnej, zasadniczej i historycznej zmiany. Osobistości o wielkim autorytecie moralnym, m.in. Andriej Sacharow z małżonką, podjęli się mediacji między Ormianami i Azerbejdżanami, a również między Ormianami i władzą centralną na Kremlu. Jakie będą skutki mediacji - tego oczywiście nie wiemy, ale ważne jest tu co innego. Oto charakter władzy na Kremlu zmienia się w sposób absolutnie zasadniczy. Dotychczas władza na Kremlu była po to, aby wyrażać swoją wolę i ta wola miała być wcielona w życie. Jeśli trzeba było - to przy pomocy czołgów. Zwykle reszta czołgi nie były potrzebne. Teraz władza niechętnie, z wielkimi trudnościami, nie mając żadnej wprawy, procedur, nawyków wchodzi z najwyższym trudem w rolę mediatora między różnymi interesami. A to jest już innego typu władza, innego typu państwo.

Co z tego wyjdzie - oczywiście nie będę próbował przewidywać, mogę tylko powtórzyć za Rosjanami, że alternatywą dla procesu demokratyzacji jest katastrofa. I może to być katastrofa w formie najgorszej.

#### D Y S K U S J A (CD.)

Artur Hajnicz: Dariusz Fikus rozpoczął swoje przedpołudniowe wystąpienie od stwierdzenia, że dziennikarz w Polsce, od kolebki aż po grób, pozostaje pod opieką cenzury. Wynika z tego jeszcze jedno, że właściwie, w pewnym sensie, staje się on dzieckiem tej cenzury, kalekim dzieckiem. Chodzi o to, że my, w swojej działalności, jak gdyby stale czuliśmy rękę cenzora; nie zawsze był to sam cenzor osobiście, ale także jego eksponenci. W efekcie nauczyliśmy się pisać tak, jak wczoraj mówił o tym Marek Rapacki. Jego wystąpienie wywarło na mnie bardzo wielkie wrażenie, dlatego, że rzeczywiście, zamiast mówić wprost, latami uczyliśmy się mówić naokoło i był to pewien kunszt, któregośmy się uczyli i nauczyli. A obecna sytuacja, zmiany społeczne, są takie, że społeczeństwo już nie umie słuchać mówienia naokoło, a ma uszy nastawione na słuchanie wprost. Rozumie tylko to, co się do niego mówi wprost, a nie mówienie dookoła. Jeśli mamy w pamięci dyskusję między Wałęsą a Miodowiczem, to efekt dyskusji

polegał w dużej mierze na tym, że Wałęsa mówił wprost, a Miodowicz dookoła. Wynika z tego także to, że musimy się wiele nauczyć, aby nadażać za młodzieżą, za tym pokoleniem, które mówi wprost i rozumie tylko mówienie wprost. Tymczasem proszę państwa, mamy do czynienia, z tego trzeba zdać sobie sprawę, nie tylko z cenzurą rządową, nie tylko z cenzurą partyjną. Funkcjonują także inne rodzaje cenzury. Istnieją, oczywiście, w prasie katolickiej cenzura kościelna; w prasie związkowej, kiedy istniała "Solidarność", w Tygodniku "Solidarność", również istniała swego rodzaju cenzura. Nie chodzi o to, że istniał jakiś cenzor, ale będąc organem wielkiego związku, znajdowaliśmy się pod naciskiem pewnej świadomości, że nie powinniśmy temu związkowi szkodzić. A nie szkodzić związkowi, to znaczyło unikać pewnych tematów, unikać pewnych konfliktów, unikać pewnych dyskusji, które rozdziły się wewnątrz "Solidarności". I to miało także, powiem otwarcie, negatywne skutki społeczne, negatywne skutki dla samego związku. Przyznam się na przykład, że uważam całą sprawozdawczość ze Zjazdu Oliwskiego, w Tygodniku "Solidarność", za sprawozdawczość przede wszystkim nudną - dlatego, że bardzo wielu ciekawych tematów, które się wyzniały, unikaliśmy, będąc organem związku. I dlatego jestem przekonany, że przyszłością prasy niezależnej są niezależne tygodniki, pisma, czasopisma - nie będące niczym organem. I dlatego tak ważna jest ta perspektywa tworzenia czasopism i pism niezależnych. Oczywiście, powstaje problem papieru, druku itd., ale perspektywa dziennikarstwa jako zawodu, oczywiście przy szerokim zrozumieniu potrzeb wszystkich rucnów i organizacji, które powinny mieć swoje organy, to czasopiśmiennictwo niezależne, o czym świadczy doświadczenie i sukces wielkich pism światowych, które postawiły przede wszystkim właśnie na niezależność.

Józef Kuśmierk: Będę mówił trochę jako hipochondryk i trochę jako filozof. Po przemówieniu kol. Wróblewskiego, który tłumaczył się niejako ze swojej decyzji występowania w wybranych programach telewizji, padło z sali pytanie: A czy bierze się za to pieniądze? Proszę państwa, przez 6 tygodni w dzień, szedł tam Józef Kuśmierk. I jest skandal, bo nie dostałem za to ani grosza. (Śmiech na sali) Proszę państwa, takie sympozja, takie zebrania, mają to do siebie, że na ogół wystawiamy sobie nawzajem laurki. Bolesław Prus napisał kiedyś wspaniale: "o słabości narodu nie świadczy słabość jego armii, jego gospodarki, słabość jego komunikacji, najgłupszy jest naród ten, który nie zdaje sobie sprawy ze swojej słabości". Jest w tym wielka mądrość, szczególnie dla nas, Polaków; my zawsze mierzyliśmy nasze siły na słowa, na nasze chwilowe emocje, a nie na zamiary. Tak samo teraz wystawiamy sobie laurkę w kontekście społecznej komunikacji i wypadamy w niej wspaniale. Drugi obieg informacji jest wspaniały, uczciwy, daje nam satysfakcję, a wszystkim daje rzetelną informację. Bzdura. Wezmę tutaj np. nadawany kilka razy dziennie, nagłaśniany przez zagraniczne rozgłośnie, serwis informacyjny "Solidarności". Otóż jest to ścieżka informacyjna. Jest to jakieś ogłupianie, chyba samych siebie, przede wszystkim. 38-milionowy kraj, w tym miejscu Europy,



stojący przed nieprawdopodobnymi dylematami i dramatycznymi rozstrzygnięciami, z niewielką raczej szansą, że to wesoło się skończy. A gdyby się tak posłuchało serwisu informacyjnego "Solidarności" - co to on robi? No, przede wszystkim uchwała rezolucje. Od czasu do czasu protesty, dwa razy w tygodniu z jakiegoś Kościoła wychodzi grupa od 2 do 200 ludzi, zmierza w jakimś nieokreślonym kierunku i wznosi okrzyki. Czasami milicja im przeszkodzi, czasami nie; jeżeli przeszkodzi, to leci lista nazwisk zatrzymanych. Informacja ta oczywiście nadana jest telefonicznie i jaki jest jej walor? No właśnie, dobrze byłoby zobaczyć, sprawdzić, jak naprawdę wygląda taka manifestacja na tle dużej architektury kościelnej, na tle dużego ruchu przed dworcem, jak wygląda tych dwoje młodych zdeterminowanych ludzi, przed dworcem w Katowicach z transparentem, jak oni wyglądają na tle zabieganej, spieszącej do pociągów publiczności. Otóż jest to manifestacja żalosa. A my to podajemy w świat - wielkie wydarzenie! - dwóch ludzi w Katowicach stanęło przed dworcem głównym i 20 minut trzymało sztandar. Najważniejsza wiadomość dnia, która poszła w eter! I taką informację przekazują zawodowi dziennikarze? I mówią jeszcze, że to jest wielki sukces komunikacji społecznej? Proszę państwa, byłem w Gdańsku, kiedy odbywał się tam protest robotniczy, po wyjściu z kościoła św. Brygidy, który w dwa dni później Urban fantastycznie propagandowo wykorzystał. Jak rasowy dziennikarz wnieśliśmy się w tę manifestację, wraz z żoną zresztą, i co zauważyłem. Ukryte kamery telewizyjne, grupy "protestujących" wraz z zomowcami piją sobie piwko. A kiedy telewizja postawia już te kamery, dają znać, no i manifestanci w lewo, ZOMO w prawo, lecą na siebie, ci filmują i wtedy koniec, po manifestacji. Żona mówi, a wie, co mówi, jako żona, ostentacyjnie, komendanta powiatowego MO, a potem oficera ochrony rządu - nota bene, cnciałem wam powiedzieć, że my w ochronie rządu - już w 1945 roku przechodziliśmy kurs organizowania lipnych antyrządowych manifestacji - no więc żona mówi: "Słuchaj, przecież to jest czystej wody prowokacja". Ja mówię - czekaj, poczekamy aż odjadą. I rzeczywiście, ZOMO swoimi budami, a manifestanci swoimi, odjechali każde do swoich koszar. Ze względu na to, że Biuro Informacyjne "Solidarności" w Gdańsku mieści się dosłownie w oku cyklonu tych manifestacji, lecę tam i widzę dwie zaspane z entuzjazmu dziewczyny, krzyczące na cały świat, jak to wspaniale - 265 manifestantów było atakowanych przez 2430 zomowców, rzucono 15 kamieni, przewrócono 11 śmietników, wyciągnięto 4 krzesła z kawiarni i jedną ławkę z ogrodka. I to się nazywa Serwis Informacyjny "Solidarności", nadawany w godzinach takich i takich, na falach takich i takich, codziennie - i powtarzany dnia następnego.

To jest jedna sprawa. A teraz druga. Ja często siedzę w terenie, widzę Polskę od dołu, widzę te 49 ustrojów czy systemów, rozbitych jeszcze na gminne podsystemy. Czego ja się boję? Ano tego, że biuro polityczne Wałęsy wraz z biurem politycznym Jaruzelskiego spotka się przy okrągłym stole i w

---

Józef Kuśmierek zaraz po wojnie pracował w Milicji Obywatelskiej, a następnie w Biurze Ochrony Rządu (przyyp. red.)

sposób pluralistyczny uchwali nam nowy centralizm demokratyczny. Oczywiście, pluralistycznie uzgodnią, jak wziąć tę Polskę z powrotem za mordę. Bo przecież wszyscy będą musieli Warszawy słuchać, nie będzie już "ale", jakiegось odwołania, że istnieje jakaś opinia społeczna, jakies odmienne zdanie. Nie! Bo Warszawa przy okrągłym stole uchwaliła tak i siak - no i kto odważy się być przeciw, podnieść rękę? Kto przeciw Wałęsie i Jaruzelskiemu? Kochani, jeżeli już coś w Polsce jest natychmiast potrzebne, to 49 komitetów obywatelskich, a raczej powiedziałbym - ratunkowych. Koniec końców w Gdańsku była taka sytuacja, że w kilka godzin po ogłoszeniu decyzji o likwidacji stoczni mogli zebrać się taki okrągły, ratunkowy stół i coś uchwalić, zaprotestować. Niestety, znów oddano to w czyjeś ręce, zaapelowano do "odnośnych władz". I tak utrwalamy własnymi rękami ten centralizm. Mówmy sobie szczerze, to nie nazwa systemu jest ważna, ale ta jego centralistyczna piramidalna struktura jest śmiertelnie groźna. Warto o tym pomyśleć i głośno to mówić. (...)

I jeszcze jeden problem, którym powinna zająć się komunikacja społeczna, a który już tylko zasygnalizuje. Proszę państwa, ja naprawdę nie wiem, z czym, z jakimi zamiarami, z jakimi chęciami wyjdzie rolnik wiosną tego roku na pole? A bardzo chciałbym się tego przez komunikację społeczną dowiedzieć...

Włodzimierz Wowczuk\* : Wiktor Niekrasow, wybitny pisarz radziecki, zapytany w 10 rocznicę swojej emigracyjnej odysei - bo został, jak wiadomo, wygnany ze swojej ojczyzny i zmarł w drugiej połowie ubiegłego roku na emigracji, na pytanie jakie są jego doświadczenia z okresu pobytu na Zachodzie i co na nim wywarło największe wrażenie, co najbardziej utrwaliło się w jego pamięci, odpowiedział: niezłomna wytrwałość Polaków. Nasze obecne spotkanie, w moim głębokim przekonaniu, stanowi wymowny dowód, że opinie tego rodzaju nie są przesadzane, że nie są tylko komplementem. Określona część tego środowiska, nie chce wartościować jak pokażna to część, o pełnych kwalifikacjach zawodowych i społecznych, w niezwykle trudnych warunkach powiedziała "non possumus" i zniosła to, co zdawałoby się przekracza ludzką wytrzymałość - wytrwała przez lata w swoim postanowieniu, mimo bardzo ciężkich, dla wielu wręcz dramatycznych przeżyć.

Nasze społeczeństwo - i wielu spośród nas - jest niewątpliwie zmęczone, ale każdego dnia zdaje ono swój obywatelski egzamin. I bez emfazy, ale i bez fałszywej skromności, powiedzmy sobie szczerze, że jest w tym nasz określony wkład. Myśmy - tu obecni i nieobecni - dokonując wyboru, uratowaliśmy może nie tyle honor naszego zawodu, ale niewątpliwie jego prestiż w oczach społeczeństwa. I z tego trzeba zdawać sobie sprawę. Jako programowy outsider, jakies 3-4 lata temu wystąpiłem z SDP ze względów osobistych. Nie wstąpiłem, oczywiście, do SD PRL, nie wróciłem z płaczem do prasy oficjalnej, pracowałem, pisałem i do tej pory piszę w drugim obiegu. Więc jako outsider tym bardziej czuję się powołany, ażeby wyrazić uznanie dla zarządu Stowarzyszenia i dla jego prezesa, z którym - nie powiedziałbym, że miały miejsce jakies kontrowersje,

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

ale wystąpiły między nami pewne, dosyć istotne, różnice poglądów; niemniej, w każdej sytuacji i w każdej chwili nadal uważam go za swego przyjaciela, bo uczynił dla mnie - a sądzę, że nie tylko dla mnie - aż nadto wiele.

I jeszcze jeden temat - mianowicie nasze stosunki z kolegami, którzy pozostali na tamtym brzegu, kiedy my przekraczaliśmy Rubikon. Dzisiaj pomacują nam przyjaźnie rączką; niektórzy, co odważniejsi pokazują nawet palec - to oni wszystkim są winni; wiadomo, co to za "oni". W stanie wojennym, na przyjęciu u ambasadora japońskiego, ostentacyjnie nie przywitałem się z Rakowskim, a później poprawiłem to w operze, żeby nie było wątpliwości. To samo z Urbanem. Czy dzisiaj oznacza to - gdy się słyszy co się mówi - że mam wszystko zapomnieć, że mam z głupawym uśmiechem zbliżyć się do Urbana: - Jureczku może pojednanie, buzi jak Polak z Polakiem, żałuję, że stało się to, co się stało? Proszę Państwa ja niczego nie żałuję! Niczego nie żałuję!

I ostatnia już sprawa. Był tu w dyskusji poruszany, m.in. przez red. Jankowską, problem statusu dziennikarza pracującego w prasie drugiego obiegu. Statusu "podłego", chciałoby się rzec, bo jest to w istocie wyrobnik pozbawiony jakichkolwiek praw. Niewielu spośród nas, spośród tych, którzy przekroczyli Rubikon roku 1981, uczyniło ten krok dla kariery, bądź aby obławić się. Aczkolwiek niewątpliwie niektórym się to udało... Ale przecież nie zazdrościsz im. Nie o to chodzi. Nie mogę jednak godzić się na traktowanie mnie - zawodowca, a więc człowieka do wynajęcia, choć nie przez każdego, jak gościa z ulicy. Nie mogę godzić się na manipulowanie moimi tekstami, w myśl niezrozumiałej przeze mnie "formuły". Uciekleń przed cenzurą nie po to, żeby mnie cenzurowano w prasie niezależnej i to bez żadnego wyjaśnienia. Nie mogę przejść do porządku dziennego np. nad gubieniem (?) tekstów z obszaru "białych plam", opartych na o r y g i n a l n y c h (bo, sowieckich) źródłach. Nie mogę milczeć, kiedy marnuje się wywiad Emila Ludwiga ze Stalinem z 1931 r., w którym Stalin aprobująco wskazywał Niemcom na Polskę, jako na obszar ich ewentualnej agresji. Mogę nic nie mówić (i nie mówię), jeśli za 10 kartek dostaje 1000 zł. Mogę pogodzić się ostatecznie, kiedy pod moim tekstem naczelny stawia swój podpis i nie dostaje nawet tego tysiąca. Dla mnie było i jest ważne, iż jestem czytany przez robotników, gdyż to, o czym mówię, dotyczy akurat pisma przeznaczonego dla zakładów pracy. Prawdę mówiąc, jest to jedyny tego rodzaju smutny przykład nieodpowiedzialności zawodowej, z którym zetknąłem się w ciągu 7 lat swojej pracy w drugim obiegu. Lecz skoro, jeśli dobrze zrozumiałem, podobne sprawy zdarzają się również gdzie indziej należy powołać komisję d/s etyki zawodowej, która zajmie się sprawami budzącymi uzasadnione wątpliwości.

(W trakcie końcowej części dyskusji Komisja Wnioskowa przedstawiła projekt deklaracji programowej, która została przyjęta jednogłośnie. Zob. Dokumentacja, Uchwała nr 5)

Kazimierz Żebrowski: Nie jestem dziennikarzem, jestem z zawodu inżynierem, a dziennikarzem tylko na jedną dziesiątą etatu. Uważam jednak, że dziennikarze są zbyt skromni, wierząc, że ułokowali się na 19 miejscu pod względem etosu zawodowego. W latach 1977-80, a więc w czasach KOR-owskich, jeździłem po całej Polsce - w związku z charakterem swej ówczesnej pracy - i przeprowadziłem wówczas ankietę wśród ponad 300 inżynierów i techników. Z tego tylko 8% odważyło się wziąć do ręki prasę niezależną, a zaledwie 1,5% zgadzało się zająć jakieś stanowiska wobec dewastacji w tej dziedzinie, w której ja pracowałem. Tymczasem dziś dziennikarzy postawiłbym, jeśli w ogóle ma sens tego typu klasyfikacja, na pierwszym miejscu, bo to dzięki nim mamy obecnie pokolenie młodzieży, które przejmując pałeczkę w drodze do wolnej Polski.

I druga sprawa. Wyniknął tu problem demokracji. Nie lubię przymiotników, ale w tym wypadku odstąpię od tego. Rozumiem demokrację pełną na takim forum, na jakim się tu znajdujemy. Ale weźmy inną platformę, kiedy Polska będzie wolna i nastąpi nagły przeskok ze stanu niewolniczego do pełnej demokracji. Znany jest na pewno Państwu obecny układ sił, ale go przypomnę. Z jednej strony mamy 10% populacji, tej czerwonej wspólnoty. Na drugim biegunie 5% Polaków, patriotów, zwanych opozycja i 30%, które przynajmniej myślami ich popiera. Te 35% zwane jest przez jednego z historyków narodem. A w środku masa - 55%, masa bierna, zwana przez historyka magma. Dla której nie istnieją pojęcia: Ojczyzna, Polska, nie istnieje żaden ethos. Dla tej masy istnieje jeden cel w życiu - mamona. Przechodziłem dzisiaj dwa razy koło Hali Mirowskiej. Były tam potworne kolejki, jakich jeszcze nie widziałem. Tysiące ludzi, stojące godzinami w kolejce. A gdy przyjdzie jakaś patriotyczna impreza, ilu mamy tam ludzi? Jak nam nie wstyd, Polakom, w stosunku, na przykład, do Estończyków, do Ormian? A gdy Polska będzie wolna, gdzie znajdą się ci wszyscy ludzie? Otóż właśnie dzięki pełnej demokracji zajmą miejsca we władzach, w samorządach, itp. - różni oportuniści, którzy dziś publicznie nie istnieją. Jaką Polskę oni zbudują? (...)

Głos z sali: Chciałbym tylko dorzucić, że my nie jesteśmy, niestety, tak wspaniali jak nas tu się fetuje, ale - na szczęście - społeczeństwo nie jest tak złe, jak nam Pan chciał przekazać.

Maryna Miklaszewska: Zmobilizowała mnie do głosu Janka Jankowska, mówiąca przed południem, żebyśmy nie postrzegali naszych spraw wyłącznie w swoim własnym, polskim kontekście, że trzeba je jednak widzieć w kontekście międzynarodowym. Tak jest istotnie. A dla Polski ten kontekst, to także kontekst naszych bezpośrednich sąsiadów. To znaczy, mam na myśli Ukrainę, Litwę, Białoruś. Wymieniam tylko te kraje, ponieważ przedstawiciele tych narodów żyją i mieszkają tu, w Polsce. Są to głównie Ukraińcy, ponieważ jest ich w Polsce około 300 tys., a nawet - jak twierdzi Tadeusz Konwicki -

---

\* Chodzi o ankietę wspomnianą w innym miejscu (przyp. red.)



około pół miliona. Jest to bardzo dużo. Ostatnio, w październiku ub.r., grupa przedstawicieli mniejszości narodowych, żyjących w Polsce, zwróciła się z listem do Lecha Wałęsy, który napisała - było to głównie środowisko kulturalno-naukowe. Chodziło o to, że nie przewidziano ich obecności w rozmowach Orągłego Stołu. Za jedną z najważniejszych spraw przedstawiciele mniejszości etnicznych uznali zmianę sposobu ukazywania ich kultury i historii w polskich środkach masowego przekazu. Myślę, że ta sprawa powinna nas bardzo zainteresować. Oczywiście, była tam także mowa o zmianie stalinowskiego charakteru ich towarzystw społeczno-kulturalnych, reformie szkolnictwa, udostępnieniu instytucjonalnych możliwości funkcjonowania i zrzeszania się. I myślę, że my, obecni na tej sali, dziennikarze nowego, bądź zrelegalizowanego SDP, możemy bardzo przyczynić się do tego, żeby ci ludzie, którzy od tyłu lat, od wojny od czasu ich rozproszenia, nie mogą znaleźć swego miejsca w tym kraju, byli we właściwy sposób tutaj traktowani, by mogli stać się ambasadorami porozumienia między naszymi narodami. Ukraińców jest, jakby nie było, 50 milionów, to naprawdę jest rzecz ogromnej wagi. Dlatego zgłaszam, w formie wniosku, o jakieś poparcie z naszej strony dla ich wysiłków, zwłaszcza że - jak sądzę - będziemy mieli coraz większy dostęp do środków masowego przekazu.

Aby nie było gołosłowne to, co powiedziałam, chciałam przytoczyć ustawę, wprowadzającą z 1976 r., czyli jeszcze z czasów gierkowskich. Myślę, że pomimo wysiłków prasy niezależnej, a także prasy katolickiej, ta ustawa głęboko zapadła w świadomość przeciętnego Polaka. Była to ustawa o pogłębianiu patriotycznej jedności narodu, o umacnianiu państwa i rozwoju demokracji socjalistycznej, opartej o zasadę jednorodnej etniczności państwowości polskiej. Myślę, że nasze stowarzyszenie mogłoby zrobić wiele, żeby przekreślić skutki tej szkodliwej ustawy.

Jarosław Szczepański: Wczoraj w dyskusji padały tutaj głosy o tym, czy prasa drugiego obiegu jest jeszcze potrzebna, czy się nie przeżyła, czy cenzura jest dobra, bardziej lub mniej łagodna i przytaczano tu różne przykłady, że cenzura czepia się właściwie tylko spraw systemowych. Nota bene, drobny przykład - w miesięczniku "Powściągliwość i Praca" cenzura zajęła cały reportaż z Katynia, łącznie ze zdjęciem. Ale to tylko drobiazg. Wydaje mi się, że nasze rozważania o wspaniałej prasie drugiego obiegu i o tym, czy ona się właściwie przeżyła, to jest rodzaj jakiegoś samozadowolenia. Tymczasem o tym, na ten temat, mają prawo dyskutować przede wszystkim ci, którzy są nieobecni na tej sali, a mianowicie - czytelnicy. Nie wiem, ile osób z Państwa przysłuchiwało się wywodom na temat prasy warszawskiej, centralnej, czy prasy regionalnej, gdzieś na prowincji w Polsce - mówię, oczywiście, o prasie drugiego obiegu. Natomiast ja słyszałam wielokrotnie zarzuty w stosunku do tej prasy warszawskiej, prasy centralnej, że ona się nie zajmuje poszczególnymi regionami, że w ogóle nie zauważa problemów kraju. I jest to - w mniejszym lub większym stopniu - prawdziwe. Tak jest przynajmniej na Śląsku. Śląsk bardzo ubolewa nad tym, że warszawska prasa sekuje ten region. Wczoraj były tu wy-

mieniane rozliczne tytuły prasy drugiego obiegu, ukazujące się od wielu lat, tudzież kwartalniki, miesięczniki. I akurat tak się złożyło, że ukazujący się od wielu lat dwumiesięcznik "Jesteśmy", ukazujący się w centrum Śląska, w Katowicach, nie został wymieniony. Tak jakby w tym regionie w ogóle nic się nie działo.

Chciałem powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy. Rozmawialiśmy tu o bardzo ważnych sprawach, natomiast tylko jeden głos w dyskusji poruszył sprawę naszych kolegów robiących gazety nieprofesjonalnie, pracujących gdzieś w zakładach pracy, robiących solidarnościową prasę zakładową. A to jest prasa, choć może się państwo obrazić na mnie, moim zdaniem ważniejsza niż prasa, która ukazuje się w Warszawie. Najważniejszy, najbardziej odważny komentarz polityczny, podważający korzenie systemu, który ukaże się na łamach Przeglądu Wiadomości Agencyjnych, nie wywoła tyle zamieszania, co konkretny opis jakiejś afery w konkretnym zakładzie, który zostanie zamieszczony w zakładowej gazecie solidarnościowej. Chodzi o to, że w tej chwili przeżywa ta prasa terenowa, zakładowa, okres drugiego, ponownego rozkwitu. Dlatego chciałbym zwrócić do wszystkich państwa prośbę, aby udzielić jak największej pomocy kolegom z tych drobnych zakładowych gazet. Oni bardzo często cierpią, że nie potrafią tego sami zrobić, a my tu sobie siedzimy w Warszawie, zadowoleni z siebie.

Wacław Czarnecki: Spośród spraw, które były tu poruszane, dwie sprawiły mi szczególną satysfakcję. Pierwsza to fakt, że wstąpiliśmy do FIJ-u. I wydaje mi się, że warto podkreślić, że nie jesteśmy pierwszymi polskimi dziennikarzami, którzy się w FIJ znaleźli, bo myśmy tylko odnowili udział, który datuje się od początku niepodległej Polski, od 1918 roku. I dzisiaj znów chcemy pracować w ramach FIJ-u, stosując się do hasła, o którym wczoraj mówił kol. Bratkowski, że obowiązkiem dziennikarza jest, informując - mówić prawdę i tylko prawdę, że tak właśnie chcemy pracować. I dlatego druga sprawa, która mnie ucieszyła, to, że we wszystkich głosach w dyskusji dominowała idea, żeby zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby w tym naszym kraju, w Polsce, było trochę więcej sprawiedliwości i wolności, trochę więcej ludzkich uczuć, tego, że człowiek czuje się człowiekiem.

Dla mnie powrót do FIJ-u ma tym większe znaczenie, że swoją pierwszą legitymację tej organizacji dostałem przed 65 laty, czyli w 1924 r., bo tyle wynosi mój staż dziennikarski. I dlatego dzisiaj rankiem, słuchając dyskusji, usmiechnąłem się, kiedy któryś z dyskutantów, mówiąc o kolegach starszych od siebie, powiedział "stare mamuty". Dobrze jest, że ludzie młodzi tak odczuwają, ale nie zawsze mają rację. My, chociaż mamy dużo lat, nie uważamy się ani za starych, ani za mamutów. Osobiście jestem zdania, że można mieć 24 lata i być starcem i można mieć trochę więcej lat, a działać z młodzieńczą pasją.

Warto może przypomnieć, że my, te niby mamuty, byliśmy pierwsi, którzy zabrali się do organizowania dziennikarstwa, czy choćby części dziennikarstwa, po uderzeniu ze strony

władz w grudniu 1981 r. Po zdelegalizowaniu SDF, zaraz następnego dnia dziennikarze-seniorzy postanowili stworzyć swoją własną grupę i od razu przystąpili do praktycznych rzeczy, do akcji pomagania kolegom, którzy - utraciwszy pracę po weryfikacji - znaleźli się w trudnych warunkach. I to nasza koleżanka, Wala Korycka, dzielnie prowadziła tu akcję, osiągając niezłe wyniki. I dlatego ucieszyliśmy się bardzo, kiedy przyszli do nas młodzi koledzy i powiedzieli, że chcą założyć Koło Przyjaciół Dziennikarza-Seniora, które przez następnych kilka lat było jakąś formą quasi-organizacyjną Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Nasza współpraca układała się bardzo dobrze, bardzo pomaga nam w naszej pracy kol. Agnieszka Wróblewska, kol. Jola Łopuszyńska i kol. St. Brodzki. Z ich pomocą robimy to, co robimy. Te wszystkie panele, których mamy na swoim kacie kilkanaście i które poruszały zasadnicze, aktualne i ważne tematy, zrobiliśmy właśnie razem. Chcemy dalej robić to samo. My jesteście rzeczywście starzy wiekiem, czasami niedołęzni i wy, młodzi, bardzo nam pomagacie. Ale równocześnie, my, po tej trudnej i ważnej szkole życia, mamy trochę więcej doświadczenia i może czasami możemy wam w czymś pomóc. Oświadczam, że będziemy w dalszym ciągu razem z wami postępować po tej drodze, która ma na celu poprawienie warunków życia w Polsce. A gdy dojdziecie do starszego wieku i przestaniecie już pracować, kiedy zaczniecie być tymi seniorami, bardzo chętnie was do siebie zapraszamy i z otwartymi ramionami przyjmujemy. A za tę współpracę, która miała miejsce dotychczas, za tę naszą wspólną drogę, którą razem przebyliśmy, bardzo serdecznie wam dziękujemy.

Ryszard Helak: Ogromnie żałuję, że temat który chciałem poruszyć, jest tak odległy w czasie od referatu, który był na ten temat wygłoszony. Chciałbym mianowicie wrócić do spraw cenzury i wrzucić swój kamyk do tego ogródka. Ścisłe chodzi mi o cenzurę, która funkcjonuje również w drugim obiegu. Nie ukrywam bowiem, że jestem "dwójkarzem", czyli dziennikarzem z drugiego obiegu, gdzie funkcjonuje już od 8 lat. I tak, jak wszyscy odczuwają w prasie oficjalnej cenzurę od ponad 40 lat, ja odczuwam ją od lat ośmiu. Chociaż nie ma ona charakteru instytucjonalnego, tym niemniej jest to zjawisko istniejące. Istniało przed stanem wojennym i teraz również istnieje, chociaż nasuwa się pytanie o sens tego istnienia. Są zatem w drugim obiegu swoiste zapisy cenzuralne, które dotyczą generalnie dwóch tematów, tzn. polityki NSZZ "Solidarność", ewentualnie wszystkich innych poczynań społecznych, gdzie NSZZ "Solidarność" jest inicjatorem. Druga sprawa, może mniej powszechna - cenzurą objęte są również wszystkie sprawy, które mają związek z poczynaniami Kościoła czy hierarchii, chociaż w ocenie społecznej nie zawsze spotykają się one z pełną aprobatą.

W jakiej to formie występuje? Przede wszystkim jest to forma perswazji, tzn., że mianowicie nie będziemy o czymś pisali, bo to jest szkodliwe dla związku, dla Kościoła, dla jedności itd. Nie spotkałem się z tym osobiście, ale znam wypadki, że komuś wstrzymano druk, ponieważ nie poddał się formom perswazji. Jakich argumentów się używa? Argument

pierwszy, podstawowy, że jest czas walki i nie możemy sobie pozwolić na walkę wewnętrzną, na ścieranie się poglądów - pogadamy, jak zwyciężymy. Niestety, jest to argument z całym innym kręgu kulturowego i ideologicznego. Drugi argument, często spotykany, że coś jest niepolityczne. I trzeci, niezwykle ważki - że czytelnikom nie będzie się to podobać. Czyli to jest to, o czym tu już było mówione na tej sali, że my czasami staramy się pisać to, czego od nas oczekują, a nie jak jest naprawdę w rzeczywistości. Aby się podobać. A jest to, uważam, argument dość istotny i czasami trzeba się nad tym zastanowić, jako że ostatnio można było zaobserwować znacznie osłabione zainteresowanie prasą drugiego obiegu. Sumując to, co powiedziałem, jestem pesymistą - tzn. uważam, że cokolwiek byśmy nie powiedzieli, czasami poddajemy się uczuciu, że cenzura jest jakoś tam potrzebna. Jest to pewien sposób dwójmyślenia, wprawdzie nie w stylu Orwella, tym niemniej jest to jakieś dwójmyślenie i świadczy o nie-najlepszym stanie naszej świadomości. Uważam, że mamy, niestety, pewne cechy może nie Homo sovieticus, ale Homo bolszewikus. (...)

Krzysztof Boruń: Pragnę krótko zabrać głos w sprawie formalnej. Jest to może sprawa trochę marginesowa, ale w przyszłości może mieć poważniejsze znaczenie. Chodzi mi o nazwę i tradycję, którą ma kontynuować nasze stowarzyszenie. Otóż jeśli chodzi o SDP, miało ono okresy chwalebne, ale były to okresy dość krótkie, natomiast miało też - o wiele, wiele dłuższe - okresy smutne, wstydlive. Należę do tego pokolenia dziennikarzy, które miało okazję, bo trudno powiedzieć - przyjemność - od początku przeżywać różnego rodzaju wstrząsy i bolesne doświadczenia zawodowe. Więc może należałoby w przyszłości - gdy już zostaniemy zalegalizowani - rozważyć możliwość odejścia od nazwy SDP, na korzyść powrotu do dawnego Związku Dziennikarzy Polskich. Przypomnę, że początkowo były to regionalne związki zawodowe dziennikarzy. Ja sam należałem w 1946 roku do Związku Dziennikarzy Pomorskich. Później przekształciły się one w związek ogólnopolski. Ten został zlikwidowany, a na jego miejsce powstało SDP. Nie wiem, czy nie warto do tych spraw wrócić.

I druga sprawa, chyba znacznie poważniejsza. Otóż istnieje pewien dylemat, przed którym stajemy, przed którym staje szczególnie młode pokolenie. Pokolenie, które może nie ma tak bogatych doświadczeń, jakie my, starsi, w tej kwestii mamy. Chodzi mianowicie o to, że dziś, po to, żeby dokonywały się jakieś zmiany, konieczny jest kryzys. A sytuacja nie wygląda tak, że pewne rzeczy można odłożyć, bo jest kryzys. Wszystko, co ma być wywalczone, musi być wywalczone właśnie w warunkach kryzysu. Ale z drugiej strony, warunki kryzysowe, to czynnik demoralizujący. Jest to właśnie ów dylemat. Warto więc może, żeby nasze Stowarzyszenie kontynuowało, a nawet rozwinęło działalność, którą starzy dziennikarze podjęli jeszcze na Foksal, jak również warto wrócić do dyskusji i wniosków wynikających z działalności DiP-u. Chodzi o realistyczne uświadomienie sobie sytuacji i o wybór właściwej drogi. To bardzo istotne.



Jerzy Robert Nowak: Oto, jacy są Polacy. Trzeba pamiętać, że dużo o nas pisano, jacy to jesteśmy krnąbrni, uparci, męczący dla sąsiadów, jak to strasznie się nami rządzi. Tymczasem myślę, że powinniśmy spojrzeć bez nadmiernej samokrytyki na te polskie zrywy lat 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980 roku, zrywy tak częste i tak liczne, czego nie było w przypadku żadnego innego narodu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Były one chyba wyrazem wyjątkowo dużego wkładu Polaków w ukazanie anachroniczności stalinowskich struktur politycznych i gospodarczych. Byłem bardzo zadowolony, że teraz, będąc na Węgrzech, przeczytałem w legalnie ukazującym się, najpoważniejszym węgierskim piśmie niezależnym "Zaufanie", wydawanym przez Węgierskie Forum Demokratyczne, stwierdzenie jednego z czołowych intelektualistów tego kraju i przywódców Forum, a zarazem najwybitniejszego współczesnego dramaturga węgierskiego, Csurki, który napisał, że w walce o usunięcie stalinizmu były narody, które wyróżniły się szczególnie i którym należy się najwyższe uznanie. Myślę tu - mówię Csurko - o swoich Węgrach, o Czechach, a głównie o Polakach.

Chciałbym więc raz jeszcze podkreślić, że powinniśmy zwrócić dużo więcej uwagi na kraje sąsiednie, na Węgry zwłaszcza, które przeżywają teraz prawdziwą wiosnę polityczną, i podjąć współpracę z ich pismami. Drugi obieg jest tam słaby, ale pisma niezależne, ukazujące się legalnie, są bardzo interesujące. My też mamy ciekawą oficjalnie wychodzącą prasę niezależną, ale są to gazety kościelne. Na Węgrzech zaś są to pisma świeckie. I myślę, że czas wreszcie, powołując się na przykład węgierski, na rozwiązanie inicjatywy powoływania niezależnych pism świeckich, takich jak "Po prostu" czy innych. Zachęcam także do współpracy z niezależnymi pismami węgierskimi. Rozmawiałem z ich redaktorami naczelnymi i wiem, że oni bardzo chętnie widzieliby u siebie artykuły z Polski.

Stefan Bratkowski: Zamykając tę dyskusję chciałbym, żeby mi Państwo pozwilił na dwa słowa osobistej refleksji. Podniesiono tutaj kwestię nazwy naszego Stowarzyszenia i jego tradycji. Jest prawdą, że to Stowarzyszenie, które się tutaj w jakiejś części spotkało w gronie swoich statutowych członków i tych, którzy członkami tego Stowarzyszenia się czują, jest to Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, które w jakimś sensie uformowaliśmy na nowo w roku 1980-1981. Ja też nie mam sentymentu dla dawnego SDP. Byłem bezrobotny od 1973 roku, to jest od rozpedzenia "życia i Nowoczesności". Moi koledzy także. To były czasy, kiedy nie było jeszcze opozycji politycznej, kiedy sędziano pod fałszywymi zarzutami inżynierów polskich, kiedy niszczone czołówkę polskiej techniki, naszych przyjaciół. Wtedy nie miał kto za nami się ująć. Ale mimo to, sądzę, że ta nazwa - Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich - dobrze się zasłużyła krajowi przez ostatnie 8 lat. Myślę, że ta nazwa zasłużyła na to, żeby istnieć. Z nazwą SDP kojarzyło się to wszystko, cośmy do tej pory robili i jacyśmy przetrwali. Myślę, że jest to nazwa, która zasługuje dzisiaj na pełny szacunek, nie tylko swoich członków i przyjaciół, ale również przeciwników. Pomajam już kwestię formalną, że SDP jest w tej chwili członkiem Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy - FIJ.

Chcę powiedzieć także o tym, że akurat ta nazwa - Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich - będzie bardzo trafnie oddawała charakter organizacji, której równoprawnymi członkami będą dziennikarze polscy pracujący w kraju i pracujący za granicą. W odróżnieniu od nazwy stowarzyszenia, które nazywa się Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, my jesteśmy Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich. I wydaje mi się, że ten właśnie przymiotnik - "polskich" jest ważnym, choć może niedocenianym w tej chwili, atutem na przyszłość. Sądzę, że akceptacja dla utrzymania tej nazwy nie jest kwestią tylko naszego zleczenia. Jest to kwestia wiary, że to, cośmy robili przez 8 lat, a co się wiązało z tą nazwą, jest godne kontynuacji.

Teraz jeszcze dwa słowa o sprawach, o które zabiegamy. Komisja Wnioskowa przygotowuje cały materiał, który jest bardzo obfity i bardzo różnorodny, uporządkuje go i posegreguje. Chcę przypomnieć, że nam zależy na pluralizmie prasowym, a więc na zmianie ustawy prasowej. Chodzi o to, żeby każdy, kto chce i czuje się zdolny wydawać gazetę, mógł to zrobić. Żeby nie było takiej sytuacji, jak dzisiejsza, kiedy można wydawać gazety firmowane przez władzę państwową, kiedy można wydawać gazety, które korzystają z ochrony tej potęgi, jaką reprezentuje w naszym kraju Kościół, możliwość wydawania gazety mają nawet polscy faszyci, wydający "Gazetę Warszawską", a nie mają tego prawa inni obywatele tego kraju, całe setki dziennikarzy, którzy dzisiaj nie mogą normalnym, pełnym głosem przemawiać do swoich czytelników.

Chcę też powiedzieć raz jeszcze o naszym stosunku - jako Stowarzyszenia - do prasy drugiego obiegu. Naszym celem jest sytuacja, w której prasa drugiego obiegu będzie normalną prasą tego kraju, prasą pełnoprawną. I to nie tylko te tytuły, które w tej chwili wychodzą, ale dziesiątki, setki, tysiące innych gazet - lokalnych, fabrycznych, zakładowych, osiedlowych, miejskich, które będą pomagały odradzać tkankę społeczną, będą pomagały temu społeczeństwu normalnie funkcjonować. Jeżeli dzisiaj w Rosji cierpią na takie dolegliwości, jakie opisał tu Leon Bójkó, to nie tylko dlatego, że nie ma tam silnego Kościoła. Dzieje się tak również dlatego, że nie ma tego drugiego czynnika wyrażającego opinię publiczną, a którego przedstawiciele można było obejrzeć w prawie każdym filmie o Dzikim Zachodzie, gdzie tuż po powstaniu osiedla najpierw powoływano szeryfa, potem pojawiał się ksiądz lub pastor ze swoim kościołem, a zaraz później dziennikarz samodzielnie piszący, redagujący, drukujący i sprzedający swoją gazetę. To jest niesłychanie ważne dla tego kraju; nie tylko dla nas. Sądzę, że mogę bez obawy powiedzieć, że nie tylko nam jest potrzebna prawdziwa prasa. My jesteśmy, jako przedstawiciele prawdziwej prasy, potrzebni społeczeństwu.

I na koniec parę słów wyjaśnienia na temat cenzury, w związku z wypowiedzią kolegi Hylaka. Cenzura to jest to, co spoza gazety jest narzucane gazetce. Gazeta ma prawo sama samodzielnie kształtować swoją politykę i gazeta nie jest zobowiązana drukować wszystkiego, co ktokolwiek do niej przyniesie, lub do wydrukowania zaproponuje. Gazeta jest od tego, żeby ją redagować. To jest niezaprzeczalne prawo dzien-

nikarzy, wydających gazetę. Każdy, kto chce wyrazić sam swoje zdanie, które nie może zmieścić się na łamach danej gazety, ma prawo wydrukować to w innej gazecie, albo sam podjąć wydawanie gazety.

Koleżanki i koledzy! Wnioski z naszego spotkania są niesłychanie bogate, lecz myślę, że warto zwrócić uwagę na jeden, którego oczywistość nam wszystkim rzuciła się w oczy. Potrzebujemy już dzisiaj, po 8-miu latach, bardzo skromnej, ale własnej komisji historycznej. Dowiedzieliśmy się na tej sali o wielu faktach, których po prostu najzwyczajniej w świecie nie znaliśmy. Innymi słowy, wśród wniosków Komisji Wnioskowej znajdzie się - jak przypuszczam - wniosek o powołanie takiej komisji i już dziś bardzo proszę, żeby wszystkie materiały, dotyczące wydarzeń lat 1981-1982 oraz późniejszych mogły spływać na ręce koleżanki Anny Szymańskiej i kolegi Andrzeja Jeleńskiego. Myślę, że ten prototrzon przyszłej komisji historycznej będzie mógł zacząć swoją pracę już od jutrzejszego dnia.

Chciałbym już zakończyć, podziękować wszystkim pięknie za łaskawe przybycie i powiedzieć, że wcale nie będzie nam łatwo przez najbliższe miesiące. Ten rok będzie miał swoje bardzo trudne okresy i najbliższe miesiące będą do nich należeć. Chcę jednak zapytać zebranych, czy uważają za celowe doprowadzenie do ponownego takiego spotkania w przeciągu najbliższych paru miesięcy?

(sala) Tak!

- Dziękuję więc Państwu i do rychłego zobaczenia!

KONIEC OBRAD

## Dokumenty

W trakcie seminarium poświęconego stanowi komunikacji społecznej, które odbyło się w Warszawie w dniach 7 i 8 stycznia 1989 r., zebrani powołali Komisję Wnioskową w składzie: Iwona Śledzińska-Katarasińska, Wiesław Johann, Mieczysław Kaczanowski, Andrzej Liberadzki, Tadeusz Robak, Jan Rogala, Jarosław Szymkiewicz. Do działania w imieniu Komisji upoważniono Jana Rogalę.

W toku obrad zebrani podjęli następujące uchwały:

### UCHWAŁA Nr 1

Zebrani w Warszawie na seminarium poświęconym stanowi komunikacji społecznej członkowie zdelegalizowanego w stanie wojennym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a także dziennikarze nie stowarzyszeni postanawiają przekształcić się w Komitet Założycielski SDP. Komitet podejmie starania, zmierzające do legalizacji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

### UCHWAŁA Nr 2

W sprawie wniosku o zarejestrowanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Urząd m.st. Warszawy  
Wydział Społeczno-Administracyjny

Na podstawie art. 19 Rozporządzenia Prezydenta RP z 1932 r. Prawo o stowarzyszeniach wnosimy o wpisanie do rejestru stowarzyszeń rejestrowanych Stowarzyszenia pod nazwą Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Dotychczas funkcjonujące nie spełnia naszych oczekiwań zawodowych.

Niezależnie od przegłosowania powyższej uchwały przez zebranych, uczestnicy seminarium podpisywali się pod wnioskiem imiennie aż do końca obrad. Pod wnioskiem znajdują się następujące podpisy:

- 1) Ewa Berberysz (W-wa), 2) Aleksander Paszyński (W-wa),
- 3) Wojciech Adamlecki (W-wa), 4) Maciej Iłowiecki (W-wa),



5) Stefan Bratkowski (W-wa), 6) Tomasz Jastrun (W-wa), 7) Ma-  
 dziej Józef Kwiatkowski (W-wa), 8) Cezary Chlebowski (W-wa),  
 9) Grażyna Ciszewska-Chlebowska (W-wa), 10) Juliusz Braun  
 (Kielce), 11) Mieczysław Gil (Kraków), 12) Wojciech Skrodzki  
 (W-wa), 13) Beata Chmiel (W-wa), 14) Janina Jankowska (W-wa),  
 15) Edmund Łajdorf (Białystok), 16) Leszek Stawiński (Biały-  
 stok), 17) Andrzej K. Wróblewski (W-wa), 18) Agnieszka Wró-  
 lewska (W-wa), 19) Iwona Śledzińska-Katarasińska (Łódź), 20)  
 Wanda Falkowska (W-wa), 21) Janina Paradowska (W-wa), 22) Ewa  
 Skudro (W-wa), 23) Halina Dudowa (W-wa), 24) Jerzy Morawski  
 (W-wa), 25) Danuta Drachal (W-wa), 26) Andrzej Grajewski  
 (W-wa), 27) Bogda Widera (W-wa), 28) Jolanta Łopuszyńska  
 (W-wa), 29) Łucja Klimas (W-wa), 30) Maria Marszałek (W-wa),  
 31) Anna Chmielewska (W-wa), 32) Alina Rebane (W-wa), 33)  
 Zofia Jeżewska (W-wa), 34) Krystian Brodacki (W-wa), 35) Boh-  
 dan Rudnicki (W-wa), 36) Gabriela Walczak (Białystok), 37)  
 Jacek Maziarski (W-wa), 38) Jarosław Szczepański (W-wa), 39)  
 Marek Chmielewski (W-wa), 40) Tadeusz Ulanowski (W-wa), 41)  
 Janusz Winiarski (W-wa), 42) Sylwester Peryt (W-wa), 43) Adam  
 Kinaszewski (Gdańsk), 44) Henryka Dobosz-Kinaszewska (Gdańsk),  
 45) Krystyna Karwicka-Rychlewicz (W-wa), 46) Anna Borkowska  
 (W-wa), 47) Stefan Trusczyński (W-wa), 48) Ewa Szeplińska  
 (W-wa), 49) Jacek Kozłowski (Sopot), 50) Andrzej Liberadzki  
 (Gdańsk), 51) Anna Szymańska (W-wa), 52) Mariusz Wilczyński  
 (Gdańsk), 53) Maciej Łopiński (Gdańsk), 54) Janina Pietroń-  
 -Plaza (W-wa), 55) Maciej Łukasiewicz (W-wa), 56) Maciej Ro-  
 salał (W-wa), 57) Stanisław Wieckowski (W-wa), 58) Dionizy  
 Garbacz (Stalowa Wola), 59) Wera Kamenz-Skwiecińska (W-wa),  
 60) Robert Mroziewicz (W-wa), 61) Jan Bazyl Lipszyc (W-wa),  
 62) Stefan Marody (W-wa), 63) Krzysztof Boruń (W-wa), 64)  
 Wiesław Johann (W-wa), 65) Alicja Iskierko (W-wa), 66) Krys-  
 tyna Kalinowska-Moskwa (W-wa), 67) Jacek Moskwa (W-wa), 68)  
 Tomasz Burski (W-wa), 69) Hanna Hartwig (W-wa), 70) Renata  
 Wołoszczak (W-wa), 71) Stanisław Stopkiewicz (W-wa), 72) Ry-  
 szard Michalski (W-wa), 73) J. Marta Piszczatowska (W-wa),  
 74) Tadeusz Lasota (W-wa), 75) Jan Zalewski (W-wa), 76) Grze-  
 gorz Jaszuński (W-wa), 77) Hanna Krall (W-wa), 78) Elżbieta  
 Kotarska (W-wa), 79) Jerzy Szperkowicz (W-wa), 80) Marek An-  
 toni Wasilewski (W-wa), 81) Anna Furman-Konicka (W-wa), 82)  
 Mirosław Stankiewicz (W-wa), 83) Juliusz Rawicz (W-wa), 84)  
 Joanna Kluzik (W-wa), 85) Jacek Cieszewski (Katowice), 86)  
 Wojciech Kamiński (W-wa), 87) Zofia Kamińska (W-wa), 88)  
 Adam Zubek (W-wa), 89) Krystyna Jagiełło (W-wa), 90) Miecz-  
 ysław Kasprzyk (Kraków), 91) Stanisław E. Bury (W-wa), 92) Ry-  
 szard Helak (Bydgoszcz), 93) Krystyna Mokrosińska (W-wa),  
 94) Genowefa Błaziuk-Piąska (W-wa), 95) Andrzej Roman (W-wa),  
 96) Tadeusz Urbaniak (W-wa), 97) Jarosław Szymkiewicz (W-wa),  
 98) Jadwiga Wasiał (Łódź), 99) Janina Śluszniał (W-wa), 100)  
 Alina Głowczyńska (Gdańsk), 101) Wiesława Czapińska (W-wa),  
 102) Maryna Miklaszewska (W-wa), 103) Stanisław Remuszko  
 (W-wa), 104) Alina Terechowicz (W-wa), 105) Janina Makowiec-  
 ka (W-wa), 106) Jarosław M. Goliśzewski (W-wa), 107) Lech  
 Chmielewski (W-wa), 108) Jan Jakubowski (Gdańsk), 109) Mar-  
 cin Wołski (W-wa), 110) Krzysztof Burnetko (Kraków), 111)  
 Marek Car (W-wa), 112) Wacław Biały (Lublin), 113) Wacław  
 Czarnecki (W-wa), 114) Andrzej Gorzym (W-wa), 115) Jacek  
 Kurski (Gdańsk), 116) Renata Pragłowska-Woydtowa (W-wa),

117) Helena Noskowicz-Bieron (Kraków), 118) Józef Kuśmierk (W-wa), 119) Andrzej Jeleński (W-wa), 120) Danuta Jeżowska-Kaczanowska (Szczecin), 121) Anna Michalska (W-wa), 122) Elżbieta Otffinowska (W-wa), 123) Danuta Zabiłocka-Skupieńska (W-wa), 124) Franciszek Szpor (Katowice), 125) Krzysztof Ślusarek (Kraków), 126) Maciej Kwaśniewski (Kielce), 127) Janina Stefańska (W-wa), 128) Barbara Wyszynska (W-wa), 129) Jerzy Muszyński (Białystok), 130) Ireneusz Choroszuca (Białystok), 131) Adam J. Socha (Olsztyn), 132) Maria Kwiecień (W-wa), 133) Aleksander Woydt (W-wa), 134) Stanisław Pogorzelski (Białystok), 135) Jerzy Kwasowski (Białystok), 136) Władysław Karwan (W-wa), 137) Jacek Snopkiewicz (W-wa), 138) Marek Rapacki (W-wa), 139) Ewa Krawczuk (W-wa), 140) Anna Żukowska-Maziarska (W-wa), 141) Blanka Danilewicz (W-wa), 142) Ewa Chwojko (W-wa), 143) Erazm Ciołek (W-wa), 144) Marta Miklaszewska (W-wa), 145) Alicja Balińska (Gdańsk), 146) Teresa Remiszewska (Sopot), 147) Inga Kaltenbergh (W-wa), 148) Hanna Kaltenbergh (W-wa), 149) Kazimierz Rosiński (W-wa), 150) Aleksander J. Wieczorkowski (W-wa), 151) Wiesława Grochola (W-wa), 152) Paweł Smoleński (W-wa), 153) Robert Rozak (W-wa), 154) Romana Przybyłowska-Bratkowska (W-wa), 155) Mieczysław Kaczanowski (Szczecin), 156) Marek Madrzejewski (W-wa), 157) Stanisław Brodzki (W-wa), 158) Irena Rybczyńska-Holland (W-wa), 159) Jerzy Turowicz (Kraków), 160) Irena Poznańska (W-wa), 161) Elżbieta Cichocka-Bójko (W-wa), 162) Leon Bójko (W-wa), 163) Danuta Kazimierzczuk-Nowakowska (W-wa), 164) Andrzej Kłominek (W-wa), 165) Jerzy Szczęsny (W-wa), 166) Zdzisław Kazmierczuk (W-wa), 167) Ryszard Turski (W-wa), 168) Tadeusz Robak (Kraków), 169) Krzysztof Czabański (W-wa), 170) Wojciech Gieżyński (W-wa), 171) Jan Rogala (W-wa), 172) Andrzej W. Pawluczuk (Lublin), 173) Andrzej Bober (W-wa), 174) Wiktor Małski (W-wa), 175) Szczęsna Milli-Rogala (W-wa), 176) Alicja Maciejowska (W-wa), 177) Alina Głowacka-Makosza (Szczecin), 178) Władysław Daniszewski (Szczecin), 179) Bożena Wawrzewska (W-wa), 180) Andrzej Gelberg (W-wa), 181) Waldemar Chołodowski (W-wa), 182) Elżbieta Wierzbicka (W-wa), 183) Julian Szumiej (W-wa), 184) Jerzy Korejwo (W-wa), 185) Jerzy Surdykowski (Kraków), 186) Janusz Stankiewicz (Białystok), 187) Piotr Wójcicki (W-wa), 188) Grzegorz Fortuna (Gdańsk), 189) Katarzyna Kołodziejczyk (W-wa), 190) Tomasz Gruszecki (W-wa), 191) Tomasz Sypniewski (W-wa), 192) Antoni Zambrowski (W-wa), 193) Jerzy Woźń-Janiewski (W-wa), 194) Małgorzata Szejnert (W-wa), 195) Anna Mielczarek (W-wa), 196) Jan Dworak (W-wa), 197) Jan Grosfeld (W-wa), 198) Larysa Szczek (W-wa), 199) W. Chudzik (W-wa), 200) Mieczysław Berbeć (Wysokie), 201) Andrzej Wójcicki (W-wa), 202) Adam Strug (W-wa), 203) Olga Iwaniak (W-wa), 204) Jakub Kopec (W-wa), 205) Sławomir Siwek (W-wa), 206) Maciej Parowski (W-wa), 207) Małgorzata Niezabitowska (W-wa), 208) Jerzy Iwaszkiewicz (W-wa), 209) Olga Braniecka (W-wa), 210) Ewa Wańkiewicz-Skrzydło (W-wa), 211) Danuta Borkowska (W-wa), 212) Aleksandra Sarata (W-wa), 213) Rajmund Borkowski (W-wa), 214) Ewa Maziarska (W-wa), 215) Dariusz Fikus (W-wa), 216) Elżbieta Kisielska (W-wa), 217) Konrad Paradowski (W-wa), 218) Urszula Szczepańska (W-wa), 219) Jerzy Unierzyski (Poznań), 220) Danuta Zagrodzka (W-wa), 221) Andrzej Wróblewski (W-wa), 222) Halina Maleszewska (W-wa), 223) Małgorzata Jaser

środowiskami dziennikarskimi, zwłaszcza, że odbieramy dziś legitymacje FIJ, Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, co nas w sposób oczywisty w tej mierze zobowiązuje.

Maciej Ilowiecki: Mówiłem tu wczoraj państwu o technikach manipulatorskich tzw. "urbanowszczyzny" i chcę powiedzieć, że - ze względu na ich skutki - nie był to katastrofizm, tylko realizm. Ale to drobiazg. Otóż dziś chciałbym dokonać wypowiedzi osobistej, tzn. powiedzieć, za czym się opowiadam. Jest to jakby nawiązanie do trzech pierwszych głosów naszego seminarium. Otóż opowiadam się za bardzo jednoznaczną etyką dziennikarską. Zdaję sobie sprawę, oczywiście, że nigdzie nie istnieje ani prasa absolutnie wolna, niezależna, ani też nie ma informacji neutralnej, w tym sensie, że każda informacja wywołuje określony rezonans. Niemniej, opowiadam się za etyką, która powinna być przeciwstawieniem słynnego zdania Daniela Passenta, że ideologią dziennikarza jest jego maszyna do pisania. Sądzę zatem, że to, co określa się etosem dziennikarza, da się chyba streścić do jednego zdania, wypowiedzianego przez Jana Pawła II do dziennikarzy właśnie. Cytuję: "Starać się będziecie w waszych tekstach zawsze nazywać dobro dobrem, a zło złem". I myślę, że to zupełnie wystarczy. Dalej, opowiadam się za spokojem i rozsądkiem w tym burzliwym czasie, który teraz nadchodzi; być może będzie to czas najburzliwszy. Nie ma być, oczywiście, ten spokój odejściem od zasad, które uznajemy za słuszne, ale musi być w nim zawarta pewna skromność i tolerancja. Myślę, że państwo rozumieją, o co chodzi i że rozumieją to również nasi młodszy koledzy. I po trzecie, opowiadam się za swobodą informacji i opinii.

Mówię tu same banały, ale jestem przekonany, że trzeba to, jak to mówią socjologowie, skonceptualizować. Otóż, przeciwstawieniem tego może być znów zdanie, które pozwolę sobie zacytować. Jest to opinia Daniela Lulińskiego ze spotkania z dziennikarzami zagranicznymi w Jabłonie, który mówiąc o telewizji satelitarnej, stwierdził, że: "polskie społeczeństwo nie życzy sobie tej telewizji, bo przenikanie informacji ponad granicami nie cieszy się uznaniem opinii publicznej". Otóż myślę, że w tym wypadku dość zasadniczo różnimy się wszyscy z panem Lulińskim i nie tylko z nim oczywiście. Krótko mówiąc, chodzi o to, aby środki masowego przekazu stały się, o czym tu mówiono, właśnie środkami społecznego przekazu. Muszę tu powiedzieć, że "przekaz masowy", to nie jest tylko kwestia określenia, kwestia żargonu. W pojęciu tym zawarta jest tylko treść techniczna, ilościowa; chodzi tutaj o masowość, powszechność. I jest to chyba określenie lekceważące odbiorców. Natomiast w pojęciu "przekaz społeczny" zawiera się pewna idea, idea tego, co powinno być, a czego wciąż u nas nie ma. To znaczy - żeby środki masowego przekazu móc uznać za środki społecznego przekazu, muszą zostać spełnione pewne warunki i o tych warunkach można by długo mówić, nie chcę jednak przedłużać swego wystąpienia.

I po czwarte, opowiadam się za pluralizmem, ale byłby to pluralizm nieco inny, niż w ujęciu pana Miodowicza, że raz jeszcze zacytuje: "Opowiadamy się za pluralizmem opartym na

fundamentalnej zasadzie - jeden związek zawodowy w jednym zakładzie". Otóż dla nas, jak myślę, pluralizm opiera się na innej fundamentalnej zasadzie. Mianowicie na takiej, żeby wszystkie przejawy opinii Polaków, we wszystkich sprawach, mogły być prezentowane w środkach społecznego właśnie przekazu. Także i opinie pana Miodowicza, Jerzego Urbana, Daniela Lulińskiego, a nawet pana Lobmana - tego szermierza stalinizmu. Chodzi też o to, aby liczba tytułów i wielkość nakładów prasy polskiej była dostosowana do rzeczywistych opcji występujących w naszym społeczeństwie.

I wreszcie opowiadam się i wierzę, że opowiadamy się za tym wszyscy, aby ten naród mógł być w końcu gospodarzem we własnym bogatym kraju. Nie chodzi mi o to, jak to zrecznie wyraził pewien dostojnik, którego nie będę tu kompromitował, ale go tylko zacytuje: "Nie chodzi o to, aby nastąpiło zmniejszenie tempa narastania opóźnień". Chodzi natomiast o to, że znów posłużę się słowami Jana Pawła II, iż "niepodległość nie może być Polakom wymierzana według kryteriów geopolitycznych, ale tylko wedle kryteriów autentycznej suwerenności narodu w swoim własnym państwie. Nie ma też innej drogi przezwyciężenia kryzysu ekonomicznego". Bardzo bym chciał, nawiasem mówiąc, żeby zrozumiał to Rakowski (...)

Kończąc, poddaję pod rozważę, czy nie powinniśmy zająć formalnie jakiegoś stanowiska wobec rzeczywiście przełomowego momentu, który - jak się zdaje - teraz właśnie nadchodzi.

Władysław Daniszewski: Jestem szczęśliwy, że przetrwaliśmy te bardzo trudne lata w dobrej kondycji i że nauczyliśmy się wiele od czytelników, do których nas ta przetrotna wiadza tak bardzo zbliżyła. Stanowimy w tej chwili jedność z tymi, dla których pisaliśmy i dla których wciąż piszemy, niezależnie od tego, co się jakiemu dygnitarzowi z cenzury podobaba. Nauczyliśmy się także pewnej ostrożności. Uważam, że najkrócej można by to wyrazić stwierdzeniem, że przed wymianą uścisków, nauczyliśmy się wymieniać poglądy. Dlatego - z jednej strony - trochę trudno mi się zgodzić z ogólnym przeliczeniem wielkości przemian, jakie nastąpiły lub następują w Polsce, z drugiej zaś - z tym dążeniem do integracji. Otóż nie ze wszystkimi. Chociaż niektórzy tu tak żaskawie udzielają miejsca Lobmanowi w telewizji. Wydaje mi się bowiem, że powinniśmy zmierzać do tego, żeby ludziom nie mieszać za bardzo w głowie i żeby przywracać autorytet nie tylko nasz własny, ale też i środków, przez które wyrażamy nasze poglądy i przekazujemy ludziom informacje. Żeby te informacje nie były zakłamane - to także jest naszym zadaniem. Przypuszczam, że jesteśmy u progu wielkiej dyskusji na temat roli dziennikarstwa, którą nasze spotkanie, jako inauguracja pewnych działań, dopiero otwiera. W szeregach dziennikarzy, pracujących na etatach państwowych, czy w RSW Prasa, znaleźli się ludzie nasiągni. Ludzie, którzy - no, może nie powiedziałbym po naszych trupach, ale jak gdyby weszli do tego zawodu z pieczęcią najwyższej wierności. Ludzie ci bronią się przed nami ze wszystkich swoich sił, szkalują nas, i nie tylko nas, jak mogą, z własnej nieprzymuszonej woli. Dla nich jest to legitymacja ich tożsamości wobec władzy i, co tu ukrywać, źródło niemałego zarobku. Rozumiem wobec tego ich stanowisko, ale wcale nie



mam zamiaru się z nimi solidaryzować i integrować. Mam też nadzieję że powstanie sytuacja, w której ci ludzie, może nie tyle zostaną przez powołane przez nas komisje zwolnieni z pracy, ale po prostu staną się niepotrzebni i wrócą do swoich zawodów, czy może służb, w których przed przyjściem do zawodu dziennikarskiego służyli.

Chciałem powiedzieć, najkrócej jak mogę, czym, moim zdaniem, różni się i zawsze będzie się różnić Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Otóż koledzy z SD PRL postawili sobie jako cel główny walkę o przywileje. I muszę powiedzieć, że tych przywilejów włądza udziela im w najróżniejszej formie - chroni ich, wzbogaca talonami, honorariami, pieniędzmi, zaszczytami, odznaczeniami. A za przywileje trzeba być wdzięcznym i trzeba dbać o to, żeby ten, kto przywilejów udziela, nie zechciał zaprzestać dalszego ich udzielania. Natomiast Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, zwłaszcza od kiedy jego prezesem został Stefan Bratkowski - posługuję się pewnym skrótom myślowym, ale wszyscy rozumiemy, o co chodzi - walczy o prawa dla dziennikarzy. Bo dopiero wtedy, kiedy ma się prawa, można mówić o obowiązkach. My rozumiemy, jakie są nasze obowiązki, ale domagamy się naszych praw. I sądzę, że również w szeregach pracujących dziś w radiu i telewizji, w oficjalnych gazetach, znajdują się ludzie, którzy wiedzą, że większa jest wartość prawa aniżeli przywilejów. I ci właśnie ludzie, przypuszczam, wzbogaca kiedyś nasze szeregi. Chciałbym, aby we wnioskach, które będzie formułować Komisja Wnioskowa, znalazło się owo sformułowanie (...)

Jerzy Turowicz: Wszyscy wiemy o tym, że żyjemy dzisiaj - w naszym kraju, i nie tylko zresztą, bo w całym bloku państw Europy Wschodniej - w okresie dużych zmian; zmian dosyć jednak nieoczekiwanych i nieoczekiwanie głębokich. Oczywiście, mając ponad 40-letnie doświadczenia życia w PRL, mamy prawo, aby na te zmiany patrzeć z pewnym sceptycyzmem, niemniej faktem jest, że zmiany są głębokie i że do ostrożnego optymizmu uprawniają. A ten optymizm zawiera nadzieję, że w dziedzinie wolności prasy, wolności informacji i wypowiedzi, nastąpi jednak pewna poprawa. Z tego względu myślę, że nasze seminarium i te problemy, które można było tutaj zaprezentować, m.in. bardzo zasadniczy problem autentycznej reprezentacji środowiska dziennikarskiego, są bardzo istotne i dobrze, że w tym momencie zostają artykułowane, formułowane. Bo nawet przy tych zmianach, jeżeli w tej dziedzinie ma nastąpić jakaś istotna poprawa, to na pewno nie będzie nam podarowana, tylko sami musimy ją wyrwać i zorganizować.

Jeszcze dwie uwagi. Pierwsza w związku z tym, co kol. Kołodziejczyk mówiła tu o pewnych problemach, także materialnych, dziennikarzy w prasie katolickiej. Nie wątpię, że takie problemy istnieją, choć myślę, że nie dotyczą one może całej prasy katolickiej. Tam jednak, gdzie istnieją, ich przyczyną może być z jednej strony trudna sytuacja finansowa tych tytułów, czy wydawnictw - bo i tak bywa, ale także i nieświadomość praw, jakie przysługują dziennikarzom. Wydaje mi się, że można temu, przynajmniej w jakiejś mierze, zapobiegać przez nawiązanie odpowiednich kontaktów. Od kilku

lat działa przy Komisji Episkopatu zespół d/s masowego przekazu, kolegium redaktorów naczelnych prasy katolickiej. Jest tu zresztą obecny na sali kol. Sławomir Siwek, który jest w te prace bardzo zaangażowany i myślę, że operując konkretnymi przykładami, da się uzyskać jakąś poprawę sytuacji.

Druga sprawa. Ja, jak zresztą prawdopodobnie nikt, nie jestem w stanie śledzić całej prasy i wydawnictw drugiego obiegu, ale wydaje mi się, że problemy środowiska dziennikarskiego są może w niedostatecznym stopniu prezentowane w środkach przekazu. Myślę, że te wszystkie sprawy, o których tutaj mówimy i których prawdopodobnie jeszcze dzisiaj, mimo wszystko, w prasie pierwszego obiegu przedstawić się nie da, powinny być bardzo wyczerpująco, właśnie w prasie drugiego obiegu, przedstawione. Myślę o dokumentacji, dotyczącej choćby takich spraw, jak weryfikacja dziennikarzy, jak materiały z obecnego seminarium. Sądzę, że referaty wygłoszone wczoraj i dzisiaj, i może przebieg dyskusji, powinny być w osobnej publikacji możliwie szeroko upowszechnione.

Robert Jerzy Nowak: Jak zwykle, z przyjemnością wysłuchaniem bardzo ciekawego wystąpienia Kasi Kołodziejczyk, niestety z jedną rzeczą muszę polemizować. Oceny typu "prasa reżimowa" nie służy integracji. Tu na sali, w prezydium, siedzi pani redaktor Ewa Maziarzka z dawnego "Przeglądu Technicznego", dziś zaś z "Odrodzenia" i nie uważam, że można coś zarzucić temu, co pisała. Sądzę więc, że ten zwrot jest dla nas obraźliwy, przynajmniej dla mnie. Jest tu Michał Ogórek, dawny "Przegląd Techniczny", z którego został usunięty, natomiast obecnie "Przegląd Tygodniowy", który dostał nagrodę niezależnych dziennikarzy.

Rozmawiałem w 1982 roku z Jackiem Maziarzskim, który zna bardzo dobrze sprawy Węgler. Powiedział mi on wtedy, że tam, na Węgrzech, przez cały rok 1957 istniało tylko jedno pismo "Życie i Literatura", które ludzie nazywali "Śmierć i Denuncjacja" - ponieważ było ono najgorszą rzeczywistością, jaką sobie można wyobrazić. Niemal w każdym numerze zapytywano, na ogół w partykułach, dlaczego ten czy inny pisarz kontrrewolucyjny nie siedzi na ławie oskarżonych. Uważam, że z tego punktu widzenia, to, co było w Polsce po 13 grudnia 1981 r. - że obok pism typu "Żołnierza Wolności" czy "Trybuny Ludu" istniała i "Polityka", i "Przegląd Techniczny", i "Odra", i "Zdanie" - że to było plusem. Że można było jednak na ich łamach występować w obronie inteligencji przeciwko niektórym nikczemnym atakom. Ja pracowałem w "Zdaniu", z którego, jak wiadomo, pod przymusem odszedł naczelny Zbigniew Reęcki, chyba w 1983 czy 84 r., a następnie musiał odejść kol. Szumowski i z sekretariatu kol. Szulc. Podobne były wówczas losy "Przeglądu Technicznego", co też przypominam. Więc to określenie - prasa reżimowa - jest zbyt uogólniające, niedokładne i nieściste, bo w prasie ciągle się jednak coś kotłowało. Nad nami - w "Zdaniu" - był sąd z udziałem przedstawicieli krakowskich władz i KC i oprócz zarzutów do tekstów, które tam głównie padały, padł też między innymi zarzut, że nikt w redakcji - poza naczelnym - nie należał ani do SD PRL, ani do nowych związków zawodowych.

A teraz pro domo sua, nważam, że ci z nas, którzy pracując w oficjalnej prasie walczyli o pewne imponderabilia, przyczynili się do tego, że stan wojenny nie zaciażył u nas tak, jak na Węgrzech w 1956 r., jak w Czechosłowacji w 1968 r., że nie zwyciężył bilakizm\*. Przyznam się, że osobiście w grudniu 1981 r. widziałem jeden jedyny pozytywny tego, co się stało, że może wreszcie trochę odpocznę, na rok czy więcej, że nie będę pisał, narował, etc. Ale jak zobaczyłem w telewizji znakomity film węgierski z Pölszsem i Berecsem o kontrrewolucji na Węgrzech, który pokazano trzy razy z rzędu w tym celu, żeby wykazać, że tam była kontrrewolucja i tu kontrrewolucja i że trzeba równie twardymi metodami się posłużyć, to wtedy zrozumiałem, że specjalistom z niektórych dziedzin nie wolno milczeć, że nie wolno oddawać pola. Ot, przykład bardziej świeżej daty. Mieliśmy dwa miesiące temu w telewizji pana red. Ubermana, który tak manipulował wystąpienie I sekretarza węgierskiej partii komunistycznej Karoly Gröcsza, że dał z niego tylko fragment o groźbie kontrrewolucyjnego terrorku. A było to przemówienie, w którym było bardzo wiele innych rzeczy; tylko jedno zdanie o kontrrewolucyjnym terrorze, ale także uznanie dla działania ruchów alternatywnych, perspektywa powstania innych partii. I dlaczego mamy milczeć?! Dlaczego mamy pozwolić, żeby tacy Ubermanowie manipulowali świadomością społeczną?

W 1982 r. rozmawiałem z pewnym bonzą telewizyjnym, przypadkiem spotkanym u znajomego historyka i pytam go, dlaczego dali ten węgierski film telewizyjny - w tak ohydny kontekście, że przecież jest tyle istotnych różnic między Polską a ówczesnymi Węgrami - a on na to, że trzeba było w Polsce od razu, w grudniu 1981 r., skazać publicznie 7 osób, wykonać egzekucje, to by może zrobiło pożądany efekt psychiczny. A w ogóle, jeśli chcemy się normalizować, tak jak w innych krajach socjalistycznych, żeby otrzymać pomoc, to musimy odciąć nadbudowę, czyli odsunąć te obecne pokolenia inteligencji, która okazała się niegodna, bo podbijała bębena robotnikom, zamiast powiedzieć, że tak dalej być nie może. Oto jakie były poglądy części establishmentu w stanie wojennym. Gdybyśmy zostawili im całe pole, obawiam się, że byłoby dużo, dużo gorzej. I wydaje mi się, że też przyczyniłem się swoimi artykułami do zablokowania manipulowania Węgrami 1956 r., jako dowodem potrzeby wyłącznicie siłowych i administracyjnych rozwiązań. Pisałem wtedy, że Węgrzy zrozumieli, iż metody administracyjne niczego nie rozwiążą na dłuższą metę, że trzeba reform. Wypowiadałem się przeciw atakom na inteligencję, powołując się na węgierskie cytaty. A więc - pytam - czy lepsze było oddawanie pola w prasie wielkonakładowej dogmatykom? Nauczmy się wreszcie myślenia politycznego w praktyce działania.

---

\* Od nazwiska Vasila Bilaka - sekretarza i członka Prezydium KC KPCz, znanego dogmatyka, który pacyfikował czechosłowackie środowiska twórcze po inwazji w 1968 r. (przyp. red.)

Wanda Falkowska: Proszę kolegów, my się tutaj zajmujemy przede wszystkim naszymi własnymi sprawami i słusznie, po to bowiem się to seminarium odbywa. Przypada ono jednak na bardzo ważną chwilę w kraju, była tu już o tym mowa. Czy zatem nie powinniśmy wydać z siebie jakiegoś głosu? Myślę, że tak, że powinniśmy.

Ja sobie po tym roku bardzo wiele obiecuję i jestem niemal pewna, że wkrótce będziemy mieli zarejestrowane nasze Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, a przedtem jeszcze albo zaraz potem "Solidarność". Pomimo to, mówiąc o swoich sprawach, musimy pamiętać o innych drastycznych problemach w naszym kraju. Zwłaszcza w dziedzinie praw człowieka bardzo drastycznych i przykrych. Z maniackalnym uporem chcę znowu mówić o biciu ludzi przez milicję i funkcjonariuszy SB. W ostatnim okresie zdarzyło się ponad 150 takich wypadków. Mówiąc o ostatnim okresie, mam na myśli październik, listopad i grudzień ub.r., bo za styczeń nie ma jeszcze danych. W każdym razie, ponieważ w swoim czasie, robotnicy bronili nas, bronili wolności prasy i za tym się przecież wypowiadali w Sierpniu 1980 r., co wszyscy doskonale pamiętamy, to i my musimy zabierać głos nie tylko w sprawach naszego środowiska. Pozwoliłam sobie przygotować projekt oświadczenia, do którego nie jestem szczególnie przywiązana i Komisja Wnioskowa będzie mogła go zmienić wedle naszego uznania. Proponuję skierować je do premiera Rakowskiego, a jego odpisy do Sejmu, Rzecznika Praw Obywatelskich, Prokuratury Generalnej itd.

Sławomir Siwek: Zostałem niejako wywołany do głosu przez pana red. Turowicza i przepraszam, że nie jestem przygotowany w związku z tym. Chciałem zatem powiedzieć krótko, że rzeczywistość - jak się wydaje - istnieje, o czym wspominał red. Turowicz, pewne sygnały nadziei, czego przykładem, być może, jest możliwość naszego spotkania się tutaj. Oczywiście, nie oznacza to, i jesteśmy tego prawdopodobnie wszyscy tu świadomi, że demokracja nie nastąpi od 1 lutego, że to jest pewien proces, w którym wszystkie siły, także siły społeczne, muszą uczestniczyć. Stąd rodzi się problem. Otóż myślę, że zasadą roku 1989 będzie, jeśli można prorokować, pewna pluralizacja - pluralizacja społeczna nie tylko na płaszczyźnie życia publicznego niezarejestrowanego, ale także na płaszczyźnie życia ubiegającego się o legalizację. W tym kontekście, oczywiście, prawa dziennikarzy, czy też środowisk wywodzących się ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, muszą być wzięte pod uwagę i zostać zrealizowane. A zatem, jeżeli pluralizacja będzie zasadą, czy też zasadą docelową i jeśli rozwój sytuacji politycznej będzie przebiegał pomyślnie, rodzi się następne pytanie - czy system środków społecznego przekazu w tym kraju jest w dniu dzisiejszym gotowy, by pozytywnie odpowiedzieć na wezwanie, które będzie z tego wszystkiego wynikało? Otóż sądzę, że wszystkie środowiska - także strona władzy, jak i strona społeczna - staną przed problemem opracowania pewnego całościowego systemu

\* Oświadczenie zostało przyjęte po dyskusji w popołudniowej części obrad. Zob. Dokumentacja, Uchwała nr 3 (przyp. red.)



ujawniania się różnych opinii w środkach społecznego przekazu. Jak to ma konkretnie wyglądać? Weźmy przykład pierwszy z brzegu, sprawa dostępu nowych, tworzących się lub legalizujących środowisk opozycyjnych do środków społecznego przekazu, prawo do wydawania swoich pism, do uczestnictwa w emisji programu radiowego i telewizyjnego, itd. itd. To są wszystko sprawy, na które, ośmielałam się sądzić, również władza nie ma dzisiaj jeszcze żadnych rozwiązań. A ze strony środowisk niezależnych, myślę także o prasie katolickiej, takie konkretne propozycje powinny już wychodzić.

Tym bardziej, że mamy przykłady, którymi chciałbym ten problem zilustrować. Chodzi o sytuację prasy katolickiej. Otóż obowiązujący system nie jest systemem, który nas może zadowalać w przyszłości. Jeżeli z 265 tysięcy ton papieru przeznaczonego na działalność wydawniczą, według oficjalnych danych, 160 tys. ton otrzymuje koncern RSW "Prasa", a zatem jeden monopolista ideowo-polityczny, to pozostałe 105 tys. ton otrzymuje Ministerstwo Kultury i Sztuki - a zatem na podręczniki, wydawnictwa pozapartyjne, wreszcie na interesującą mnie prasę katolicką. Konkretnie zaś, z tych 105 tys. ton, będących w dyspozycji Ministerstwa, na książki w wydawnictwach katolickich otrzymujemy 1800 ton, a na prasę katolicką niewiele ponad 1200 ton, co razem czyni niecałe 3% całej puli Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jak się to ma do ogólnej ilości zużywanego w tym kraju papieru, jak się to ma do zasady równoprawnego dostępu różnych grup społecznych do środków społecznego przekazu - na te pytania chyba odpowiadać nie muszą. Dokumentują one jednak mój postulat - by zdecydowanie przystąpić w różnych układach pluralizującego się społeczeństwa do opracowywania własnych propozycji nowego systemu środków społecznego przekazu w tym kraju.

Stefan Bratkowski: Pragnąlbym się odnieść do stosunków wzajemnych między dziennikarzami w naszym Stowarzyszeniu. Zacznę może od jednej rzeczy, której zabrakło we wczorajszych i dzisiejszych obradach - od wspomnienia tych, którzy odeszli. Byli to akurat ludzie starsi, ludzie mojego pokolenia i starsi ode mnie, chociaż także i wielu młodszych. Chciałem zaproponować, żebyśmy pamięć tych naszych kolegów, poczynając od Jerzego Zielenkiego, poprzez wszystkich tych, którzy zmarli potem, uczcili chociaż tą jedną minutą ciszy, cność było ich bardzo dużo. (...)

W naszym stowarzyszeniu, w moim odczuciu, powinno być miejsce dla wszystkich. Chciałbym podziękować z tego miejsca tym kolegom, zatrudnionym w prasie oficjalnej po dziś dzień, którzy w niesłychanie trudnych warunkach potrafili zachować swoją osobistą wiarygodność i swoją osobistą przyzwoitość. Potrafili uzyskać to, za co zostali przez swoich czytelników zapamiętani jako osoby niezależne w stosunku do kierownictw swoich redakcji i w stosunku do systemu, który w naszym kraju funkcjonuje. Jest takich ludzi w Polsce, w tej prasie oficjalnej, bardzo wielu. Ich osobista uczciwość pozwala z nadzieją myśleć o przyszłości prasy w tym kraju. Jest ich parę tysięcy i wierzę, że jest wśród nich bardzo wielu uważających się za członków naszego

stowarzyszenia. Dla ich poglądów, różniących się w sporym procencie od naszych, czego dowód mieliśmy tutaj w wypowiedzi Jerzego Roberta Nowaka, musimy mieć również szacunek i przyznawać im prawo do niuansowania odcieni w postawach wobec naszej sytuacji. Chcę też powiedzieć, że jakiś procent ludzi, zatrudnionych w oficjalnej prasie, pracował i pracuje również w prasie nielegalnej. Także i oni uczestniczą w tym, choć nie będę tutaj wymieniał - ze względu zrozumiałych - nazw gazet podziemnych, jak i agencji, które w praktyce prowadzą koledzy zatrudnieni w prasie oficjalnej. Proszę myśleć o nich nie tylko o szacunkiem, ale również z sympatią. Co więcej, chcę powiedzieć, że nasze stowarzyszenie, tak jak mówiliśmy, powinno być otwarte dla wszystkich, a także, a raczej przede wszystkim dla naszych młodszych kolegów, ponieważ jest to kwestia zachowania ciągłości w naszym zawodzie.

Nie widzę też powodów do tych tonów, jakie tutaj usłyszałem w niektórych wypowiedziach. Myśmy brali swoje w skórę także, i przy pełnym szacunku dla tego, co nam dzisiaj zaprezentowała nasza młodzież zawodowa z prasy podziemnej, uważam, że nie mały procent naszych starszych kolegów ma pełne prawo do dumy z tego, co zrobili przez ostatnie 8 lat. Myślę, że ci koledzy, z mojego rocznika i starsi, którzy zarzucając się, wyrzekając, często całkowicie, życia osobistego prowadzą niebывale intensywną działalność na rzecz prasy niezależnej i wszelkiego rodzaju wydawnictw - bo była i tak, że stają 2, 3 tytuły, kiedy zabraknie tego jednego, kiedy zachoruje; otóż ci koledzy wcale nie są gorszymi partnerami i nie mają żadnego obowiązku odczuwania pokory wobec swoich młodszych kolegów. Są po prostu ich starszymi partnerami.

Wydaje mi się, że nasze Stowarzyszenie musi być po prostu Stowarzyszeniem równych praw dla wszystkich, Stowarzyszeniem wzajemnego szacunku i tolerancji dla większych lub mniejszych różnic poglądów, Stowarzyszeniem opartym na współnocie przyzwoitości. O przyszłości należy myśleć, jak o przyszłości wspólnej, w bardzo różnych działaniach tam, gdzie każdemu z nas przyjdzie działać. Nie chcę już tutaj przypominać choćby tego prostego faktu, że dziennikarze prasy katolickiej znosili grubo wcześniej, przed nami, znacznie więcej trudności przez trzydzieści parę lat, a jednak nie chodzą i nie opowiadają o sobie, jaką to martyrologię zaliczyli przedtem. Myślę, że po prostu możemy być nie tyle dumni z siebie, ile przynajmniej zadowoleni - z tego, że udało nam się zostać takimi, jakimi jesteśmy i z tego, żeśmy się jednak po tych 8 latach w tej sali spotkali w tak obszernym gronie.

Wiesław Johann: Komisja Wnioskowa pracowała bardzo aktywnie, zapoznając się ze wszystkimi zgłoszonymi postulatami. Doszliśmy do wniosku, że opracowanie uchwały na podstawie tych wszystkich wniosków i propozycji przerasta nasze możliwości. Przygotowaliśmy dla Państwa projekt uchwały, który za chwilę przeczytam, natomiast wszystkie pozostałe postulaty, wnioski, które były zgłaszane na tej sali, zostaną opracowane w formie załącznika.

Jeszcze jedna kwestia, która wynikła wczoraj, niesłychanie ważna, bo dotycząca nas wszystkich, tzn. tych osób, które

zadeklarowały swoją chęć uczestnictwa w nowym, czy jak kto woli, zrelegalizowanym SDP. Otóż powstał wczoraj pewien problem natury prawnej. Czy my występujemy do władz administracyjnych, do władz rejestrujących stowarzyszenia, z wnioskiem o założenie nowego stowarzyszenia, pod nazwą Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, czy występujemy z wnioskiem o relegalizację, tzn. że nie uznajemy decyzji z marca 1982 r., decyzji prezydenta miasta Warszawy, za legalną. Jest to problem rzeczywiście niesłychanie skomplikowany w sensie prawnym, bo jeżeli przyjąć zasadę, że stan wojenny, określony dekretem Rady Państwa z 13.12.81 r., był aktem prawnym legalnym, to siłą rzeczy wszelkie decyzje, które na podstawie tego aktu zostały podjęte, muszą być uznane za legalne. Znajdujemy się w określonym stanie prawnym, ale mam nadzieję i głębokie przekonanie, że w przyszłości Sejm Rzeczypospolitej decyzję w tej mierze podejmie. Czy to będzie podczas najbliższej sesji, czy w tym roku, nie wiem. Ale jestem głęboko przekonany, że najwyższa władza w tym kraju, naczelna władza - Sejm, uzna pewnego dnia stan wojenny za sprzeczny z Konstytucją PRL i jest oczywiste, że wówczas wszystkie akty prawne, wszystkie decyzje, które na tej podstawie były budowane, zostaną uznane jednoznacznie za nieważne.

Ale jesteśmy, powiadam, w sytuacji konkretnej, bo Państwo wczoraj i dzisiaj podpisali dokument, wniosek i do tego wniosku musi być dołączony statut. Ale jaki? Czy nasz, z 1980 roku, który został uchwalony na Zjeździe w październiku, czy coś zupełnie nowego? Otóż, moim zdaniem, powinien to być statut Stowarzyszenia z 1980 roku, który zostanie uzupełniony poprzez te zapisy, które będą odpowiadały nowej sytuacji społeczno-politycznej i będą zgodne z naszym stanowiskiem. Mówię o tym dlatego, aby zapewnić Państwa o lojalności kolegów, którzy będą ten statut przygotowywali. Bo dla władzy rejestrującej niezbędnym załącznikiem jest status. Wynika to z prawa o stowarzyszeniach. I dlatego, żeby nie było nieporozumień, że doszło do jakiejś manipulacji, podstawowym aktem prawnym, obowiązującym nas jako Stowarzyszenie, niech pozostanie nasz statut z 1980 r., uzupełniony w nieznacznym stopniu o kwestie obecnej sytuacji społeczno-politycznej.

A teraz to, co przygotowała Komisja Uchwał i Wniosków: "Zebrani w dniach 7 i 8 stycznia 1989 roku dziennikarze polscy, uczestnicy seminarium poświęconego stanowi komunikacji społecznej, czujemy się zobowiązani przedstawić polskiej opinii publicznej swoje stanowisko w żywotnych sprawach naszego kraju. Demokracja wraz z przestrzeganiem praw obywatela i obywatela stanowi podstawowy warunek odrodzenia Polski, jej państwa i gospodarki. Spełnienie tego warunku umożliwi również normalną pracę dziennikarzy i normalne funkcjonowanie systemu komunikacji społecznej. Dlatego popieramy deklarację Komitetu Obywatelskiego we wszystkich żywotnych sprawach naszego narodu, a zwłaszcza żądanie przywrócenia praw legalnego działania >Solidarności<. Za niezbędny ze strony władz PRL, wstępny krok ku pokojowi społecznemu w naszym kraju, uważamy:

- zaprzestanie represji wobec niezależnego ruchu wydawniczego;

- zwrot zawłaszczonego majątku wydawnictw niezależnych i osób represjonowanych;
- jednoznaczne potępienie kampanii tzw. weryfikacji z roku 1982 i wyrównanie krzywd wyrządzonych represjonowanym wówczas dziennikarzom;
- zaakceptowanie pluralizmu stowarzyszeń dziennikarskich poprzez wpis Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich do rejestru stowarzyszeń rejestrowanych."

Opracowanie całości wniosków z seminarium powierzamy Komisji Wnioskowej w składzie: Iwona Sledzińska, Wiesław Johann, Mieczysław Kaczanowski, Andrzej Liberadzki, Tadeusz Robak, Jan Rogala i Jarosław Szymkiewicz.

\* \* \*

(Po południu)

Po otwarciu obrad ponownie odczytany został przez kol. W. Johanna projekt stanowiska seminarium n/t spraw publicznych, który po dyskusji przyjęty został w formie oświadczenia. (Zob. Dokumentacja, Uchwała nr 4) Następnie głos zabral następny referent - Leon Bójko.

#### ZSRR - DEMOKRATYZACJA ALBO KATASTROFA<sup>\*</sup>

Leon Bójko:

- Przyzwyczailiśmy się dotychczas do traktowania kontynentu rozpościerającego się na wschód od Bugu jako jednorodnej całości, niczym nie zróżnicowanej - ani pod względem narodowym, ani pokoleniowym, zawodowym czy jakimkolwiek innym. Przetaczały się po tym kraju klęski i nieszczęścia, ludzie tam mieszkających ugniatał bezlitosny walec, a setki tysięcy nadzorców pilnowały, by nic oryginalnego nie przetrwało, zaś to, co rosło nowego i oryginalnego, było rwane z korzeniami. Tak w powszechnym mniemaniu, mniemaniu socjologów zachodnich, a było to również zgodne z naszymi opiniami i stereotypami, przez dziesięciolecia i pokolenia, ukształtował się "nowy człowiek". Miała to być swego rodzaju nowa jednostka antropologiczna, ukształtowana w wyniku zmian genetycznych. Oficjalna propaganda nazywała to "człowiekiem radzieckim", radziecki zaś filozof i socjolog - Aleksander Zinowiew - nazwał ten nowy typ człowieka mianem "Homo sovieticus".

Przyjęliśmy to - i "człowieka radzieckiego", i "Homo sovieticus" - trafiało to bowiem w nasze stereotypy, pasowało do naszych doświadczeń, a i naszych niechęci i animozji. Epitety zastępowały nam przez długie lata przytomną analizę, zwalniały od niej, zwalniały niemal od myślenia nad społeczeństwem tego kraju, jego przyszlnością, możliwością wpływu na własny los i, siłą rzeczy - chcemy tego czy nie - na nasz

<sup>\*</sup> Tekst autoryzowany (przyj. red.)



los. Pamiętamy, jaki był nasz stosunek do ZSRR w latach 1980-81. Odczuwaliśmy obecność ZSRR jako coś w rodzaju twardej, betonowej ściany, która w każdej chwili może nam runąć na głowę. Śpiewaliśmy piosenki "Wejda - nie wejda", opowiadaliśmy dowcipy, ale wiedzieliśmy bardzo dobrze, że straszenie polskiego społeczeństwa Wielkim Sasiadem ma aż nadto poważne przesłanki. W każdym razie nie oczekiwaliśmy, by z tamtej strony mogło przyjść do nas coś dobrego. Czas na Wschodzie wydawał się stać w miejscu, ale nikt nie wątpił, że "ruskie czołgi" potrafią być aż za bardzo ruchliwe. I nikt nie oczekiwał, by "w razie czego" społeczeństwo radzieckie mogło się temu sprzeciwić, nawet gdyby chciało, a sama taka chęć wydawała się czymś fantastycznym i przeciwnym naturze "człowieka radzieckiego".

Przyznam, że do momentu, kiedy po 13 grudnia 1981 roku nagle okazało się, że mam bardzo dużo czasu, nie zastanawiałem się nad wartością pojęcia "człowieka radzieckiego", nie marnowałem czasu na pytania, czy rzeczywiście 270 milionów ludzi może być po prostu engelsowskim "workiem kartofli", czy istotnie władza radziecka jest tak potężna, że potrafi zatrzymać historię w miejscu. Mało - że potrafi pokierować procesem historycznym, że jest na tyle władna, iż może wyłączać naturalne dla wszystkich ludzi dążenia do wolności osobistej i jakiegoś takiego dobrobytu, może unieważnić prawa, rządzące rozwojem społecznym i wprowadzić własne, jedynie prawdziwe, wypływające z opanowania jedynie słusznej nauki - marksizmu-leninizmu. Gdyby tak rzeczywiście było, oznaczałoby to, że grupa rządząca na Kremlu weszła w prerogatywy Pana Boga i rzeczywiście zapanowała nad procesem historycznym i społecznym.

Odpowiedzi na te wątpliwości poszukałem w prasie radzieckiej. To źródło informacji może wydać się szczególnie niemiarodajne, wiemy wszak, znamy to z własnej praktyki, jak dalece prasa "nowego typu" jest manipulowana. Informacja jest to towar tego rodzaju, którego w tej prasie szukać raczej nie należy. Studia nad prasą radziecką okresu "zastoju", było to zajęcie wysoce nużące, była to robota na kształt pracy archeologów, którzy z paru skorup starają się odtworzyć kształt całego naczynia. Jednak, wbrew spodziewaniom, prasa czasów Breżniewa, Andropowa i Czernienki zawierała nadszpieziewanie wiele takich "skorup" życia realnego i odtwarzany z nich kształt życia realnego okazywał się nader interesujący.

Przez wszystkie ostatnie lata przed nastaniem ery "głasności" prasa niemal rozpaczliwie walczyła z nastrojami konsumpcyjnymi. Można było znaleźć nieprawdopodobną obfitość materiałów zwalczających to obce charakterowi człowieka radzieckiego nastawienie, ów pościg za dobrami materialnymi, za rzeczami, za modnymi szmatkami i ciuchami. Dążenie do zdobycia coraz to nowych rzeczy rozkładało - w tym czasie - duszę człowieka radzieckiego i zanim ten człowiek radziecki zdążył się zorientować, już był wewnętrznie rozłożony i przedstawiał po prostu być radzieckim. Teksty takie pisywali najchętniej "zasłużeni pracownicy handlu". Rzecz jasna - nastroje konsumpcyjne były wpajane podstępnie, według z góry oprac-

cowanych i centralnie kierowanych planów przez ośrodki dywersji ideologicznej imperializmu zachodniego.

Inny podstęp ośrodków dywersji imperialistycznej, to była muzyka rock. Młodzież radziecka okazała się bardzo na tę podstępna zagrywkę podatna i miast wieczorami pod dźwięki harmonii śpiewać pieśni patriotyczne i masowe, wołała nagrywać na magnetofony kasetowe idoli muzyki młodzieżowej Zachodu. Tu zresztą masowa kultura radziecka przegrała pod względem technologicznym z równie masową, ale nie sterowaną kulturą zachodnią. Ze szczególną energią walczyła z tymi obywateli obcych wpływów "Komsomolska Prawda". Proponowała "błękitne wieczory" z walcami, wspominki bohaterów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej pod czujnym okiem oddanych pedagogów. Było aż nadto oczywiste, że w gruncie rzeczy Komsomół przegrywa walkę o radziecką młodzież.

Po żmudnym i pracochłonnym zdejmowaniu kolejnych warstw waty propagandowej, obraz Związku Radzieckiego w końcowym okresie "epoki застою" przedstawiał się w barwach dalekich od różowych. Olbrzymie masy ludzi wędrowały po całym tym wielkim kontynencie. Najpierw miliony powędrowały na "budowy tysiąclecia" na Daleki Wschód i Syberię, na budowę BAM-u i zagospodarowanie Syberii. Po czym te same miliony ruszyły w kierunku przeciwnym, nie znajdując swego nowego miejsca na ziemi. Wysoki urzędnik Komitetu do Spraw Pracy przyznał, że jego urząd nie może nie tylko zapanować nad tymi masami, ale i zaplanować kolejnych przemieszczeń siły roboczej. "Siła robocza" okazała się być złożona z żywych, normalnych ludzi. "Siła robocza" nie miała najmniejszego zamiaru w imię czegokolwiek, a już na pewno nie w imię przyszłego komunizmu, pracować w nieludzkich warunkach za marną płacę, marne wyposażenie i mętne widoki na przyszłość.

Obraz uzupełniały obrazki z życia głębokiej prowincji, gdzie po wsiach nie było elektryczności całymi tygodniami, bowiem słupy elektryczne waliły się ze starości, albo też przewody elektryczne były zrywane przez przyczepy wyładowane sianem. Na kolejny zjazd Komsomółu fabryka papieru w głębi Syberii produkowała dodatkowe ilości papieru dla "Komsomolskiej Prawdy", ale papier ten nie mógł zostać wywieziony z fabryki, bo kolej radziecka była skrajnie niewydolna. Problem mieszkaniowy był tak daleki od rozwiązania, że w kolektywach fabrycznych podejmowano specjalne uchwały o preferencjach w kolejce dla weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Preferencje to - rzecz jasna - jeszcze nie mieszkanie.

W sumie - już za Breżniewa i Czernienki z prasy radzieckiej: "Prawdy", "Izwestii", "Trudu", "Komsomolskiej Prawdy", "Socjalistycznej Industarii" - z całej tej jak najbardziej socjalistycznej prasy "nowego typu" wyłaniał się obraz państwa i społeczeństwa w stanie głębokiego kryzysu. Tytułu najpopularniejszego dziś pisma radzieckiego - "Ogonka" - nie przytaczam, bo go wtedy nie czytałem. Było to wówczas, nawet jak na radzieckie stosunki, pismo w jatkowo nudne, chyba nawet we fryzjerniach nikt go nie czytał. Takie to były czasy.

Czas застою, martwoty breżniewowskiej, nie był jednak czasem społecznej martwoty. Tam też zachodziły pewne bardzo interesujące procesy. Bardzo żywe, bardzo dla tego kraju ważne,

jak na przykład chociażby olbrzymie migracje ludności, masowy wzrost wykształcenia, zniesienie systemu paszportowego dla kołchoźników, czyli przywiązania do ziemi, co formalnie nastąpiło dopiero w roku 1977, w 60-tą rocznicę Rewolucji Październikowej. To z kolei znowu przyspieszyło bardzo istotne procesy urbanizacyjne. Myśmy tego wszystkiego nie widzieli. Można było się tego wszystkiego domyślać również i na podstawie prasy radzieckiej, ale nikt życia społeczeństwa nie obserwował. Punkt widzenia był skupiony na Kremlu.

Trafiło się kilku dysydentów, którzy wyskakiwali ponad przeciętnych; to albo się ich zsyłało do Gorkiego, albo się wyrzucało za granicę. A tych, którymi się Zachód za bardzo nie interesował, wysyłało się do łagru - sprawa była prosta.

Kiedy wreszcie przyszedł Gorbaczow i zaczął zbliżać się w opisywaniu stanu Związku Radzieckiego do rzeczywistości, zauważyliśmy, że coś tam jest nie w porządku, że coś się w naszym obrazie nie zgadza. Obraz Związku Radzieckiego, jaki zaczął wyłaniać się z całkowicie oficjalnych wypowiedzi samego Sekretarza Generalnego, przyprawiał o zdumienie graniczące z szokiem.

Dziś nie ma dnia, aby nie było jakiejś informacji, od której człowiek podskakuje na krześle. Samo zróżnicowanie po stronie społecznej każe ostatecznie odrzucić tezy i o społeczeństwie radzieckim i o człowieku radzieckim, nawet jeśli za punkt wyjścia przyjmiemy tak drobny wycinek rzeczywistości, jak na Zakaukaziu i w krajach nadbałtyckich. Mniej zdajemy sobie sprawę z tego, jakie jest zróżnicowanie w samym społeczeństwie radzieckim.

Widzimy najbardziej kraje nadbałtyckie i republiki zakaukaskie. Ale ostatnio zaczyna się coś dziać i gdzie indziej. Powstaje narodowy front w Mołdawii, a to jest zupełnie młutka republika, bardzo do niedawna stłamszona, gdzie panowała do tej pory zupełna martwość. Coś się dzieje na Ukrainie, na Białorusi. Według zgodnych opinii Rosjan, z którymi rozmawiałem, w tych republikach na obrzeżach, nie rosyjskich, sprawa jest bardzo prosta i jasna. Naród tam się rusza, nawet się dość szybko jednoczy, formułuje swoje programy narodowe, dlatego, że tym wyznacznikiem dla Białorusinów, Ukraińców, Estończyków, Łotyszów, Azerbejdżanów i Ormian jest jeden wyznacznik: wszystkiemu są winni Rosjanie. Można się zjednoczyć na zasadzie antyrosyjskości. Znacznie trudniej wygląda sytuacja w samej Rosji.

Rosja zdecyduje o losach państwa, bo tu jest największy naród, największy potencjał kulturowy i intelektualny. I ten naród nie może się zjednoczyć przeciw komuś. Rosjanie odczuwają wszelkie możliwe dolegliwości systemu - ekonomiczne, kulturalne, biologiczne; ten naród naprawdę nie ucierpiał mniej, niż wszystkie inne narody Związku Radzieckiego. Ponieważ jednak nie można się zjednoczyć przeciw komuś, następuje rozbitcie.

Obecnie są dwa główne nurty w rosyjskim społeczeństwie. Jeden nurt - to kierunek narodowy, przechodzący w nacjonalistyczny, i to w najgorszym z możliwych wydaniu. Drugi nurt

- to demokratyczny; również, co jest cechą klasycznie rosyjską, o takim pojmowaniu demokratyzmu, który nie wymaga żadnych dodatkowych przymiotników. Oba te nurty daleko się rozeszły.

Nurt nacjonalistyczny poszedł już bardzo daleko w swoim "rozwoju" w kierunku jawnego, autentycznego faszyzmu. Jest on widoczny nawet zewnętrznie. Twierdzą jego jest Leningrad. Faszysti rosyjscy ubierają się w czarne koszule, brązowe krawaty, w zimne dni chodzą w skórzanych płaszczach. Jest wódz, ma swoją drużynę, są hasła: "Rosja ponad wszystko" - jak skopiowane z niemieckiego. W samym faszyzmie można już rozróżnić kilka zantagonizowanych grup. Nie przeceniałbym wpływów społecznych i politycznych tego ruchu, niemniej coś takiego istnieje i jest to ruch poważny. Dla takich ludzi Sołżenicyn, to może nie jest jeszcze żyd, chociaż jak się pojawi szósty węzeł w jego wielkim dziele "Krasnoje koleso" (Czerwone koło) to nie jest wykluczone, że zaczną i jego podejrzywać.

Dругi nurt - to ruch demokratyczny, któremu ton nadał Sacharow. To oczywiście też jest szalenie zróżnicowane. Moi Rosjanie opisywali różne ruchy, nurty, odłamy, rozłamy, zjednoczenia itd. Tam już też jest taki pluralizm, że można się gruntownie pogubić kto z kim itd. Dla nas ważne jest to, że demokrację oni rozumieją dokładnie tak samo, jak my. Oczywiście, możemy dyskutować na różne, najrozmaitsze tematy, możemy się spierać, ale jest to spór na zasadzie tego samego języka. Jest to bardzo odważne formułowanie programu, swich własnych, alternatywnych projektów rozwiązań prawnych. Tworzy się coś w rodzaju struktur poziomych. Oczywiście, wszystko to jest w stanie początkowym, embrionalnym.

No i, oczywiście, odbywa się to w warunkach ostrych dyskusji - wylewają się one na forum publiczne, w prasie. Toczy się spór między nurtem nacjonalistycznym i nurtem demokratycznym; padły już takie słowa, że konfliktu nie rozwiąże się inaczej, niż na ubitej ziemi. Mają teraz taki miły obycazaj, że dzwonią do Radia Swoboda, do Monachium i poprzez niezagłuszaną radiostację trafiają do całego społeczeństwa. To będzie miało bardzo interesujące konsekwencje. W Radio Swoboda wypowiadają się dziś ludzie bardzo zbliżeni do najwyższych kręgów nomenklatury, akademicy, nawet członkowie KC, redaktorzy naczelni. Zresztą telewizja radziecka zrobiła film w siedzibie Radia Swoboda w Monachium. Przeprowadziła rozmowę z dziennikarzami. Była też w redakcji "Russkoj Myśli" - najważniejszego pisma emigracji rosyjskiej w Paryżu. Czy widz Centralnej Telewizji w Moskwie filmy te zobaczy - to inna sprawa, ale sytuacja rozwija się nader interesująco.

Tak czy inaczej - ideologia straciła możliwość oddziaływania na społeczeństwo radzieckie. Skąd w ogóle wzięła się konieczność przebudowy, reformy. Najczęściej słyszymy odpowiedź: dlatego, że system się zużył. Ale, co to znaczy zużył się system? Istota każdej władzy sprowadza się do nakłonienia poddanych do zachowań zgodnych z intencją władzy. I od jakiegoś czasu, a to się nie zaczęło za Gorbaczowa, lecz grubo, grubo wcześniej - w latach 60-tych, społeczeństwo



przystało zachowywać się zgodnie z intencjami władzy. Chruszczow w swoich wspomnieniach mówi - dlaczego trzeba było skończyć z odwilżą: "To, co jest niepożądane z punktu widzenia kierownictwa, przekroczyłyby wtedy hamujące bariery i zrobiłyby się taka fala, że zrywałyby na swojej drodze wszystkie bariery". Fala przybierała więc tak bardzo, że mogła wszystkich zatopić. Wyrzucano Chruszczowa i zablokowano sytuację na jakieś około 20-stu lat. Po czym Związek Radziecki znalazł się na skraju katastrofy. W Radio Swoboda słyszałem wywiad z pisarzem uzbeckim, Kamilem Ikramowem, synem jednego z twórców władzy radzieckiej w Azji Środkowej. Ikramow mówił między innymi: "W końcu lat 70-tych robiłem wywiad z członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC i kiedy już omówiliśmy niby wszystkie sprawy, on, już poza protokołem, nagle wybuchł: towarzyszu Ikramow przecież my zmierzamy ku przepaści, nas czeka katastrofa, jeżeli tak dalej pójdziemy". Ikramow w wywiadzie dla Radia Swoboda mówił, że początkowo podejrzewał jakąś prowokację ze strony tego członka Politbiura i sekretarza KC, czyli osoby ze szczytów władzy na Kremlu, ale potem rozsadek powiedział mu, że do takiej prowokacji użyłoby jednak kogoś innego. Po prostu w tych kręgach już panowała świadomość, że system jest niewydolny, że kraj zmierza rzeczywiście ku katastrofie.

System zaś niewydolny był dlatego, że ludzie przestali funkcjonować zgodnie z intencją władzy. Jakoś się urządzili, każdy znalazł sobie jakąś niszę. Nie najlepiej, ale się żyło, ludzie zarabiali mało, żyli nędznie, ale nie dawali z siebie nic ponad niezbędne minimum. Nic nie dawali z siebie czy to dla społeczeństwa, czy to dla państwa. Żadne hasła już nie działały: w imię socjalizmu, imperium, czy w imię czegokolwiek - nawet w imię pieriestrojki. Michaił Żwaniecki, znakomity humorysta radziecki, niegdyś autor tekstów dla niezjącego już Arkadija Rajkina, w jednym ze swoich monologów mówi, że kraj znalazł się w gruncie rzeczy w stanie strajku powszechnego. To jest znakomite określenie, genialne w swojej prostocie: "Oni udają, że mi płacą, ja udaję, że pracuję". Skończyły się możliwości oddziaływania ideologicznego.

Oczywiście cały ten proces - rozwój systemu, jego rozkład, jego pogłębiająca się dysfunkcjonalność - był bardzo skomplikowany. Tu jednak przydałby się jakiś rzeczywiście tegi socjolog, który mógłby to opisać, ale dopiero w zeszłym roku Tatiana Zasiławska założyła Instytut Badania Opinii Publicznej w Moskwie. Przedtem nie było instytutu, który by się tym zajmował. Nie było nawet socjologii jako nauki, nie było wydziałów socjologii. O stanie społeczeństwa radzieckiego informacji nie miało nawet kierownictwo Związku Radzieckiego i prawdę mówiąc, do dzisiaj nie ma. Zawsze, kiedy słyszę wygłaszane z wielką pewnością opinie o tym społeczeństwie i o tych ludziach, chciałbym zwrócić uwagę na to, że na razie nie ma na tyle wystarczającej wiedzy, by głosić opinie kategoryczne. To, że nie mamy wiedzy, wcale jeszcze nie znaczy, że tam się nic nie dzieje.

Jednym z obecnych nurtów w publicystyce radzieckiej jest - by tak powiedzieć - mafiologia radziecka. Szczególnie "Litieraturnaja Gaziet", "Ogoniok", "Komsomolskaja Prawda" opisują

rozwój różnego rodzaju mafii i jest to rzeczywiście zjawisko powszechne. Mafiosi potrafią urządzać zjazdy ogólnoradzieckie, jawnie demonstrują swoją siłę i potęgę, nawet nie bardzo się obawiając obecności milicji, która to fotografuje i filmuje. Innym, bardzo niepokojącym zjawiskiem jest rozwój band młodzieżowych. Złożone są one z dzieci już od pierwszych klas szkoły podstawowej do wieku poborowego. W całym Związku Radzieckim w zeszłym roku została zanotowana fala wojen między wyrostkami, całych band wyrostków. Największe miały miejsce w Kazaniu. Banda jest bardzo ściśle zhierarchizowana, jest podporządkowana jednemu dowódcy i jej zadaniem jest panowanie nad własnym terenem i jego poszerzanie. Wcielanie do bandy smarkacza 8, 9-letniego odbywa się przymusowo, jeżeli nie zechce wstąpić, to albo musi się wykupić sumą 200-stu rubli, co się równa średniej płacy miesięcznej, albo po prostu musi znosić stałe bicie, szantaż, nacisk fizyczny. Bandy są na tyle mocne, że - jak się w rozmowie w "Litieraturnoj Gazietie" żalił jeden z funkcjonariuszy milicji - nie starcza już sił i środków. Funkcjonariusze nie śpią po nocach, a bandy potrafią zablokować i oblegać przez kilka dni komendę milicji i nic im nie można zrobić. Żądał więcej środków, więcej maszyn, więcej ludzi, więcej pieniędzy, inaczej z przestępczością młodocianych nie da się poradzić.

W tej samej rozmowie, naukowiec z Instytutu Międzynarodowego Ruchu Robotniczego, zwróciła uwagę na pewną prawidłowość tego zjawiska. Bandy w Związku Radzieckim powstają w miejscach, gdzie były świeżo zbudowane wielkie blokowiska, bez żadnej infrastruktury społecznej i kulturalnej. Jest to wynik wielkich wędrowek ludów w latach 70-tych. Po zniesieniu systemu paszportowego dla ludności kołchozowej odbył się wielki eksodus ludzi ze wsi do miast. Była to ucieczka od niedogodniejszej niewoli, często irracjonalna. Wszystko to się działo na wielką skalę, rosły blokowiska, mniej więcej jak u nas, w każdym mieście. To są te same fabryki domów, te same technologie i ta sama w końcu ideologia. Nastąpiło rozerwanie więzi społecznych. Społeczeństwo zostało rozproszkowane. Jeszcze jako tako trzyma się rodzina, ale nie ma nic ponad rodziną. Dotychczasowe systemy panowania nad społeczeństwem, Komsomoł, organizacje pionierskie, różne tam sterowane przez partię organizacje quasi-społeczne, nie stanowią dla ludzi żadnej więzi społecznej; po prostu są absolutnie nieskuteczne. Oficjalne struktury przestały oddziaływać, zaczyna się budowa społeczeństwa od najbardziej elementarnych struktur, od struktury stada, hordy. Z wodzem, z terytorium i ze ściśle określoną hierarchią w każdym stadzie. Sytuacja jest oczywiście groźna, groźna dla wszystkich, groźna dla całego kraju. Konsekwencje są bardzo trudne do przewidzenia.

Podobne zjawiska, już w wyższych kategoriach wiekowych, na wyższym stopniu organizacji, z "wyższymi", można by tak powiedzieć, motywacjami, rodzą z kolei mafie, które też albo są terytorialne, albo ogólnozwiązkowe, które też mają swoje własne prawa, reguły, sposoby postępowania, kodeksy, kasy ubezpieczeniowe, itd., itd. I całe systemy zabezpieczenia oraz korupcji aparatu władzy, milicji a także partii. Jest to taka grupa społeczna, która jest podatna na wszelkiego rodzaju demagogie, może stworzyć materialne i organizacyjne zaplecze dla tych

224) Wanda Mitzner (W-wa), 225) Andrzej Werrig (W-wa), 226) Jan Gogacz (W-wa), 227) Waleria Korycka (W-wa), 228) Ryszard Rataj (Bydgoszcz), 229) Krystyna Żytyńska (W-wa), 230) ks. Antoni Koszorz (W-wa), 231) Krystyna Bratkowska (W-wa).

(Pod wnioskiem podpisało się ponadto, w późniejszym terminie, 355 dziennikarzy z całego kraju)

UCHWAŁA Nr 3

Sejm PRL  
Komisja Wymiaru Sprawiedliwości

List otwarty  
do Komisji Wymiaru Sprawiedliwości

My, dziennikarze polscy, zebrani w Warszawie - w liczbie 248 - na seminarium poświęconym środkom komunikowania społecznego, pragniemy z całą mocą wyrazić swój protest przeciwko nadużywaniu środków przymusu i siły fizycznej wobec obywateli. W ostatnich miesiącach nasiliły się przypadki bicia i znecania się nad zatrzymanymi, a także nad osobami biorącymi udział w pokojowych manifestacjach, a także tymi, które znalazły się w ich pobliżu. Zatrzymanych maltretuje się bezkarnie w urzędach spraw wewnętrznych i samochodach milicyjnych. W październiku, listopadzie i grudniu pobito sto kilkadziesiąt osób, w tym wiele dotkliwie. Wśród pobitych znaleźli się głównie ludzie młodzi, w tym liczni uczniowie i studenci. Skutki fizycznego maltretowania przez funkcjonariuszy dla niektórych okazały się groźne; np. w gdańskim szpitalu na Zaspie przebywa na oddziale neurologicznym Edmund Krasowski, zatrzymany i pobity w dniu 17 grudnia ub.r., który po doznanych urazie kręgosłupa cierpi na niedowład rąk i nóg. Od dwóch miesięcy choruje, pobity. podczas happeningu we Wrocławiu w dniu 7 listopada ub.r., student AM Andrzej Kielar. W Elku, w dniu 26 listopada, zdarzył się wypadek uprowadzenia ze szkoły, a następnie pobicia ucznia Marka Kaniewskiego, co spowodowało protest nauczycieli i żądanie ukarania funkcjonariuszy - sprawców porwania. Rozgłosu nabrała sprawa zatrzymania i pobicia w dniu 11 listopada ub.r. radnego z Poznania, Michała Downarowicza.

Domagamy się stanowczo położenia kresu tego rodzaju ekscesom funkcjonariuszy SB i MO oraz pociągnięcia winnych do odpowiedzialności karnej. Żądamy równocześnie uchylenia przepisów, zezwalających funkcjonariuszom na naruszanie nieetykalności osobistej obywateli na podstawie swobodnego uznania, co zapewnia im Ustawa o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14 lipca 1983 r.

(Następują podpisy uczestników seminarium)

Pozwalamy sobie jako Komisja Wnioskowa odbytego w dniach 7-8 stycznia 1989 r. seminarium nt. stanu komunikacji społecznej w Polsce, przekazać uchwalony przez uczestników seminarium "List otwarty do Komisji Wymiaru Sprawiedliwości Sejmu PRL".

Z wyrazami szacunku  
w imieniu Komisji Wnioskowej  
(-) Jan Rogala

Do wiadomości:

Komisja Wymiaru Sprawiedliwości Sejmu PRL  
M.F.Rakowski - premier PRL  
E.Łętowska - Rzecznik Praw Obywatelskich  
Episkopat Polski  
Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność  
Komitet Obrony Praw Człowieka

**UCHWAŁA Nr 4**

"Zebrani w dniach 7 i 8 stycznia 1989 roku dziennikarze polscy, uczestnicy seminarium poświęconego stanowi komunikacji społecznej, czujemy się zobowiązani przedstawić polskiej opinii publicznej swoje stanowisko w żywotnych sprawach naszego kraju.

Demokracja wraz z przestrzeganiem praw człowieka i obywatela stanowi podstawowy warunek odrodzenia Polski - państwa i gospodarki. Spełnienie tego warunku umożliwi również normalną pracę dziennikarzy i normalne funkcjonowanie systemu komunikacji społecznej. Dlatego popieramy deklarację Komitetu Obywatelskiego we wszystkich żywotnych sprawach naszego narodu, a zwłaszcza żądanie przywrócenia praw legalnego działania "Solidarności". Za niezbędny ze strony władz PRL wstępny krok ku pokojowi społecznemu w naszym kraju uważamy:

- zaprzestanie represji wobec niezależnego ruchu wydawniczego,
- zwrot zawłaszczonego majątku wydawnictw niezależnych i osób represjonowanych,
- jednoznaczne potępienie kampanii tzw. weryfikacji z roku 1982 i wyrównanie krzywd wyrządzonych represjonowanym wówczas dziennikarzom,
- zaakceptowanie pluralizmu stowarzyszeń dziennikarskich poprzez wpis Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich do rejestru stowarzyszeń rejestrowanych."

(Do końca trwania seminarium uchwałę tę podpisało imiennie 248 osób, a następnie podpisywano ją w innych miastach kraju)

**UCHWAŁA Nr 5**

1. Powołany w trakcie seminarium Komitet Założycielski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oświadcza, że jego intencją jest stworzenie niezależnej organizacji dziennikarskiej. Stowarzyszenie, o legalizację którego będziemy zabie-



gać, powinno być organizacją neutralną politycznie, kierującą się w doborze swych członków oraz w swej działalności podstawowymi zasadami moralnymi, rzetelnością zawodową, respektowaniem praw człowieka oraz zasadami demokratycznymi w życiu społecznym i politycznym. Podstawowym celem Stowarzyszenia jest służba publiczna w zakresie komunikowania społecznego.

2. Członkami Stowarzyszenia mogą być wszyscy dziennikarze polscy, w tym także dziennikarze pracujący w prasie tzw. drugiego obiegu oraz poza granicami Kraju. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich powinno być Stowarzyszeniem równych praw dla wszystkich - dla członków SDP i dla tych, którzy do Stowarzyszenia przyjdą. Nasza przyszłość powinna być wspólna.

3. Uczestnicy seminarium domagają się ujawnienia materiałów i dokumentów związanych z akcją weryfikacyjną, prowadzoną w środowisku w 1982 r. i uznania jej przez władze państwowe jako akt bezprawny.

4. Istnieje potrzeba opracowania przez niezależne środowisko dziennikarskie rozproszonych informacji na temat weryfikacji i strat poniesionych przez dziennikarstwo polskie w wyniku wprowadzenia stanu wojennego.

5. Warunkiem niezbędnym dla uspołecznienia środków komunikowania społecznego jest likwidacja państwowo-partyjnego monopolu w zakresie mass-mediów. Należy dążyć do zniesienia obowiązku koncesjonowania prasowej działalności wydawniczej, jako niezgodnej z ustawą o działalności gospodarczej. Sprzeczne z konstytucyjną zasadą wolności słowa jest utrzymywanie monopolu w zakresie rozdziału papieru, materialnych środków wydawniczych i kolportażu.

6. Należy stworzyć warunki swobodnego rozwoju prasy lokalnej, zakładowej i szkolnej, która jest niezbędna dla utrzymywania więzi środowiskowej i wszelkiej działalności samorządowej.

7. Domagamy się zniesienia cenzury prewencyjnej, anachronicznej i szkodliwej społecznie.

8. Zebrani zobowiązują przysłać władze Stowarzyszenia do nawiązania kontaktów i udzielenia pomocy zawodowej zespołom redakcyjnym prasy polskiej w krajach obozu socjalistycznego.

9. Uczestnicy seminarium uważają za niezbędne opublikowanie i upowszechnienie materiałów z tego spotkania.

10. Powołuje się komisję statutową w składzie: Stefan Bratkowski, Wanda Falkowska, Wiesław Johann i Jan Rogala dla przygotowania projektu nowego statutu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Warszawa 8 stycznia 1989 r.

#### WNIOSKI DODATKOWE

Poza treścią uchwał znalazły się następujące wnioski, zobowiązujące uczestników seminarium i wszystkich dziennikarzy, czujących swoją przynależność do środowiska niezależnych dzien-

nikarzy do wspomagania poniższych działań:

1. Domagamy się uchylenia przepisów prawa, zakazujących swobodnej działalności wydawniczej pod groźbą kar, a w szczególności: art. art. 271, 273 oraz 282a Kodeksu Karnego, art. 52a prawa o wykroczeniach, art. art. 45 i 48 prawa prasowego.

2. SDP i jego członkowie powinni wykazać wnikliwe zainteresowanie sytuacją dziennikarzy w świecie, aby spłacić moralne zadłużenie z tytułu tego rodzaju zainteresowania losem dziennikarzy polskich po grudniu 1981 r.

3. SDP powinno statutowo zagwarantować wszechstronną pomoc prawną, informacyjną, warsztatową itp. małym ośrodkom dziennikarskim w kraju.

4. Prasa katolicka niezależna powinna upowszechnić tezy referatu Macieja Iłowieckiego na temat szkodliwości społecznej, obowiązującej dziś w naszym kraju propagandy, lansowanej przede wszystkim przez Jerzego Urbana.

5. Należy wystąpić z listem otwartym do Sejmu w sprawie uspołecznienia radia i telewizji jako kontynuację działań podjętych w tej sprawie w październiku 1981 r.

6. Komisja Członkowska SDP winna poddawać wnikliwej ocenie kandydatury na członków SDP, aby uniknąć ludzi skompromitowanych swoimi postawami w okresie od 1981 r. do chwili rejestracji Stowarzyszenia.

7. SDP winno być gwarantem, że w wydawanych publikacjach monograficznych na temat dziennikarstwa polskiego nie zostaną pominięte nazwiska kolegów dla władzy niewygodnych.

8. SDP winno rozstrzygnąć kwestię ewentualnej przynależności do Stowarzyszenia drukarzy i kolporterów prasy drugiego obiegu.

9. Solidaryzujemy się z polskimi dziennikarzami pracującymi w pismach polskojęzycznych poza granicami kraju, działających w imię obrony praw zamieszkujących tam Polaków i udzielających im pomocy w rozwijaniu kultury narodowej, propagujących ideały i zamierzenia Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych Polaków.

#### SPOTKANIA DYSKUSYJNE PUBLICYSTÓW (SDP)

zarejestrowane w rejestrze Stowarzyszeń zwykłych w W-wie  
(Informacja)

Wielu naszym kolegom wiadomo, że od 1986 r. rozpoczęło działalność Koło Przyjaciół Seniora Dziennikarza, które zorganizowało kilkanaście spotkań panelowych na różne tematy, interesujące dziennikarzy z całego kraju. Pod koniec 1989 r. koło postanowiło - o czym informowała w trakcie seminarium Agnieszka Wróblewska - przekształcić się w stowarzyszenie zwykłe. W grudniu 1989 r. złożony został w tej sprawie wniosek, który podpisali członkowie-założyciele: Jolanta Łopuszańska, Marta Piszczatowska, Jan Rogala i Agnieszka Wróblewska. Po uzupełnieniu niezbędnych dokumentów dnia 26 stycz-

nia 1989 r. wydana została decyzja:

"Wydział Społeczno-Administracyjny Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Żoliborz informuje, iż w dniu 26 stycznia 1989 r. zostało zalegalizowane na podstawie Prawa o stowarzyszeniach (Dz.U. nr 94 poz. 808 z późniejszymi zmianami) Stowarzyszenie zwykłe pn. "Spotkania Dyskusyjne Publicystów" i wpisane do ewidencji stowarzyszeń zwykłych pod nr 6..."

Przyjęty został następującej treści regulamin:

Stowarzyszenie nosi nazwę Spotkania Dyskusyjne Publicystów zwane w dalszej części regulaminu SDP.

2

SDP jest stowarzyszeniem zwykłym, ewidencjonowanym w Urzędzie Dzielnicowym Warszawa-Żoliborz, nie ma osobowości prawnej, ma prawo używać pieczętki z napisem: Spotkania Dyskusyjne Publicystów - Stowarzyszenie Zwykłe z siedzibą w Warszawie.

3

Terenem działania SDP i siedzibą władz jest m.st. Warszawa, a jego członkami mogą być osoby fizyczne.

4

SDP może współpracować z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi o podobnym charakterze.

5

Celem SDP jest stworzenie forum dyskusyjnego wymiany myśli na wszystkie tematy, mogące zainteresować publicystów i dopomóc im w pracy poprzez organizowanie spotkań, seminariów, wykładów, kursów specjalistycznych...

6

Członkami zwyczajnymi SDP mogą być osoby fizyczne mające zdolność do czynności prawnych, legitymujące się dorobkiem publicystycznym, które złożyły deklarację członkowską, decydują się płacić składkę członkowską, współdziałać w realizacji celów. Członkiem nadzwyczajnym SDP może być każda osoba fizyczna, której cele SDP są bliskie, decydują się złożyć deklaracje i płacić składkę.

Członkowie zwyczajni korzystają ze wszystkich praw, natomiast członkowie nadzwyczajni pozbawieni są prawa wyborczego do władz.

7

O przyjęciu na członka SDP decyduje Zarząd, po zapoznaniu się z dorobkiem publicystycznym (czł.zwycz.) oraz rekomendacjami dwóch członków wprowadzających. Osoba ubiegająca się o członkostwo nadzwyczajne składa, obok rekomendacji dwóch członków zwyczajnych, także deklarację intencji.

8

Przynależność do SDP ustaje z chwilą skreślenia przez Zarząd z listy członków wskutek utraty zdolności do czynności prawnych, śmierci, pisemnego oświadczenia członka, a także niepłacenia składek członkowskich przez okres 6 miesięcy. Od decyzji Zarządu istnieje prawo odwołania do Zgromadzenia Członków SDP.

Władzami SDP są:

- a) Zgromadzenie Członków
- b) Zarząd
- c) Komisja Rewizyjna
- d) Sąd Koleżeński

Zgromadzenie Członków powołuje i odwołuje Zarząd, którego kadencja trwa 2 lata, Komisję Rewizyjną, Sąd Koleżeński, ustala program działania, ustala wpisowe i wysokość składek członkowskich, rozpatruje odwołania członków od decyzji Zarządu, dokonuje zmian w regulaminie, podejmuje uchwały w kwestii zmian strukturalnych oraz zmiany celów. Zgromadzenie członków zwołuje Zarząd na każde żądanie co najmniej 15 członków, złożone na piśmie z uzasadnieniem oraz nie rzadziej niż raz na dwa lata przed upływem kadencji.

Zarząd jest najwyższą władzą w okresie między Zgromadzeniami Członków. Ustala szczegółowy plan działalności, uchwała regulaminy wewnętrzne, podejmuje decyzje o przynależności SDP do innych organizacji. Podejmuje uchwałę o rozwiązaniu.

Komisja Rewizyjna jest organem kontrolnym, udzielającym Zarządowi absolutorium po upływie jego kadencji.

Sąd Koleżeński rozpatruje wszystkie spory między członkami SDP, a także innych osób, które o taką mediację się zwróci. Interpretuje regulaminy.

Zarząd składa się z 3 do 5 osób, Komisja Rewizyjna z 3 do 5 osób i Sąd Koleżeński z 3 do 5 osób pracujących w zespole 3-osobowym.

## 10

Wszystkie uchwały zapadają większością głosów, przy czym decyzja Zarządu o przystąpieniu do innej organizacji jednomyślnie. Wybory do władz odbywają się w głosowaniu tajnym.

## 11

Działalność SDP jest oparta o pracę społeczną jej członków.

\*

Dnia 4 lutego 1989 r. odbyło się pierwsze zebranie SDP, na którym powołano tymczasowy Zarząd w składzie: Maciej Iłowicki - prezes, Jolanta Łopuszyńska - sekretarz, Michał Ogórek - członek. We wszystkich sprawach związanych z członkostwem i działaniem SDP prosimy się kontaktować z kol. Jolantą Łopuszyńską, telefon: Warszawa 40 94 98 (dom) lub 21 21 08 (praca).



## Między dziennikarstwem a propagandą

Pod takim właśnie hasłem wywoławczym odbyła się w Łodzi, w sobotę 21 stycznia 1989 r. - a więc równo w dwa tygodnie po warszawskim seminarium - sesja dyskusyjna, zorganizowana przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych przy kościele ks. jezuitów oraz łódzki oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Aneks niniejszy obejmuje referaty wygłoszone na sesji, z wyjątkiem dwóch referatów - Macieja Łukasiewicza (drugi obieg) i Dariusza Fikusa (cenzura), które były powtórzeniem ich wystąpień na seminarium warszawskim.

Stefan Bratkowski

### SDP A ŚRODKI KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ

Chciałbym przede wszystkim zacząć od podziękowania ojcu Stefanowi Miecznikowskiemu za użyczenie miejsca na dzisiejsze spotkanie, a także, naturalnie, organizatorom tej sesji.

Przechodząc zaś do meritum sprawy, pragnę powiedzieć od razu, że Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich nie zależy w pierwszym rzędzie na tym, żeby uzyskać prawo do legalnego działania, by być reaktywowanym i móc zgromadzić wszystkich dawnych kolegów, a także i nowych, którzy czekają na przyjęcie lub też razem z nami podpisują listę Komitetu Założycielskiego SDP. Nasze zamiary, cele i ambicje są znacznie szersze. Dążymy mianowicie do tego, żeby środki komunikacji społecznej, a zatem polska prasa, polskie radio i polska telewizja były inne, niż są obecnie.

Oczywiście, doceniamy w pełni wszystkie zmiany, jakie w sferze cenzury i jawności zaszły w ciągu ostatnich paru lat i zdajemy sobie sprawę, że można dziś w tej prasie napisać znacznie więcej, niż można było napisać nawet 10 lat temu, a już na pewno znacznie więcej i inaczej, niż to było lat temu 15 czy 20. Jednakże nas to nie satysfakcjonuje. Do dzi-

siejszego dnia podstawowe środki komunikacji społecznej są nadal środkami masowego przekazu, a raczej - jak mawiają złośliwi - są środkami masowego p r z y k a z u. To określenie w wielu przypadkach jest do dzisiaj tego dnia prawdziwe. Ile razy trzeba, tych środków masowego przekazu używa się do manipulacji, zniekształcania obrazu rzeczywistości, mimo że ogromny procent społeczeństwa może na bieżąco, niemal natychmiast, konfrontować fałszywe i zniekształcone informacje z realnym obrazem sytuacji przekazywanym przez polskojęzyczne zagraniczne radiostacje. To jest kwestia pojęcia do rzeczywistości.

Chciałbym przypomnieć, że polscy dziennikarze w latach 1980-81 starali się szukać dróg do porozumienia w tym wielkim konflikcie społecznym, który trwa w naszym kraju od 40 lat. Z jednej strony, mamy do czynienia z warstwą rządzącą, panującą, z drugiej zaś - z całą resztą społeczeństwa, pozbawioną podstawowych praw politycznych, ponieważ pozbawiono ją praw wyborczych, praw do stowarzyszania się i praw do swobodnej wypowiedzi. Są to wszystkie prawa, które w roku 1789, dokładnie 200 lat temu, zostały przyjęte w wyniku Wielkiej Rewolucji Francuskiej, po zburzeniu Bastylli i zostały uznane za naturalne prawa człowieka. Co więcej, bez tych praw żadne społeczeństwo nie może się normalnie rozwijać. Dlatego nam nie chodzi o swój własny interes zawodowy, nam chodzi o to, żeby społeczeństwo mogło funkcjonować tak, jak funkcjonują dziś na świecie zdrowe społeczeństwa.

Nie jest rzeczą nienaturalną, że w jakimś kraju istnieje warstwa rządząca i pozostająca w konflikcie z nią społeczeństwo. Nienaturalne jest, jeśli konflikty rozwiązywane są przez jedną z tych stron przy pomocy siły i przy pomocy kłamstwa. Żyjemy w czasach cywilizacji XX wieku, w której istnieją inne sposoby rozwiązywania tego rodzaju konfliktów. Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że ludzie, którzy rządzą tym krajem są zainteresowani w tym, aby utrzymać swoje dotychczasowe pozycje. Problem jednak polega na tym, w jaki sposób uzgodnić się ze społeczeństwem, co może być utrzymane, a co, z punktu widzenia interesów nawet samej tej warstwy rządzącej, powinno ulec podstawowej reformie.

Wydaje mi się, że doszliśmy do czasów, kiedy przynajmniej realności z grona warstwy rządzącej, bo trudno mówić w tym przypadku o liberałach, zdają sobie sprawę, że tak, jak do tej pory, rządzić nie można. Przynajmniej w słowach zadeklarowano ostatnio gotowość porozumienia ze społeczeństwem. Co za tym pójdzie, trudno dzisiaj wyrokować. Słów padło w naszym kraju tyle, że zupełnie się już zdewałowaliśmy. Oczekujemy na fakty. To samo będzie dotyczyło środków masowego przekazu, jeśli mają się one zamienić w środki komunikacji społecznej, służące stabilizacji, normalności i pokojowi społecznemu w kraju. Przypomnę, że w 1981 r. tam, gdzie mogła funkcjonować normalna prasa, jak np. w Krakowie, gdzie działała "Gazeta Krakowska" Macieja Szumowskiego i jego kolegów, czy również w Białymstoku - mówię, oczywiście, o przykładach, które znam najlepiej - dawało się rozwiązywać konflikty społeczne w trybie pokojowym, bez dodatkowych napięć i konsekwencji w postaci urazów, które mogłyby przetrwać na całe lata. I taką właśnie rolę powinno między in-

nyimi spełniać dziennikarstwo. Chcielibyśmy zatem, żeby środki komunikacji społecznej pozostawały pod kontrolą społeczną. Żeby wszystko to, co dzisiaj funkcjonuje nielegalnie, jako gazety drugiego obiegu, mogło wychodzić całkowicie legalnie. Pragniemy, żeby środki takie, jak TV i radio, były dostępne dla przedstawicieli społeczeństwa w normalnym trybie, żeby zreformowano ich struktury w taki sposób, aby np. istniał kanał rządowy, a prócz tego - kanał społeczny, odpowiadający całemu zróżnicowaniu postaw, interesów i charakterowi rozmaitych ugrupowań w naszym kraju. Dopiero w takich warunkach można liczyć, że społeczeństwo będzie mogło rozwijać się w sposób rzeczywiście normalny.

Parę słów o prasie drugiego obiegu. Nie chodzi nam o to, by uczcić bohaterstwo tych młodych i starszych ludzi, którzy przez tyle lat, w najtrudniejszych, jakie sobie można wyobrazić, warunkach, realizowali normalne zadania środków komunikacji społecznej. Chodzi o to, ażeby stworzyć im warunki normalnego funkcjonowania w życiu społecznym, gdyż ta prasa jest społeczeństwu potrzebna. Jest potrzebna jako normalna, własna prasa w każdym środowisku zawodowym, społecznym, czy lokalnym, które tego zapragnie. Dlatego mówię o tym z takim naciskiem. Otóż przez ostatnie 40 lat odzwyczailiśmy się od tego, że gazetę może mieć fabryka (poza oczywiście, gazetą "dyrekcyjną"), osiedle, małe miasteczko lub gmina wiejska. Tymczasem, w świecie cywilizowanym, tego rodzaju gazeta jest - obok Kościoła - drugim podstawowym środkiem integracji społecznej, środkiem wytworzenia opinii publicznej, która sprawuje rządy moralne, silniejsze, niż jakiegokolwiek instytucje przymusu. To jest niesłychanie ważne dla naszej przyszłości i dlatego Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich - niezależnie od tego, jaki procent dziennikarzy drugiego obiegu znajdzie się w naszym gronie - będzie występowało na rzecz normalnego funkcjonowania wszelkiej prasy lokalnej, zawodowej i środowiskowej, po to, żeby Polska miała z tego pożytek. Będziemy, innymi słowy, dążyli do zasadniczej zmiany tzw. ustawy prasowej, która jest klasycznym reliktem okresu neostalinowskiego, rozpoczętego w Polsce 13 grudnia 1981 roku. Ten neostalinizm był oczywiście nieporównywalnie łagodniejszy, niż czasy epoki bierutowskiej, niemniej był to neostalinizm w założeniu. I właśnie z tym okresem trzeba się rozstać, również w interesie warstwy rządzącej.

Teraz parę słów o samym środowisku dziennikarskim. Jest ono bardzo zróżnicowane. Zacznę od prasy niezależnej. Jest obecnie w skali całego kraju około 700 tytułów prasy drugiego obiegu; nikt w tej chwili nie zna pełnej, dokładnej liczby. Koledzy, którzy kompletują egzemplarze napływające z różnych stron Polski, zarejestrowali między rokiem 1981 a 1989 istnienie łącznie ok. 1500 tytułów. Oznacza to dla nas, dla ludzi naszego zawodu, że narodziło się całe nowe pokolenie dziennikarzy. To się da zresztą łatwo zauważyć w prasie oficjalnej, a nawet w prasie katolickiej. Otóż dziennikarzy poniżej 28 roku życia praktycznie w niej nie ma. Jest trochę młodych ludzi w radiu, którzy kończyli tzw. studia dziennikarskie i sami o sobie mówią, że po trupach swoich kolegów doszli do etatów w przyspieszonym trybie. Ale są to

wyjątki, które potwierdzają regułę. Pokolenie poniżej 28 roku życia pracowało, bądź współpracowało przede wszystkim z prasą podziemną. Są to bardzo wartościowi młodzi ludzie, a obok nich ludzie starsi, często nigdy przedtem z zawodem dziennikarskim nie związani, z zawodów takich, jak inżynieria, medycyna, prawo itd. Ich również z najwyższą satysfakcją witamy w szeregach naszego Stowarzyszenia. I to jest ta pierwsza grupa dziennikarzy, licząca w sumie - wedle naszych szacunków około dwóch tysięcy osób, plus naturalnie cała otoczka drukarzy, kolporterów itd.

Druga grupa, to dziennikarze prasy katolickiej, prasy, która w kraju, gdzie 95 proc. społeczeństwa stanowią ludzie wierzący, dysponuje zaledwie 1 procentem papieru przydzielanego prasie oficjalnej! Już to samo mówi za siebie. Odpowiednio i liczebność dziennikarzy prasy katolickiej nie jest zbyt duża. Niemniej, jest to środowisko - jak łatwo się domyślać - bardzo w naszym kraju wpływowe. I myślę, że jest dziś dobra okazja, aby tutaj, w imieniu całego naszego środowiska zawodowego, złożyć szefom tej prasy serdeczne podziękowania za "przytulenie" i za opiekę w najgorszych dniach stanu wojennego nad sporą grupą naszych kolegów, których chciano wyeliminować z zawodu.

Dalsza grupa, to są ci wszyscy zwolnieni z dawnych redakcji dziennikarze, którzy funkcjonują na wpół w drugim obiegu i na marginesie prasy oficjalnej. Tu, siedzący obok mnie, sekretarz generalny naszego Stowarzyszenia, Dariusz Fikus, całe lata spędził jako sekretarz redakcji "Niewidomego Spółdzielcy". Inni pracowali w "Wiadomościach Wędkarskich", w biuletynach "Społem" i w innych gazetach podobnego typu i o podobnym zasięgu, nie przestając być żołądami publicystami kraju. To jest, oczywiście, również spora grupa, licząca ponad 1200 osób, które zostały usunięte z prasy w roku 1982, w wyniku osławionych czystek. Nie jest to zresztą prawdopodobnie liczba pełna, ponieważ podczas warszawskiego seminarium dwa tygodnie temu, dowiedzieliśmy się na przykład, że liczba dziennikarzy zwolnionych z pracy w Szczecinie wynosiła nie kilkanaście, jak nas informowały zebrane dane, tylko 50 osób.

Wreszcie chciałbym powiedzieć o naszych kolegach pracujących w prasie oficjalnej. Na początku stanu wojennego Zarząd Główny SDP wraz z członkami Rady Stowarzyszenia ogłosił "kodeks honorowy" na czas stanu wojennego. Zobowiązywał on kolegów, którzy pozostaną w pracy w oficjalnych środkach masowego przekazu, do przestrzegania kilku prostych zasad wyjściowych: nie brania udziału w kampaniach zniesławień i kłamstw, nie sygnowania niczego nie znanymi czytelnikowi inicjałami lub pseudonimami i nie podpisywania niczego razem z ludźmi, którzy stracili wiarygodność, robiąc rzeczy z punktu widzenia etyki dziennikarskiej niedopuszczalne. I mogę powiedzieć z ogromną satysfakcją i uznaniem, że przeważająca część środowiska przestrzegała zasad tego kodeksu. Państwo być może się w tym nie orientują, ale po to, żeby z gazety zrobić szmatę, wystarczy 10-15 proc. zatrudnionych w danej gazecie, tak zwane kierownictwo plus usługowi, albo - inaczej mówiąc - dyżurni i podręczni publicyści. Czytelniczy bardzo łatwo

ich rozpoznają i wiedzą kto jest kto; podobnie, jak potrafia dostrzec tych, którzy uchowali swoja wiarygodność oraz status przyzwoitego dziennikarza. Ci ostatni, biorąc udział w warszawskim seminarium, również podpisywali i podpisują razem z nami deklarację na rzecz wpisania naszego Stowarzyszenia do rejestru stowarzyszeń.

Dlaczego używam pojęcia "wpis do rejestru". Otóż, nie używamy słowa "relegalizacja", ponieważ SDP i tak istnieje, niezależnie od tego, czy się to komuś podoba czy nie. Gdybyśmy zabiegali o relegalizację SDP, musielibyśmy przyjąć ewentualny akces ludzi, których nie chcielibyśmy widzieć w swoim gronie. Z kolei, gdybyśmy zabiegali o utworzenie nowego Stowarzyszenia, byłoby to sprzeczne ze stanem faktycznym, ponieważ Stowarzyszenie istnieje de facto.

Czy mamy szansę na wpis? Jak wiadomo, rzecznik prasowy rządu oświadczył, że rząd jest zdecydowanie przeciwny dzieleńiu środowiska dziennikarskiego i zanim jeszcze złożyliśmy nasz wniosek, od razu przekreślił jego szansę. Rzecznik jest w tej szczęśliwej sytuacji, że nie zna podstawowej pragmatyki służbowej swojego zawodu i nie wie o tym, iż nie wolno mu uprzedzać decyzji administracyjnych. Myślę jednak, że było nam bardzo miło zaznać takiego aktu zdecydowanej wrogości, ponieważ sądzę, iż być pochwalonym przez Urbana byłoby przyjemnością co najmniej wątpliwą.

Generalnie rzecz biorąc, wierzę w to, że decyzje będą zmierzały ku normalizacji stosunków w naszym kraju. A nie można sobie wyobrazić normalizacji bez swobody zakładania stowarzyszeń. Myślę, że jest to kwestia czasu.

Jeszcze dwa słowa o tym, co nasze Stowarzyszenie robiło przez cały ten czas "nielegalności", poza uczestnictwem wielu naszych kolegów w działalności prasy drugiego obiegu. Przeszliśmy bardzo trudne czasy. Nasz zawód został uderzony w sposób szczególny. Te ponad 1200 osób, które straciło pracę i 1000 osób, które zostały zdegradowane na niższe stanowiska, przesunięte do pracy gorzej płatnej, to są tylko suche liczby, z którymi każdy może się zapoznać. Ale mało kto wie, że co najmniej kilkaset osób wraz z rodzinami byli to ludzie, którzy zostali całkowicie pozbawieni środków do życia. I dzięki pomocy naszych kolegów z zagranicy, dziennikarzy z całego świata - z Francji, Niemiec Zachodnich, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Belgii, Szwecji, Norwegii, zdołaliśmy tych ludzi utrzymać. Także dzięki pośrednictwu i pomocy polskiego Kościoła, tych księży, którzy byli naszymi przyjaciółmi. Chciałbym z tego miejsca raz jeszcze za to podziękować, bo i nasz duszpasterz, o. Stefan Miecznikowski, ma w tym swój wielki, wspaniały udział.

Nie powiem, że dzisiaj jest łatwo. Kilkuset dziennikarzy-emerytów znajduje się w niesłychanie trudnej sytuacji; jest poważnym problemem, jak uzyskać dla nich szansę właściwego zaopatrzenia na starość.

Trzeba wreszcie powiedzieć i to, że nasz zawód, był w minionych latach zawodem najbardziej dotkniętym działalnością sił utrzymujących stan wojenny. Zaryzykuję stwierdzenie, że około 90 proc. osób więzionych, skazywanych, tropionych, prze-



śladowanych po 13 grudnia 1981, to byli dziennikarze, drukarze i kolporterzy prasy niezależnej. Chciałbym złożyć hołd aktywności i niezmożnej wytrwałości tych wszystkich, którzy do dnia dzisiejszego to robią.

Kończąc, pozostaję z nadzieją, że nasz kraj, po pierwsze, wróci do Europy, po drugie - stanie się krajem normalnie funkcjonującego społeczeństwa, a po trzecie - krajem pokój społecznego, krajem, w którym wszelkie konflikty i podziały związane z różnicami interesów będą rozwiązywane w sposób właściwy społeczeństwu cywilizowanym. Dziennikarze polscy w takim dziele będą chcieli uczestniczyć i zrobią wszystko, co można, aby te cele zostały osiągnięte.

Gustaw Romanowski, Jadwiga Wasiak

### NADGORLIWOŚĆ I NADDYSPOZYCYJNOŚĆ ŁÓDZKIEJ PRASY W LATACH 1968-1976

Po przedwojennym, barwnym stylu gazetowym, zwanym popularnie stylem "czerwoniakowym" (to od koloru tytułów na pierwszej stronie, a nie od barwy sztandarów) - kiedy to gazeta łódzka skrzyła się feerią sensacyjnych tytułów - i po powojennym, stopniowym wypieraniu tamtego modelu przez z wolna narzucany wzór prasy wypranej z wszelkiej sensacyjności - nastąpiła długotrwała formuła prasy stalinowskiej, traktowanej jako gigantyczny plaster, służący do zaklejania rzeczywistości. Ów model prasy-plastra utrwalił się ostatecznie na przełomie lat 1949-1950, aby przez następne długie i sekate lata epoki Bieruta, wpajać ten styl coraz smutniejszym czytelnikom i coraz mniej podatnym na drgnięcia autentycznej rzeczywistości dziennikarskim wyrobnikom pióra.

Co prawda, w krótkim interwale, jaki nastąpił po śmierci Stalina, a potem Bieruta, w latach 1955-1957, coś jakby drgnęło w tym hieratycznym widzeniu świata, jako osobliwego lustra do odbijania wszechogarniającego łagodnego uśmiechu "ojca światowego pokoju". Znowu na łamach niektórych gazet i czasopism pojawiła się autentyczna rzeczywistość. Było to jednak tylko chwilowe i nieszcześliwe przebudzenie. Likwidacja "Po prostu" ostatecznie przekreśliła iluzję, że dziennikarz sam może być dysponentem prawdy. Chwilowe zachłyśnięcie się krótką szansą antycypowania owej prawdy niejako we własnym, dziennikarskim imieniu, skończyło się tak szybko, że mało już kto dziś pamięta, iż w Łodzi wychodziło wówczas przyzwoite pismo - dwutygodnik "Kronika". "Kronika" - na pewno nie tak namiętna, jak młodzieżowe "Po prostu", pozostała w pamięci jej nie liczących, z powodu niskiego nakładu pisma, czytelników, jako pismo uczciwsze - przynajmniej w dziedzinie reportażu, niż późniejsze tytuły, jakie miały po kilku latach zastąpić to łódzkie czasopismo kulturalne.

\*

Tekst autoryzowany (przyp. red.)

Łódzka "Kronika" pada w tym samym mniej więcej czasie, co kilkanaście innych tytułów prasowych, tj. w listopadzie 1957 r. Pobieżny przegląd zawartości tych czasopism daje obraz pewnej zbieżności tematycznej, jaka je łączy. Sporo reportaży o powracających do Polski z "dalekiej podróży" łągierniakach i zesłańcach, relacje o różnych przejawach nadużyć władzy przez niższych urzędników i funkcjonariuszy oraz podejmowanie różnych prób poszukiwania autentycznego kontaktu z czytelnikami. Prawdopodobnie więc za decyzjami o likwidacji stoi pewna prawidłowość: nie tak ma wyglądać czasopismo i gazeta w ocenie jego monopolistycznego wydawcy.

Po roku 1957 na łódzkim rynku prasowym utrwała się zestaw tytułów niezmiennych do dziś. "Głos Robotniczy" - organ PZPR, "Dziennik Łódzki" (w okresie tuż powojennym gazeta Spółdzielni Wydawniczej "Czytelnik", później wchłonięta przez monopol RSW), "Express Ilustrowany" - półrocznik i dwa tygodniki - "Odgłosy" - mające zaspokajać wyższe potrzeby łódzkiej inteligencji oraz "Karuzela" - drugi po "Szpilkach" periodyk satyryczny w kraju, pozostawiony na rynku prasowym po likwidacji katowickiego "Kocynadra" i poznańskiego "Kaktusa".

Tych pięć tytułów, wydawanych przez jednego wydawcę - Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, jako oddział koncernu RSW - ma odtąd służyć informacjami, rozwijać światopoglądowo, uczyć dobrego smaku, przestrzegać przed złem, nawoływać do lepszego i wychowywać w duchu socjalistycznej moralności.

Przegląd łódzkich gazet z okresu końca lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych przynosi obraz powszechnego ładu, gdzie ludzie pracują, bo taka jest ich powinność, działacze otwierają uroczystości, przemawiają, dekorują, kultura się rozwija, bo musi, póki i socjalizm się umacniają, choć nie na całym jeszcze świecie. A w ogóle wszystko, co pojawia się w łódzkiej prasie w tym okresie, jest poważne i zaprogramowane jakby przez jeden komputer, choć o komputerze nikomu się jeszcze wówczas w Polsce nie śniło. Poważne nuda, powtarzalnością tytułów, monotonością tematyczną, prezentującą czytającemu je dzisiaj, po latach, czytelnikowi zapyziałą świat prowincji.

Jest to prowincja widziana oczami dziennikarzy dobrze już wyczonych do stosowania wspomnianego plastra. Od początku bowiem lat sześćdziesiątych trwa już na Zachodzie nowe przyspieszenie technologiczne; w najbardziej pod tym względem rozwiniętych krajach rozpoczyna się proces powszechnej komputeryzacji nie tylko już procesów produkcyjnych i nawet Węgry zaczynają realizować reformę gospodarczą od wielkiego inwestowania w rolnictwo - ale z prasy łódzkiej nikt się o tym nie dowie. Nie dowie się zaś dlatego, że gazeta wytwarzana przez dziennikarzy ostrożnych i leniwych musi być gazeta kiepską: przeważa w niej tekst utrzymany w trybie monotonicznie oznajmującym, jałowo poprawna polszczyzna i nudna rutynowa argumentacja, przeznaczona dla awansującego drobnomieszcza-nina (czytaj: ambitnego ćwierćinteligenta).

I taki obraz łódzkiej prasy trwa do roku 1968. Bo nie zakłócają go nawet odgłosy wojen: wietnamskiej, zapomnianej już afrykańskiej wojny o Biafrę i wojny "sześciodniowej" na Bliskim Wschodzie. Łódzki dziennikarz nie wychyla się tu poza pro-

propagandową potrzebę zadana z góry, wedle której wojnom są winni wyłącznie Amerykanie, Izrael i Murzyni z plemienia Ibo, domagający się niezawisłości od centralnego rządu Nigerii. Trzymanie się zadanego schematu pozwala dalej bezpiecznie odkurzać wciąż ten sam szary już od zużycia plaster do zaklejan-  
nia.

Ale oto nadchodzi rok 1968, a ściśle jego marzec, który do historii PRL przejdzie jako najbardziej zawstydzający, choć wciąż tajemniczy zwiastun, ujawniający degenerację systemu. Warszawskie demonstracje studentów i protesty pisarzy w obronie utrwalonych tradycja dóbr kultury narodowej, uwalniają niespodziewanie propagandowego diabła drzemiącego w duszy skromnego wyrobnika pióra. Cała prasa - oprócz prasy katolickiej, nielicznej i niskonakładowej - otrzymuje "rycerską" ostrą do totalnego ataku na to wszystko, na czym opierała się dotąd ideologiczna fasada ustroju. Więc ludzie już nie są równi, bo dzieli ich pochodzenie etniczne i przydział odgórny do profesji. Stąd hasła na transparentach i czerwono podkreślonych tytułach w gazetach: "Literaci do pióra", "Studenti do nauki", "Robotnicy do roboty", "Syjoniści do Izraela".

Propagandowy kociokwik, za którym gdzieś na górce kryje się bezpardonowa walka o władzę, na piętrze najniższym przegradza się w żałosne wyszczekiwanie hasel, którymi dotąd w nieprzeliczonych odmianach zapełniano łamy tych samych gazet. Nie ma więc miejsca w "pomarcowej" prasie na hasło "humanizm", bo jest to "puste hasło", nie ma miejsca na "internacjonalizm", bo nazwane "kosmopolityzmem" staje się obiektem bezprzykładnego ataku, nie ma miejsca na tolerancję, już nie światopoglądową, lecz choćby pochodzeniową bądź narodowościową. "Bezczelny kosmopolita" - pisze przy okazji rozprawiania się ze Szkołą Filmową autor z "Odgłosów" (zresztą pracujący tam do dziś) o ówczesnym studencie, a obecnie jednym z wybitniejszych polskich reżyserów filmowych, nagradzanym wielokrotnie na festiwalach krajowych i zagranicznych (m.in. w Moskwie) - Januszu Zaorskim. A inny redaktor i literat na łamach tego tygodnika "społeczno-kulturalnego", w perliście ironicznym komentarzu, wytyka błędy wychowawcze rodzicom i nauczycielom, że nie uświadomili dotąd młodzieży, kim są ci o "niepolsko brzmiących nazwiskach" i "drapieżnych profilach". Dobrze, że nie może już tego przeczytać Łódzianin Tuwim i że inny Łódzianin Rubinsztajn gdzieś w Nowym Jorku nie czytuje gazet "kochanego miasta rodzinnego" - jak to powie po 10 latach przy okazji wizyty w Łodzi.

Propagandowy imperatyw marcowej prasy atakowania na łamach gazet i czasopism ludzi niezależnie myślących oraz zajmujących kierownicze stanowiska Polaków żydowskiego pochodzenia, wprowadzony w prasie centralnej przy zachowaniu pewnych pozorów obiektywizmu, na Łódzkiej prowincji przepoczwarza się w karykaturę dziennikarstwa. Pobudzeni do działania, śpiący dotąd w rutynie wyrobnicy pióra dwoją się i trójją, aby pokazać pazur odważnego publicysty. Że nie staje talentu i wiedzy - nie szkodzi. Dopomogą wyzwolone gdzieś fobie i kompleksy osobiste, że instynkty lub zwyčajna głupota i bezmyślne posłuszeństwo. Chociaż nie: posłuszeństwo wbrew wewnętrznemu przekonaniu ujawnia się na ogół w anemicznym i

marnym kształcie dzieła, wykonanym z niechęcią, bo bez własnej woli. Ale w przykładach, z których będziemy tu czerpać, nie będzie śladu osobistej mizerii czy wewnętrznej niedoli. Każde zdanie bowiem napisane przez licznych łódzkich autorów, eksponujących się wówczas na łamach łódzkiej prasy, przeży się na tyle dziarsko, że sprawia wrażenie niezbite, iż napisane zostało z pełnym przekonaniem.

Oto redaktor "Karuzeli" i późniejszy wieloletni prezes Oddziału Łódzkiego SDP wypowiada się na łamach "Głosu Robotniczego" w dniu 19 marca 1968 r.: "Ataku Antoniego Słonimskiego na prasę i dziennikarzy (...) nie można inaczej nazwać, jak bezczelną fanfaronadą beżideowego kosmopolity. (...) I tacy ludzie, duchowi przywódcy i inspiratorzy smutnych zajęć na Uniwersytecie Warszawskim mają czelność uczyć nas, dziennikarzy, patriotyzmu i demokracji!"

Czytając tę wypowiedź, wygłoszoną uprzednio przez łódzkiego delegata podczas obrad VII Zjazdu SDP, trudno przypuszczać, że została ona wymuszona. Pomieszczone bowiem na tej samej stronie "GR" wypowiedzi innych delegatów, redaktorów naczelnych "Prawa i Życia", "Życia Warszawy", "Słowa Powszechnego", czy szefa Komitetu d/s Radia i Telewizji brzmią jak głosy aniołów. Żadnych osobistych ataków, żadnych epitetów, zdarzać by się mogło - wypowiedzi pełnych inteligentów. No, chyba że łódzki dziennikarz i działacz SDP nie orientował się, kim jest Antoni Słonimski - jeden z najczystszych moralnie polskich pisarzy XX wieku.

Ale niewiedzy takiej nie można już zarzucić autorowi "Dziennika Łódzkiego", "zasłużonemu nestorowi" łódzkiego środowiska dziennikarskiego, od 1924 roku sprawiającemu na łamach tu-tejszych gazet publicystykę kulturalną i laureatowi nagrody miasta Łodzi, który 9 kwietnia 1968 roku w artykule pt. "W jakim celu wydano te książki?" pisał: "(...) W ostatnich latach ukazało się w Polsce sporo książek, które w sposób perfidnie zakamuflowany, a często niemal ostentacyjny, szkalują nasz naród, rzucając na niego obraźliwe kalumnie. Autorami ich są pisarze, którzy podczas okolicznościowych uroczystości śpiewają wprawdzie razem z nami "Jeszcze Polska nie zginęła", jednakże nazwisko "Dąbrowski" zmieniają wtedy w duchu na znacznie im bliższe: "Mosze Dajan". I to wszystko a propos książki Aleksandra Minkowskiego (np. dzisiejszego ulubieńca władzy) pt. "Wielki poker", wydanej przez Wydawnictwo Łódzkie.

Więc co to jest? Czy tylko zwykła gorliwość rutynowanego wyrobnika pióra? Nie, to jest nadgorliwość płynąca z potrzeby wyróżnienia się i zademonstrowania swojej wyjątkowej dyspozycyjności wobec czytającego te pieniające się wycopyny dyspozytora prasy. Może przeczyta, może zauważy, może doceni...

Przegląd prasy pomarcowej innych województw nie daje takiej satysfakcji przypadkowym poszukiwaczom przejawów oficjalnego antysemityzmu, jak właśnie przegląd prasy łódzkiej tego okresu. Ale oskarżani o antysemityzm nadgorliwicy propagandy wyjaśniają własną pasję twórczą następująco: "Antysyjonizm, antyszowinizm, to nie antysemityzm - pisze na pierwszej stronie "Głosu Robotniczego" z dnia 15 marca 1968 roku znany w owym czasie publicysta, robiący błyskotliwą karierę - nie bę-



dziemy jednak tolerowali ludzi pokroju Grynberga." To oczywiście o Henryku Grynbergu - polskim pisarzu, dziś przebywającym już od ponad 20 lat na emigracji, często drukowanym na łamach "Tygodnika Powszechnego" i publikowanym przez Wydawnictwo "Znak". Tytuł czołowego artykułu w "GR" brzmiał: "Tak się spłaca dług..."

"Głos Robotniczy" zajmuje zresztą szczególną pozycję w pomarcowej działalności dziennikarskiej, budząc żal i śmiech pusty paradoksalnymi posunięciami, po których popełnieniu gazeta na Zachodzie byłaby doszczętnie skompromitowana. Np. w dniu 14 marca 1968 r. pierwszostronicowy czerwony tytuł "Czyj interes i czyja krzywda", pióra ówczesnego aktywnego publicyisty gazety, a dziś redaktora naczelnego "Odgłosów", wabi czytelnika długim i w kiepskiej, nudnej polszczyźnie wykonanym opisem działalności jakiegoś prokuratora "nieczystego" - jak można domniemywać - pochodzenia, który, na zlecenie rodziny z Izraela, pomagał w odnalezieniu jakiegoś chłopca na kutnowskiej wsi. I za te czyny prokurator został właśnie usunięty z partii i z pracy. A zaraz obok tego czołowego tekstu, przerzuconego na drugą stronę, niewielka, nonparem złamana informacja, wstydliwie ukryta pomiędzy "marcowe nagłówki". Mało czytelny tytuł brzmi: "Narazili skarb państwa na straty w wysokości 101 tysięcy funtów szterlingów i 105 mln zł". Z tekstu zaś wynika, że jest to afera dyrektora "Polserwisu", który doprowadził do strat na budowach zagranicznych. Nazwisko dyrektora-aferzysty, nie podpadające pod antysyjonistyczną propagandę obroniło się, w myśl zasady: o byle czym - jak najwięcej, a o wielkim aferzyście - byle co.

Bezkarność w swobodnym atakowaniu na łamach prasy ludzi nie mających możliwości publicznej obrony, w połączeniu z naddyspozycyjną gotowością szczególnie aktywnych w marcu i po marcu 1968 dziennikarzy, tworzy wymierne zjawisko, które autorzy niniejszego opracowania nazwali "syndromem naddyspozycyjności" - w skrócie NDS. Przy czym w skład tego syndromu wchodzi szczególnie podporządkowanie się woli dysponenta (nawet gdyby wypowiadał się on tylko ustami instruktora KW), nieposiadanie własnych poglądów, ale za to posiadanie kompleksów i fobii (antyinteligencckich, antystudenckich, antysemickich i - jak to się już miało wkrótce okazać - także antyrobotniczych) oraz bezrefleksyjne oddanie się magnetyzmowi druku. Magnetyzm ten, to tyle, co wiara, że wystarczy drukować byle co, aby tylko istnieć publicznie, aby czuć się codziennie nobilitowanym.

Rozkreślenie spirali propagandy "marcowej" i nadanie prasie łódzkiej kształtu bardziej dynamicznego w zdecydowany sposób zmienia apatyczną rutynę, jaka wyzierała z prasy gomułkowskiej do marca '68. Czołowi publicyści, wywindowani szybko na różne funkcje, stają się wzorami do naśladowania. Pseudopatriotyczna i okazjonalnie użytkowa frazeologia każe również dalszym wyrobnikom pióra znaleźć się w sytuacji syndromu naddyspozycyjności, kiedy następuje wzmoczenie propagandy związanej z wypadkami w Czechosłowacji, po wkroczeniu "za-przyjaźnionych wojsk" do tego "bastionu kontrrewolucji i rewizjonizmu".



Któż dziś pamięta np. kaprała Kucharczyka, który zginął w końcu sierpnia 1968 r. gdzieś na Morawach, przewracając się z czołgiem? Pewnie nikt, oprócz rodziny. A oto "Głos Robotniczy" z września 1968 r., gdzie w cotygodniowym felietonie łódzki literat, używający kryptonimu "Kronikarz", pisząc pouczająco i zawile o różnych przykładach polskiego bohaterstwa wojennego, modeluje tę bezsensowną ofiarę następująco: "Kapral Kucharczyk, który zginął w Czechosłowacji, wypełniając swoje żołnierskie, patriotyczne i internacjonalistyczne obowiązki, ratując życie brata Czecha, a poświęcając swoje, nie mógł znać żołnierzy Września, ani żołnierzy lat wojny. Ale (...) kształtował swoją osobowość na wzór nieznanych mu bohaterów. Wcielał w życie ich założenia (...) jest przedstawicielem współczesnego młodego pokolenia naszej ojczyzny, które nawiązuje w swoim postępowaniu do tradycji przekazanej przez starszych braci".

Myślimy, że nikt nie kazał łódzkiemu literatowi wypisywać takich wypocin. Nikt go nie straszył, nikt nie zachęcał. Zrobił to sam na własny rachunek, wkreślając się w syndrom NDS. Może zauważa, może pochwała, może docenia...

Inny literat, współpracujący zresztą do dziś z "Głosem Robotniczym" i zasłużony publicystycznie w marcu '68, jeszcze po upływie roku w felietonie "Hippiści i cadyki" rzucił się metodą marcową na książkę KTT "Akyrema", poświęconą Ameryce. Przyprawiając felieton aluzjami do przodków autora książki, tenże literat także zerka w kierunku dysponenta. Może przeczyta, może pochwali... I gdyby Toeplitz mieszkał wtedy w Łodzi, miałby zapewne kłopoty z dalszą karierą. Było to jednak tylko bładzące echo prowincji. Czasy się zmieniają, obiekty ataków także. Trzeba i w publicystyce towarzyszyć zmieniającym się czasom.

A czasy zmieniają się coraz szybciej. Jeszcze w grudniu 1970 r. czołowy rysownik "Karuzeli", również dotknięty syndromem NDS, wymęczy niedowcipny, ale za to politycznie słuszny rysunek pt. "Jestem bodziec", na cześć powodzenia ówczesnej jaszczukowej reformy gospodarczej (czytaj - podwyżki cen), a już w tych samych dniach następują krwawe wypadki na Wybrzeżu. Marcowym nawykiem w prasie łódzkiej pojawiają się 17 grudnia tytuły: "Nieodpowiedzialne wybryki na ulicach Gdańska", aby następnego dnia ulec niespodziewanemu przyhamowaniu. Zdezorientowany dysponent nie daje, jak widać, rozkazu do nowego ataku trzymającym już bojowe pióra łódzkim publicystom i literatom, chętnie dorabiającym sobie na łamach popularnych dzienników. 18 grudnia tytuły brzmią delikatniej: "Utrzymują się niepokoje w Trójmieście", "Prace porządkowe w Gdańsku", "Po poniedziałkowych i wtorkowych zamieszkach życie w Gdańsku powraca do normy". I wszędzie tekst Uchwały RM w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego oraz przemówienia Cyrankiewiczza. 19 grudnia tytuły jeszcze spokojniej: "W Trójmieście panuje spokój", "Ślady niedawnych zająć są sprawnie usuwane", aby 20 grudnia znaleźć się na pełnym marginesie decyzją o uchyleniu Uchwały RM z dnia 17 grudnia. I ani słowa o walkach na ulicach Trójmiasta, o wystrzelaniu stoczniołwców w Gdyni, o dramacie mieszkańców Wybrzeża Gdańskiego chowających zabitych, poszukujących rannych.

Więc jakby regres do obrazu propagandy z wcześniejszych lat panowania Gomułki - zamiast żarliwości - powściągliwość, zamiast nadgorliwości - przemilczenie. Dysponent nie nagli. Dysponent się zastanawia.

Upadek Gomułki i zmiana ekipy każe dostosować się także łódzkiej prasie do atmosfery przywracającego się jakby automatycznie "porządku i ładu". Nawet strajk łódzkich tkaczy w lutym 1971 r. nie wywołuje erupcji publicystycznej elokwencji. Nie ma już epitetów. Nie ma "awanturników", "wichrzycieli", "nieodpowiedzialnych elementów", "prowadyrów" i "rozwydrzonych chłoptasiów". Więc jakże to - obok strajk, a tu grono doświadczonych w marcu publicystów nie reaguje? Tak, bo dysponent sobie tego nie życzy, więc świeżo uświadomiony talent dziennikarski i gotowość świadczenia usług trzeba zawiesić na haku. Okazja jeszcze będzie.

Syndrom NDS jednak zupełnie nie wygaśnie. Od czasu do czasu daje o sobie znać mrugnięciem tytułu, kilkoma zdaniami, epitetem. Tak, jakby raz zaprawiony w boju publicysta sygnalizował: "Drogi decydencie! Ja tu jestem i czuam". Np. 8 października 1973 r., po wybuchu czwartej wojny izraelsko-arabskiej na Bliskim Wschodzie, "Głos Robotniczy" donosił: "Jas-trzębie z Tel Awiwu dokonały nowej agresji", choć - jak wiadomo - tę wojnę, w odróżnieniu od wojny "sześciodniowej", rozpoczęły kraje arabskie, a nie Izrael. Wynika to zresztą z samego tekstu agencyjnego, jednakże tytuł i kilkuzdaniowy nieporadny wstęp o "siłach miłujących pokój i agresorach je ignorujących" popełnił już dyżurny redaktor gazety (nb. po 13 grudnia 1981 r. także ofiara wiary w odnowę).

I takie sporadyczne przejawy nadgorliwego czuwania pojawiać się będą jeszcze na łódzkich łamach. A to rzewna opowieść o źle zarabiającej biletierce w Paryżu, a to peany na tle poziomu życia tkaczki, magazynierki i dźwigowego, którzy dorobili się nawet dywanów, a do poduszki czytają Dzierżyńskiego. Nie jest to jednak czuwanie atakujące, raczej "siłowo-dostatnie", jak podpowiadało znane hasło ówczesnego I sekretarza KC PZPR.

I oto nadchodzi dzień 26 czerwca 1976 r. i podwyżka cen, wycofana zresztą nazajutrz po wybuchu protestów robotniczych w Radomiu i Ursusie. I znów, jak w marcu 1968 r., w łódzkich gazetach pojawiły się tytuły: "Zdecydowane potępienie warcholstwa i chulikańskich ekscesów" ("GR" z 29.6.1976 r.). "Załogi zdecydowanie odcinają się od burzycieli porządku publicznego" ("Dziennik Popularny" z 29.06.1976 r.). I odpowiedzialne dziennikarskie teksty w rodzaju: "Załogi łódzkich zakładów pracy, mieszkańcy naszego miasta w dalszym ciągu manifestują pełne poparcie i zaufanie dla polityki i osobiście dla Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza, piętnując jednocześnie z głębokim patriotyzmem-wszystkich tych, którzy zakłócili rzeczowy, obywatelski tok konsultacji i usiłowali zakłócić dialog partii ze społeczeństwem". I dalej: "Do I sekretarza KC i Premiera napływają tysiące rezolucji, listów i telegramów, w których podkreśla się zgodność programu partii z wolą narodu, konsekwencję w realizacji uchwał VII Zjazdu. Nie brak wśród nich i rezolucji i listów podpisaných przez przedstawicieli łódzkiej klasy robotniczej,

przedstawiciele wszystkich środowisk naszego miasta." (Dz.F. z 30 czerwca 1976 r.). Itd., itd.

W tym samym czasie, kiedy "przedstawiciele wszystkich środowisk", wyrażali na łamach gazety swoje poparcie, inni przedstawiciele tych środowisk, głównie klasy robotniczej, byli usuwani z pracy za próby protestu w dniach 26, 27 czerwca i okazywania solidarności robotnikom Radomia i Ursusa. Z różnych zakładów pracy Łodzi zostało usuniętych dyscyplinarnie przynajmniej kilkadziesiąt osób, które dopiero w 1980 r. mogły wrócić do pracy w wyniku nacisku na dyrektorów. O tym jednak z łódzkiej prasy nikt się już nie dowie.

Zawiera ona w okresie 1968-1976 obraz rzeczywistości zupełnie kalekiej. Autentyczne w tekstach dziennikarskich są jedynie nazwiska osób i daty oraz program kin. Reszta, w większym lub mniejszym stopniu, jest wytworem działalności projekcyjnej ludzi tylko formalnie powołanych do uczciwego rejestrowania życia społecznego, przekazywania informacji, ukazywania problemów. Co z tego, że od czasu do czasu ukazują się jakiś obiektywny materiał dziennikarski dotyczący kultury, drobniejszych spraw gospodarczych czy społecznych? Oglądanie z dystansu wielu lat zszwytek gazetowych pozostawia jedno wrażenie. Dyspozycyjny dziennikarz nie tworzy gazety, lecz osobliwy akt propagandowy, bo jego odbiorcą i czytelnikiem nie jest z samego zamysłu nieznany mu człowiek, kupujący prasę w kiosku, lecz konkretny dysponent gazety, znany mu zresztą przeważnie z imienia, nazwiska i poglądów. Dla niego to właśnie tworzy, odwrócony plecami do jakiegось tam czytelnika, tak przygotowany wyrobnik pióra, stając się - w ramach posiadanych zdolności i potrzeb - wyrobnikiem nadgorliwym i naddyspozycyjnym.

Ani rok 1980, ani 1981, ani też lata następne nie zmieniły tej prawidłowości, choć oczywiście znacznie - na skutek istnienia prasy niezależnej - poszerzyła się także tematyczna wolność prasy oficjalnej. Ale jest to już zupełnie inny temat.

Na zakończenie chcemy tylko przypomnieć o jeszcze jednym zjawisku, towarzyszącym syndromowi naddyspozycyjności. O czystkach wśród dziennikarzy. Rok 1968 zapisał się jako rok dumnego usuwania pracowników prasy z podawaniem ich personaliów na łamach gazet, w których dotąd przez lata pracowali i objął ludzi niechciany głównie z powodu pochodzenia (przed wojną ONR-owcy powiedzieliby "niearyjskiego do końca"). Ludzie ci, pozbawieni pracy, pozycji, do której przywykli, i obdarci w jakiś sposób z godności osobistej - wyemigrowali. Te rugi pochodzeniowe objęły 8 osób, zatrudnionych w "Głosie Robotniczym", "Dzienniku Łódzkim" i "Expressie Ilustrowanym". Dwoje z nich na emigracji uprawia aktywnie dziennikarstwo, zajmując się wyłącznie problematyką polską. Reszta - gdzieś się rozproszyła.

Powtórzone po 14 latach rugi, zwane weryfikacją, objęły już znacznie większą grupę dziennikarzy łódzkiej prasy, radia i telewizji pozbawionych w wyniku kapturowych sądów prawa wykonywania zawodu. Z ponad 30-osobowej grupy łódzkich dziennikarzy, pozbawionej tego prawa, wyemigrowała tylko jed-

na osoba, pracująca zresztą aktywnie w dziennikarstwie polskim na obczyźnie.

Proporcje ilościowe rugów roku 1968 do rugów roku 1982 mają się tak, jak 1 do 4. Czy następna weryfikacja, do której znów kiedyś dojdzie, przyjmie tę wielokrotność za prawdziwość? Wówczas nie zweryfikuje się już ponad 130 osób, czyli prawie całego pracującego dotąd na posadach dziennikarskich środowiska Łodzi. I kto wówczas będzie pisał o "wichrzycielach, prowodyrach i różnej maści kosmopolitach", kiedy przyjdzie na to czas?

### Małgorzata Golicka-Jabłońska

#### "GOŚĆ NIEDZIELNY" A "TRYBUNA ROBOTNICZA" \* W DNIACH SIERPNIOWYCH STRAJKÓW 1988 ROKU

Chciałabym zająć uwagę Państwa wydarzeniami, które miały miejsce zaledwie pół roku temu, a mianowicie strajkami w kopalniach Górnego Śląska. Interesuje mnie nie tyle sam przebieg strajków, ile sposób relacjonowania tych samych wydarzeń na łamach dwóch, jakże odmiennych tytułów, a mianowicie - katolickiego tygodnika "Gość Niedzielny" i codziennej gazety katowickiej, organu KW PZPR - "Trybuna Robotniczej".

Dla wprowadzenia w atmosferę cofnę się jednak do stycznia 1988 r. Wówczas to, w 5 numerze "Gościa Niedzielnego" ukazał się obszerny list, podpisany przez jedenastu górników z KWK "Andaluzja" w Piekarach Śląskich. Jedenaście osób, powodowanych obywatelską troską, alarmowało opinię publiczną o tym, iż "Zobojętnienie, bezkarność, a niekiedy głupota ludzka osiągnęły na terenie kopalni zastraszające rozmiary". Na dowód powyższego górnicy podawali przykłady rabunkowego wydobycia węgla, pisali o wzroście liczby wypadków, powodowanych nagminnym łamaniem przepisów bhp, o bezkarnym pijaństwie tzw. dozoru technicznego, o marnotrawstwie, o tym, iż w 1985 roku został zatopiony kombajn choźnikowy o wartości wielu milionów złotych. Sporo miejsca poświęcili pracy w soboty i w niedziele oraz systemowi wynagradzania, zmuszającego wręcz górników do pracy w dni wolne i w święta. Bowiem tylko 60 procent wynagrodzenia miesięcznego górnika stanowi płaca za przepracowane dni od poniedziałku do piątku, natomiast pozostałe 40 procent, to ekwiwalent za przepracowane soboty, niedziele i święta.

"Pisząc list do redakcji - oświadczyli górnicy - patrzmy jednak odważnie w przyszłość i jako ludzie wierzący jesteśmy pełni ufności, że zło dobrem zwyciężymy".

Za odważną krytykę i obywatelską troskę gorzko przyszło jednak autorom listu zapłacić. Pół roku później, w nr 31 "Gościa" red. Andrzej Grajewski opisał dokładnie losy autorów listu: "Wszyscy zostali ukarani, chociaż nigdy wcześniej, w ciągu wielu lat pracy nie otrzymali nawet upomnienia.

\* Tekst autoryzowany (przypr. red.)



Wszyscy otrzymali kary z wpisem do akt, nie będą więc mogli kandydować do władz organizacji zakładowych, a więc są wykluczeni z życia społecznego kopalni".

Autorów listu przeniesiono na inne oddziały, a na zebraniach załogi przedstawiano ich jako zwykłych rozrabiaczy. Potem spotkały ich kary indywidualne. Na przykład jeden z górników został ukarany za to, że zjechał na dół bez znaczka kontrolnego, inny otrzymał nagane, gdyż zamienił się z kolegą na godzinie pracy, a jeszcze innego chciano nawet ukarać za wykroczenie popełnione w kopalni w czasie, kiedy go w ogóle w pracy nie było.

Trudno przewidzieć, czy podobne szykany spotkałyby autorów podobnego listu do "Trybuny Robotniczej", gdyż na próżno usiłowałam znaleźć krytyczny tekst na łamach tej gazety, na przykład, w sierpniu ubiegłego roku, kiedy to sytuacja w kopalniach stawała się coraz bardziej napięta. Oto próbki tytułów prasowych, które ukazały się w "Trybunie" w pierwszej połowie sierpnia: "Czy tylko seks?", "Twarzą do kolei", "Wakacyjne wędrowki przedszkolaków", "Odkrycia w Malborku", "Napady rabunkowe". Obszernie relacjonowano tragiczne morderstwo trzech chłopców w woj. piotrkowskim i gazeta skierowała nawet do Piotrkowa specjalnego wysłannika. Gdyby nie dwa materiały z dnia 13 sierpnia o zwiększonych dostawach węgla z górnośląskich kopalń, trudno by się było nawet domyśleć, że "Trybuna" jest lokalną gazetą śląską.

Sierpniowe strajki w ub. roku zapoczątkowała kopalnia "Manifest Lipcowy", przerywając pracę na III zmianie w dniu 15 sierpnia. Pierwsza informacja na ten temat ukazała się w "Trybunie" 17 sierpnia, a więc z jednodniowym opóźnieniem. Informacja była krótka i bardzo lakoniczna. Podano, iż do strajku przystąpiło 500 górników; przedstawili oni 21 postulatów i odmówili rozmów z dyrekcją i związkami zawodowymi. Dodano, że na teren kopalni przybył prokurator rejonowy, który oznajmił, że strajk ma charakter nielegalny i wezwał górników do rozejścia się. Ponieważ strajkujący nie usłuchali wezwania, dyrektor zawiesił działalność produkcyjną zakładu. To wszystko.

"Gość" zamieścił pierwszą, obszerną relację ze strajków 28 sierpnia. (Dziennikarze tygodnika byli na miejscu wydarzeń w chwili rozpoczęcia strajków, jednakże ze względu na dłuższy cykl druku tygodnika, materiały nie mogły ukazać się wcześniej.) W artykule red. Andrzeja Grajewskiego znajdziemy aż dziewięć ingerencji cenzury... Artykuł jest relacją z pierwszych dni strajku. We wstępie autor przypomina, że na łamach "Gościa" niejednokrotnie ostrzegano przed wybuchem gniewu i niezadowolenia górników ze wzrastającego kryzysu. Często zabierał także głos w tych sprawach biskup katowicki, Damian Zimoń, prosząc o rozpatrzenie górniczych postulatów.

18 sierpnia "Trybuna" próbowała wyjaśnić już przyczyny strajków. Za podstawowy powód uznano żądanie reaktywowania "Solidarności" oraz roszczenia płacowe.

"W dziedzinie ekonomicznej, strajkujący domagali się między innymi, aby podnieść płace w górnictwie o 2,2 razy więcej, niż średnia krajowa, tzn. o około 100 tysięcy złotych".

Przyznam się, że byłam uderzona wygórowanymi żądaniem górników. Podwyżka o 100 tysięcy złotych jest bądź, co bądź w naszych warunkach podwyżką bardzo wysoką. Okazało się jednak, że moja nieufność była uzasadniona, bowiem "Gość" w 37 numerze wyjaśnił, iż górnikom chodziło o podwyższenie płac nie o 100 tysięcy złotych, ale do 100 tysięcy złotych. Jeśli przyjąć, że pół roku temu średnia krajowa wynosiła 46 640 zł, to górnicy domagali się dwukrotnej średniej, a więc nawet niecałych 100 tysięcy złotych. Błąd jakże znamienny w skutkach, wymagał natychmiastowego sprostowania. Na próżno jednak szukałam takiego wyjaśnienia na łamach "TR".

18 sierpnia "Trybuna" podała też: "Z dziedziny ekonomicznej strajkujący wysunęli postulat, aby zmniejszyć wiek emerytalny o 5 lat... W kop. "Manifest Lipcowy" oznaczałoby to przejście na emeryturę w wieku 38 lat".

W "Gościu" nr 37 czytamy natomiast: "Postulat 13 w tej sprawie brzmi: 'Zmniejszyć wiek emerytalny pracowników fizycznych powierzchni zaliczonych do I kategorii zaszeregowania o 5 lat, czyli z 60 do 55 lat'".

Od 19 sierpnia tematyka strajkowa zaczyna zajmować w "Trybunie" zdecydowanie więcej miejsca. Ukazują się już nie krótkie informacje, ale całe kolumny, poświęcone relacjom ze strajków w poszczególnych kopalniach. Dziennikarze zaczynają podpisywać swoje materiały, dotychczas opatrywane inicjałami. Już same tytuły narzucają czytelnikom jedyny sposób oceny wydarzeń: "Czy ten dramat był potrzebny?", "Jeszcze zniszczą naszą kopalnię", "Dyktat trwa", "Stanowisko strajkujących jest szkodliwe", "Na oczach górników giną kopalnie".

"Gość Niedzielny" jest oszczędny w słowach; tytuły artykułów przede wszystkim informują. Na przykład: "Strajki", "Stres strajkowy", "Zakończenie strajków", "Jastrzębie - wspomnienia i nadzieje". Od przyjętej zasady odstąpiono jedynie raz, opatrując materiał w 37 numerze tytułem "Jastrzębie" o bardziej emocjonalnym zabarwieniu.

19 sierpnia ukazała się w "Trybunie" informacja PAP: "Nie pozwala się grupom górników, którzy nie popierają strajków na podjęcie pracy. W kop. "Moszczenica" takie postawy spotkały się z brutalną akcją zatrzymania. Również ci górnicy, którzy chcą opuścić kopalnię i nie chcą uczestniczyć w strajkach okupacyjnych, są zatrzymywani przez samozwańcze bojówki, które występują zwykle pod szyldem komisji porządkowych".

Informacja agencyjna wpłynęła na jednoznaczny postawę strajkujących. Po prostu przestali rozmawiać z dziennikarzami "Trybuny". Redakcja nie miała innego wyjścia, jak przyznać się do tego publicznie. Całą jednak winą za kłamliwe informacje obarczono PAP (TR z 21.VIII.). "Już samo hasło "Trybuna Robotnicza" wywołuje wrogość, oto efekt komunikatu PAP donoszącego o terrorze strajkowym" - ubolewał dziennikarz "Trybuny".

Z artykułu red. Pawła Włeczorka, zamieszczonego w 37 numerze "GN", można było dowiedzieć się sporo o manipulowaniu informacjami. Red. Włeczorek podaje na przykład, iż pewnego ranka stał przed bramą kopalni "XXX-lecia". Obok niego cżyż-

rowało kilku milicjantów. W pewnej chwili usłyszał przez zakładowy radiowęzeł komunikat komitetu strajkowego następującej treści: "Właśnie telewizja regionalna nadała komunikat. Podała, że nie dopuszczamy do pracy górników, którzy stoją przed bramą". Dziennikarz "Gościa" na próżno szukał tych górników, lecz nikogo oprócz niego i milicjantów przed bramą nie było.

Prawdą jest, że przedstawiciele katolickiego tygodnika nie mieli żadnych problemów z uzyskaniem informacji od strajkujących górników. Prawdą jest jednak i to, że "...po kilku dniach strajków, kiedy górnicy mogli już zapoznać się z relacjami z ich zakładów pracy, opublikowanymi w różnych gazetach, pierwotna totalna niechęć do udzielania informacji komukolwiek z prasy ustąpiła zasadzie informowania selektywnego. Chętnie rozmawiano z korespondentami zagranicznymi, i pism katolickich, wpuszczano przedstawicieli "Życia Warszawy", "Polityki", "Przeglądu Tygodniowego", "Tak i Nie". Najgorszą markę miała codzienna prasa lokalna, a zwłaszcza telewizja katowicka, którą oskarżono o jawne fałszowanie rzeczywistości (GN nr 37).

Telewizja katowicka dwukrotnie podała informację - cytując za "Gościem": "...o pojawieniu się ognia i wybuchu metanu w wyrobiskach KWK "XXX-lecia" w Jastrzębiu. Strajkujący odpowiedzają natychmiast wydanym oświadczeniem, w którym stwierdzają między innymi: "Należy jak najszybciej i bardzo ostro, kategorycznie zdementować rozsiewane fałszywe wiadomości o sytuacji istniejącej w KWK "XXX-lecia". (...) Zagrożenie pożarowe w ścianie W-2 istniało już w dniu 13 sierpnia br., jednak dyrekcja fakt ten usiłowała ukryć. (...) Przypominamy, że gdy w marcu br. ściana B-6 paliła się otwartym ogniem, dyrekcja nie tylko nie powiadomiła o tym społeczeństwa, lecz nawet nie wstrzymała zjazdu górników na dół do pracy."

Z kolei 21 sierpnia o nieistniejącym pożarze w kopalni "Andaluzja" informował w telewizji wicepremier Szałajda, podczas, gdy bezstronny ekspert, prof. Bystroń, żadnego pożaru nie stwierdził.

Swoistego smaczku nabrała informacja na łamach "Trybuny" w dniu 23 sierpnia. W artykule na pierwszej stronie pod tytułem: "Pan hrabia wśród górników" sugeruje się czytelnikom jakoby strajki na Śląsku przygotowywali członkowie "Solidarności" z Warszawy, między innymi prof. Paweł Czartoryski. "Obecność pana hrabiego wśród klasy robotniczej jest zdumiewająca" - pisze "Trybuna".

Profesor Paweł Czartoryski znajdował się w grupie ekspertów, zaproszonych przez komitet strajkowy do pomocy w negocjacjach z władzą. Nie został jednak wcale do górników dopuszczony, a przeciwnie - był zatrzymany i przesłuchiwany w Katowicach. Na temat ekspertów nie znalazłam w "Trybunie" żadnej wiadomości.

Do hrabiego Czartoryskiego powróciła na łamach "Gościa" felietonistka "Nata" w numerze 36 tygodnika. Zwraca ona uwagę na to, iż: "tytuły arystokratyczne zostały w Polsce zniesione w 1918 roku, a gdyby nawet obowiązywały, to i tak rodzina Czartoryskich nosiłaby tytuł książąt, a nie hrabiów. Czyli lepszy. Prof. Czartoryski został więc w przekaznikach

jakby równocześnie i awansowany społecznie i zdegradowany. Mniejsza jednak o drobna dezinformację prasową historycznej - pisze felietonistka GN - godniejszej uwagi wydają jej się inne doniesienia z ostatnich dni. "Dotyczą one wprawdzie wydarzeń całkowicie nowych, ale ujęte bywają niekiedy tak, jakbyśmy się cofnęli w czasie o ładną parę lat, co najmniej osiem".

O tym, że Nata ma rację, niechaj zaświadczą próbki stylu, które wybrałam z "Trybuny". Np. 22 sierpnia TR pisze: "Przeraziła wizja chaosu, podziałów środowiskowych, codziennej uciążliwości i zniesienia tak żmudnie budowanej przez lata stabilizacji. (...) Warto przypomnieć, do czego doszliśmy: zamiast do zbudowania II Japonii - do kompletnego upadku gospodarczego, zamiast do porozumienia - do głębokich konfliktów, których przy stole obrad nie da się już rozwiązać, zamiast do dostatku - do pustych półek. Kraj został uratowany, ale przyszło nam za to ciężko płacić." Inna próbka z dnia 25 sierpnia. Komentator TR pisze: "Nie chodziło tu przecież o rozwiązanie robotniczych problemów, lecz o cyniczne wykorzystanie robotniczego niezadowolenia z trudnych warunków pracy. Wiadomo od dawna, że poprawić je można tylko spokojną, dobrze zorganizowaną pracą, wydajną pracą". I tak dalej w tym samym stylu.

Największych jednak manipulacji dopuszczono się w stosunku do katowickiego kościoła. Biskup katowicki Damian Zimoń skierował do diecezjan słowo pasterskie, którego pełny tekst został opublikowany w GN w nr 35.

23 sierpnia na łamach TR wydrukowano informację o słowie księdza biskupa i z obszernego tekstu zacytowano jedno, jedyne zdanie: "Ufam, że zarówno strajkujący górnicy, jak i dozór kopalniany, dając dowód gospodarskiej troski o nasze wspólne dobro, należycie zabezpieczą kopalnię i uchronią je przed szkodą." Komentator "Trybuny" dodał do tego zdania następującą uwagę: "Jak widzimy, słowo pasterskie nie zostało wzięte pod uwagę m.in. w kopalniach "Manifest Lipcowy", "1 Maja", "Moszczenica", "Andaluzja". W dalszym ciągu na plebani kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Jasztarzębiu-Zdroju czynny jest sztab strajkowy. Rolę gospodarza pełni ks. proboszcz B.Czarnecki."

Jakie stanowisko przypisuje ks. biskupowi tak spreparowana informacja, wyraźnie widać. Organ KW PZPR zacytował także słowa Ojca św. Jana Pawła II, wypowiedziane do górników w Piekarach, a przypominane przez ks. biskupa w liście pasterskim. Papież powiedział wówczas: "Praca jest powinnością człowieka, zarówno wobec Boga, jak też wobec ludzi, zarówno wobec własnej rodziny, jak też wobec narodu - społeczeństwa, do którego należy. Tej powinności odpowiadają też uprawnienia człowieka pracy... Prawo do sprawiedliwej zapłaty, sprawiedliwej, czyli takiej, która starcza też na utrzymanie rodziny. Jest również prawo do wypoczynku. Ze sferą uprawnień ludzi pracy łączy się również sprawa związków zawodowych".

"Trybuna" zamieściła jedynie pierwszą część zdania Ojca św. - tę o pracy, nie wspominając ani słowem tego, co papież powiedział o uprawnieniach człowieka. Z listu pasterskiego



opuszczono też tendencyjnie taki fragment słów ks. biskupa: "...Apeluję do tych wszystkich, którzy mają jakikolwiek wpływ na obecny bieg wydarzeń, by w duchu odpowiedzialności za losy Polaków zechcieli podjąć trud negocjowania, by na drodze rozmów przywrócić sprawiedliwość w naszych stosunkach społecznych. Ze swej strony zapewniam Was, drodzy Diecezjanie, że w ramach moich możliwości uczynię wszystko, by przyczynić się do rozwiązania obecnego konfliktu. Kroki takie zresztą już podjąłem. Stawiam też wyraźny postulat, aby z wielką powagą traktować ludzi pracy ciężkiej pracy. Trzeba całej prawdzie spojrzeć w oczy, by nie popełniać kolejnych błędów i wypaczeń. Trzeba także obiektywnej informacji o strajkach i ich przyczynach".

List pasterski odegrał ogromną rolę w łagodzeniu stresu strajkowego. "Dzięki nabożeństwom i poczuciu wsparcia społecznego ze strony kościoła, strajkujący robotnicy potrafili dostrzec potrzeby i wartości wyższe w czasie długich dni i nocy stresu strajkowego, bardzo obciążającego psychicznie. Wartości te tworzyły pomost dla dialogu i wyjścia z sytuacji" - napisał w 45 nr. "Gościa" Adam Biela, psycholog zajmujący się analizą stresu.

Na łamach TR nie znalazłam również informacji o roli mediacyjnej, jakiej podjął się biskup Zimoń w sytuacji wzrastającego zagrożenia w kopalni "XXX-lecia". Dla przypomnienia: 23 sierpnia w kopalni tej zaostrzył się konflikt między strajkującymi, a dyrektorem, który groził użyciem siły. W rezultacie 125 górników zeszło po drabinie na dół i 580 metrów pod ziemią podjęło strajk okupacyjny. Z 36 numeru "Gościa" dowiadujemy się, "...że do kopalni udała się delegacja, w skład której wchodził sekretarz biskupa ordynariusza i kanclerz kurii. Zawieźli oni list ks. biskupa Damiana Zimonia do górników. W wyniku negocjacji książy z dyrekcja kopalni, górnikom zagwarantowano bezpieczeństwo, dyrekcja zobowiązała się nie zwalniać nikogo dyscyplinarnie, a prokurator rejonowy umorzył postępowanie przeciwko członkom komitetu strajkowego. Na tych warunkach zakończono strajk". W niedzielę 28 sierpnia w Jastrzębiu przebywał ks. biskup Damian Zimoń, który przewodniczył liturgii i skierował słowa otuchy do zebranych górników.

W miarę wygasania strajków w poszczególnych kopalniach, w "Trybunie" zmniejsza się ilość informacji na ten temat. Powoli wszystko ucicha, wraca do normy. Tymczasem "Gość" poświęcił sporo miejsca właśnie zakończeniu strajków, podając dokładny kalendarz, a także drukując dokumenty podpisane w KWK "Manifest Lipcowy" i "Jastrzębie" w dniach 2 i 3 września, gwarantujące bezpieczeństwo strajkującym górnikom (GN nr 38).

Do strajków wrócono jeszcze w październiku (GN nr 41), publikując rozmowę z przedstawicielami MKS na temat nadziei po strajkach, a także na temat represji, które jednakże spotkały strajkujących górników. Zwolniono 141 górników, 211 powołano do wojska, „szczęto śledztwo przeciwko 44 osobom.

Interesującą rozmowę od strony wydarzeń, od strony psychologicznej, zamieścił w 45 nr. "Gościa" wspomniany już Adam Biela. Pisze on między innymi: "Wydaje mi się, że rze-

czywistość dojrzała już do tego, aby na sytuację spojrzeć bardziej obiektywnie z punktu widzenia samych strajkujących, a nie tylko z perspektywy oficjalnych środków masowego przekazu. Psychologiczna prawda o strajku domaga się analizy... Doświadczenia te mogą zostać z powodzeniem wykorzystane w organizacji pracy oraz w podnoszeniu motywacji pracy. Wymaga to jednak zmiany perspektywy myślenia o strajkach... z kategorii negatywnych i destrukcyjnych na integracyjne i pozytywne".

W "Trybunie", po zakończeniu strajków znalazłam natomiast 8 września polemikę z publicystą "Gościa" red. Pawłem Wieczorkiem i jego artykułem pt. "Jątrzenie" (GN nr 37), w którym autor ujawnił manipulowanie informacjami i fałszowanie rzeczywistości. Red. Ireneusz Łęczek z "Trybuny" nazwał artykuł w "Gościu" polityczną pyskówką, a jego autora przestrzegł, aby bał się grzechu. Pełen samozadowolenia dziennikarz "Trybuny" podał, iż podczas strajków gazetę sprzedawano tak znakomicie, że redakcja podwoiła nakład, a przed kioskami ustawiały się setki tysięcy czytelników, przekonanych o wiarygodności swojego dziennika.

Nawet szatan stracił cierpliwość, czytając podobne wynurzenia i tak pomieszał tytuły, że powyższy tekst ukazał się w rubryce pod tytułem "Osobliwości".

Sądzę, że przytoczone przeze mnie przykłady są tak wymowne, że nie wymagają żadnych komentarzy. Czytelnicy zrobili to znacznie lepiej sami, wybierając tytuł, do którego mają zaufanie.

Jerzy Katarasiński

NA PIĘTRACH I NA SCHODACH PROPAGANDY  
(Na podstawie lektury "Dziennika Łódzkiego"  
w 1988 r.)

Podstawą do wynurzeń, które chcę przedstawić, jest lektura "Dziennika Łódzkiego" w II półroczu 1988 r. Interesuje mnie sposób informowania, zdobywania i przetwarzania informacji, dotyczących wydarzeń społeczno-politycznych w kraju.

1. W ciągu omawianego półroczu nie było widać w gazecie śladu ambicji zespołu, aby dostarczać czytelnikom wiadomości polityczne z pierwszej ręki. Obserwujemy kompletny brak reportaży, których autorzy wyrabialiby sobie pogląd na temat wydarzeń, zjawisk, kwestii politycznych na podstawie bezpośrednio, samodzielnej obserwacji, ani też pogłębionych artykułów problemowych. Wszystkie publikacje, dotyczące spraw politycznych, pochodzą z "drugiej", "trzeciej" ręki i w większości podawane są za Polską Agencją Prasową, traktowaną jako miarodajne źródło, który to pogląd bardzo często jest, jak się okaże, grubym nieporozumieniem. Bliższe prawdy jest określenie PAP jako źródła dezinformacji.

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

Podczas omawianego półrocza, charakteryzującego się m.in. rozległymi akcjami strajkowymi, dziennikarze DŁ nie pojawili się a n i r a z u w żadnym z ognisk strajków. Nie było ich w Szczecinie, Gdańsku, na Śląsku, w Stalowej Wolii. Absolutny monopol informacyjny został tu z jednej strony z a w ł a s z c z o n y przez PAP, a z drugiej - o d d a n y, jak się wydaje bez walki, Polskiej Agencji Prasowej, która nieustannie mogła informować, że strajki są nielegalne, nie przynoszą nic prócz szkód, że strajkujący stosują terror itd., itp.

Mimo braku informacji własnych, redakcja zdobywa się jednak na pierwszoplanowy własny k o m e n t a r z. Natychmiastem do niego są informacje agencyjne i telewizyjne - bieżące, a także reminiscencje z roku 1980, kiedy to na strajk Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego gazety łódzkie rzuciły się tytułami "Przeciwko komu", "Komu to służy", "W czym interesie". Ta sama argumentacja, ten sam sposób obrazowania. Przez minione lata komentator nie nauczył się dokładnie niczego. I tym razem, tak jak w roku 1980: "niepokój wdziera się do naszych domów... nikt nie ma złudzeń co do jednego - strajki prowadzą do dalszych komplikacji w naszym i tak trudnym, pełnym napięć i trosk życiu".

Komentatora, który lubi wypowiadać się w nieswoim imieniu ("nikt nie ma złudzeń"), nie obchodzi nic, poza własnym spokojem. Ogląda więc na ekranie TV: "grupy młodych ludzi wymachujących potężnymi pałami", a także "doświadczonego dokera", który "ukradkiem ociera łyż, gdy mówi o swym rozdarciu między poczuciem więzi z kolegami z pracy, a świadomością bezsensu tego co oni robią". ("Nasz punkt widzenia", 23.08.88).

Nie fatyguje się jednak anonimowy komentator, by ruszyć swoje siedzenie z krzesła. Nawet już nie odczuwa idiotyzmu sytuacji, w której on - dziennikarz komentuje nie "samo życie", do czego jest zobligowany istotą zawodu, lecz obraz tego życia, spreparowany przez speców od propagandy siedzących w KC PZPR, w centralach PAP i TV. Komentator DŁ przestał już nawet odczuwać swą śmieszność - nie widzi, że demaskuje się tytułem "Nasz punkt widzenia", umieszczając ten punkt, mimo woli, bardzo dokładnie: przed telewizorem, za biurkiem zarzuconym depeżami PAP.

Z tego punktu widzenia, z punktu widzenia, który zajął, nie widać oczywiście "potężnych pał" zomowców, ani też robotnic i robotników, pobitych w maju przy pacyfikacji Nowej Huty, ani prowokacji nadzoru, ani arogancji dyrekcji, ani też postulatów strajkujących, którzy jawią się "z punktu widzenia" komentatora jako ciemna, zanarchizowana masa warchołów, chcących nie wiadomo czego i dlaczego, przeskakujących porządny ludziom pracować, a później odpoczywać przed telewizorem, z "Dziennikiem Łódzkim" w rękę.

"Nikt w Europie nie traktuje warcholstwa jako cnoty, a z tej niechlubnej cechy słyneliśmy już nazbyt długo. Najwyższy czas, by zadbano o to, by obraz Polski nie składał się z wieści o niepokojach i strajkach" - denerwuje się komentator, zajmując 24.08.88 kolejny "Nasz punkt widzenia".

Zgadzam się z tym, że "najwyższy już czas, by zadbać". Jak to jednak zrobić - tego rodzaju pytań nie zadaje sobie publicysta, którego zaangażowanie polega na wyrażaniu zgorznienia, obaw, strachu, niepokoju, a skutecznością dorównuje ś.p. Jerzemu Łukaszewiczowi, który, aby obraz Polski był bardziej prawdziwy, po prostu zakazywał pisania "o niepokojach i strajkach".

Taka polityka informacyjna niecierpliwi jednak nawet zdrowych moralnie czytelników, godzących się odpowiadać na pytania gazety: "Mamy za mało informacji ze Śląska. Ja osobiście nie rozumiem, jak może mała grupa ludzi wstrzymać pracę całej kopalni. Chciałabym wiedzieć dokładnie, o co strajkującym chodzi, byłoby mi wtedy łatwiej wyrazić opinię" - czytamy wypowiedź Alicji Kotkowskiej, kierowniczki sekretariatu "Elektromontażu".

"Nie mogę wypowiedzieć się zbyt szczegółowo o obecnych strajkach, gdyż środki przekazu nie podały dokładnie postulatów i żądań strajkujących ludzi" - odpowiada Jan Dreszer, adwokat. ("Opinie Czytelników DŁ" 26.08.88.)

Mniejsza już o to, że "środki przekazu" nie tyle nie podały "dokładnie" postulatów, ile nie podały ich w ogóle. Te znamienne sygnały czytelników, skądinąd zdeklarowanych przeciwników strajków, nie znajdują żadnego dalszego ciągu. Dzieje się tak mimo tego, iż - jak może wynikać z samego faktu opublikowania krytycznych wypowiedzi - gazeta zdaje sobie sprawę z ułomności swoich informacji. Sygnały z obu tych źródeł zostają pominięte przez decydentów prasy. Odpowiedź na pytanie "dlaczego" - pozostawmy na później.

2. Spróbuję teraz unaocznić, jak powstaje komentarz redakcyjny, jak się obrabia informacje, jak cienka jest granica między prawdą a fałszem.

16 grudnia, w piątek, dziennikarz Jerzy Bąbol w rubryce "DŁ komentuje" pisze o tym, co się zdarzyło we wtorek, 13 grudnia, a więc trzy dni wcześniej. Zadziwiające tempo, jak na gazetę codzienną, w której recenzje telewizyjne, a bywało że i recenzje teatralne, pisywało się z dnia na dzień. Pisze jednak dziennikarz o tym, co się zdarzyło w Warszawie, Wrocławiu, Lublinie, Krakowie - może miał trudności z dotarciem do redakcji, a teleksy, powiedzmy - zamokły?

Nie, nic takiego. Dziennikarz Jerzy Bąbol nie ruszał się z Łodzi i tak naprawdę wcale nie pisze o tym, co gdzieś tam się zdarzyło, lecz o tym, co na ten temat wyczytał - jak sam pisze - w "prasowych relacjach". Pisze więc: "w prasowej relacji z incydentu w Warszawie czytam" (i tu dwukropki i cytat).

W tym momencie zastanowiłem się dlaczego Jerzy B. tak enigmatycznie określa źródła, na które się powołuje, i oto przy pomocy dociekliwości doszedłem, że informacje, które teraz obrabia, pochodzą nie skądinąd tylko z "Dziennika Łódzkiego" o dwa dni wcześniejszego i są sygnowane literkami "PAP".

Dlaczego Jerzy B. nie podaje źródła informacji, z których korzysta - nie wiem. Zapewne jakiś powód jest. Może chodzi o zachowanie smaku tajemnicy - "jak donoszą miarodajne źródła



z Tokio..." - i zaraz widzimy dyplomatów, szpiegów i innych takich.

Zostawmy to jednak specjalistom od psychologii twórczości. Jeśli o to natracam, to tylko dlatego, że chcę zwrócić uwagę na to, iż mamy do czynienia z wyższym niż uprzednio piętrem dziennikarstwa. Otóż uprzednio, jak pamiętamy, komentator komentował rzeczywistość oglądaną przez okno telewizora. Teraz komentator komentuje wiadomość dwa dni wcześniej wyczytaną w swojej gazecie, którą uprzednio przygotowała Polska Agencja Prasowa na podstawie tego, co zostało ustalone w Komitecie, według informacji dostarczonych, w tym przypadku, przez policję.

W socjalistycznej "globalnej wiosce" dziennikarz ma tę wygodę, że nie musi nigdzie jeździć, ani nigdzie być. Wszystko dostaje na talerzu, a cały jego kunszt polega na tym, aby ukryć te kolejne piętra, na które informacja i prawda się wdziera i stworzyć wrażenie, że czytelnik pije prawdę wprost ze źródła.

Komentuje dalej Jerzy B.: "Sądzę, że coś symbolicznego było w tym fakcie, iż zajęcia te (chodzi o wystąpienia młodzieży w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego - przyp. J.K.) miały miejsce w pobliżu pomnika Mikołaja Kopernika. Czyżby próba ironicznej, przewrotnej ilustracji tezy naszego wielkiego rodaka, że "pieniądz gorszy wypiera lepszy" - tym razem w dyskusji politycznej"? - zapytuje komentator.

Nie będę się zajmował łamańcami myślowymi. Zaciekawiko mnie, co może być intencją całego tego wywodu. Młodzież warszawska protestująca "w pobliżu pomnika" kojarzy się na ogół nie z teorią pieniądza, lecz po prostu z Marcem '68, kiedy to także protestująca młodzież wcześniejszego nieco pokolenia była palowana pod pomnikiem przez zdrowe siły narodu. Jerzy B. świadomie, czy też mniej świadomie, chce wyprzeć jedną zbitkę pojęciową przez drugą - tę "pieniężną" (inna sprawa, że całkiem nieudolnie).

Dalej ciągnie Jerzy B.: "Podobnie chyba myślą i przywódcy opozycji, skoro mogą przeczytać informację" (...) - i tu następuje cytata, którego źródła, zgodnie z nagminną praktyką zaangażowanego dziennikarstwa Jerzy B. nie ujawnia. Wyjaśniam więc - sprawdziłem - tym razem chodzi o cytata z wypowiedzi Jerzego Urbana, którą komentator wyczytał oczywiście w "Dzienniku Łódzkim" 14 grudnia. W cytacie tym czytamy: "J.H. Onyszkiewicz (co może znaczyć ten drugi inicjał? - przyp. J.K.) oświadczył zachodniej prasie, że dawni przywódcy "Solidarności" odcinają się od ulicznych ekscesów i haseł godzących w ten związek..."

Coś mnie tknęło i zacząłem analizować ten cytata. Czy Onyszkiewicz mógł użyć zwrotu "dawni przywódcy "Solidarności"? Oczywiście nie. I zwrotu takiej nie użył. Użył go Jerzy Urban, a Jerzy B., bezmyślnie, czy też rozmyślnie, cytując rzekomy cytata, włożył go w usta Onyszkiewicza.

(Tu można by pomówić o opiętrach cytowania na podstawie cytatu cytowanego uprzednio przez cytującego, ale nie chcę nużyć teorią).

Nie koniec na tym. Onyszkiewicz istotnie potępił ekscy-  
sy grup młodzieży (nie warszawskie jednak, lecz gdańskie z  
11.12.88.). Uczynił to w następujących słowach: "(...) Wszy-  
scy ci, którzy brali udział w tych godnych potępienia dzia-  
łaniach (chodzi o rzucanie kamieniami i próby podpalenia -  
przyp. J.K.) winni sobie uswiadomić, że bez względu na in-  
tencje działali w interesie sił i grup wrogich "S". Działa-  
li przeciw ideałom, którym "S" służy. Prawdą jest, że mili-  
cja, a w szczególności ZOMO, często ucieka się do stosowa-  
nia uderzająco brutalnych środków. W tym klimacie brutalnoś-  
ci wyrastali młodzi ludzie, którzy brali udział w tych zajś-  
ciach. (...)" (cytuje za "Tygodnikiem Mazowsze" nr 275)

Przytaczam ten szerszy cytat z oświadczenia J.Onyszkie-  
wicza nie tylko dla porządku. Oto Jerzy B., komentator, obu-  
rza się na młodzież, na zajścia przez nią wywołane, na has-  
ła "Bolszewicy do kaplicy", "Znajdzie się pała dla genera-  
ła", ale przyczyn takich postaw nie szuka. On po prostu obu-  
rza się. I na tym koniec. Od komentatora żądałbym, aby wy-  
szedł ze skóry tuwimowskiego "straszego mieszczanina", któ-  
ry wszystko widzi osobno, nie dostrzega związków, jakie ist-  
nieją między zjawiskami. Jeden z powodów agresji młodzieży  
określił Onyszkiewicz. Gdyby Jerzy B. czytał cokolwiek poza  
wykastrowanymi wiadomościami PAP, zamieszczanymi w jego ga-  
zecie, lub choćby nieco uważniej czytał własną gazetę, w  
której pełni funkcję zastępcy redaktora naczelnego, jego ko-  
mentarz na temat zajść z 13.12. mógłby być nieco pogłębiony.  
Zapamiętałby z niej takie np. wypowiedzi czytelników: "Ja  
już 10 lat czekam na mieszkanie. Mam teraz 32 lata. Ciekawe,  
ile będę miał kiedy wreszcie zamieszkać we własnych ścia-  
nach?" "W hotelu "Skogaru" mieszkają młode meżatki z dzieć-  
mi, a mężowie-ojcowie "funkcjonują" tam jako dochodzący.  
Jak taka rodzina na spełniać swoje podstawowe zadania, a  
zwłaszcza wychowywać dzieci?" "Dużo się mówi o stawianiu na  
młode pokolenie, ale czy faktycznie się na nie stawia? Jakie  
są przyczyny bierności, inercji, bezwładu, powody tego, że  
młodzi ludzie szukają perspektyw życiowych i zawodowych po-  
za krajem?".

Nawet generał Jaruzelski powiedział, co odnotowano w "DE":  
"Ktoś tutaj użył określenia "młodzi pozostawieni zostali sami  
sobie". W pewnej mierze można się z tym zgodzić. Świadczy  
o tym m.in. sytuacja w części hoteli robotniczych. Nie jest  
w nich dobrze. Nic więc dziwnego, że właśnie tam rodzi się  
nastroj niezadowolonia, czasem wręcz buntu."

Wszystkie cytaty pochodzą z "Dziennika Łódzkiego", z dru-  
giego półrocza ub.r. Tym razem nie podam ich miejsca - niech  
komentator Jerzy Bąbol poświęci i sam poszuka. Być może,  
zacznie mu się wtedy coś z czymś kojarzyć, być może nabierze  
ochoty na wyjazd w teren, kontakt z ludźmi, a nie tylko z ko-  
mitetem, telewizorem i biuletynem PAP. I być może dojdzie do  
wniosku, że młodzież, zważywszy na warunki, w jakich żyje,  
mamy cudowną, spokojną i cierpliwą... I że takie PAP-lanie,  
jak jego, tylko jatrzy.

3. To, o czym mówiłem do tej pory, pokazywało jak - w  
gruncie rzeczy - łatwo, zrobić z prawdy nieprawdę, jak kon-  
struować świat nierzeczywisty. Poniżej chcę pokazać, że pro-

ces odwrotny - niwelowanie nieprawdy, jest o wiele trudniejszy, jeśli w ogóle - w naszych warunkach - wykonalny.

Przypomnijmy np., że w słowie października ub. roku pojawiły się w prasie informacje PAP, mówiące o tym, iż Janusz Onyszkiewicz poddał się "przesłuchaniu" przed Kongresem USA. W Oświadczeniu rzecznika MSZ, opublikowanym przez całą prasę codzienną, w tym i przez DŁ (takie publikacje objęte są n a k a z e m druku), znajdujemy passus: "Po raz pierwszy obywatel polski zamieszkały na stałe w kraju uczestniczył w tzw. przesłuchaniu (termin angielski: hearing) przed komisją Kongresu, którego przedmiotem były m.in. sprawy wewnętrzne naszego kraju i stosunki państwowe Polski z USA."

Po takim dictum nawet życzliwi Onyszkiewiczowi, ale mniej zorientowani w możliwościach propagandy, mieli za złe Januszowi, że wdał się w taką aferę, Jakieś przesłuchanie, przed Kongresem USA. Zapachniało zdradą, szpiegostwem.

Co się tymczasem okazało. Termin "hearing" nie ma żadnego związku ze słowem "przesłuchanie" (np. przed ubecją). Nie chodziło o wystąpienie przed Kongresem jako takim, ani przed "jakąś" jego komisją, lecz przed komisją, mającą konkretną nazwę. Każde pominięcie, czy przeciwnie - ogólnikowe objaśnienie, nie mówiąc o zafałszowaniu, gra w tak spreparowanej informacji znaczącą rolę.

Oddajmy jednak głos Onyszkiewiczowi, który w publicznie, przed dziennikarzami zagranicznymi złożonym Oświadczeniu (wobec czego zdecydowano się tym razem przytoczyć je w prasie, w DŁ 14.10.), stwierdza, że występował przed Komisją Helsińską Kongresu USA, i wypowiadał się na temat nie niczego innego, lecz nieprzestrzegania praw człowieka przez rząd PRL. Kwestie te nie są według niego wewnętrzną sprawą każdego z państw, gdyż w przeciwnym wypadku nikt nie miałby prawa potępienia apartheidu itd., itp. Onyszkiewicz konkluduje: "Jest znamienne, że wysuwając wobec mnie zarzuty nie usiłuje się w ogóle podać choć jednego fragmentu mego wystąpienia. Domagam się więc opublikowania w środkach masowego przekazu jego pełnego tekstu, a także pytań i odpowiedzi. Polskie społeczeństwo będzie mogło wtedy ocenić bezzasadność zarzutów i dopiero wtedy okaże się, kto czym interesom służy."

Tekst wystąpienia Onyszkiewicza nie ukazał się w prasie do tej pory. Nie o to przecież chodziło, aby czytelnik dowiedział się, co istotnie mówił Onyszkiewicz. Chodziło o stworzenie wrażenia, że obywatel polski dokonał czynu hańbiącego. Miało to go zdyskredytować w krętkości jego udziału w przygotowaniach do "okrągłego stołu" i było częścią kampanii mającej rozmiękczyć stronę "solidarnościową", a zarazem otoczyć ją nieprzyjemnym zapachem. że to mało skuteczne? Spróbować warto. Zawsze się tam coś do człowieka przyklei. "Ukradł czy jemu ukradli? - Cóż za różnica. Był zamieszany w kradzież"...

Znamienne jest, że redaktor naczelny DŁ, Henryk Walenda, dobrze chyba zorientowany w obyczajach amerykańskich jako były pracownik ambasady PRL w Waszyngtonie, rozumiejący znaczenie terminu "hearing" i wiedzący, czym jest Komisja Hel-

sińska, nie zajął w tej sprawie stanowiska w swoich "Komentarzach, faktach, ciekawostkach", nie skomentował Oświadczenia MSZ.

Inna sprawa, która również nie znalazła uczciwego finału, to zafalszowanie przez PAP "Oświadczenia Sekretariatu Episkopatu Polski" z dnia 12.11.88 r., które ukazało się w prasie codziennej 17.11. w mocno okrojonej formie. Pozbawiono je dwu istotnych fragmentów. Pierwszy brzmi:

"Historia jednoznacznie nas poucza, że rządzący obóz polityczny nie potrafi rozwiązać palących problemów kraju bez szerokiego udziału społeczeństwa".

Drugi, o wiele pojemniejszy, mówi o kampanii propagandowej przeciw pluralizmowi społecznemu, o niewykonaniu porozumienia w sprawie zaniechania represji wobec uczestników strajków i odnosi się do decyzji zamknięcia Stoczni Gdańskiej.

"Pozbawienie opublikowanej wersji Oświadczenia tych fragmentów nadało Oświadczeniu wymowę całkowicie odmienną od tej, którą ono posiada. Trudno o lepszy przykład manipulacji, żeby nie użyć słowa fałszerstwo" - komentuje ten fakt "Tygodnik Powszechny" z 27.11., publikujący jednocześnie pełny tekst Oświadczenia.

Jaki jest jednak stosunek wielkości nakładu "Tygodnika Powszechnego" do wielkości wszystkich gazet codziennych w Polsce?

Dlaczego Edmund Tulko, prowadzący w DŁ rubrykę "Na innych łamach" nie uniósł się dziennikarskim honorem, na który tak chętnie się powołuje i nie opublikował w swojej rubryce przedmiotu kastracji propagandowej, sprawczynią której stała się i jego gazeta? I to pytanie pozostawmy na razie bez odpowiedzi.

4. Zadziwiająca, że dziennikarze z DŁ, zwłaszcza ci, którzy sprawują swój zawód zza biurka, narażeni być może na pośmiewanie się na korytarzach instancji partyjnej, czy też na choroby powodowane siedzącym trybem życia, żyją w poczuciu zagrożenia. A przynajmniej chcą wywoływać takie wrażenie. Zwierza się Edmund Tulko w jednym ze swoich felietonów "Zapiski współczesne": "Pytają mnie niekiedy, po co piszę, narażając się tak wielu" (24-25.09.88), sugerując - że się naraża. Komu? Władzy? Ależ felietony jego, pisane z bezpiecznym dystansem czasowym do zdarzeń, są doskonale ubezpieczone przed jakąkolwiek światoburczą myślą, oryginalnością, świeżością. "Dostałem za te poglądy wiele szturchańców" - dodaje E. Tulko dwa miesiące później. Od kogo? Chyba od czytelników, że tak mija się z czasem, chodzi bokiem, kluczy, aby tylko nie wyjawiać nie ubezpieczonego poglądu.

Lubi Tulko stawiać siebie za wzór. Nieugiętości, trwałości poglądów. Nie cierpi np. Jacka Maziarzkiego za to, że zmienił obóz polityczny: z "Kultury" i "Polityki" przeszedł do katolickiego "Żądu". Red. Tulko, jak można z tego wnioskować, jest jak opoka. Można by przypuszczać, że gdyby w młodości był faszystą, zostałby nim do końca. Dla zasady. A jednak pisze Edmund Tulko w tym samym felietonie (3-4.09.88.), że "gdy Maziarzkiemu nie śniło się pisanie o Marszałku, na



licznych imieninach, weselach i innych uroczystościach zapraszanych śpiewałem i "Pierwszą Brygadę" i "Siwy strzelca strój", co "jedzie na Kasztance".

Mundek, to ja Ci coś powiem. Już nie trzeba się kryć. Lepiej jest zmienić poglądy, niż mieć je podwójne. Bo z tego rodzaju się paranoje.

Mundek, na Boga, już można, a nawet trzeba zmieniać poglądy. Jest o tym napisane w Twojej gazecie. "To, co było kiedyś antysocjalistyczne, dziś jest socjalistyczne i do tych przemian trzeba się dostosować". (20.09.88, sprawozdanie z obrad Plenum KW PZPR w Piotrkowie Tryb.)

5. Nie trzeba zbyt wiele, by zeszmacić gazetę. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym stwierdził, że wyłącznie taki jest obraz "Dziennika Łódzkiego" oraz obraz kreowany przez "Dziennik Łódzki". Na ogół uczciwie robiona jest skromna, bo skromna, ale jednak - publicystyka społeczno-gospodarcza i ekonomiczna. Celne są felietony "DŁ komentuje", poświęcone tym tematom. Znajdują tu wyraz zale ludzi, ich pretensje, nonsensy gospodarowania. Nie chcę wymieniać nazwisk autorów, aby nie wyrządzić komś niedźwiedziej przysługi.

Na uwagę zasługują też niektóre wywiady, np. z prof. Józefem Kaletą, Aleksandrem Paszyńskim, Alfredem Miodowiczem, w których dziennikarze odsłaniają niezły warsztat i wiedzę. Są one, jak przypuszczam, także pośrednim sposobem wyrażania własnych niepokojów i poglądów, które nie znajdują ujścia w formach bezpośrednich, odautorskich.

W żadnej jednak mierze wnioski z tych publikacji, odnoszące się do różnych środowisk, zakładów pracy, branż, nie są uogólniane. Obraz życia społeczno-politycznego jest niespójny. - Tu i tam źle się gospodaruje - pisze publicysta ekonomiczny. - Tu i tam źle się ludziom żyje - pisze publicysta społeczny. - Związki zawodowe troszczą się o ludzi pracy - pisze publicysta społeczny. - "Solidarność" jest wredna - pisze publicysta polityczny. Ale nie ma takiego publicysty bez przymiotników, który by ten rozsypany świat zebrał do kupy, przyjrzał się mu wnikliwie i napisał, jak to jest w ogóle.

6. Zadałem po drodze kilka pytań. Teraz mogę się już przyznać, że nie mam zamiaru odpowiadać na nie. To są pytania prowokacyjne, mające skłócić środowisko dziennikarskie z sobą, z władzą i z czytelnikami.

Dziennikarze "Dziennika Łódzkiego", nie myślę o tych najbardziej dyspocyjnych, odpowiedzialiby zapewne że takie są układy, że jest cenzura, są zakazy, nakazy, embarga. To wszystko prawda. Ale niecała prawda. Czyli nieprawda. Bo jest także przymykanie oczu, lenistwo, wygodnictwo, tchórzostwo, a w sumie - jedna wielka nieodpowiedzialność.

A tu tymczasem Zarząd Główny SD PRL wydaje Oświadczenie, w którym czytamy: "Waży się przyszłość Polski. Środowisko dziennikarskie zawsze wrażliwe na polityczne i gospodarcze warunki tworzące klimat nastrojów i dążeń społeczeństwa jest

tego szczególnie świadome." Oświadczenie zostało przekazane (DL, 13.10.88.) za pośrednictwem Polskiej Agencji Prasowej, być może przez dziennikarza, który nabreszył o strajkujących-terrorystach, nakłamał o Onyszkiewiczzu, czy skastrował Oświadczenie Episkopatu...

### Iwona Śledzińska-Ratarasińska

"WOLNO - ALE NIE CHCZMY..."

("Głos Robotniczy" w drugiej połowie 1988 r.)\*

Zabierając się do lektury "Głosu Robotniczego", wypadałoby zadać sobie na wstępie pytanie - czy to w ogóle jest gazeta, czyli najogólniej mówiąc, przekaznik informacji? "Głos Robotniczy" jest pismem PZPR i doprawdy trudno go oskarżać o to, że na swoich łamach nie zamieszcza codziennie pełnego o serwisu doniesień z kręgów kościelnych, opozycyjnych, ludowych, rzemieślniczych, TPD-owskich itp. Niemniej, jeśli jest gazeta, to mamy prawo oceniać go, niezależnie od partyjnej ideologii, pod kątem zwykłego dziennikarstwa. Rzetelnego i fachowego.

Nie trzeba czytać hurtem 150 numerów GR, by wysnuć wniosek, że jego łamy służą prawie i wyłącznie uprawianiu propagandy, rządzącej się własnymi prawami naginania faktów do wymogów decydentów. Podobnie było 10, 15, 20 i więcej lat temu. Jednak w roku 1988 nastąpiła liberalizacja cenzury i rozmyły się nieco władcze uprawnienia instancji partyjnych, co dawało szansę tym, którzy chcieliby coś powiedzieć "od siebie". A konkurencja ze strony powszechnie obecnych w naszych domach zachodnich rozgłośni polskojęzycznych oraz niezależnych mass-mediów winna zmobilizować partyjnych propagandystów do wdrapania się na szczyty argumentacji i talentu.

Czy i jak wykorzystano te nowe możliwości?

Gazeta przynajmniej w połowie była redagowana "centralnie". Im trudniejszy, obfitujący w polityczne wydarzenia okres, tym większa przewaga materiałów agencyjnych nad wtórującymi im jedynie informacjami, bądź komentarzami własnymi. Można pozaздrościć dyżurującym w redakcji nocnej cenzorom, iż w tak gorących dniach sierpnia, września, października i listopada, nie musieli przeżywać stresów ani lęków. Gotowe, ocenzurowane, jedynie słuszne teksty z PAP, bądź "Interpresu" modelowały obraz rzeczywistości, zgodnie z programowanymi "na górze" falami przepływu i odpływu agresji, fałszu bądź umiarkowania i "otwarcia".

W lipcu - po wyborach do rad narodowych, po VII Plenum, w trakcie wizyty Gorbaczowa, a jeszcze przed strajkami - trwano w schematach propagandy umiarkowanego sukcesu. Ot, coś takiego - było źle, jest nie najlepiej, ale partia i rząd czynią starania... Szczodrze raczono nas agencyjną "normalką",

\* Tekst autoryzowany (przyp. red.)

ładź - jak powiedziałyby Stefan Bratkowski - informacyjną "magma".

Nie udało się jednak utrzymać tego tonu w sierpniu. Także za sprawą agencji zostaliśmy nagłe zasypani lawiną informacji o narastającym kryzysie. Równocześnie na forum publicznym przebija się idea paktu antykryzysowego, sprytnie jednak "odebrana" prawdziwym pomysłodawcom. W sprawozdaniu z dyskusji zorganizowanej przez KR PRON ("Czy Polsce potrzebny jest pakt antykryzysowy?" - GR z 4.08) nie ma ani słowa o autorstwie, a z opublikowanego pięć dni później wywiadu z Mariuszem Gulczyńskim ("Nikt nie ma monopolu na rację") można odnieść wrażenie, iż zasługi należałoby przypisać redakcji "Konfrontacji". Czołowego ideologa PZPR stać już co prawda w tym wywiadzie na wymienienie nazwiska doc. Geremka, nie stać już jednak na przyznanie, iż doc. Geremek sformułował na łamach "Konfrontacji" idee tego paktu.

Podobną metodę - trochę prawdy, która uwiarygadnia fałsz - zaczęto stosować powszechnie. 4 sierpnia mogliśmy się np. za PAP-em dowiedzieć - "Co się zdarzyło w "Rudnej". Sądząc z notatki - zdarzyło się niewiele. 3 maja załoga zaprotestowała, oficjalne związki zawodowe zawarły z dyrekcją stosowne porozumienie, a 29 lipca jakiś komitet organizacyjny zarzucił im brak troski o realizację tego porozumienia. Na pytanie dziennikarza PAP o znaczenie tego konfliktu, przedstawiciel neozwiązków odpowiada: "Próba dyskredytacji porozumień z 4 maja była tylko pretekstem do rejestracji byłej "Solidarności". Informacja kończy się więc takim oto komentarzem: "Praca w kopalni "Rudna" i innych zakładach górniczych zagłębia miedzianego trwa bez zakłóceń. Wbrew doniesieniom RWE, o "wydarzeniach" z 29 lipca pamięta tylko garstka kucharzy, którzy chcą upiec pieczeń, ale brakuje im oliwy."

15 sierpnia okazało się jednak, że gastronomiczny dowcip rządowej agencji nie wytrzymał próby czasu. Może nie trzeba było czepiać się "oliwy"... Wypłynęła na wierzch; najpierw na Śląsku, potem na Wybrzeżu. Rozpoczęły się strajki, a od strony propagandowej towarzyszyła im podejrzana "jawność". Bardzo podejrzana. Relacja goniła relację (wszystkie PAP-owskie, rzecz jasna), a w nich kłamstwo goniło kłamstwo. Przemilczano lub przeinaczano postulaty (słynne, rzekome żądanie górników wzrostu zarobków o, a nie jak było naprawdę - do 100 tys. zł), manipulowano danymi o zasięgu protestów, straszono, jętrżono, skłócano. Czas cofnął się równo o 8 lat. I o to chodziło. Tzw. "prosty" czytelnik miał mieć "proste" skojarzenia: teraz nielegalne strajki, potem tylko ocet na półkach, a jeszcze potem konieczność sięgnięcia po jakieś "mniejsze zło".

Ale byliśmy w roku 1988. Nawet neozwiązki zaczęły się buntować. Najdoskonalsze kłamstwa nie mogły już ukryć faktu, że to władza znalazła się na skraju przepaści. Postanowiono zmienić taktykę, a w ślad za tym nastąpiła faza odpływu agresji propagandowej kierowanej "w ogóle". W zamian zajęto się "wypreparowaniem zdrowego jądra opozycji" - co postulował już rok wcześniej w swoim memoriale Mieczysław Rakowski, upowszechnianiem pojęcia "opozycja konstruktywna" i przeciwstawieniem go pojęciu - "opozycja wszelakiego autora-

mentu". Modne stało się porozumienie, rzemieślnicy z Henrykowi przystąpili do budowy okrągłego stołu, o Lechu Wałęsie zaczęto pisać bez przymiotników, prof. Rajkiewicz zgłosił propozycje utworzenia jakiegoś klubu, czy też stowarzyszenia o symbolicznej nazwie "Solidarność".

To wszystko działo się w sferze propagandy, natomiast naprawdę działo się zupełnie co innego. Ów jeszcze w lipcu godny zaufania i poparcia rząd okazał się nagle rządem nieudolnym, wstecznym, niekompetentnym. OPZZ zażądało zwolnienia nadzwyczajnej sesji sejmku, ogłosiło swoje wotum nieufności dla gabinetu premiera Mesnara, ten podał się do dymisji, nowym premierem został Mieczysław Rakowski i zaprosił do współpracy (choć bez skutku) 4 przedstawicieli opozycji. Tym razem manipulatorskie zabiegi propagandowe miały zostać zastąpione faktami.

Widocznie uwierzono w siłę tych faktów, ponieważ gazety ciągle sterowane centralnie, a wśród nich GR, nawet w połowie nie były tak ciekawe, jak mogłyby być. Paradoksalnie w tym mimo wszystko przełomowym okresie z tym większą siłą ujawnił się automatyzm i dyspozycyjność propagandowego dziennikarstwa. Ci sami ludzie przykręcający lub odkręcający pod dyktando jakieś śrubki, każdej kolejnej "prawdzie" poświęcają tyleż samo serca i umiejętności.

Słusznie czynili, zbyt nie angażując. Od połowy października znów trzeba było przystąpić do ataku na opozycję, tym razem pod pretekstem torpedowania przez nią rozmów przy okrągłym stole. Zaś listopadowa decyzja o likwidacji Stoczni Gdańskiej pozwoliła rozwinąć skrzydła fachowcom od propagandy ze szkoły tow.tow. Olszowskiego, Łukaszewicza i Głowczyka razem wziętych. Informacja o postanowieniu premiera Rakowskiego została np. natychmiast "sprzedana" w sąsiedztwie informacji o zamknięciu jakiejś stoczni w Hiszpanii i artykuł pt. "Jak przestał istnieć przemysł stoczniowy we Francji". To bardzo uprzejmie ze strony obu tych państw, że we właściwym czasie przyznały się, iż "u nich też Murzynów biją"... Rzetelnej oceny prawdziwości wszelkich doniesień związanych z rozwiązaniem Stoczni mogłaby dostarczyć publikacja wystąpienia Henryka Kościelskiego ze Stoczni im. Lenina podczas obrad III Zgromadzenia OPZZ. Próżno szukać tego głosu na łamach "Głosu", choć związkowcy obradowali przecież w Łodzi i jeśli nawet PAP uznał za stosowne przemilczeć tę wypowiedź, to można się było pokusić o własny serwis. Rzecz w tym, że nie można było, ponieważ wystąpienie ujawniało całkowicie fałsz wszystkiego, co uprzednio na temat Stoczni i jej perspektyw napisano.

Do 30 listopada, czyli do dnia telewizyjnego spotkania Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem, przez łamy "Głosu" przetoczyły się jeszcze dwie, centralnie zaprogramowane, akcje propagandowe, obliczone na zdyskredytowanie Lecha Wałęsy i "Solidarności", tudzież Jacka Kuronia, Adama Michnika, Janusza Onyszkiewicza i Andrzeja Wajdy. Miały one wywołać "atmosferkę" przed spotkaniem, a przy odrobinie szczęścia - spowodować Lecha Wałęsę do rezygnacji z występu przed kamerami TV. Nie pomogły inwektywy i pomówienia. Spotkanie odbyło się, a w jego dniu poranny serwis informacji musiał przynieść spros-



owanie ("Jeszcze o mitingu w kościele św. Brygidy"): "Na marginesie informacji o tym mitingu PAP prostuje, że sformułowanie o targaniu po szczekach nie zostało użyte przez Wałęsę dosłownie. Miało jedynie odzwierciedlać atmosferę, w jakiej odbywał się ten wiec. PAP przyznaje, że w tym przypadku cudzoźwół został zastosowany bezpodstawnie."

PAP przyznała, ale nie przeprosiła, zaś zacytowane zdania poprzedziła powtórzeniem rewelacji publikowanych dwa dni wcześniej. Jeśli już nie udało się uczynić z Wałęsą pospolitego boksera, to przynajmniej próbowano podtrzymać wersję, iż jest on bokserem politycznym. Uporczywe fałszowanie faktów fatalnie się jednak zemściło na manipulatorach. Oto w tym samym numerze GR z 30 listopada na pierwszej stronie czytamy w PAP-owskiej informacji: "Rzecznik prasowy OPZZ o telewizyjnej dyskusji A.Miodowicz-L.Wałęsa", iż zdaniem panna Franciszka Ciemnego Wałęsa powiedział w kościele św. Brygidy: "ja nie będę rozmawiał z Miodowiczem. Pan Miodowicz niech sobie postoi", zaś na stronie drugiej, we wspomnianej wcześniej informacji PAP, cytowana wypowiedź Wałęsy brzmi "Proszę państwa, ja nie będę rozmawiał z Miodowiczem, ja będę rozmawiał z wami, z Polską. Pan Miodowicz niech sobie postoi..." No cóż, przykry wypadek przy pracy, choć i jedna i druga wersja miała wywołać u podatnych na propagandę "zdrowy" odruch niechęci wobec Wałęsy.

Nie tylko moralne, ale i merytoryczne zwycięstwo przewodniczącego NSZZ "Solidarność" w debacie telewizyjnej zaowocowała kolejną odwilżą. Byśmy się jednak zbyttnio nie zachwycili, 8 grudnia ukazał się na łamach GR kolejny wykład jedynie słusznej linii porozumienia i walki. W artykule agencyjnym pióra Ryszarda Dreckiego pt. "Jeśli rzeczywiście pragniemy porozumienia" powrócono do starych wątków opóźniania przez "Solidarność" obrad okrągłego stołu, korzystania przez nią z agenturalnych pieniędzy, wzbogacając je o nowe - żądające od Wałęsy odciążenia się od przeszłości i przeprowadzenia samokrytyki. Wyjście poza schemat zbudowany w latach pięćdziesiątych jest, jak widać, zadaniem przerastającym siły i wyobraźnię tych najbardziej dyspozycyjnych.

Ograniczenie się do tych tylko uwag byłoby grubą niesprawiedliwością wobec zespołu "Głosu Robotniczego". Wszak on sam ma jednak niebagatelny udział w kształtowaniu oblicza swojej gazety. Zarówno wtedy, gdy zdobywa się na własną obsługę konferencji prasowych Jerzego Urbana, czego inne gazety kódkie nie czynią (pewno nie mają prawa wstępu "na pokój"), jak i wtedy, gdy nie próbuje nawet przyjrzeć się samodzielnie któremukolwiek ze strajków. I jedno i drugie, choć pozornie przeciwstawne, pozwala jednak zachować gązecie jedność moralną-polityczną z poglądami i ocenami dyspozytorów.

Być może, oszczędności funduszu delegacyjnego sprawiły, iż żaden z dziennikarzy GR nie wybrał się na Śląsk, Wybrzeże czy też do Stalowej Woli. Być może, głębokie przekonanie, że reportażu ze strajku gazeta i tak nie opublikuje (w roku 1980 ówczesny naczelny Jan Pakuła zabrał swoim pracownikom pojawiać się nawet w pobliżu strajkujących zakładów i pewno dlatego on sam jest dziś zastępcą głównego cenzora, a ci, którzy ów zakaz łamali, zostali po 13 grudnia

pozbawieci prawa wykonywania zawodu).

Poznanie rzeczywistości bez szans na wierszówkę jest widocznie zajęciem bez sensu dla człowieka, który i tak ma tę rzeczywistość gotową podaną na tacy. Tym bardziej trudno wymagać, by człowiek taki pisał o czymś, czego oficjalnie nie ma. A nie było np. w serwisie PAP-owskim wzmianek o akcjach protestacyjnych w regionie łódzkim, łącznie z najważniejszą, w kopalni węgla brunatnego "Bełchatów". Nic więc dziwnego, że Czytelnicy GR nigdy się o niej nie dowiedzieli. Zespół redakcyjny nie pracuje bowiem na własny rachunek. On jedynie dzielnie statystuje; wspiera centralę w jej polityce propagandowej. Jak w każdym jednak "corps de ballet" i tu nie brak potencjalnych gwiazd, wykonawców partii solowych. Najlepszą zaś formą wypowiedzi "autorskich" są felietony i komentarze.

Dwaj czołowi felietoniści "Głosu" - Jerzy M. Fiedosiejew i Jerzy Wilmański wyspecjalizowali się w rozdawaniu konkretnym grupom lub osobom bolesnych, w ich mniemaniu, kuksańców. Pisząc "na zamówienie", starali się nie przepuścić żadnej okazji, nawet pozornie nie a propos, by się wykazać. I tak np. 2 lipca Jerzy Fiedosiejew zarabia na oglądaniu transmisji z festiwalu opolskiego, pisząc m.in.: "D. Rinn zaśpiewała piosenkę do słów Ernesta Brylla. Tego samego, którego wiersze - na ogół zresztą bardzo dobre - lat temu kilkanaście zapamięniały łamy różnorakich periodyków, a któremu lat temu kilka wszystko nagle przestało się podobać, w związku z czym zmienił całkowicie swój genre. Czego dowodem wspomniana piosenka, opowiadająca o jakimś zapyziałym, zaśmieconym dworcu. (...) Lichutki poetycko tekst. (...) Schematyczny znany, powielany często w rozmaitych utworach, rozpowszechnianych w tzw. II obiegu..." Wypada uznać, że był to felieton-percepcja...

W tym samym numerze "Głosu" Jerzy Wilmański popełnił felieton pt. "Wesołe życie", w którym donosi: "Od jakiegoś czasu pewna grupka działaczy opozycyjnych głosi, że zawiązali oni Polską Partię Socjalistyczną. Oczywiście, z równym skutkiem mogli założyć na przykład "Proletariat" lub SDRPiL; jeśli się lekceważy historię, to wszystko jest możliwe. Ale wybrali PPS, ich sprawa. Okazuje się jednak, że głównym nurtem działania tej kolejnej hybrydy... są spory w kierownictwie." Czyżby Jerzy Wilmański chciał przy okazji przemycić między wierszami obrazoburczą deklarację, że i PZPR lekceważy historię? Spory w kierownictwie ma przecież nie mniejsze niż reaktywowana PPS.

Znacznie ponad poziom felietonowych prześmiewek wznosi się natomiast tekst Henryka Zawiry "Półinteligentkie chwasty na językowej łące" (GR z 11 sierpnia 1988). Jest to polemika z artykułem zamieszczonym na łamach "Anteny", dowodzącym m.in., iż stalinizm przyczynił się do dewastacji polszczyzny, że dzisiejsza sącząca się z odbiorników radiowych i telewizyjnych nowomowa jest językowym tworem warstwy ściśle związanej z systemem stalinowskim. Otóż zdaniem p. Zawiry, antenowy - jak pisze - "odkrywcą i myślicielem" po prostu łże, bowiem - tu zacytujemy "głosowego myśliciela" -: "Kiedyś, kiedy w kraju każdy mówił, co mu ślina na język przyniosła, słyszałem bardzo wiele narzekań na cenzurę, która niszczyła talenty,

nie pozwalała poetom używać przenośni, a prozaikom niszczyła literackie teksty. Bał Próbowano przekonywać, że miernota, beztalencie, "drewniane pióra", prymitywny język i brak wyobraźni, to także zasługa cenzury, podczas gdy ta ograniczała się do ingerencji politycznych i wojskowych. (...) Spieszę zawiadomić antenowego myśliciela i odkrywcę, że i w tamtych czasach, jeśli tylko ktoś chciał, mógł sięgnąć do arcydzieł literatury polskiej i światowej, mógł uczyć się pięknego języka od wybitnych wykładowców i znawców takich, choćby, jak Jakubowski, Wolpe, Krukowska czy Kotarbiński, mógł doskonalić warsztat językowy na licznych ćwiczeniach u wybitnych stylistów. Warunek wszelako był jeden - jeśli tego chciał! Wielu spośród leniwych, mało zdolnych, bez większych ambicji warsztatowych udało się dostać do radia, potem do telewizji, by pleść tam dyrdymały, jak np. Jacek Kalabiński w osławionej "jedynce", a teraz we "Free Europe" lub inni, o których autor doskonale wie, lecz ich nie wymienia."

Nie wiem, u którego z wymienionych tu wykładowców i znawców uczył się pan Zawira, pewne że nie u prof. Kotarbińskiego, czego dowiódł już w roku 1982, gdy chcąc obrazić p. prof. Iję Pawłowską, użył w formie inwektywy sformułowania - "znana ghandystka"... Kto by jednak nie był jego mistrzem i w jakim by to nie było roku, powinien, przeczytawszy dziś ten tekst, wyprzeć się nadmiernie pojętnego wychowanka. Brednie o cenzurze są mniej więcej tej samej próby, co powszechnie znane w kraju i za granicą wynurzenia p. Mincowej zawarte w książce Teresy Torzańskiej - "Oni".

Nie trzeba jednak szukać aż tak odległego powinowactwa. Oto w numerze GR z 7 lipca 1988 roku znajdujemy wywiad z redaktorem naczelnym i dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego, zatytułowany "Z literaturą jest podobnie jak ze sportem". W tymże, jego bohater, p. Jacek Zaorski, oznajmia przy absolutnej bierności i bezrefleksyjności przepytującej go Matyldy Garbolińskiej iż: "A powracając do sprawy tzw. nacisków, jakim ponoc podlegają wydawcy, to muszę przyznać, iż w ciągu 14 lat. pełnienia funkcji dyrektora WŁ na palcach mogę wyliczyć tytuły opublikowane pod przymusem. Przy czym nigdy to nie był przymus polityczny". Może to i uczciwie przyznać, że wszystkie "knoty" łódzkiej oficyny ukazały się z wolnej i nieprzymuszonej woli p. dyrektora, ale gdzie u licha była dziennikarka, gdy słowa te padały? Może niczego poza własnymi tekstami nie czyta?

Wracając jeszcze na moment do redaktora Zawiry. Wydaje się, że po prostu zgubiła go ambicja. Zadanie miał proste - opluć Jacka Kalabińskiego, bo tym właśnie zajmowała się wtedy cała prasa, a on postanowił nie iść na łatwiznę i temat rozszerzyć.

Na tak pochopne działania nie mogło sobie pozwolić kierownictwo "Głosu Robotniczego" w odniesieniu do tzw. komentarzy własnych. Tu trzeba było mieć już 100-procentową pewność co do pożądanego kształtu "własnego" stanowiska gazety wobec toczących się wydarzeń. Toteż pierwszy komentarz ukazał się dopiero 25 sierpnia ("Naszym zadaniem - budowanie") i można było w nim zmieścić to wszystko, co wcześniej zaserwowały agencje. Odnotujmy jednak pewną oryginalność stylistyki; najistotniejszy fragment artykułu zaczynał się bowiem zdaniem: "I oto

w tym momencie na arenę znów wchodzi upiory przeszłości." Upiory, które tak już postawiły Polskę przed widmem katas-trofy, a teraz próbują to uczynić powtórnie i to za pieniąd-ze - jak pisze autor z GR - "w miłym zielonym kolorze". Nie warto by może było poświęcać temu tekstowi nawet tyle uwagi, składał się bowiem z tysięcy nicowanych frazesów, gąbki nie fakt opublikowania dwa dni później następnego, za-tytułowanego "Prawdy ostro widziane", z którego, jak za dot-knięciem różdżki czarodziejskiej, zniknęły i upiory i dolary. Trudno się dziwić. Czytelnicy poinformowani jednocześnie o inicjatywie gen. Kiszczaka mogliby pomyśleć, że chce on przy "okrągłym stole" wywoływać duchy, które wskażą miejsce ukry-cia jakiegoś skarbu (zielonego?)

I tak to "Głos Robotniczy", czekając do ostatniej chwili z próbą opublikowania stanowiska uznanego za własne, właści-wie się pospieszył. Zgrabniej było włączyć się do akcji do-piero 27 sierpnia, jeśli już przespało się najodpowiedniej-sze dla konwencji horroru dni 19-21 sierpnia. Dyspozycje by-ły wtedy jednoznaczne, materiały agencyjne aż kipiały z nad-miaru oburzenia, a w publikowanych rozmowach z czytelnikami GR pełno było akcentów "zdrowego rozsądku klasy robotniczej", która domagała się zrobienia porządku ze strajkującymi.

To nietrafienie w czas dziwi tym bardziej, że w zespole GR są osoby bardzo dobrze poinformowane. Jerzy M. Fiedosie-jew w jednym ze swych felietonów wrześnieowych odegrał rolę wizjonera. Przyłączając się do powszechnej krytyki sztykują-cego się do upadku rządu, podjął się jednak obrony niektó-rych jego członków, wskazując, iż np. ministrowie Krawczuk, Kiszczak, Siwicki sprawdzają się na swych stanowiskach dos-konałe i nie ma chyba powodu, by i im ogłaszać wotum nieuf-ności. Nie wpadł, co prawda, na pomysł, by ocenę bardzo dobrą wystawić także ministrowi budownictwa, ale i tak uznajemy jego wyższość... Ciekawe wobec tego, czy próbę czasu wytrzyma jego obrona Bolesława Bieruta, zawarta w felietonie "Mapa w cętki" (GR - 15-16 października). Oburzając się na uchwałę senatu Uniwersytetu Wrocławskiego, protestującą przeciwko narzuceniu uczelni imienia B. Bieruta, pisze z emfazą: "Czy-jego to imienia nie chce nosić wrocławska wszechnica. Ano jednego z najwybitniejszych działaczy polskiego i międzynaro-dowego ruchu robotniczego. Współtwórcy i przewodniczącego kon-spiracyjnej Krajowej Rady Narodowej. Pierwszego po II wojnie światowej prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej." Nie chcemy się wtrącać, redaktor Fiedosiejew ma prawo bardzo wysoko ce-nić sobie jednego z najwybitniejszych... itp. (choć tak na marginesie - powoływanie się w tekście na fakt przyjęcia przez uniwersytet wileński imienia Stefana Batozrego jest argumentem tyleż bezcelnym, co żenującym). Cóż jednak biedny z tą wiarą pocznie, gdy i w Polsce zadomowi się "głasność"?

Sądząc z częstotliwości zamieszczania przez GR komentarzy własnych w październiku, listopadzie i grudniu, nastąpiło w tym okresie znaczne udroźnienie kanałów dyspozycji. Już nie trzeba było czekać tygodniami na wytyczne. Sam Mieczysław Ra-kowski podrzucił w swoich wystąpieniach parę zupełnie dobrych "leitmotiwów" do propagandowej obróbki. Zaś w swych poczynaniach parę konkretnych, które wypadało chwalić, bądź do których należało przekonywać. Życie propagandy stało się barwniej-



sze, choć ciągle jeszcze musiał on mieć na podórzedziu stare, wypróbowane zwroty. W numerze z 10-11 grudnia, w komentarzu "Ostrzeżenie z przeszłości" znajdujemy zdania: "Równocześnie są i tacy, którzy chcieliby cofnąć nas do lat bodaj najtragiczniejszych w całej powojennej historii. Do lat groźących katastrofą o nieobliczalnych skutkach. Do lat niepokojąco graniczącego z rozpaczą. Do lat trwogi o najbliższy dzień." Zatrwożony autor owej litanii strachu wyraźnie nie zauważył, że słowa nadużywane tracą swój sens.

Wypadałoby jeszcze na zakończenie odnieść się do trzeciego nurtu obecnego na łamach GR - tzw. materiałów publicystycznych o tematyce społeczno-gospodarczej. By nie upowszechniać złego dziennikarstwa - a te z założenia powinny być najbliższe dziennikarstwu - wymienię jedynie ich najbardziej rzucające się w oczy cechy.

1) Wtórność i instytucjonalny ogląd rzeczywistości.

Zamiast osobistych dociekań i przemyśleń dziennikarza znajdujemy w nich echa różnego rodzaju narad, sprawozdań, opracowań trafiających "z urzędu" na redakcyjne biurka.

2) Lansowanie wiary (inna sprawa, że nieudolne) w omnipotencję partii.

Urzędowym rozmówcą dziennikarza na każdy właściwie temat jest jeśli już nie sekretarz, to przynajmniej jakiś szeregowy członek partii w zakładzie, urzędzie, gminie, punkcie skupu, na polu... Prowadzi to często do sytuacji wręcz humorystycznych, bądź... antypropagandowych. "Upartyjnienie" artykułu bywa także czysto formalne. Wystarczy np. byle jaki tekst opatrzyć nadtytułem: "Po VII, VIII itp. Plenum".

3) Absolutny brak szacunku dla języka i używanego słownictwa.

Tu konieczny jest przykład konkretny. Np. 14 października pod tytułem: "Szansa w uspołecznieniu szkoły" znalazła się informacja o naradzie poświęconej "określeniu aktualnych problemów pracy partyjnej w środowisku oświaty i wychowania". A jednym z przejawów owego "uspołecznienia" miała się stać rozbudowa szeregów partyjnych i związkowych oraz włączenie rodziców, członków PZPR, do pomocy szkole.

Niestety, jest to przykład typowy.

\* \* \*

26 października "Głos Robotniczy" zamieścił komentarz zaczynający się zdaniem: "Jeden z naszych czytelników ma do nas pretensje o prezentowanie poglądów tylko tych, którzy opowiadają się za istnieniem tylko jednego związku zawodowego w zakładzie pracy. Powiada - zresztą nie bez racji - iż nie ma w tej sprawie powszechnej jednogomyślności, przeto chciałyby, aby również nasza gazeta, czytana przez od lat, pokazywała różnorodność stanowisk dotyczących tak istotnej kwestii. W rozmowie telefonicznej zapytał więc wprost: czy nam tego czynić nie wolno, czy też tego czynić nie chcemy? Ponieważ pytanie - wbrew

pozoróm - dotyczy znacznie szerszego zakresu spraw, niż wyjaśnienie konkretnego zagadnienia, sądzimy że odpowiedź na nią może zainteresować liczniejsze grono czytelników."

. Pytanie prawdopodobnie było sfirowane. Ale odpowiedź jest prawdziwa. Wyrażona już w tytule tego komentarza: WOLNO - ALE NIE CHCEMY.

Po prostu nie chcą. By nie stracić tożsamości. Tożsamość: fałszerza?

Wkrótce jednak będą chcieli...

## Dokumenty SDP 1982 - 1988

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich rozwiązane zostało decyzją gen. M. Debickiego, prezydenta m.st. Warszawy, 19 marca 1982 r., dokładnie w 31 lat po powstaniu. Od decyzji tej złożone zostało odwołanie, na które odpowiedź - odmowna - przyszła 3 maja 1982 r. Jeszcze raz, w 1986 r., członkowie SDP podjęli próbę ponownego zarejestrowania swej organizacji - także bezskutecznie.

Zebrałe tu dokumenty dają szkieletowy obraz wydarzeń, dotyczących rozwiązania SDP oraz ukazują niektóre echa tego kroku.

Decyzja o likwidacji SDP poprzedzona była trzymiesięcznym okresem represji wobec środowiska dziennikarskiego. Jednym z głównych celów zamachu 13 grudnia 1981 r. było spowodowanie kompletnej blokady informacyjnej. Temu służyło wyłączenie telefonów i zawieszenie - w początkowym etapie - całej prasy. Zakazano bowiem wydawania wszystkich pism poza "Trybuną Ludu", "Żołnierzem Wolności", niektórymi organami KW PZPR w terenie i programem informacyjnym TV i radia. Wśród zawieszonych wówczas organizacji SDP figurowało tuż za Związkami zawodowymi, obok "zbrojnego" Polskiego Związku Łowieckiego.

W nocy z soboty na niedzielę internowano około 100 dziennikarzy. Byli wśród nich: Tadeusz Mazowiecki, naczelny redaktor tygodnika "Solidarność" i jego zastępca Waldemar Kuczyński, Aleksander Małachowski z tygodnika "Kultura", Alicja Maciejowska z Polskiego Radia, Kazimierz Wóycicki, redaktor miesięcznika "Więź", Piotr Wierzbicki z "Tygodnika Powszechnego", niemal cały zespół telewizyjny z Wrocławia z Piotrem Zaruskim, członkiem Rady SDP, Jarosławem Szymkiewiczem, Markiem Tumidajewiczem, Leną Kaletową, Barbarą Trzeciak-Pietkiewiczową, delegatką na II Zjazd PZPR. Z Katowic internowano Rafała Szymańskiego z Polskiego Radia i Edwarda Zemana. W kilka dni później internowano Piotra Wroczyka, spikera PR "Polonia", przewodniczącego Komitetu Zakładowego "Solidarności" w PRiTV. Klucz doboru był bardzo wyraźny: internowano prawie wszystkich czołowych działaczy "Solidarności" w masowych środkach przekazu, wielu aktywnych działaczy SDP. /Nota

bene, mimo usiłowań, nie udało się internować Jacka Kalabińskiego, Macieja Kłowieckiego i Dariusza Fikusa/. Były też za trzymania a poza klucza, wynikające głównie z lokalnych uprzedzeń. W Kaliszu na przykład internowano dziennikarza tylko za to, że opublikował w "Polityce" kompromitujący artykuł o roli milicji w aferze z Cyganami, w Łodzi internowano na kilka dni Iwonę Sledzińską-Katarasińską, w Gdańsku naczelnego redaktora "Samorządności", Fortunę. Z biura SDR wyciągnięto i internowano na dziesięć dni ciężko chorego na serce Krzysztofa Klingera, jednego z sekretarzy SDR. Po powrocie z RFN internowano Janinę Jankowską z Polskiego Radia.

Następnym etapem rozprawy z polskim dziennikarstwem stała się weryfikacja wszystkich dziennikarzy i ludzi zatrudnionych w masowych środkach przekazu. Tu już nie obowiązywał pośpiech, przeciwnie, prowadzono ją przez trzy miesiące, począwszy od prasy SD i PAŹ-u, jakby na ironię wybierając na pierwszy ogień tych ubezwłasnowolnionych "partnerów" PZPR. Od 16 grudnia 1981 r. do marca 1982 r. poddano weryfikacji ponad 10 tys. osób. Była to acoja bez precedensu w historii prasy polskiej. Jak przyznał Jerzy Urban: "Weryfikacja dziennikarzy, podobnie jak później likwidacja SDR, tak ściśle wynikała z logiki i mechaniki stanu wojennego, że bez tych poczynań trudno mówić o skutecznej, spójnej obronie ustroju, a więc bezpieczeństwa państwa."

Do zespołów weryfikacyjnych wchodziłi przedstawiciele kierownictw redakcji, WRON, MSW, cenzury, a także działacze partyjni. Nie ujawniano ani składów osobowych komisji, ani kryteriów, którymi się kierowali weryfikatorzy. Weryfikacja polegała na przesłuchaniu. Korzystano przy tym często z materiałów konfidencjonalnych urzędów bezpieczeństwa. Pytano o poglądy polityczne, stosunek do władz Stowarzyszenia, stosunek do stanu wojennego, oceniano twórczość z ostatnich miesięcy przesłuchiwanich delikwentów. W zależności od komisji, jej składu, terenu - weryfikacje przebiegały w atmosferze zastraszania, gróźb, wyciągania spraw życia prywatnego, odgrywania się; ale zdarzało się, że były to czysto formalne rozmówki. W Katowicach, gdzie weryfikacja miała przebieg wyjątkowo brutalny, w "Trybunie Robotniczej" czyniono dziennikarzom zarzuty, że kontaktowali się z publicystami należącymi do "Solidarności", że w kawiarniach przebywali w nieodpowiednim towarzystwie, że źle się wyrażali o stanie wojennym, że publikowali materiały w "Gazecie Krakowskiej" - że pisali o strukturach poziomych w partii, że działali w SDR. Zarzuty dotyczyły treści publikacji, rozmów prowadzonych przy stolikach, w samochodach, nawet w windzie, a także sądów głoszonych na zebraniach partyjnych i redakcyjnych.

Osią porządkującą, trwającej od 10 minut do godziny, rozmowy były pytania standardowe, które zadawano każdemu, uzupełnione zestawem indywidualnym, dopasowanym do konkretnego człowieka. Lista głównych pytań zawierała następujące kwestie: stosunek do linii politycznej pisma w ostatnim okresie oraz wcześniej, etapień zintegrowania zespołu - co delikwent myśli o poszczególnych kolegach, jak ich ocenia; pytano go - jak wyobraża sobie swoją rolę w zespole i pracę na



łamach pisma w stanie wojennym, czy napisze i opublikuje artykuł krytykujący ekstremę "Solidarności", o stosunek do b. członków "Solidarności", krytykujących w stanie wojennym związek przed kamerami TV, a przede wszystkim o swoje władze związkowe, o stosunek do składanych deklaracji lojalności, stosunek do SDF i Stefana Bratkowskiego jako prezesa, dziennikarza, kolegi, o ocenę działalności Forum SDF, o stosunek do PZPR, do przewodniej roli partii, o stosunek do wydarzeń w kopalni "Wujek"; pytano też o system wartości przekazywanego, co wybiera z następujących możliwości: przetrwanie biologiczne, wierność ideałom /partii, stronnictwu, Kościółkom/, wierność zasadom etycznym-moralnym?

Już zestawienie tych pytań świadczy, jakim naciskiem, presji moralnej poddano badanych. Musieli nie tylko składać deklaracje polityczne, ale także zmuszano ich do mówienia o swoich kolegach, do publicznego kajania się i zapierania głoszonemu poglądom, jeśli nie chcieli narazić się na surowe konsekwencje. Była więc to kampania upodlenia, a nie tylko zastraszania środowiska. O wynikach weryfikacji nie informowano nacyonmiał, często pozostawiano dziennikarza w zawieszaniu, albo wzywano do "poprawki", stocowano rozmowy stopniowe z coraz wyższą komisją, etc.

Była to w całości kampania bezprawna. Do oceny pracy dziennikarza powołano są kolegi redakcyjne, istniejące przy każdym zespole. Oceny takiej mogłyby dokonywać również ciała polityczne, sprawujące kierownictwo nad swoimi organami, nie zaś powołane, często wiadomo kiedy i przez kogo, zespoły złożone z ludzi nieznanymi, niekompetentnymi, do złudzenia przypominające sądy kapturowe.

W efekcie weryfikacji lub też protestu ludzi, którzy nie chcieli się jej poddać, z pracy odeszło ponad 1200 osób. Stanowiło to ponad 10 proc. całego środowiska. Kary były zróżnicowane: od przeniesienia na niższe stanowisko począwszy, przez zawieszenie, zakaz pisania w macierzystej redakcji, aż do zwolnienia z pracy i zakazu wykonywania zawodu. 8 marca 1982 r. prezes Radiokomiteu przyznał, że w wyniku weryfikacji zwolnionych będzie 513 osób, w tym 299 w Warszawie. 134 osoby postanowiono utrzymać na "urlopach okolicznościowych". Z RCW "Prasy" w tym samym czasie usunięto 514 osób, innymi karami ukarano 300. Z innych wydawnictw, takich jak PAK, "Epoka", ISW, "Sigma", usunięto 250 osób. Do tego bilansu należy dodać dziennikarzy z pism "Solidarności" i innych zlikwidowanych tytułów /"Kultura", "Czas"/. Represje były tak duże, że dadzą się jedynie porównać z czysstkami z epoki stalinowskiej. Z niepełnych danych wynika, że w Gdańsku, na około 300 dziennikarzy wyrzucono z pracy 53 osoby, w Katowicach, na około 400 - 84 osoby, a wliczając personel techniczny - 120.

Sposób, w jaki rozprawiono się z SDF, wywołał powszechny protest środowiska. Przykłady akcji protestu podajemy w dokumentach. \* odpowiedzi na list 70 /por. dokument nr 3/ Jerzy Urban musiał przyznać, że popełniono błąd, że trzeba było to zrobić w rozmowach, nie tak brutalnie. W czasie jednej z telekonferencji z sekretarzami KW Lesław Tokarski,

ówczesny kierownik Wydziału Prasy KC, uzasadniał to następująco: nie było innego wyjścia, gdyby zgodzono się na zwołanie Rady SDP, a nawet na zjazd - członkowie wybraliby tych samych lub podobnych ludzi. Nie pozostawało więc nic innego, jak odwołać się do przełocy. Tokarski zaapelował o szybkie tworzenie oddziałów SD PRL i o "dyskretne" poparcie. W terenie oznaczało to nie tylko moralną presję, ale wprost przymus: albo SD PRL, albo zegniesz się z pracą. Takie były początki nowej, całkowicie podporządkowanej władzom stanu wojennego organizacji dziennikarskiej - SD PRL. Warto o tej historii przypomnieć również dziś, bowiem do tej pory ta część środowiska nie rozliczyła się z tamtego okresu, nigdy nie domagając się wymazania i potępienia weryfikacji.

0 proteście pozostałych dziennikarzy mówią dokumenty.

#### DOKUMENT 1

#### Do Członków Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Zwracamy się do Was w chwili dramatycznej dla naszego zawodu; podjęta została decyzja o rozwiązaniu SDP, mimo naszych starań o wznowienie dialogu. Decyzja ta stanowi ukoronowanie bezpodstawnych i bezprawnych represji, jakie od miesięcy spadają na nasze środowisko. Zerwane zostało normalne funkcjonowanie kanałów komunikacji społecznej, nadal nie ukazują się wiele tytułów, nie wznowiono emisji wiarygodnych programów radiowych, a dziennikarze poddawani są harbiącej i sprzecznej z prawem tzw. weryfikacji. Kapturowe sądy pozbawiają prawa wykonywania zawodu zwłaszcza dziennikarzy cieszących się szacunkiem zarówno we własnym środowisku zawodowym, jak i wśród tych, którym służyć pragnęli, a więc czytelników i słuchaczy. Z czołówki naszego zawodu tylko nieliczni oddali swe pióra na usługi propagandy stanu wojennego. Odmawiają zaś takich usług ludzie, których niezgoda na bezprawie i kłamstwo oznacza utratę środków do życia. Chciełibyśmy, aby Polska o nich pamiętała!

Zawieszenie, a obecnie rozwiązanie SDP, pozbawiło nasze środowisko organizacji, która zwłaszcza w trudnych warunkach, mogłaby bronić legalnie jego racji moralnych i materialnych. Zwracamy się w tej sytuacji do wszystkich Kolezanek i Kolegów: pomagajcie sobie wzajemnie materialnie i psychicznie. Bądźcie solidarni!

Zdecydowanie protestujemy przeciw bezprawnemu oskarżeniu SDP o prowadzenie działalności sprzecznej z interesem socjalistycznej Polski. Nie prowadziliśmy żadnej innej działalności niż ta, do jakiej zobowiązywały nas uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów i postanowienia statutu.

Zjazd ten zdecydowanie wypowiedział się za przywróceniem naszemu zawodowi wiarygodności i społecznego zaufania, przeciw brutalnemu wykorzystywaniu środków komunikacji społecznej jako instrumentu prymitywnej propagandy i żądał gwarancji, by hasło "prasa kłamie" nigdy więcej nie planiło naszego zawodu. Wybrane na tym zjeździe władze Stowarzyszenia zostały więc

zobowiązane do czynienia wszystkiego, co możliwe, by Dziennikarski Kodeks Obyczajowy, zawierający etyczne zasady zawodu, obowiązywał wszystkich członków naszej organizacji.

Temu celowi podporządkowaliśmy więc wszystkie prace SDP. Zdecydowanie dążyliśmy do maksymalnej samorządności i poddania społecznej kontroli kanałów komunikacji społecznej, przeciwdziałając się wszelkim przejawom zakłócenia ich normalnego funkcjonowania i to niezależnie od źródeł, z jakich te zakłócenia płyną. Jesteśmy przekonani, że działaliśmy w imię najlepiej pojętych racji socjalizmu i środowiska dziennikarskiego.

Dzisiaj - władze znów zamieniły propagandę w czynnik kryzysogeny i chcą do czynić naszymi rękami, przekreślając w ten sposób tę wiarygodność, którą udało nam się zdobyć w ostatnim roku. Apelujemy: starajcie się - w miarę możliwości - jak najlepiej z tego ocalić!

Koledzy i Koleżanki!

Po raz ostatni zwracamy się do Was jako naszych wyborców. Wprowadzenie stanu wojennego uniemożliwiło zwołanie 16 grudnia 1981 r. sesji Rady, która miała ocenić naszą pracę i zdecydować o udzieleniu nam statutowego absolutorium po rocznej pracy. Obecnie musicie sami, zgodnie z tym, co dyktuje Wam sumienie, ustalić, czy lub na ile, wypełniliśmy zadania powierzone nam przez Nadzwyczajny Zjazd. Musicie także zdecydować, czy w okolicznościach, jakie towarzyszą rozwiązaniu obecnego SDP, w warunkach, gdy znaczna część kolegów pozbawiona została prawa lub możliwości wykonywania zawodu, a pewna część jest nadal internowana, należy wstępować do zapowiadanej nowej organizacji dziennikarskiej. Ze swojej strony czujemy się jedynie zobowiązani do przypomnienia, że Dziennikarski Kodeks Obyczajowy obowiązuje nadal i że nikt nie jest władny nikogo zwolnić od przestrzegania jego postanowień. Niech świadomość, że wszystko zostanie ocenione, będzie ostrzeżeniem pod adresem tych, którym wydaje się, że czas pogardy dla honoru i rzetelności będzie trwał wiecznie. Marzec, 1982 r.

Podpisali: Stefan Bratkowski /prezes/, Maciej Iłowiecki i Jerzy Surdykowski /wiceprezesi/, Dariusz Fikus /sekretarz generalny/, Krzysztof Klinger i Jacek Ratajczak /sekretarze/. Członkowie Zarządu: Wojciech Adamecki, Stanisław Brodzki, Marek Chmielewski, Jacek Moskwa, Aleksander Paszyński, Franciszek Piątkowski, Ignacy Rutkiewicz, Jacek Snopkiewicz, Jerzy Szperkowicz, Maciej Szumowski, Jerzy Turowicz. Prezes Oddziału Warszawskiego: Jacek Kalabiński, prezes Oddziału Krakowskiego: Krzysztof Kasprzyk.

#### DOKUMENT 2

W dniu 23 marca 1982 w lokalu SDP w Warszawie, przy ul. Foksal 3/5 odbyło się spotkanie prezesa SDP Stefana Bratkowskiego i Sekretarza Generalnego SDP Dariusza Fikusa z kuratorem p. Marią Tabako i komisarzem, p. Górskim. Obecni byli dwaj doradcy prawni SDP.

Komisarz oświadczył, że Urząd m.st. Warszawy nie wyraził zgody na odbycie posiedzenia Zarządu Stowarzyszenia, bowiem wniosek został złożony i podpisany przez sekretarza generalnego, który nie posiada uprawnień w zakresie zwoływania posiedzeń Zarządu. Komisarz oświadczył ponadto, że odbycie posiedzenia Zarządu jest bezprzedmiotowe wobec decyzji o rozwiązaniu SDP. Następnie zwrócił się do p. kurator o odczytanie decyzji Prezydenta m.st. Warszawy o rozwiązaniu SDP. Do odczytania decyzji nie doszło, bowiem - jak to podnieśli przedstawiciele SDP - nie jest to forma doręczenia decyzji administracyjnej, zaś doręczenia decyzji odmówiono.

Komisarz zapowiedział przekazanie stanowiska przedstawicieli SDP ich zastrzeżeń natury formalno-prawnej dyrektorowi Wydziału Administracyjno-Społecznego Urzędu m. st. Warszawy.

#### Argumentacja przedstawicieli SDP

1. Zgodnie z art. 109 § 1 kpa, istnieje obowiązek doręczenia decyzji stroną na piśmie. Tylko w ściśle określonych prawnych wypadkach, decyzja może być ogłoszona ustnie, ale tylko wówczas, gdy przemawia za tym interes strony /art. 14 § 2 kpa/. Jest oczywistym, że Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie ma żadnego interesu prawnego w swym rozwiązaniu.
2. Sama decyzja zawierała istotę uchybienia. Brak w niej oznaczenia strony, nie ma uzasadnienia faktycznego i prawnego, wymaganego w art. 107 kpa.
3. Nie doręczenie decyzji w formie prawem przepisanej uniemożliwia wniesienie odwołania, pomimo że klauzula odwoławcza w decyzji się znajduje.
4. Art. 130 § 1 kpa stanowi, że przed upływem terminu do wniesienia odwołania decyzji, decyzja nie ulega wykonaniu. Oznacza to zatem, że w dalszym ciągu Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich istnieje, jakkolwiek zawieszona na mocy przepisów stanu wojennego /zarządzenie nr 51 Prezesa Rady Ministrów/.
5. Nie do przyjęcia jest decyzja Wydziału Administracyjno-Społecznego Urzędu m.st. Warszawy /przekazana ustnie przez kuratora/ o nie wyrażeniu zgody na odbycie posiedzenia Zarządu SDP. Uniemożliwia to ustosunkowanie się do decyzji o rozwiązaniu Stowarzyszenia przez organ upoważniony do wniesienia odwołania. Ani prezes, ani Sekretarz Generalny takiej decyzji indywidualnie podjąć nie mogą. Powinna zapasać uchwała Zarządu.
6. Nie można też przyjąć argumentów komisarza, że pismo o zezwolenie na odbycie posiedzenia Zarządu zostało wniesione przez osobę nieuprawnioną. Zgodnie z praktyką, posiedzenia Zarządu zwoływał Sekretarz Generalny i nie było żadnych przeszkód formalnych, aby zwrócić się do Urzędu m.st. Warszawy o zezwolenie na odbycie posiedzenia. Statut w tym przedmiocie nie zawiera żadnych postanowień.
7. Stowarzyszenie postawione zostało w dość specyficznej sytuacji: Zarząd nie może się zebrać, by podjąć stosowną decyzję - nie ma bowiem zezwolenia na odbycie posiedzenia. Gdy by się, mimo to, zebrał - naruszy przepisy stanu wojennego.

Warszawa, 23.III.1982.



### DOCUMENT 3

Generał Armii Wojciech Jaruzelski  
Prezes Rady Ministrów

Szanowny Panie Premierze!

My, niżej podpisani dziennikarze i publicyści czujemy się zobowiązani do wyrażenia sprzeciwu wobec arbitralnej decyzji o rozwiązaniu SRP.

Zdając sobie sprawę, że zastosowanie drastycznych środków stanu wojennego pociąga za sobą zmiany w życiu i działalności Stowarzyszenia, liczyliśmy na Pańskie słowa o gotowości dalszego działania na rzecz szerokiego porozumienia narodowego, oraz oczyszczenia naszego życia z deformacji i wypaczeń.

Decyzję prezydenta m.st. Warszawy z 20 marca 1982 roku uważamy za sprzeczna z tymi deklaracjami, a wymienięte w niej zarzuty za nieszasadnione. Co więcej, nie dano nam nawet prawa jakiegokolwiek obrony przed tymi zarzutami ani repliki na ataki prasowe - w swej większości gotosłowne i nawiązujące do najgorszej tradycji - pod adresem statutowych władz Stowarzyszenia, demokratycznie wybranych na legalnym II Nadzwyczajnym Zjeździe SRP.

Niezależnie od takiej czy innej oceny działalności Stowarzyszenia w ostatnim okresie, nie wiązemy żadnych okoliczności, które uzasadniałyby decyzję o rozwiązaniu SRP. Uważamy, że normalna droga powinno być rozwiązanie na zwołanie w nowych warunkach sesji Rady Stowarzyszenia, bądź zwołanie Zjazdu Delegatów w celu wybrania władz, oraz wytyczenie nowych kierunków działania SRP.

Arbitralną decyzję o rozwiązaniu Stowarzyszenia - podjętą bez wiarygodnej i reprezentatywnej konsultacji ze środowiskiem dziennikarskim - uważamy natomiast za niebezpieczny precedens społeczny oraz za powrót do tych metod podejmowania decyzji, które zostały przez partię potępione i które zawsze, przedzie czy później, obracały się przeciw niej. Ojawnia ona bowiem, że samorządna i wielostronopoglądowa organizacja z jej demokratycznie wybranymi władzami nie mieści się w aktualnym modelu życia publicznego w naszym kraju.

Jednocześnie wyrażamy nadzieję, że najbardziej prawdopodobnymi skutkami podjętej decyzji będą:

- ostre polaryzacja postaw oraz reintegracja środowiska dziennikarskiego;
- odciesienie od uczestnictwa i działania w zawodowej organizacji dziennikarskiej wielu członków rozwiązanego SRP, w tym większości ludzi cieszących się wysokim autorytetem zawodowym i społecznym;
- dalszy spadek wiarygodności prasy, dostępnej jedynie dla ukierunkowanych ataków na władze rozwiązanego SRP, nie dając im żadnym szans wyjaśnić ani obrony;
- spadek wiary w deklarowaną przez władze intencję porozumienia narodowego - i to nie tylko w środowisku dziennikarskim.

Panie Premierze.

W interesie porozumienia narodowego, które z takim uporem deklaruje Pan w swoich wystąpieniach, niezbędna jest wiarygodność życia politycznego oraz odbudowa zaufania do władzy. Rozwiązanie SDP oraz okoliczności temu towarzyszące nie sprzyjają tym celom. Nie sposób ocenić ten fakt inaczej niż jako krótkowzroczny, dwuznaczny moralnie, w skutkach politycznych nieopłacalny, w szerokich zaś kręgach naszego zawodu budzący dramatyczne konflikty sumienia.

Wierząc jednak, że należy konsekwentnie dążyć do przezwyciężenia wszelkich przeszkód na drodze do porozumienia narodowego, sygnatariusze tego listu deklarują gotowość współdziałania we wszelkich krokach mających na celu naprawę błędów, jaki, naszym zdaniem, został popełniony przez rozwiązanie SDP.

26 marca 1982 r.

Podpisali: Magda Bajer, Leon Bójko, Jerzy Chłopecki, Waldemar Chołodowski, Jerzy Dzięciołowski, Marta Fik, Jacek Fuksiewicz, Andrzej Garlicki, Andrzej Hausbrandt, Krystyna Jagiełło, Jerzy Jaruzelski, Ryszard Kapuściński, Jan Kłosowicz, Jerzy Koenig, Ryszard Koniczek, Hanna Krall, Teresa Krzemień, Adam Krzeminski, Zbigniew Kubikowski, Eligiusz Lasota, Tadeusz Makarczyński, Halina Maleszewska, Karol Małcużyński, Rafał Marszałek, Anna Matałowska, Jacek Maziarski, Marta Miklaszewska, Władysław Minkiewicz, Michał Monko, Piotr Moszyński, Andrzej Mozokowski, Barbara Pietkiewicz, Stanisław Podemski, Juliusz Rawicz, Irena Rybczyńska, Zygmunt Simbierowicz, Stanisław Stomma, Jerzy Szejnoch, Zygmunt Szeliga, Anna Szymańska, Karol Szyndzieliarz, Jerzy Ślaski, Teresa Torzańska, Stefan Treugutt, Marian Turski, Marta Wesiołowska, Maciej Wierzyński, Andrzej Wróblewski, Andrzej K. Wróblewski, Ryszard Wójcik, Janusz Zabłocki.

Członkowie Rady SDP:

Stanisław Chelstowski, Cezary Chlebowski, Wojciech Giełżyński, Piotr Halbersztat, Robert Jarocki, Wanda Konarzewska, Jakub Kopeć, Maciej J. Kwiatkowski, Jerzy Mikke, Tadeusz Olczański, Andrzej Oseka, Wiktor Osiatyński, Marek Rapacki, Bogdan Rudnicki, Barbara Seidler, Wilhelmina Skulska, Jarosław Szymkiewicz, Bogdan Pomaszewski, Agnieszka Wróblewska.

#### DOKUMENT 4

Listy o podobnym brzmieniu nadeszły na adres gen. W. Jaruzelskiego z wielu stron. Pomijając tu liczne listy z Warszawy, podpisane przez dziesiątki i setki członków oraz działaczy SDP - nadeszły one jeszcze m.in. z:

Gdańska - podpisali: czł. ZG Alicja Balińska, członkowie Rady SDP - Jan Jakubowski, Andrzej Liberadzki, Edmund Pietrzak, Izabela Projanowska wioleprzewodn. NSD Jerzy Dziewicki, czł. Kom. Interwencyjnej Edmund Szczesiak, prezes Oddz. Morskiego Andrzej Malinowski, sekr. Oddz. Morskiego Regina Witkowska, rzecznik dysc. Oddz. Morskiego Izabella Greczanik, członko-

wie Zarządu Oddz. Morskiego - Grzegorz Kurkiewicz, Henryk Wojciechowski, Rita Arzytaniak.

Krakowa - podpisali: wiceprezes SDP Jerzy Surdykowski, członkowie Rady SDP - Krzysztof W. Kasprzyk, Stefan Maciejewski, Marian Szulc, Maciej Szybist, Tadeusz Robak oraz członkowie SDP: Ewa Baran, Jerzy Brestiozker, Władysław Bieroń, Stanisław Bortnowski, Tomasz Domalewski, Paweł Dubiel, Anna Gorząd, Józefa Hennelowa, Stanisław M. Jankowski, Mieczysław Kasprzyk, Zygmunt Korus, Krzysztof Kozłowski, Maciej Kozłowski, Jerzy Lohman, Jerzy Kołataj, Elżbieta Morawiec, Helena Koskowicz, Tadeusz Nyczek, Ewa Owsiany, Maria Paluch, Jacek Pałamarz, Ewa Pałka, Jan Poprawa, Mieczysław Pszon, Jan Piekło, Zbigniew Ringer, Jan Rogóz, Bogdan Rogatko, Krystyna Roznowska, Maria Russ, Marian Satała, Henryk Siwek, Marek Skwarnicki, Ewa Smęder, Marian M. Słomczyński, Jacek Susuł, Tadeusz Szyma, Dorota Terakowska, Anna Woisło, Jacek Woisło.

Łódź - podpisali członkowie SDP: Konrad Frejdlich, Małgorzata Goliczka, Jacek Indelak, Tomasz Jaworski, Iwona Katarasińska-Śledzińska, Jerzy Katarasiński, Maria Korzeniowska-Sondej, Jolanta Kwapisiewicz, Marek Miller, Marian Papis, Eleonora Skokowska, Tomasz Soldenhof, Urszula Surmacz, Gustaw Romanowski, Paweł Tomaszewski, Zdzisław Szczepaniak, Jadwiga Wasiak, Zbigniew Wojciechowski.

List solidaryzujący się ze stanowiskiem oświadczenia ZG wystosowały również internowane w Gódkapi dziennikarki dn. 3.IV.1982 r. Janina Jankowska /czł. Rady SDP i Komisji Interwencyjnej/, Małgorzata Jedynak, Halina Stefanowska, Teresa Lechowska, Anna Cwięcek.

Liczne były również protesty organizacji dziennikarskich zagranicą, w tym w RFN organizacja demokratyczna /DJV/, amerykańska Newspaper Guild. i inne.

W sumię z 73 osób wybranych na Zjeździe do władz centralnych, dotarły do nas protesty podpisane przez: prezesa i 2 wiceprezesów oraz 12 /na 15/ członków ZG i 28 /z pozostałych 55/ członków Rady SDP.

Jeżeli dodać do tego 2 członków Rady Internowanych /na 1.V./ oraz 4 wyrzucone z pracy /poza wymienionymi sygnatariuszami/ otrzymamy razem 49 osób. Dodać do tego trzeba tych członków Rady, którzy myślą podobnie, a nie podpisali z przyczyn technicznych, dodać także licznych przedstawicieli innych organów SDP, aby mieć obraz jakim autorytetem społecznym i środowiskowym cieszą się władze SDP /np. z NSD - J. Dziewicki, M. Niklaszewska, J. Rybczyńska, J. Stankiewicz; Komisja Kwalifikacyjna - M. Bajer, Z. Dutkowski, J. Jaruzelski, R. Kapuściński, Z. Kubikowski, E. Owsiany, M. Szejnert; Komisja Interwencyjna - W. Skulska, E. Szozeziak; Rzecznik Dyscyplinarny ZG - J. Rogala, przewodniczący i członkowie władz oddziałów wojewódzkich, w tym największych itd/.

DOKUMENT 5

Karol Małcużyński  
Edmund Osmańczyk

Warszawa  
29.03.82

Prezes Prezydium Sejmu PRL

Interpelacja

Dc Ministra Spraw Wewnętrznych

W związku z rozwiązaniem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zapytujemy

1/ Jak było możliwe rozwiązanie SDP bez doręczenia odpowiedniej decyzji władzom zawieszonoego Stowarzyszenia

2/ Wobec faktu, że komunikat w prasie był przez kilka dni jedynym źródłem informacji, powstaje pytanie, czy decyzja taka została w ogóle podjęta i jakie były jej podstawy

3/ Dlaczego na spotkaniu z przedstawicielami Zarządu SDP w dn. 23.III. komisarz Górski, występując w imieniu Urzędu m. st. Warszawy, uchylił się od doręczenia decyzji na piśmie, co utrudnia formalne złożenie przewidzianego prawem odwołania.

Prosimy Ob. Ministra o zbadanie pilnie, w trybie nadzoru, prawidłowość działań Urzędu m. st. Warszawy w tej sprawie.

Równocześnie wyrażamy głębokie zaniepokojenie przyszłością bardzo poważnego majątku, stanowiącego kilkudziesięcioletni dorobek wszystkich członków obecnego Stowarzyszenia oraz fundusów zapomogowego i pośmiertnego.

Pomijamy w tej interpelacji konsekwencje społeczne i polityczne, wynikające z tej decyzji, które mogły i powinny być przedyskutowane na innym forum.

/Karol Małcużyński/

/Edmund Osmańczyk/

DOKUMENT 6

Warszawa 29 marca 1982 r.

Minister Spraw Wewnętrznych  
za pośrednictwem  
Prezydenta m. st. Warszawy  
Warszawa

Odwołanie

od decyzji Prezydenta m. st. W-wy z dn. 19 marca 1982 r. /syg. SA III 6015/38/81 w sprawie rozwiązania SDP, zarejestrowanego w Urzędzie m. st. Warszawy pod numerem 318

w n o s z ę

o uchylenie zaskarżonej decyzji syg SA III 6015/38/82

U Z A S A D N I E N I E

W dniu 19 marca 1982 Prezydent m. st. Warszawy na podstawie



art. 16 art. 24 Rozporządzenia Prezydenta RP z dn. 27.10.1932 r. - prawo o stowarzyszeniach /dz. u. nr 94 poz. 808/ podjął decyzję o rozwiązaniu SDP, zarejestrowanego w Urz. m. st. W-wy pod nr 318

I. Decyzja powyższa narusza przepisy Kodeksu Postępowania Administracyjnego:

1. art. 10 § 1 KPA - nie zapewniono SDP /jako stronie tego postępowania/ możliwości czynnego udziału w postępowaniu, w szczególności wypowiadania się co do zebranych dowodów i materiałów

2. art. 61 § 4 KPA - nie powiadomiono SDP o wszczęciu postępowania administracyjnego

3. w oczywisty sposób naruszono przepisy dot. postępowania dowodowego /roz. 4 - Dowody art. 35-88 KPA/ w szczególności zaś:  
- umożliwiono przedstawienie dokumentów, zgłoszenie ewent. świadków i biegłych  
- SDP nie miało możliwości ustosunkowania się do zebranego materiału dowodowego i przedstawienia wniosków o jego uzupełnienie.

4. Decyzja o rozwiązaniu SDP jest znana stronie jedynie z komunikatu prasowego, nie doreczono decyzji przedstawicielowi SDP. Stanowi to naruszenie przepisu art. 10 § 1 KPA.

5. Decyzję podjęto z naruszeniem art. 7 KPA - brak oznaczenia strony, brak też uzasadnienia prawnego i faktycznego.

II. Decyzja narusza przepisy rozporządzenia Prezydenta RP z 27.10.1932 r. /prawo o stowarzyszeniach/ dz. u. nr 94 poz. 808/, w szczególności zaś:

1. naruszono dyspozycję art. 16 cyt. rozporządzenia, brak bowiem należytego umotywowania decyzji, co stanowi naruszenie przepisów prawa materialnego.

2. nie zostały przez władze rejestrujące wykorzystane środki przewidziane w art. 16 cyt. rozporządzenia bądź udzielenia upomnienia, bądź żądania usunięcia dostrzeżonych uchybień, w szczególności cofnięcia niedopuszczalnych uchwał, bądź uprzedniego zawieszenia działalności stowarzyszenia, co jest warunkiem wydania decyzji o rozwiązaniu. Stowarzyszenie bowiem zostało zawieszona na mocy Zarządzenia nr 51 Prezesa RM z 13.XII.1981 r. w sprawie zawieszenia działalności związków zaw. i niektórych organizacji społecznych na czas obowiązywania stanu wojennego /M.Pol. nr 30 poz. 2/ nie zaś na mocy art. 16 cyt. rozporządzenia.

3. Naruszono zasadę "lex specialis derogat legi generali" /zasada specjalności/, bowiem wszystkie przepisy ogólne /KPA, dekret o stanie wojennym/ nie uchylają przepisów szczegółowych, w tym przypadku prawa o stowarzyszeniach.

III. Nie wdając się w ocenę merytoryczną podjętej decyzji, bezpodstawne są argumenty użyte w uzasadnieniu. Nie przedstawiono żadnego dowodu na poparcie tezy, że SDP nie realizowało podstawowych celów statutowych i ustalonego dla stowarzyszenia sposobu działania. Wobec nie przeprowadzenia - zgodnie z KPA - postępowania administracyjnego /szczególnie dowodowego/ SDP nie mogło przedstawić dowodów swej działalności tylko przykładowo wymienimy: opracowanie nowego Układu Zbiorowego i uzgodnienie wstępne z pracodawcami, doprowadze-

nie do przyznania dziennikarzom wyższych stawek nagród i ode-  
praw emerytalnych, rozszerzenie opieki socjalnej i zdrowot-  
nej na dziennikarzami.

W konsekwencji decyzja o rozwiązaniu SDP narusza wyrażo-  
ną w art. 7 KPA zasadę współzycia społecznego. Z przytoczonym  
wyżej względów prosimy jak na wstępie, jednocześnie zastrze-  
gamy możliwość uzupełnienia powyższego odwołania w toku postę-  
powania odwoławczego.

wiceprezes ZG SDP

Maciej Kłowiecki

## DOKUMENT 7

Warszawa, dn. 03.05.1982 r.

### D E C Y Z J A

Na podstawie art. 138 § 1 pkt 1 k.p.a. po rozpatrzeniu od-  
wołania od decyzji z dnia 19 marca 1982 r. Nr SA.III.OG15/38/8  
Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy w sprawie rozwiązania  
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich - utrzymują zaskarżoną  
decyzję w mocy.

### U Z A S A D N I E N I E

Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy zarządzeniem nr 48  
z dnia 15 grudnia 1981 r. wydanym na podstawie art. 15 dekre-  
tu o stanie wojennym zawiesił działalność Stowarzyszenia Dzien-  
nikarzy Polskich. Od powyższego zarządzenia nie służyło odwo-  
lanie.

W dniu 19 marca 1982 r. Prezydent Miasta Stołecznego War-  
szawy decyzją wydaną na podstawie art. 16 i art. 24 prawa o  
stowarzyszeniach/Dz.U. z 1932 r. Nr 94. poz. 808 z późn.zm./  
rozwiązał SDP.

Od decyzji o rozwiązaniu SDP złożone zostało odwołanie. W  
odwołaniu tym zarzuca się, że decyzja:

- narusza przepisy kodeksu postępowania administracyjnego  
/nie powiadomiono SDP o wszczęciu postępowania administra-  
cyjnego, nie zapewniono jako stronie możliwości czynnego u-  
działu w postępowaniu, naruszono przepisy dotyczące postę-  
powania dowodowego - uniemożliwiono przedstawienia dokumen-  
tów, zgłoszenia ewentualnych świadków i biegłych, ustosun-  
kowania się do zebranego materiału oraz że nie doręczono de-  
cyzji przedstawicielowi SDP/;
- narusza przepisy rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 27 paź-  
dziernika 1932 r. - prawo o stowarzyszeniach /nie zostało  
zachowane przez władzę rejestracyjną stopniowanie środków  
nadzorczych przewidzianych w art. 16 prawa o stowarzysze-  
niach/;
- nie posiada uzasadnienia prawnego i faktycznego /brak w uza-  
sadnieniu dowodów na poparcie tezy, że stowarzyszenie nie  
realizowało podstawowych celów statutowych i ustalonego dla  
stowarzyszenia sposobu działania/.

Analiza zebranego materiału dowodowego, tak od strony prawnej jak i faktycznej wykazała, że odwołanie złożone przez członków byłych władz SDP zawiera zarzuty wyprowadzone z mylnego poglądu na postępowanie administracyjne w sprawach stowarzyszeń i treści przepisów prawa o stowarzyszeniach.

Decyzja Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy trafnie powołuje się na art. 16 prawa o stowarzyszeniach. Przepis tego artykułu jest przepisem szczególnym w stosunku do przepisów kodeksu postępowania administracyjnego i jako przepis szczególny ma również zastosowanie w zakresie postępowania w sprawach o których on traktuje.

W oparciu o ten przepis władza rejestracyjna, jeżeli stwierdzi zaistnienie określonego stanu faktycznego w działalności stowarzyszenia, może podjąć decyzję stosując środki nadzoru przewidziane w tym artykule. Nie uzależnia on, że zastosowanie określonego środka nadzoru musi być poprzedzone wszczęciem postępowania, w którym ten stan faktyczny ma być dopiero ustalony. Władza rejestracyjna może bowiem rozpoznać w tej mierze posiadać już wcześniej. Artykuł ten stawia jednak wymagania w odniesieniu do decyzji wydawanej w tym trybie. Znajduje to wyraz w stwierdzeniu zawartym w tym przepisie "władza..... stosownie do okoliczności może należycie umotywowaną decyzją".

Z powyższego wynika, że władza rejestracyjna na podstawie art. 16 prawa o stowarzyszeniach może wydać decyzję w oparciu o posiadaną znajomość stanu faktycznego działalności danego stowarzyszenia. Decyzja ta jest jednocześnie wszczęciem postępowania jak i rozstrzygnięciem istniejącego zagadnienia.

Nie oznacza to wcale, że postępowanie prowadzone w tym trybie pozbawia stronę, w tym przypadku bycie władze SDP, możliwości uczestniczenia w postępowaniu administracyjnym i obrony swoich interesów. Decyzja wydawana w tym trybie daje zawsze możliwość złożenia odwołania do drugiej instancji, która w razie wydania wadliwej decyzji może tę decyzję zwerfikować.

Należy zatem stwierdzić, że zarzuty odwołania dotyczące wszczęcia i prowadzenia postępowania w sprawie rozwiązania SDP są nietrafne.

Nietrafny jest również zarzut dotyczący niedoręczenia decyzji byłym władzom SDP.

Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy wydając decyzję o rozwiązaniu SDP, zalecił jej przekazanie do wiadomości stronie, której przysługiwało odwołanie. Z uwagi na to, że na podstawie art. 15 dekretu o stanie wojennym działalność SDP była zawieszona i przestały funkcjonować wszelkie organy statutowe, decyzja o rozwiązaniu SDP została w dniu 22 marca br. przekazana w ręce kuratora zawieszonych stowarzyszeń. Tekst decyzji został również podany do publicznej wiadomości w dniach 19 i 20 marca br. w środkach masowego przekazu.

O skuteczności doręczenia decyzji zainteresowanej stronie świadczy fakt wniesienia odwołania.

Nietrafny jest również zarzut naruszenia przepisów prawa o stowarzyszeniach w zakresie stopniowania środków nadzoru. Zarzuca się, że zamiast stosować środki łagodniejsze władza rejestracyjna zastosowała środek najostrzejszy. Upatruje się w tym naruszenia art. 16 prawa o stowarzyszeniach. Przepis tego artykułu daje władzy rejestracyjnej możliwość stosowania takich środków nadzoru, które według oceny tej władzy są stosowane do istniejących okoliczności związanych z działalnością stowarzyszenia. Zgodnie z tym przepisem władza rejestracyjna może stopniować te środki - najpierw stosując łagodniejsze a w dalszej kolejności surowsze. Nie jest to jednak wymóg obligatoryjny. Może ona, tak jak stwierdza ten przepis, stosować środki najostrzejsze przewidziane w nim wprost bez wcześniejszego zastosowania środków łagodniejszych. Jedynym wymogiem w tej mierze jest obligatoryjny wymóg odnoszący się do rozwiązania stowarzyszenia. Mianowicie przepis ten wymaga aby można było rozwiązać stowarzyszenie, musi być ono wcześniej zawieszona. Wynika to ze stwierdzenia zawartego w tym przepisie o treści: "bądź wprost zawiesić działalność a następnie rozwiązać stowarzyszenie". Wymóg ten w odniesieniu do SDP jest spełniony, bowiem jak wspomniano wyżej SDP było zawieszona na podstawie przepisów dekretu o stanie wojennym.

Kwestionując w odwołaniu uzasadnienie decyzji strona zapowiedziała złożenie dowodów podważających zasadność zawartych w uzasadnieniu stwierdzeń, że "Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie realizowało podstawowych celów statutowych i ustalonego dla stowarzyszenia zakresu i sposobu działania". Mając to na względzie w toczącym się postępowaniu w drugiej instancji, umożliwiono złożenie dowodów na tę okoliczność. Z możliwości takiej strona nie skorzystała. W tym stanie rzeczy należy przyjąć, że uzasadnienie decyzji Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy nie zostało podważone.

W świetle zebranych dowodów należy uznać decyzję za należycie uzasadnioną tak pod względem prawnym jak i faktycznym i odpowiadającą wymogom art. 107 kpa.

W tym stanie rzeczy należało postanowić jak w sentencji. Decyzja niniejsza jest ostateczna.

M I N I S T E R

z up.

mgr J. Zaremba  
DYREKTOR DEPARTAMENTU

Otrzymują:

Ob. Maciej Iłowiecki  
Wiceprezes b. SDP  
Prezydent Miasta  
Stołecznego Warszawy  
Kurator b. SDP  
a/a



## DOKUMENT 8

Oświadczenie Stefana Bratkowskiego  
w czasie konferencji prasowej dla dziennikarzy  
zagranicznych przed gmachem SDF na ul. Foksal  
w Warszawie w dniu 4 V 1982 r.

Chciałbym odpowiedzieć na pytania naszych zagranicznych kolegów o los Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jak wiadomo, zostało ono rozwiązane 19 marca br. Odwołaliśmy się od tej decyzji do ministra Spraw Wewnętrznych, przedstawiając zarówno istotne argumenty, kwetywionujące merytoryczną zasadność tej decyzji, jak i podnosząc nieformalności prawne, jakich władze dopuściły się w związku z rozwiązaniem SDF. W naszym odwołaniu szczególnie silnie podkreślaliśmy bezpodstawność zarzutów, jakie znalazły się w uzasadnieniu decyzji Prezydenta miasta Warszawy /nasze Stowarzyszenie zarejestrowane było w Urzędzie miasta Stołecznego/ rozwiązującej SDF, zwłaszcza dotyczących stwierdzeń, jakoby SDF nie realizowało swych podstawowych celów statutowych lub nie przestrzegało ustalonego dla siebie trybu działania.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że publikowanej decyzji towarzyszył komentarz PAP, zarzucający naszemu Stowarzyszeniu, ni mniej ni więcej, "demontaż państwa", tak, jakby w ciągu trzech miesięcy społeczeństwo mogło zapomnieć o wczesnych próbach mediacji podejmowanych przez SDF i dziennikarzy w różnych konfliktach. Natychmiastowego związania się Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w dniu, w którym ogłoszono decyzje nie muszę w tym świetle komentować.

3 maja br. MSW utrzymało w mocy zaskarżoną przez nas decyzję, także używając argumentów niezgodnych ze stanem faktycznym, a niekiedy wprost śmiesznych. Na nasz zarzut, iż ze względu na zawieszenie działalności Stowarzyszenia nie mogliśmy być czynną stroną w postępowaniu przeciw nam, co naruszyło wszelkie podstawowe przepisy postępowania dowodowego, bowiem nie mogliśmy się bronić, nadać świadków, biegłych, wyjaśniać zarzuty itp., usłyszeliśmy, że skoro mogliśmy złożyć odwołanie, to wszystko jest w porządku!

Nie komentuję tego tak oczywiście o bezprawia, wyjdaje się, że - wobec jego oczywistości - nie jest to konieczne. Pragnę jedynie na marginesie tych wyjaśnień przypomnieć w największym skrócie sytuację polskiego środowiska dziennikarskiego.

Zwolnienia, zmiany miejsca pracy lub stanowisk obejmą w sumie blisko 2 tys. osób. Dotyczy to osób nie tylko zatrudnionych w RSW "Prasa", czy też w Komitecie Radia i TV ale w prasie PAX-u, ZSL, SD /które wyróżniło się szczególnie gorliwością w tej mierze/ i prasie wszelkich innych organizacji i instytucji /m.in. najstarszego polskiego wychodzącego pisma, "Przeglądu Technicznego"/. Zwolnienie wraz z zakazem pracy otrzymał m.in. najwybitniejszy i najbardziej znany polski reporter, Ryszard Kapuściński, analogicznie 15 innych jego kolegów z tygodnika "Kultura".

Chciałabym na koniec poinformować, że wniosliśmy do Naczelnego Sądu Administracyjnego skargę na t r y b podjęcia decyzji w sprawie SDP. /Kompetencje NSA nie obejmują oceny zasadności decyzji w sprawach Stowarzyszenia/. Trudno powiedzieć, jaki będzie wynik, skoro wysoki funkcjonariusz MSW w rozmowie, którą przeprowadziła w tym resorcie delegacja władz rozwiązanego SDP, z góry zapowiedział odrzucenie odwołania, jednakże nam nadzieję, że zdrowy rozsądek i poczucie praworządności przewyciężą w końcu zacietrzewienie. Ta nadzieja dotyczy nie tylko ewentualnej decyzji NSA.

## DOKUMENT 9

Członków Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jeśli zamierzają pozostać nimi nadal, obowiązują Dziennikarski Kodeks Obyczajowy i prawomocne uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu SDP z r. 1980. Zobowiązaliśmy się dbać o wiarygodność dziennikarstwa polskiego w każdych warunkach. Nie z wrogości wobec kogokolwiek, lecz w imię interesu społeczeństwa. Jeśli myślisz tak samo, proponujemy Ci stosowanie poniższych Zasad Postępowania i Zaleceń Koleżeńskich:

### Zasady postępowania dziennikarza na czas stanu wojennego

1. Jeżeli możesz jakąś działalność dziennikarską uprawiać w sposób, w jaki byś ją uprawiał przed wprowadzeniem stanu wojennego, rób to bez wyrzutów sumienia. Twój czytelnicy, słuchacze i widzowie są z Tobą.

2. Jeśli nie możesz uprawiać swojej działalności dziennikarskiej w sposób, w jaki byś ją uprawiał przed wprowadzeniem stanu wojennego, ale musisz żyć z dziennikarstwa, to dopóki nie zmuszają Cię do ewakuacji stanu wojennego, lub udawania i wstawiania odbiorcom, że wszystko jest w porządku, nikt nie będzie miał pretensji; Twój czytelnicy, słuchacze i widzowie rozumieją Cię.

3. Jeśli ewaluujesz stan wojenny i starasz się uzyskać dla niego społeczną akceptację, jeśli atakujesz nie mogących się bronić, jeśli podajesz informacje fałszywe lub tendencyjnie sformułowane, jeśli świadomie robisz cokolwiek, co osłabia ducha solidarności Polaków, bądź pewny, że w oczach Twoich czytelników, słuchaczy i widzów tracisz twarz i dobre imię. Co gorsza, narażasz na szkodę dobre imię kolegów i całego zawodu. Nie dziw się, jeśli przyjdzie Ci kiedyś ponieść tego konsekwencje.

### Zalecenia koleżeńskie władz SDP

1. Podpisuj wszystko, co zrobiłeś. Żadnych anonimów ani pseudonimów czy inicjałów, których czytelnik, słuchacz, bądź

widz nie zna od dawna. Teksty niepodpisane, opatrzone pseudonimami lub inicjałami nie do rozszyfrowania niech same przez się zadręczają swą nieuczciwość.

2. Jeśli zająłeś w gazecie, na antenie lub na ekranie miejsce po kims, kto go zajmować w obecnej sytuacji nie chce lub nie może, musisz podwójnie strzec się podejrzenia o dwuznaczność. Wymaganie punktu 2 Zasad uzupełnij wymaganiami koleżeńskiej lojalności.

3. Staraj się nie występować razem ani w roli współautora z ludźmi, którzy naruszają punkt 3 Zasad. Pamiętaj: ich zła sława się udziela.

4. Jeśli wiadomo ci, że ludzie innych zawodów, naukowcy, pisarze, aktorzy, artyści odmawiają współpracy z jakąś instytucją masowego przekazu, nie próbuj wpływać na zmianę ich stanowiska. Jeżeli nie możesz poprzeć ich sprzeciwu, szanuj cudzą szansę odmowy współpracy z instytucjami, które straciły wiarygodność.

5. Jeśli dobrze zarabiasz, uczestnicz w akcji pomocy na rzecz kolegów pozbawionych pracy przez stan wojenny lub znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. I pamiętaj, że liczą się nie tylko pieniądze. Także - pamięć.

6. Wybierz jakąś gazetę, program radiowy lub telewizyjny /poza swoim miejscem pracy/ i prowadź systematyczną dokumentację przestrzegania w nich DKO i Zasad. Kopię dokumentacji przekaz komuś, do kogo masz zaufanie.

7. Wstąpienie w szeregi jakiejś organizacji /np. SD PRL/, przynależność do której nie licuje z naszą wiarygodnością zawodową, lub przyjęcie pracy w gazecie, programie radiowym lub telewizyjnym, uznanym powszechnie przez opinię publiczną za niewiarygodny, usprawiedliwić może tylko przymusowa sytuacja życiowa. Jeśli więc działasz pod jej przymusem, sformułuj odpowiednie pisemne oświadczenie, potwierdzone podpisami dwóch świadków i zdeponuj u osoby uważanej za człowieka nieposzlakowanej uczciwości, albo w obecności takiej osoby i dwóch świadków złoż odpowiednio ustne oświadczenie. Ochroń to w przyszłości Twoją pozycję koleżeńską w naszym środowisku zawodowym.

## DOKUMENT 10

### INFORMACJA O STANIE KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ W POLSCE

/przygotowana przez SDP, połowa lutego 1988 r./

#### Spis treści:

- I. SDP i środowisko dziennikarskie do 13 grudnia 1981 r.
- II. Stan wojenny w Polskim Radio i Telewizji

III. Sytuacja w środkach masowej komunikacji po 13 grudnia 1981 r.

IV. Aneks: personalia środowiska dziennikarskiego po 13.XII.1981 r.

Uwaga: orientacyjna data graniczna informacji 13.II.1982r.

W niedzielę 13 grudnia 1981 r. wśród nadanych wczesnym rankiem komunikatów radiowych znalazło się także obwieszczenie, mówiące o zawieszeniu działalności związków zawodowych, organizacji studenckich oraz wymienionych dwóch stowarzyszeń: Polskiego Związku Łowieckiego i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Powstaje pytanie: dlaczego SDP było jedną z dwóch najgroźniejszych organizacji? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba się nieco cofnąć w przeszłość.

Pod koniec października 1980 r. odbył się Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich jedynej organizacji twórczo-zawodowej dziennikarzy, liczącej ponad 8 tys. członków. Był to zjazd w pełni tego słowa "rozliczeniowy", krytycznie oceniający rolę dziennikarzy w tzw. "propagandzie sukcesu", propagandzie związanej ze sposobem rządania ekipy E.Gierka i P.Jaroszewicza. Zjazd, opowiadając się za socjalizmem /poparciem dla tego ustroju jest wpisane do statutu SDP/, jednocześnie krytycznie ocenił model uprawianej w przeszłości propagandy. Jako jeden z celów Stowarzyszenia zostało wpisane do poprawionego statutu: "dbałość o rzetelne i wszechstronne informowanie obywateli za pośrednictwem środków masowego przekazu, jak również... prawo wyrażania różnorodnych opinii... oraz ...z pewnieniem rzeczywistego prawa do krytyki prasowej." Delegaci na Zjazd wyrazili przekonanie, iż prasa polska powinna mieć charakter pluralistyczny, co znalazło także wyraz w wyborze przedstawicieli wszystkich ugrupowań katolickiej prasy do Zarządu Głównego SDP. Wyrażono także opinię, że rolą środków masowego przekazu winno być służenie porozumieniu społecznemu, co ściśle związane było z przekonaniem, że prasa nie powinna być traktowana wyłącznie jako narzędzie odgórnego urabiania opinii. Na tle tak zarysowanego programu wypowiedziano wiele krytycznych opinii o monopoli informacyjnym, o nieudolnej propagandzie i służebnej roli dziennikarzy w przeszłości. Zjazd wybrał nowe władze w pełni demokratycznych, tajnych /bez list rekomendacyjnych/ wyborach, powołując 70-osobową Radę /rodzaj sejmu dziennikarskiego/ i prezesa, którym został Stefan Bratkowski i 2 wiceprezesów: Macieja Iłowieckiego /"Polityka"/ i Jerzego Surdykowskiego /Kraków - "Życie Literackie"/. Z kolei Rada SDP wybrała 15-osobowy Zarząd Główny i 3 etatowych sekretarzy: sekretarzem generalnym został wybrany Dariusz Pikus /"Polityka"/, sekretarzami - Krzysztof Klinger i Jacek Ratajczak /Białystok - "Gazeta Współczesna"/.

Krytyczny charakter Zjazdu trzeba rozpatrywać na tle przemian, jakie zachodziły w stanie świadomości społeczeń-



stwa, zwłaszcza po sierpniu 1980 r. Posierpniowa sytuacja wydobyla na jaw istniejące już uprzednio nastroje, które dochodziły do głosu zawsze w krótkich okresach "odwilży", po których następowały powroty do dawnych metod i do ukształtowanego w okresie stalinowskim stylu propagandy. Zjazd Nadzwyczajny rozpoczął więc kolejny, równie krótkotrwały - jak się dziś okazuje - okres odwilży. Okres zdobywania zaufania społecznego, odrabiania strat i błędów, które powodowały, iż zawsze w momentach przełomowych w Polsce pojawiała się na murach hasło p r a s a k ł a m i e. Nowością okresu posierpniowego było to, że głównym kłancą okazała się t e - l e w i z j a, nowe medium, które w poprzednich kryzysach nie odgrywało jeszcze tak kolosalnej roli.

Natomiast w ciągu 16 miesięcy od sierpnia 1980 r. zmieniło się bardzo korzystnie oblicze prasy polskiej. Wyrosły dzienniki oieszczące się autentycznym zaufaniem czytelników: "Gazeta Krakowska", "Życie Warszawy", "Gazeta Współczesna", "Słowo Powszechne", powstała poważna prasa związkowa z Tygodnikiem "Solidarność", nabrał rumieńców tradycyjnie czytany przez inteligencję katolicki "Tygodnik Powszechny", radykalizował się gdański "Czas", tygodnik, który najpełniej informował o wydarzeniach na Wybrzeżu w sierpniu 1980 r. oraz inne tygodniki społeczno-polityczne. Toczyła się za-cięta batalia o dostęp "Solidarności" do masowych środków przekazu; zakończyła się, z dużym opóźnieniem, spowodowanym obstrukcją władz, praca nad nową ustawą o cenzurze. Powstały liczne gazetki "Solidarności", które wyłoniły się z rozwijających się w latach 70-tych biuletynów "drugiego obiegu", tępionych przez władze piśm nie podlegających cenzurze. Można oczywiście zastanawiać się - i SDP to robiło - na ile prasa ta była odpowiedzialna, na ile służyła porozumieniu, a na ile wspierała siły ekstremalne, ale sam fakt "pluralizacji" jest niewątpliwie pozytywny.

SDP poważnie potraktowało swoje zadania statutowe. Prezes, Stefan Bratkowski, służył we wszystkich konfliktach, jakie wybuchały, swoimi mediacyjnymi usługami. Rada SDP zabierała głos w sprawach publicznych, poczynając od kryzysu spowodowanego wydarzeniami bydgoskimi, aż po kryzys związany z zerwaniem rozmów z "Solidarnością" w sierpniu 1981 r. Od początku uważaliśmy, że "w okresie ostrego kryzysu kana-ły komunikowania społecznego muszą pozostać otwarte" oraz że "telewizja, radio i część prasy zmuszane są do działań sprzecznych z ich rolą środków porozumienia społecznego"... Wokół sierpniowego oświadczenia władz SDP rzecznik prasowy rządu rozpoczął nagonkę na Stowarzyszenie, zarzucając "generalny i bezprecedensowy atak na rząd". Jerzy Urban mobilizował jednocześnie środowisko do protestów. Wyniki tej kampanii były jednak mizerne. Środowisko nie dało się podzielić i niemal jednogłośnie opowiedziało się za władzami SDP, za jednością środowiska, a także obroną zawodu. W ostatnich dniach przed 13 grudnia SDP toczyło uparcie walkę w komisji sejmowej o oblicze polskiej telewizji, o dostęp "So-  
lidarności" do masowych środków przekazu.

Te właśnie poczytania sprawiły, iż SDP 13 grudnia uznane zostało za równie niebezpieczne co Polski Związek Bożowski, chociaż nie posiadaliśmy ani broni, ani amunicji. Zawieszenie oznaczało "obowiązek zaniechania wszelkiej działalności statutowej". Lokal SDP przy ul. Poksał 3/5 został opieczony wany i zamknięty, a majątek przeszedł czasowo pod zarządek kuratora, którym została dotychczasowa dyrektor administracyjny ob. Maria Tabako. Spełnia ona tę funkcję z zadziwiającą gorliwością. Komisarzem SDP mianowano płk Janusza Górskiego /?/ ze Służby Bezpieczeństwa. Pracowników etatowych /ponad 60 osób/ zwolniono /poza nielicznymi wyjątkami: kierowca, część personelu działu finansowego/, a sekretarzy SDP odesłano do macierzystych redakcji. Czasowo zamknięto restaurację, którą po kilku tygodniach "odwieszono", ale już za kartami wstępu, które mają otrzymywać tylko dziennikarze zweryfikowani, pracujący w zawodzie. Powołano "grupę doradczą", która razem z kuratorem zajmuje się bieżącymi problemami Stowarzyszenia i dokonuje "weryfikacji" pracowników, częściowo już zwolnionych z pracy. W skład tej grupy doradczej wchodzi red. Zbigniew Łakomski /"Trybuna Ludu"/ i red. Ruzkowski /z miesięcznika "Wojsko Polskie"/.

W nocy z soboty na niedzielę 13.XII.1981 r. wśród kilku tysięcy internowanych znalazła się spora grupa dziennikarzy i publicystów czynnych w prasie "Solidarności" /patrz załączony Aneks/. Nie udało się, w pierwszych dniach stanu wojennego władzom internować znajdujących się na listach proskrypcyjnych czołowych działaczy SDP: Macieja I ł o w i e c k i e g o - wiceprezesa SDP, Dariusza F i k u s a - sekretarza generalnego SDP i prezesa Oddziału Warszawskiego Jacka K a l a b i Ń s k i e g o. Nie udało się także zatrzymać w szpitalu Stefana B r a t k o w s k i e g o, który został w niedzielę zabrany przez rodzinę z Konstancina i umieszczony w bezpiecznym miejscu. Po kilkunastu dniach red. red. M. Iłowicki i D. Fikus uzyskali od M. Rakowskiego zapewnienie, że teraz nie zostaną internowani. Natomiast byli oni przesłuchiwani na tzw. "rozmowach ostrzegawczych". Rozmowy takie odbyto także z pozostałymi etatowymi pracownikami SDP: Jackiem Ratajczakiem i Krzysztofem Klingerem. Tego ostatniego, po rozmowach w lokalu SDP i w domu, internowano w Białołęce /15. XII. 81 r./.. Został on po tygodniu zwolniony ze względu na ciężką chorobę serca, czego nie uwzględniono jednak przy jego internowaniu./Pomogły dopiero interwencje podjęte z kilku stron naraz/. W stosunku do Jacka Kalabińskiego poszukiwania przez milicję zostały w pierwszych dniach stycznia zaniechane. Nie był on wzywany na rozmowy do SB.

Od pierwszych dni stanu wojennego rozpoczął się atak na działaczy SDP i władze SDP i osobiście na Stefana Bratkowskiego. Kampanię tę rozpoczęły wypowiedzi bliżej nieznanych osób z Rzeszowa /23.XII./ nadane przez TV, a następnie kontynuowane przez grupę mało znanych dziennikarzy poznańskich w kolejnej audycji TV. Oskarża się władze SDP o podporządkowanie się "Solidarności", politykierstwo, nie zajmowanie się sprawami bytowymi i wszelkie możliwe grzechy.

## II. Stan wojenny w Polskim Radiu i Telewizji

Radio i Telewizja zostały 13 grudnia ogłoszone instytucją zmilitaryzowaną. Budyńki wszystkich rozgłośni zostały zajęte przez wojsko na krótko przed północą. Spadochroniarzom, wyznaczonym do szturmowania budynków radiowych i telewizyjnych, powiedziano, że rozgłoszenie zostało opanowane przez "Solidarność", należy spodziewać się czynnego oporu i trzeba zapobiec niszczeniu urządzeń nadawczych. Żołnierze byli zaskoczeni, znaleźli w budynkach tylko normalną obsługę techniczną. O północy nadawanie programu radiowego przejęło "Studio Bunkier", umieszczone na terenie koszar wojskowych w Warszawie i obsadzone szczególnie zaurzonymi dziennikarzami, pod dowództwem szefa dziennika telewizyjnego z czasów gonimkowskich i gierkowskich, Stanisława Czesnina. Pozostałych pracowników powiadomiono, że są na urlopie okolicznościowym. Internowano ok. 30 dziennikarzy i pracowników technicznych, aktywnych w "Solidarności". Szczególnie wielu aresztowano we Wrocławiu, gdzie internowano prawie cały zespół lokalnego dziennika TV. Kilka osób, których nie ujęto pierwszej nocy, ukrywa się do dziś /m.in. Elżbieta Saar/.

W miarę "normalizacji" zaczęto ściągać do pracy z urlopu okolicznościowych dziennikarzy i pracowników technicznych i biurowych, ostrzegając ich, że nie oznacza to jeszcze, iż zostali zweryfikowani. Niektóre z tych osób codziennie otrzymują jednorazową przepustkę do budynku, w którym pracują. "Urlopownicy" nie mają w ogóle wstępu do budynków radia i TV. Otrzymują oni 75 proc. swego średniego wynagrodzenia, nie więcej jednak niż 10 tys. zł miesięcznie, co równa się średniej płacy w przemyśle. Za luty otrzymać mają już tylko 60 proc. wynagrodzenia. Pisząc indywidualne listy do głównego księgowego, pracownicy ci domagają się wypłacenia pełnych wynagrodzeń, gdyż taka redukcja płać sprzeczna jest z Kodeksem Pracy, jak i z ustawą o powszechnym obowiązku obrony.

Weryfikacje przeprowadzono w dwóch etapach. Najpierw 6-osobowe komisje /przedstawiciele WRON, KC partii, KW partii, MSW, KZ partii i kierownictwa radia i telewizji/ przesłuchiwały wszystkich dziennikarzy funkcyjnych: naczelnych redaktorów, ich zastępców i kierowników poszczególnych redakcji. Pytano głównie o charakterystyki podwładnych. W drugim etapie komisje 3-osobowe /naczelny redaktor, przedstawiciel WRON i KZ partii/ "weryfikowały" pozostałych pracowników, od dziennikarzy do sprzątańek włącznie. Pytano wszystkich o stosunek do SDF, o zdanie na temat działalności Bratkovskiego i Kalabińskiego, przy czym szczególnie nieprzyjemnie komisje odnosiły się do delegatów redakcyjnych SDP i innych działaczy Stowarzyszenia.

Komisje nie miały uprawnień do wydawania "wyroku" o zwolnieniu czy pozostawieniu w pracy. Uprawnienia takie ma główna komisja weryfikacyjna, działająca przy prezesie Radia i Telewizji, a zatwierdzanie decyzji należy do Prezydium Radickomite-  
tetu. Do chwili obecnej nie wręczono jeszcze żadnych zwolnień. Tylko z "przecieków" z dyrekcji radia i telewizji wiadomo, że np. z pionu informacyjnego telewizji ma być zwolnionych ok. 60

dziennikarzy, z redakcji kulturalnej telewizji 7, z redakcji informacyjnych radia w Warszawie 10 osób. W sumie do zwolnienia z pracy wytypowano przeciętnie około 15 proc. dziennikarzy, co oznaczałoby, że w całej Polsce zostanie zwolnionych 300-350 osób z radia i TV. Prócz tego ok. 100 dziennikarzy złożyło wnioski o wcześniejsze przejście na emeryturę, lub prośby o zwolnienie z pracy, nie chcąc uczestniczyć w opracowywaniu programów takich, jak obecnie wyglądają. Zmilitaryzowanie instytucji oznacza jednak, że pracownik nie może rozwiązać umowy o pracę, a może to uczynić wyłącznie pracodawca. Tak więc dziennikarze, którzy zdecydowali się na przejście do innych zawodów /taksówkarz, adwokat/ nie mogą podjąć nowej pracy, dopóki z radia i TV nie zostaną usunięci.

Na podstawie dostępnych danych można wnosić, że zwolnionych zostanie także ok. 350-400 pracowników technicznych i biurowych, którzy stracą pracę również ze względów politycznych, jak np. za aktywność w "Solidarności".

### III. Sytuacja w środkach masowej komunikacji

Po 13 grudnia TV została zredukowana do jednego programu składającego się w zasadzie z dzienników czytanych przez prezenterów wojskowych lub zmilitaryzowanych, ze starych programów artystycznych oraz doraźnej publicystyki. Na tę ostatnią składają się /w pierwszym okresie, mniej więcej do połowy stycznia: wywiady lub oświadczenia i teksty niektórych byłych działaczy "Solidarności", oświadczenia lojalności różnych prominentów, od dawna już reprezentujących określoną postawę polityczną, wywiady lub rozmowy z naukowcami, artystami etc., często o charakterze apolitycznym, mające jednak przez sam fakt odbycia się uautentyczniać stan istniejący. Wśród ludzi występujących w tym okresie przed kamerami wymienić należy: W. Żukrowskiego, J. Lenarta, J. Przymanowskiego, J. Dobraczyńskiego, B. Krzywobłocką, J. Koseckiego, J. Sobczaka, H. Kozłowskiego, W. Szorowskiego i in. Miały także miejsce próby prowadzenia dyskusji z naukowcami, zajmującymi na ogół pozycję bardziej liberalną na tematy bieżące /prof. prof. Wiatr, Ryszka, Markiewicz, Bobrowski/. Dotychczas jednak w ciągu dwóch miesięcy stanu wojennego ani telewizja, ani radio nie zdobyły wybiec poza kraj żadnych już określonych nazwisk, a ogłaszane w prasie zapowiedzi jakoby wybitni artyści mieli przygotowywać dla TV takie czy inne programy - zostały zdemontowane.

Dopiero w lutym uruchomiony został II program TV, ubogi i składający się z powtórzeń oraz dalsze programy poza działającym od pierwszej chwili programem I.

Charakter informacji i propagandy jest jednoznaczny: pozytywna informacja o rytmicznej pracy, spokoju i ładzie, powszechnym poparciu dla RCB - oraz dość natrętna propaganda przeciwko "Solidarności", jak np. publikacja fotokopii pokwitowań na większe sumy, podejmowane przez pracowników aparatu "Solidarności", dokumenty mające udowodnić, że szykowano był kontrrewolucyjny przewrót /kilkakrotnie reprodukowany



był tekst niejakiego Fiałkowskiego, który nadesłał do Regionu Mazowsze swoje plany instrukcji na wypadek wejścia wojsk radzieckich oraz ogłoszeniu stanu wojennego/. Pojawiają się także aluzje do rzekomych list proskrypcyjnych, opracowanych przez "Solidarność", a mających obejmować tysiące ludzi przeznaczonych do "likwidacji" po objęciu władzy. Dotychczas jednak takich list nigdzie publicznie nie pokazywano i na żadnym z procesów członków i działaczy "Solidarności" nie było na ten temat mowy.

Zła jakość programów TV oraz nachalny styl propagandy budzą krytykę nawet ze strony elementów popierających na ogół stan wojenny. Jak się wydaje, TV i radio oddane zostały pod komendę propagandzistów z GZP i reprezentują zarówno poziom, jak i kierunek polityczny preferowany przez tę instytucję.

Nie mniejsze zmiany zaszły w prasie. Z dniem 14.XII. zezwolono na ukazywanie się tylko dwóch dzienników centralnych /"Trybuna Ludu" oraz "Żołnierza Wolności"/ oraz po jednym dzienniku w większych ośrodkach prowincjonalnych, które to dzienniki były tworzone w oparciu o istniejące tam dotychczas gazety. Na początku niewielkie było zróżnicowanie między tymi pismami, choć "Żołnierz Wolności" wyróżniał się swoim agresywnym, jak zawsze tonem, zaś z drugiej strony, gdzieś tam w terenie /np. w Krakowie/ udawało się dziennikowi zachować dotychczasowy umiar.

Sukcesywnie uruchamiano kolejne dzienniki oraz inne periodyki, co oficjalnie komentowano jako oznakę normalizacji. Jeden z pierwszych ukazał się organ Stronnictwa Demokratycznego "Kurier Polski", po bardzo ostrej weryfikacji pracujących tam dziennikarzy /Aneks/. Również wznowienie organu Stowarzyszenia PAX "Słowa Powszechnego" połączone było z gruntowną czysztką w redakcji. Nowe władze Stowarzyszenia PAX, uformowane na sprzecznym ze statutem zebraniu Zarządu 23 stycznia, odwołały i zwolniły z pracy /decyzją wiceprzewodniczącego Janusza Stefanowicza/ redaktora naczelnego Jerzego Ślaskiego i jego zastępcę Jacka Moskwę. Upřednio byli oni przesłuchiwanymi przez SB. Łącznie wypowiedzenia otrzymało 26 osób bez żadnych uzasadnień i rozmów weryfikacyjnych. Zwolnienia objęły przede wszystkim osoby uprawiające publicystykę o "Solidarności" i zaangażowane w obronę przedgrudniowej linii politycznej Stowarzyszenia PAX. Podobnie przebiega weryfikacja w innych pismach PAX-u, które nie zostały jeszcze wznowione.

Stosunkowo wcześniej wznowiono wydawanie organu ZSL "Dziennik Ludowy". Potem "Życia Warszawy", "Expressu", wreszcie na koniec wspomnianego już "Słowa Powszechnego" i "Standardu Młodych". Również i na prowincji w miejsce dotychczasowych amalgamatów ukazywać się zaczęły normalne tytuły z czasów przed stanu wojennego. Po dwóch miesiącach sytuacja w dziennikach była mniej więcej normalna, jeśli chodzi o ilość tytułów. Zaczynają również ukazywać się tygodniki Regionalne PZPR w tych województwach, które nie dysponują własnymi dziennikami. W tym samym czasie uruchamia się też lo-

kalne rozgłoszenie radiowe i telewizyjne.

Znacznie gorzej przedstawia się sytuacja w dziedzinie czasopiśmiennictwa. Pierwszym uruchomionym tygodnikiem było krakowskie "Życie Literackie", które w pierwszym numerze przyniosło cały wachlarz szacownych nazwisk, których właściciele złożyli teksty jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. 18 lutego ukazała się "Polityka". Ma ona jednak trudności spowodowane "wykrwawieniem" się zespołu /11 czołowych dziennikarzy odmówiło współpracy z ukazującym się na nowo pisem/. Nieznane są ostateczne losy tygodników: "Kultura" i "Literatura", natomiast wznowione zostały magazyny ilustrowane /"Perspektywy", "Panorama", "Przekrój"/ oraz cała periodyczna prasa partyjna /"Nowe Drogi", "Człowiek i Ideologia", "Życie Partii" itd./.

Wiadomo z góry, że wiele z istniejących pism /związanych na prowincji/ nie ukaże się, za to planowane są niektóre nowe. Na razie ukazał się jeden nowy tytuł: dziennik "Rzeczpospolita", półoficjalny organ rządu, starający się trzymać pewien dystans do wydarzeń. Mają się też ukazać nowe periodyki /"Przegląd Tygodnia", "Odrożnienie"/, ale na razie są to tylko prognozy.

Granice swobody słowa są dość ściśle określone i odpowiadają mniej więcej poziomowi z końca lat 60-tych, jeżeli chodzi o dzienniki, z okolicznością obciążającą, jaką jest brak periodyków, nawet wtedy jednak bardziej zróżnicowaną. Obecnie jedynym dopuszczalnym terenem dyskusji są sprawy gospodarcze, wycinkowe /np. poziom konkretnych cen/, ale już nie polityka cen. W publicystyce politycznej i ideologicznej coraz bardziej do głosu dochodzi nurt dogmatyczno-restauracyjny, zwłaszcza w "Trybunie Ludu" oraz większości dzienników prowincjonalnych. Nawet w sprawach ekonomicznych dominuje apologetyka, również wtedy, kiedy sygnowana jest znanymi nazwiskami /np. prof. prof. Bobrowski, Popkiewicz/. Cały atak i polemika zwrócona jest wyłącznie przeciwko "Solidarności" oraz przeciwko tzw. rewizjonistom /m.in. obiektom ataku staje się nawet jeden z ideologów stanu wojennego prof. Wiatr/, a także SDF i jego działaczom /m.in. ininienny atak na Bratkowskiego i DiP w "Trybunie Ludu" pióra generała N. Nichtigy, dyrektora WSNS/.

Nastąpił zanik informacji własnej tak ważnej poprzednio, np. w "Życiu Warszawskim". Większość stanowią depesze PAP. Wyjątek stanowią informacje wewnętrzpartyjne w "Trybunie Ludu". Słowem - na ile można w jednym zdaniu to określić - ideologicznie i politycznie dominuje w prasie odłam odwetowy, dogmatyczny i restauracyjny władzy wojskowej, poza "Rzeczpospolitą", która stara się o "liberalne" i "obiektywne" image.

Pochodną zmian w charakterze i profilu informacji i propagandy są zmiany personalne w całej dziedzinie środków masowej komunikacji. Teoretycznie poddane zostały one kontroli wicepremiera do spraw społeczno-politycznych /M.F. Rakowskiego/, odpowiedzialnego m.in. za problemy informacji. W praktyce jednak - jak się wydaje - głównym dysponentem i decydującym jest grupa stanowiąca koalicję Wydziału Prasy KC, Głównego Zarządu

Politycznego W.P. oraz pewnych komórek MSW. - Z przedstawicielami tej grupy z domieszką sprawdzonych pracowników środków masowej komunikacji /a także biura rzecznika prasowego rządu/ składały się komisje przeprowadzające tzw. weryfikacje dziennikarzy pod kątem widzenia ich politycznej prawomyślności.

Weryfikacja - jak już wspominaliśmy - zaczęła się tuż po świętach w grudniu 1981 r. i ma zakończyć się w lutym 1982 z Najostrej, jak dotychczas, w Warszawie przebiegała ona w redakcjach wydawnictwa SD "Epoka", skąd z "Kuriera Polskiego" i "Tygodnika Demokratycznego" usunięto wraz z wypowiedzeniem /według ustawodawstwa miesięcznym lub trzymiesięcznym, w najbliższym możliwym terminie bez prawa wstępu do redakcji/ 23 osoby, w tym kilka na własne żądanie /pełne listy w załączeniu/. Surowo przebiegała weryfikacja na Śląsku i w Szczecinie. D niepełnego jeszcze podsumowania akcji weryfikacyjnej w całym kraju wynika, że obejmie ona kilkuset dziennikarzy, w tym część takich, którzy odmówili pracy w mediach w chwili obecnej /szacunkowo 500-800 osób/.

Weryfikacja obejmuje - jak się wydaje - trzy grupy osób "skazanych":

- a/ usuniętych w ogóle z mediów;
- b/ usuniętych z RSW Prasa, ale mogących teoretycznie ubiegać się o pracę w innej prasie /w PR i TV są propozycje przejścia do innych zajęć/;
- c/ usuniętych tylko z danego pisma, mogących jednak pracować w innej gazecie tego samego koncernu;
- d/ usunięci z zajmowanych stanowisk, przeniesieni na niższe w tej samej redakcji /dotyczy to także niektórych redaktorów naczelnych sprzed grudnia 1981 r., np. należących do "Solidarności" w prasie PWRiL/.

Sposób przeprowadzenia weryfikacji zależy w dużym stopniu od składu komisji. Niekiedy w grę wchodzi osobisty odwet ze strony weryfikujących, niekiedy rozmowa jest czystą formalnością, wyrok bowiem znany jest z góry, bywa jednak i tak, że od wyniku rozmowy weryfikacyjnej zależą losy delikwenta. Tematy rozmów obejmują z reguły pytania: o stosunek do "Solidarności", o stosunek do kierowniczej roli PZPR w mediach, ocenę własnej pracy w okresie 1980-1981 oraz mediów w ogóle, stosunek do "pozastatutowych" działań SDP i do kierownictwa SDP, stosunek do dokumentów WRON, proklamowania stanu wojennego, poszczególnych posunięć rządu od grudnia itd.

Oprócz weryfikacji nad sytuacją personalną środowiska dziennikarskiego ciąży jeszcze inne zagrożenia. Pewne jest, że wiele pism ulegnie likwidacji - najczęściej ze względów politycznych /np. "Czas", "Kultura", pewna część pism katolickich, prawdopodobnie legalne tygodniki "Solidarności"/ niekiedy jednak ze względu na brak papieru. Zagrożenie to jest szczególnie ważne ze względów kulturowych, dotyczyć bowiem może i takich pism, jak "Twórczość", "Dialog", krakowskie "Pismo" itd. Uderza to przede wszystkim w środowisko literackie, ale oznaczać będzie także bezrobocie wśród dziennikarzy.

Innym cieniem, który spadł na środowisko dziennikarskie, były internowania. Należy rozróżnić kilka grup:

a/ Działacze "Solidarności" wyższego szczebla w mediach, zwłaszcza zaś PR i TV, którzy z reguły zostali internowani i pozostają do dziś w odosobnieniu lub ukrywają się;

b/ Pracowników pism "Solidarności", od T. Mazowieckiego począwszy aż po licznych współpracowników prasy wychodzącej poza obiegem oficjalnym /w tym cały aktyw KOR i Wydawnictwa Nowa/;

c/ Działacze SDP, często nawet nie należących do "Solidarności", niekiedy tylko dlatego, że komuś się narazili /K. Elinger czy A. Maciejowska z PR/. Aresztowania tego typu odbyły się w większości wypadku pierwszego dnia lub w pierwszych dniach, ale są i wypadki późniejsze /np. J. Jankowska, która wróciła z RFN w końcu grudnia, a która została internowana w lutym/;

d/ Ludzie zaangażowani w wydawanie nielegalnych gazetek już po proklamowaniu stanu wojennego - dane dość fragmentaryczne;

e/ Zatrzymani i przesłuchiwanym niekiedy wielokrotnie /jak np. sekretarz ZG SDP J. Ratajczak/. W trakcie przesłuchiwań mowa jest również o sytuacji SDP, o możliwościach zmiany ekipy kierowniczej w tym związku. Od przesłuchiwanym ciągle różnych dziennikarzy można dowiedzieć się, że stale padają pytania o ludzi z kierownictwa SDP o tym, czy mają miejsca nielegalne czynności związkowe itd.

Problemy najważniejsze dla środowiska są dwa:

1. Pomoc koleżeńska dla licznych bezrobotnych, będących w trudnej sytuacji, podjęcie starań o przekwalifikowanie tych, którzy pragną odejść od zawodu.

2. Niedopuszczenie do likwidacji SDP, ku czemu jak się wydaje zmierzają prowadzona obecnie polityka. Wszystko bowiem wskazuje, że poza werbalnymi oskarżeniami władze nie zdecydowały jeszcze co dalej robić ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich. Nie wchodzi w rachubę - rozwiązanie legalne - zwołanie Rady i zmuszenie jej, aby wybrała nowy Zarząd Główny. Pozostają więc rozwiązania tymczasowe: powołanie "doradców, Komisarza etc.". Zaś w dalszym planie wyeliminowanie z zawodu wszystkich lub większość członków Rady i władz naczelnych, aby móc pozbawić ich członkostwa SDP i w ten sposób wyeliminować "z gry". Stąd tak surowa weryfikacja, w której ofiarami padają przede wszystkim działacze SDP, nawet o poglądach umiarkowanych /Szozecin, Łódź/, którzy jednak nie chcą się całkiem podporządkować.

#### IV. Aneks. Personalna środowiska dziennikarskiego

##### L i s t a   i n t e r n o w a n y c h

###### Warszawa

Tadeusz Mazowiecki, naczelny redaktor Tyg. "Solidarność",  
Janina Jankowska z PR, Aleksander Małachowski "Kultura", Krzysztof Wyszkowski Tyg. "Solidarność", Małgorzata Jedynak - TV  
red. Camerata, Piotr Mroczek - PR Polonia, spiker, przew. KZ  
196



"Solidarności" w PRiTV, Kazimierz Wóycicki - redaktor "Więzi", Piotr Wierzbicki - "Tygodnik Powszechny", Edmund Sałas - PR Polonia, Komorowska - spikerka PR, Marek Jan Owiński - PR pr. III,

#### Wrocław

Piotr Załuski - TV, członek Rady, krajowy przew. "Solidarności" PRiTV, Jarosław Szymkiewicz - TV, Tadeusz Orlicz - TV, Marek Tumidajewicz - TV, Piotr Bielawski, Lena Kaletowa - TV, Barbara Trzeciak-Pietkiewicz - delegat na IX Zjazd PZPR, Cezary Łagiewski - TV, Agnieszka Kocot, Tadeusz Łączyński, Janusz Mentzel, Mieczysław Zawadowski - TV

#### Katowice

Jerzy Sysak - PR, Edward Zyman, Zdzisław Zwoźniak - "Panorama", Marek Mierzwak, Rafał Szymoński - TV, przewodniczący "Solidarności", Warchałowski

#### Kraków

Anna Gorazd - "Głos Nowej Huty";

#### Łódź

Krzysztof Turowski - PR, Marian Miszański - "Głos Robotniczy";

#### Szczecin

Alicja Makoszowa-Głowacka - P. czł. Zarządu "S", Kuczkowski - "Wiadomości", przew. Komisji Zakładowej "S", Józwiakowski - TV, przew. Komisji Zakładowej "S";

#### Gdańsk

Andrzej Kinaszewski - TV, Grzegorz Fortuna - "Samorządność", Andrzej Drzycimski, Marian Ślusarczyk - PR, Antoni Matuszkiewicz, Jan Mystkowski - NBC /USA/, Łukaszewicz - "IKP";

#### Elbląg

Barbara Gromer - "Wiadomości Elbląskie"

Razem 42 osoby. Ponadto byli internowani i zwolnieni: Krzysztof Klinger, sekretarz ZG SDP /tydzień/, Waldemar Kuczyński, z-ca red. nacz. Tyg. "Solidarność" /2 m-ce/, Alicja Maciejowska, III program PR, del. SDP /2 m-ce/, Andrzej Jeleński - program I PR /kilka tygodni/. Z Łodzi: Iwona Sledzińska-Katarasińska z "Głosu Robotniczego", Marek Madej TV, Jerzy Binder TV i Marian Papis "Słowo Powszechne". W Białymstoku: Tomasz Piotrowski z PRiTV.

Są to dane niepełne. Mimo starań, nie udało się dotychczas uzyskać pełnych informacji z dalszych ośrodków SDP/Rzeszów, Koszalin, Zielona Góra, Poznań, Opole, Lublin, Bydgoszcz/. Nie mamy również z miast, gdzie ukazują się pisma regionalne, gdzie jednak nie ma oddziałów SDP /Łomża, Konin/

Lista zwolnionych z pracy /z wypowiedzeniem/  
niepełna, bez wymienionych wyżej ośrodków

Warszawa

**"Kurier Polski":**

Anna Baniewicz, Krzysztof Cebula, Andrzej Gzyło, Władysław Manusz, Władysław Karwan, Krzysztof Kowalski, Wojciech Leszek Kowalski, Wojciech Kryzstoforski, Maciej Łukasiewicz, Stanisław Podemski /podjął pracę w "Polityce", Marek Rapacki, Andrzej Roman, Włodzimierz Słowiński, Maciej Smogorzewski.

**"Tygodnik Demokratyczny":**

Krzysztof Boruń, Danuta Frey, Zdzisław Kazmierczuk, Leszek Lechowicz, Ewa Szemplińska, Andrzej Tekiel, Włodzimierz Wowczuk, Włodzimierz Wasyluk.

**"Rzemieślnik":**

Tomasz Jarzębowski

**PAP**

Tadeusz Jaworski

**"Społemowiec" /likwidacja/**

Danuta Bierzańska, Marek Goliszewski, Anna Kiss-Orska, Nina Schwarzer.

**"Masz Problem?"**

Alijoja Stenkiewicz-Górnicka

**"Gazeta Prawnicza"**

Jerzy Szczepny

**"Panorama"**

Bożena Nawrzecka, Ewa Juńczyk-Ziomecka, Krzysztof Lengiewicz

**"Słowo Powszechne"**

Marek Osicki, Stanisław Remuszko, Lesław Stelmaszczyk, Maria Żera, Andrzej Czarski, Ewa Gomółka, Maria Głowacz, Jacek Moskwa, Grzegorz Niegodziusz, Wiesław Pysiak, Maria Rusinek, Nazari, Jerzy Słaski, Andrzej Wernic, Ryszard Baj, Tadeusz Knabe, Zygmunt Alt, Halina Kusek, Małgorzata Jaworska, Engelbert Miś, Jerzy Bogacz.

**"Sztandar Młodych"**

Krystyna Grzybowska, Władysław Bielecki

**"Perspektywy"**

Katarzyna Kołodziejczyk, Witold Szymanderski, Anna Wawrzycka, Halina Maleszewska, Magdalena Zawadowska

**Centralne Biuro Reklamy Wyd. "Epoka"**

Krystyna Paszkowska

**"Życie Gospodarcze"**

Stefan Ancerewicz, Paweł Kapuściński

**"Kobieta i Życie"**

Barbara Szczępuła

Do zwolnionych, jak też i tych, którzy odeszli z własnej woli, choć na razie bez wypowiedzenia, zaliczyć należy:

"Życie Warszawy": Stefan Bratkowski, Leon Bójko, Tomasz Sypniewski, Zdzisław Sierpiński

"Expres Wieczorny": Jan Rogala

"ITD": Elżbieta Hudon, Ewa Polak, Lidia Ostalowska, Andrzej Sznak

"Na Przełaj": Barbara Dąbrowska

"Perspektywy": Tomasz Tomaszewski, Andrzej Klominek

"Filipinka": Witold Kuliński

"Walka Młodych": Anna Paciorek

"Kulisy": cały zespół, likwidacja pisma

"Dziennik Ludowy": 4 osoby

"Życie Gospodarcze": Aleksander Jędrzejczak, Jacek Bojdek

"Polityka": /na własne żądanie/: Piotr Adamczewski, Dariusz Fikus, Maciej Iłowiecki, Aleksander Paszyński, Michał Radogowski, Tadeusz Drewnowski, A.Krzysztof Wróblewski, Danuta Zagrodzka, Magdalena Bajer, Andrzej Mentzel.

#### Kraków

"Życie Literackie": Bogdan Rogatko, Tadeusz Robak, Jerzy Lohman

#### Łódź

"Głos Robotniczy": Iwona Sledzińska-Katarasińska, Marian Miśzalski, Tomasz Jaworski.

"Odgłosy": Jerzy Katarasiński

Radio i TV: Marek Markiewicz, Krzysztof Turowski, Ponadto zagrożeni w PRiTV: Jerzy Binder, Marek Madej, Barbara Chrzczonowicz, Krzysztof Krubski, Elżbieta Więclawaka, Jerzy Walczynski, Marian Krygier, Małgorzata Kałużyńska, Danuta Smierchalska, Włodzimierz Mieczkowski, Kalina Jerzykowska, Małgorzata Kamińska, Zbigniew Wojciechowski.

Z prasy /"Głos Robotniczy", "Express Ilustrowany", "Dziennik Łódzki", "Odgłosy"/: Jolanta Kwapisiewicz, Gabriela Tielstnik, Gustaw Romanowski, Urszula Surmacz, Ewa Łukasiewicz, Lucyna Hoszowska, Paweł Tomaszewski, Konrad Turowski, Małgorzata Golicka, Konrad Frejdllich, Marek Miller, Tomasz Soldenhoff, Ryszard Binkowski, Jacek Indelak.

#### Szczecin

"Kurier Szczeciński": Tadeusz Rek, Hanna Więckowska, Kazimierz Jordan

"Głos Szczeciński": Danuta Kaczanowska

Radio i TV: Władysław Daniszewski, Irena Pauzińska  
Poza tym: Anna Machaj

## Opole

"Słowo Powszechne": Engelbert Miś

## Gdańsk

"Głos Wybrzeża": Jerzy Sarota, Henryk Galus, Edmund Pietrzak, Renata Mroczkowska, Izabela Greczanik, Ekowski, Alicja Balińska, Izabela Trojanowska

"Dziennik Bałtycki": Aleksandra Paprocka, Leksandra Łoś, Wojciech Łukaszewicz

"Wieczór Wybrzeża": Alina Głowczyńska, Dariusz Nowaczyk, Zbigniew Truszkiewicz, Karol Jóźwiak, Maria Nowak

## Białystok

"Gazeta Współczesna": Jerzy Chmielewski, Marek Kusiba, Jerzy Muszyński, Janusz Stankiewicz

## Kraków

Zagrożeni zwolnieniem, bez wypowiedzi do tej chwili:

"Gazeta Krakowska": Maciej Szumowski /zwolniony ze stanowiska naczelnego redaktora/, Dorota Terakowska, Stefan Maciejewski, Marian Hanik, Tadeusz Kubica, Eugeniusz Głomb, Grażyna Nowak, Elżbieta Tosza, Daniel Szafruga, Tadeusz Pikulicki, Jan Piekło, Stanisław Jankowski, Jacek Pałamarz, Elżbieta Borek, Leszek Polny, Maciej Szybist, Janusz Marcjan /zdegradowany w redakcji/, Lucyna Walas, Helena Lazar

"Dziennik Polski": Maria Paluch, Leszek Konarski, Zbigniew Ringer, Jolanta Antecka

"Echo": Wojciech Dora, Janek Frenkel, Helena Noskowicz, Czesław Marawetz

Radio: Krzysztof Podbiera, Marek Lovell, Elżbieta Konieczna, Wojciech Brózda, Bogusław Sobczuk

"Tempo": Jan Rogóż, Jerzy Nagawiecki, Wojciech Olszówka

Televizja: Andrzej Warochałowski, Krzysztof Glondys, Jerzy Biały, Andrzej Geber

"Student": Wojciech Porek, Waldemar Janda, Janusz Zaręba, Marian Pajdak, Marek Strzała

"Więści": Adam Augustyn, Maciej Kozłowski

"Życie Literackie": Jerzy Lohman, Bogdan Rogatko, Stanisław Bortnowski /odmówił wzięcia udziału w weryfikacji/

"TEMI": Ewa Baran, Elżbieta Ringer, Adam Jurczak

"Zdanie": Krzysztof Kasprzyk /do wyjaśnienia w KKP PZPR/, Jerzy Surdykowski /do wyjaśnienia w KKP PZPR/

"Głos Nowej Huty": Anna Gorazd /zatrzymana z dekretu/

Do danych, obejmujących dziennikarzy i pracowników redakcji już zwolnionych za wypowiedziami, doliczyć trzeba wszystkich tych, którzy bądź w czasie weryfikacji zostali powiadomieni, że nie będą mogli pracować na tzw. froncie ideologicznym /np. koledzy z Krakowa/, bądź to do dziś pozostają na



tw. urlopie bezterminowym i nie są przewidziani na liście za trudnionych. Należy także przypuszczać, że nie będą mogli pracować wszyscy internowani. Poza tym pewna liczba dziennikarzy, z własnej woli, odmawia współpracy z prasą w obecnej sytuacji.

Na uwagę zasługuje fakt szczególnie ostrego traktowania w czasie weryfikacji działaczy SDP. Z 18 członków ZG /15 plus prezes i 2 wiceprezesów/ bez pracy pozostają /z wypowiedzeniem lub bez/: Stefan Bratkowski, Maciej Iłowiecki, Jacek Koska, Alicja Balińska, Aleksander Paszynski, Jacek Snopkiewicz, a położenie Jerzego Surdykowskiego i Macieja Szumowskiego jest niejasne. Bez pracy są również trzej etatowi sekretarze Zarządu Głównego: Sekretarz Generalny Dariusz Fikus oraz sekretarze: Krzysztof Klinger, Jacek Ratajczak i sekretarz Oddziału Warszawskiego Anna Borkowska. Z 55 pozostałych członków Rady internowani są: Piotr Załuski i Janina Jankowska oraz Jarosław Szymkiewicz. Bez pracy zaś: Ewa Skudro, Marek Rapacki, Władysław Daniszewski, Izabela Trojanowska, Jacek Cieszeński, Jerzy Bilewicz, Andrzej Liberadzki, Artur Hajnicz.

Prawdopodobnie zwolnieni /ze względu na likwidację pisma/ członkowie ZG: Wojciech Adamiecki, Jerzy Szperkiewicz, członkowie Rady: Andrzej Osęka, Wiktor Osiatyński, Wanda Konarzewska. Doliczyc trzeba jeszcze członków innych władz SDP /NSD, Komisja Interwencyjna, Kwalifikacyjna/ jak działaczy Oddziału Warszawskiego oraz oddziałów terenowych /np. Jacek Kąłabiński, Alicja Maciejowska, Maciej Łukasiewicz z Warszawy, Alicja Makoszowa-Głowacka ze Szczecina itd.

W sumie z 73 członków władz naczelných wybranych na Zjeździe w październiku 1980 r. /Rada, prezesi i ZG/ 3 jest internowanych, a ponad 20 bez pracy, wszystko to bez danych z wielu ośrodków prowincjonalnych.

## DOKUMENT 11

Stefan Bratkowski  
W a r s z a w a

Drogi Stefanie,

Nasze Stowarzyszenie zostało rozwiązane w 1982 r. jako pierwsze spośród stowarzyszeń twórczych. Nastąpiło to z naruszeniem obowiązującego wówczas prawa, zwłaszcza prawa o stowarzyszeniach /Rozporządzenie Prezydenta R.P. z 27.X.1932 r./ oraz Kodeksu Postępowania Administracyjnego. Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich uniemożliwiono odparcie stawianych zarzutów. Nie udzielono również odpowiedzi na interpelację poselską Karola Małcurzyńskiego i Edmunda Osmańczyka skierowaną 29.III.1982 r. do Ministra Spraw Wewnętrznych.

Uważamy, że przyszedł czas, by podjąć na nowo kwestię rozwiązania naszego Stowarzyszenia i doprowadzić do rewizji

krzywdzącej nas deocyji. Sprawiedliwe załatwienie sprawy SDP stanowiliby potwierdzenie, że słowa o porozumieniu nie są frazesem.

Drogi Stefanie, oczekujemy, że podejmiesz w naszym imieniu stosowne działania. Łączymy koleżeńskie pozdrowienia  
Warszawa, 7 października 1986 r. /Pod listem tym figurują podpisy 150 osób/

## DOKUMENT 12

### O ś w i a d c z e n i e

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zostało rozwiązane w stanie wojennym, nikt jednak nie zwolnił nas - działaczy tegoż rozwiązanego Stowarzyszenia - od odpowiedzialności moralnej za los naszego środowiska zawodowego. Tym bardziej, że wielu naszych kolegów domaga się od nas zajęcia stanowiska wobec aktualnego stanu komunikacji społecznej i sytuacji w środowisku dziennikarskim. Wyrazem tego jest także list 150 czołowych dziennikarzy kraju, skierowany do prezesa rozwiązanego SDP.

Uważamy, że zwolnienie po pięciu latach wszystkich więźniów politycznych, bez stawiania im warunków politycznych, uprawnia do nadziei na normalizację życia publicznego w Polsce. Jeżeli intencją władzy było połączenie w perspektywie wszystkich sił społecznych dla ratowania kraju przed dalszą degradacją cywilizacyjną, to warunkiem autentycznego porozumienia musi być odbudowa systemu komunikacji społecznej: obieg opinii, wymiany poglądów, przepływu informacji. W dziedzinie tej odnotować można pewien postęp, nie wystaroza on jednak dla potrzeb rzeczywistego dialogu. Uważamy za konieczne odblokowanie kanałów informacji zarówno w sprawach polskich, jak i współczesnego świata; konieczna jest rzeczywista, a nie pozorowana wymiana poglądów. Przybliżyłoby ją w znacznej mierze tworzenie wiarygodnych pism, wiarygodnych redakcji radiowych i telewizyjnych oraz faktyczne, pełne respektowanie ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk.

Stan komunikacji społecznej zależy nie tylko od polityki władzy, ale także od sytuacji w środowisku dziennikarskim. W stanie wojennym zostało ono objęte akcją weryfikacyjną. Wielu dziennikarzy pozbawiono prawa wykonywania zawodu lub możliwości jego rzetelnego spełnienia. Apelujemy o przywrócenie dziennikarzom prawa do pracy zgodnej z ich kwalifikacjami. Dotyczy to zwłaszcza dziennikarzy prasy regionalnej oraz byłych pracowników radia i telewizji, wśród nich również naszych kolegów spośród personelu technicznego i realizatorskiego.

W następstwie deocyji podejmowanych w stanie wojennym środowisko dziennikarskie uległo różnorodakim podziałom. Znaczna część dziennikarzy nie należy do żadnej oficjalnej or-

ganizacji twórczo-zawodowej. Nie jest naszą intencją pogłębianie istniejących podziałów, ani tym bardziej tworzenie nowych. Nie wyrzekniemy się jednak prawa do zrzeszania się i demokratycznego kształtowania oblicza swej organizacji zawodowej, prawa zapisanego w Konstytucji PRL. Oczekujemy, że ewentualne postępy na drodze porozumienia narodowego przyniosą rozwiązanie i tego problemu.

Działacze rozwiązanego  
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich  
Warszawa, 13 grudnia 1986

/Oświadczenie to podpisało  
ponad 200 osób z całego kraju/

### DOKUMENT 13

Warszawa, 22 września 1987 roku

Do  
Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy

Wobec faktu, że wielu dziennikarzy pragnie skorzystać ze swego prawa do stowarzyszenia się,

niżej podpisani, zwracamy się o zarejestrowanie nowej organizacji zawodowo-twórczej dziennikarzy pod nazwą: STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH, opartej na załączonym statucie dawnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, zatwierdzonym przez władze nadzoru administracyjnego w 1980 roku.

Komitet Założycielski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich  
Członkowie:

1. Wanda Falkowska-Szymańska, Warszawa 2. Wilhelmina Skulska, Warszawa 3. Anna Borkowska, Warszawa 4. Zdzisław Sierpiński, Warszawa 5. Katarzyna Zdzisława Kołodziejczyk, Warszawa 6. Jacek Maziarski, Warszawa 7. Jerzy Szperkowicz, Warszawa 8. Hanna Krall Szperkowicz, Warszawa 9. Maciej Iłowiecki, Warszawa 10. Lech Stefański, Warszawa 11. Aleksander J. Wieczorkowski, Warszawa 12. Bogumił Luft, Warszawa 13. Cezary Gawryś, Warszawa 14. Jan Spiewak, Warszawa 15. Jacek Żakowski, Warszawa 16. Wojciech Adamicki, Warszawa 17. Wacław Biały, Lublin 18. Andrzej Klominek, Warszawa 19. Leon Bójko, Raszyn 20. Maciej Łukasiewicz, Warszawa 21. Stefan Bratkowski, Warszawa 22. Wojciech Giełżyński, Warszawa 23. Halina Bortnowska-Dąbrowska, Warszawa 24. Marcin Król, Warszawa 25. Jacek Moskwa, Warszawa 26. Jerzy Surdykowski, Kraków 27. Jerzy Szczęsny, Warszawa 28. Maciej Szumowski, Kraków 29. Aleksander Paszynski, Warszawa 30. Teresa Torañska, Warszawa 31. Ernest Skalski, Warszawa 32. Ewa Skudro, Warszawa 33. Stanisław Brodzki, Warszawa 34. Marek Chmielewski, Warszawa 35. Marek Rapacki, Warszawa 36. Krzysztof Boruń, Warszawa 37. Andrzej Krzysztof Wróblewski, Warszawa 38. Jolanta Łopuszyńska, Warszawa 39. Marta Piss-

ozatowska, Warszawa 40. Danuta Kętrzyńska, Warszawa 41. Waleria Korycka, Warszawa 42. Wacław Czarnecki, Warszawa 43. Agnieszka Wróblewska, Warszawa 44. Stefan Truszczyński, Warszawa 45. Edmund Jan Osmańczyk, Warszawa 46. Józef Kuśmierk, Warszawa 47. Dariusz Fikus, Warszawa 48. Mieczysław Bibrowski, Warszawa 49. Ks. Jan Chrapek, Marki 50. Jerzy Turowicz, Kraków 51. Krzysztof Kozłowski, Kraków 52. Marek Skwarnicki, Kraków 53. Bronisław Mamoń, Kraków 54. Ewa Berberysz, Warszawa 55. Stanisław Opiela, Warszawa 56. Andrzej Grajewski, Bielsko-Biała 57. Marcin Fabraj, Poznań 58. Arzysztol Śliwiński, Warszawa

/słożono dn. 25.IX.1987 w Urzędzie  
m. St. Warszawy/

#### DOKUMENT 14

### O ś w i a d c z e n i e

Po okresie wyraźnych postępów prawdomówności oficjalne masowe środki przekazu stały się znowu instrumentem dezinformacji, oszczerstw i judzenia, tym razem - przeciw strajkującym robotnikom. Wyrażamy swoje uznanie wszystkim tym zatrudnionym w oficjalnych środkach przekazu naszym kolegom po fachu, którzy, czując się osobami zaufania publicznego, nie dają się wciągnąć do tej bezsensownej, wzmagającej napięcie społeczne kampanii.

Operacje drastycznych podwyżek cen przebiegają obecnie przy jednoczesnym blokowaniu, odwlekanii i pozorowaniu autentycznej reformy gospodarczej, która m.in. przyniosłaby wzrost podaży towarów i usług. Tym samym podwyżki takie przyspieszają tylko gwałtownie inflację, jeszcze bardziej deprecjonują pieniądź i pogłębiają chaos w gospodarce, a społeczeństwo musi je odczuwać jako wielką kradzież, połączoną z wielkim bluffem wobec światowej opinii publicznej. Protest robotników jest zatem w pełni uzasadniony, a zastosowanie wobec nich przemocy - absurdalne i hańbiące. Siła i pewność siebie nie zastąpią mądrości i woli reform w leczeniu gospodarki. Tym bardziej - fałszywa informacja.

Wwa, 6.V.1988

Dziennikarze ze środowiska Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich  
/następują podpisy/

#### DOKUMENT 15

### O ś w i a d c z e n i e

Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

19-ty Kongres Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy  
/Federation Internationale des Journalistes/, obradujący w



Maastricht w Holandii, przyjął w poczet członków tej Federacji Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. W związku z tym tak ważnym dla nas wydarzeniem Zarząd Główny SDP pragnie poinformować opinię publiczną o sytuacji Stowarzyszenia i jego oczekiwaniach.

1. Mimo decyzji władz stanu wojennego, rozwiązującej SDP w 1982 r., Stowarzyszenie nasze nie przestało istnieć i działać, uważając, że decyzja delegalizująca zawodową organizację dziennikarzy była pozbawiona podstaw prawnych. Dzięki aktywności i ofiarności setek swych członków SDP w latach 1982-1983 organizowało pomoc dla najbardziej potrzebujących, korzystając z opieki Kościoła i częściowo z darów zagranicznych. W latach późniejszych kontynuowało tę działalność na rzecz pozbawionych pracy i znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Członkowie SDP w różnych, dostępnych im formach organizacyjnych, podtrzymywali tradycję aktywności, właściwej naszemu stowarzyszeniu. Wielu z nich też należało do kręgu organizatorów niezależnych wydawnictw i redakcji.

2. SDP wielokrotnie próbowało dojść do porozumienia z władzami administracyjnymi w sprawie przywrócenia prawa do legalnego działania na rzecz ochrony zawodowych i obywatelskich praw dziennikarzy. Niestety, bezowocnie.

3. SDP w końcu 1981 r. miało w swych szeregach 8122 członków, nie licząc ogromnej rzeszy kandydatów czekających na przyjęcie. Tylko część spośród nich wstąpiła do utworzonego w 1982 r. Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Jesteśmy zdania, że interesy poważnej części środowiska zawodowego dziennikarzy polskich nie są obecnie przez nikogo reprezentowane. Istnienie SD PRL nie powinno stanowić przeszkody w uznaniu prawa SDP do legalnego funkcjonowania, ponieważ nawet w kategoriach formalnych, do których odwołując się władze administracyjne, bazą członkowską SDP może być nie tylko duża grupa dziennikarzy starszego pokolenia, lecz i młodzi koledzy pracujący m.in. w prasie katolickiej oraz w pismach niezależnych, nie należący do SD PRL.

4. Przyjęcie SDP do FIJ traktujemy jako okazję do zwrócenia uwagi opinii publicznej na krzywdzące nas praktyki dyskryminacyjne, nadal uniemożliwiające SDP pełną, legalną działalność. Chcemy wierzyć, że deklarowane obecnie przez władze PRL poszerzenie swobody działania stowarzyszeń pozwoli nam wreszcie korzystać z praw gwarantowanych Konstytucją i podpisanymi przez PRL międzynarodowymi paktami, z praw do zrzeszania się i obrony naszych zawodowych interesów.

5. Dziękujemy Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy za decyzję przyjęcia nas w poczet jej członków. Ma ona ogromne znaczenie dla losów naszego Stowarzyszenia i dla rozwoju prawidłowych stosunków w całej międzynarodowej społeczności dziennikarskiej.

Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Warszawa, 19 czerwca 1988 r.

Do Członków, Kandydatów na Członków i Sympatyków SDP

Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy!

Jak Wam zapewne wiadomo, Zarząd Główny naszego Stowarzyszenia działający w składzie statutowym, pomniejszonym o 4 osoby, które przeszły do SD PRL, ogłosił dn. 19 czerwca 1988 r. oświadczenie w związku z przyjęciem SDP do FIJ, Federation Internationale des Journalists z siedzibą w Brukseli, organizacji afiliowanej przez ONZ, podobnie jak MOD.

Licząc na poparcie ze strony światowej społeczności dziennikarskiej, będziemy nadal oczekiwali przywrócenia naszemu Stowarzyszeniu praw normalnego działania przez władze PRL. W chwili obecnej prosimy naszych Członków i Kandydatów na Członków o cdtwarzanie pracy kół redakcyjnych SDP wszędzie tam, gdzie jest to praktycznie możliwe /formalnie np. w postaci Komitetów Założycielskich SDP/, a zarazem o podjęcie przyjmowania nowych członków na zasadach określonych statutem SDP, zatwierdzonym nb przez władze PRL w 1980 r./..//

Do Kolegów dziennikarzy polskich, pracujących zagranicą, zwracamy się z prośbą o zakładanie kół SDP w zagranicznych polskich zespołach redakcyjnych, o wstępowanie do SDP - wszystkich Kolegów obywateli polskich /zgodnie z wymaganiami statutu SDP, który członkostwo Stowarzyszenia czyni dostępnym dla każdego "obywatela polskiego"/, o formowanie następnie w poszczególnych krajach oddziałów SDP ze statutowymi władzami /mamy nadzieję, że w przyszłości jeden z wiceprezesów SDP będzie wybierany przez dziennikarzy polskich pracujących za granicą/. Oczekujemy, że Związek Dziennikarzy Polskich na Obczyźnie, nie rezygnując ze swej samoistności i form organizacji, wstąpi w całości do SDP - co byłoby wielkim krokiem na drodze do zacieśnienia związków między Krajem a Polakami na obczyźnie, do zniesienia granic przynajmniej w obrębie polskiej społeczności dziennikarskiej. Liczymy, że Koledzy pracujący za granicą nie potraktują tej propozycji jako biurokratyczno-propagandowej formalności, a docenią szansę, jakie stwarza to rozwiązanie, wykraczające daleko poza organizacyjne korzyści.

Prezes SDP

Wiceprezes SDP

Sekretarz  
Generalny

/-/ Stefan Bratkowski /-/ Maciej Iłowiecki

/-/ Dariusz Fikus

Warszawa, czerwiec 1988 r.

POZYCJE WYDAWNICZE WP "MOST"

- Dariusz Fikus - Pseudonią "Łupaszka"
- Władimir Bukowski - Listy rosyjskiego podróżnika
- Jerzy Łojek - Agresja 17 września
- Michał Heller - 70 lat które wstrząsnęły światem
- Józef Kuśmierk - Listy do Adama Michnika
- Wojciech Gieżyński - Gdańsk, maj 88
- Paweł Smoleński - A na hucie strajk
- Warszawskie Zeszyty Historyczne - numer 2
- Andrzej Nagórski - Przymusowe pożegnanie
- Jacek Żakowski - Anatomia smaku
- Hélène Carrère d'Encausse - Wielkie urągawisko
- Pogląd - numer 140
- Pogląd - Wybór
- Kwartalnik Wolne Pismo "MOST" - 20 numerów

**Od 12 czerwca 1989 roku**  
**STOWARZYSZENIE**  
**DZIENNIKARZY POLSKICH**  
**znów działa legalnie**



**2000.**